

h. P. 9486, Chtr. Arch. ms. 12

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/87-2/88 1955



• «La Culture» • Revue mensuelle •

NOWY ADRES "KULTURY"
(NOUVELLE ADRESSE DE "KULTURA")

91, AVENUE DE POISSY
MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

SPIS RZECZY

—	<i>Splacamy Dom</i>	3
Andrzej Panufnik:	<i>Życie muzyczne w dzisiejszej Polsce</i> —	7
Marian Pankowski:	<i>Dziesięć lat poezji krajowej</i>	21
Paweł Hostowiec:	<i>Dziennik podróży do Westfalii</i>	41
Andrzej Bobkowski:	<i>Zachód nareszcie wyzwala</i>	56

K. A. Jeleński:	<i>Nasza stała lektura</i>	75
-----------------	----------------------------------	----

Czesław Miłosz:	<i>Dolina Issy (powieść)</i>	81
-----------------	------------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Bilans emigracyjny</i>	129
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	138
Klaudiusz Hrabyk:	<i>Wolna Trybuna</i>	142

PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Stanisław Zarzewski:	<i>Handel Polski z Zachodem</i>	150
----------------------	---------------------------------------	-----

NARODY ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

Włodzimierz Bączkowski:	<i>Uwagi o Kaukazie</i>	158
-------------------------	-------------------------------	-----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Zbigniew Jasiński:	<i>Pieśń o Powstaniu</i>	170
--------------------	--------------------------------	-----

PRZEGLĄD NIEMIECKI

Jan Kowalik:	<i>Polska w bibliografii powojennych Niemiec (1945-1953) (ciąg dalszy)</i>	180
--------------	---	-----

K S I A Ż K I

J. Horzelski:	<i>Filozofia gwałtu</i>	190
L.:	<i>Pamiętnik amerykański</i>	195
L.:	<i>Kontrola polityczna</i>	198
(AV):	<i>Slavistica</i>	200
P. Glikson:	<i>„Żydostwo Polskie”</i>	204
Stanisław Piotrowski:	<i>„Polonia Restituta”</i>	207
Janusz Jasińczyk:	<i>„Ślad bożej nogi”</i>	209
(j):	<i>Notatki wydawnicze</i>	212
(j):	<i>Przegląd miesięczników</i>	216
—	<i>W dwóch słowach</i>	218
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	219

—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1954</i>	220
---	--	-----

J. F. Gawlina, Arcybp., W. Weintraub, Z. Grabowski, A. Vincenz, M. Rudź, St. Westfal, J. Halecki, J. Jenne, Z. Żarnowski, B. Wojtun, M. Sokolnicki, J. Ulatowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	229
---	--------------------------------	-----

—	<i>Résumé en langue française</i>	238
—	<i>English Synopsis</i>	239

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Janvier-Février

1955

INSTYTUT



LITERACKI

S. † P.

JERZY PRĄDZYŃSKI

były korespondent „Kultury” w Berlinie,
zmarł po ciężkich cierpieniach w Londynie w dniu 28 listopada 1954 r.
przeżywszy lat 46.

Redakcja „KULTURY”

KOMUNIKATY

NAGRODA LITERACKA „KULTURY”

W następnym, marcowym numerze (3/89) podamy wyniki pracy jury Nagrody. Przypominamy jednocześnie, że nagroda „Kultury” jest nagrodą stałą przyznawaną corocznie. Termin nadsyłania prac w bieżącym roku upływa dnia 31 października.

ANKIETA „KULTURY”

Termin nadsyłania odpowiedzi na ankietę „Kultury”: „Czy przemiany w Polsce są odwracalne” upływa 1-go kwietnia br. Kwestionariusz i warunki ankiety były ogłoszone w numerze grudniowym (12/86).

„SŁOWO O BITWIE”

Dowiadujemy się, że powieść Janusza Jasieńczyka „Słowo o bitwie” została oddana do druku w pierwszych dniach grudnia i według zapewnień drukarni ma być gotowa w drugiej połowie lutego. W obrocie księgarskim książka, która liczyć będzie ponad 270 stron druku na dobrym papierze, ukaże się w dwóch wersjach: w okładce kartonowej (broszurowana) w cenie 17/6 i w okładce płóciennej, sztywnej, w cenie 1 gwiney. Obie wersje posiadać będą trójbarwną artystyczną obwolutę projektu art. mal. Zygmunta Turkiewicza i zawierać portret autora ołówka prof. M. Szyszko-Bohusza. Już teraz zamówienia można kierować do firmy Chimera Booksellers (47 Earls Court Road, London, W.8., England), która „Słowo o bitwie” — wydane NAKŁADEM CZYTELNIKÓW — przyjmuje na skład główny.

Imprimé en France

DALSZE WPLĄTY NA DOM „KULTURY”

Piotr Strzelbicki, Lys-lez-Lannoy	1.000	frs
Tadeusz Zaleski, Paryż	3.000	„
K. Styczniewski, London (Kanada)	1.200	„
Roman Michoń, Cleveland (USA)	1.750	„
Ludwik Faryaszewski, Leopoldville (Congo)	14.000	„
S. Dobczyński, New York	1.400	„
W. Gortat, Manville, N. J. (USA)	1.750	„
Monika i Józef Fajans, Washington	1.000	„
Ks. K. Krutkowski, Wagoner, Okla (USA)	1.750	„
Witold Lipecki, Brooklyn (USA)	3.500	„
Ks. F. Gabryl, Kaufman, Texas (USA)	3.500	„
Frank Dragun, Detroit, Mich. (USA)	1.750	„
Jerzy Czechowski, Toronto (Kanada)	1.400	„
Ignacy Wygard, Meksyk	1.000	„
Adam Polowiec, Warragamba Dam. (Australia)	3.900	„
Aniela Kowalska, Toronto (Kanada)	1.000	„
Lew Szankowski, Philadelphia (USA)	2.000	„
Tadeusz Szmitkowski, Fribourg (Szwajcaria)	1.000	„
Koło Byłych Żołnierzy Armii Krajowej, Oddział na Stan Michigan (USA)	3.500	„
Dr Stefan Czekanski, Arapongas (Brazylia)	1.000	„
S. Dziarczykowski, Los Angeles	3.500	„
Władysław J. Stankiewicz, Princetown, N. J. (USA)	2.100	„
Michel Rudz, Chateau-Renault	1.000	„
St. Woycicki (Anglia)	1.000	„
Z. Kłodziński (Anglia)	1.250	„
Mieczysław i Danuta Bornet, Toronto (Kanada)	5.000	„
Jerzy A. Pretti-Pavletta, Detroit (USA)	1.750	„
Zygmunt Sowa, Detroit	1.750	„
Jerzy Skiba-Piądlowski, Detroit	1.750	„
Ewaryst Raszkiewicz, Detroit	1.750	„
Halszka Poniatowska i Stanisław Vincenz (Szwajcaria), zamiast życzeń świątecznych	1.000	„
Z. R., Paryż	1.000	„
Dr Kazimierz Bartkowiak, Bern	1.000	„
The Polish Weekly „Straż”, Scranton, Pa. (USA)	3.500	„

P. 9786 Chr. Arc.

W. Heinrich, London	1.000	..
Dr W. Stefaniak, Zurich	1.000	..
F. T. Jordanowski, Chicago	1.000	..
Bezimiennie (USA)	1.400	..
Kazimierz Rasiej, Brooklyn, N. Y. (USA)	700	..
K. A. Rożankowski, Monachium	1.600	..
Anonimowo, Francja	700	..
Stanisław Zarzewski, Londyn	2.000	..
Elisabeth Godlewska, Kenosha, Wis. (USA)	1.400	..
Bob. Łoziński, New Haven, Conn. (USA)	1.750	..
Seweryn Palicki, Borlange (Szwecja)	1.000	..
Stanley Babula, Chicago	2.100	..
T. Łempicki, Toronto (Kanada)	4.000	..
Józef Pokorny, Montreal (Kanada)	2.000	..
Jan Głowacki, Rzym	200	..
Anonimowo, podpis: Oracz morza — marynarz	10	..
Redakcja „Quo Vadis”, New York	3.500	frs
Anna Kipper, Bogota (Columbia)	13.500	..
John Sibilski, San Francisco	3.500	..
„Cegielka” pamięci poety Nuchima Bomzega od I. V.	1.750	..
K. N., Barcelona	1.000	..
Chór Polski B. Wysiedleńców im. M. K. Ogińskiego, Hempstead, L. I., N. Y. (USA)	1.900	..
Inż. Henryk Prus, Paryż	10.000	..
M. Górczewski, Toronto (Kanada)	1.400	..
K. Wierzbicki, Hamilton, Ont. (Kanada)	1.400	..
Vistula (Austr.) Pty, Ltd Sydney	5.000	..
S. Bolen, Ascot Vale, Vic. (Australia)	1.200	..
A. Syriatowicz, Sydney	800	..
Józef Wittlin, New York	1.000	..
Ryszard Strupczewski, Paryż	1.000	..
Stanisław Janta-Polczyński, Tullins (Isère)	1.000	..
Dr Cz. Skotlewski, Londyn	2.000	..
J. K. Łopuszański, Toronto (Kanada)	1.750	..
Dr T. Kowalczyk, Madison, Wis. (USA)	1.750	..
Daniela Pankowska, Bruksela	1.000	..
H. R. Radomski, Toronto (Kanada)	9.300	..
Wincenty Bieńkowski, Utica, N. Y. (USA)	1.750	..
St. Zalewski, Montreal	700	..
Dr A. Richter, West End (Grand Bahama)	3.000	..

Kolonia Polska w Sao Paulo, w Brazylii, zorganizowała zbiórke na dom „Kultury” i zebrała łącznie kwotę 43.800 crs. Na sumę tę złożyły się dary niżej wymienionych osób: Stefan Neuding — 10.000 crs.; Lucian Korngold — 5.000 crs.; Izidor Kleinberger — 5.000 crs.; Adolf Felsen — 2.000 crs.; Mieczysław Grabowski — 2.000 crs.; Tadeusz Rumpel — 1.500 crs.; Janusz Niklewski — 1.000 crs.; Herman Pikelny — 1.000 crs.; Jan Litmanowicz — 1.000 crs.; Mirosław Szabuniewicz — 1.000 crs.; Ludwik Floksztumpf — 1.000 crs.; Tadeusz Salski — 500 crs.; Antoni Moszkowski — 500 crs.; Edward Mandelot — 500 crs.; Jerzy Sieradzki — 500 crs.; Mieczysław Rogatko — 500 crs.; Stefan Osser — 300 crs.; Bankowski — 300 crs.; Mieczysław Fularski — 1.000 crs.; Lubomirski — 200 crs.; Lebson — 2.000 crs.; Roman Skowroński — 200 crs.; Andrzej S. Jordan — 500 crs.; L. Silberberg — 200 crs.; M. Czajkowski — 200

crs.; Jan Ciesielski — 500 crs.; Witold Stypulkowski — 200 crs.; Erwin Wieczorek — 200 crs.; Emil i Bożena Bader — 500 crs.; Stefan Krasuski — 500 crs.; Władysław Gano — 500 crs.; Aniela Ginsberg — 500 crs.; Wiesław Polakiewicz — 200 crs.; Helena Gaździcka — 100 crs.; Stefan Krotoszyński — 250 crs.; Czesław Sokulski — 500 crs. (Nazwisk pozostałych siedmiu osób, których podpisy figurują na nadesłanej nam liście, a które złożyły łącznie 2.000 crs. nie możemy odczytać. Podamy je w następnym numerze „Kultury”).

DZIĘKUJEMY



DOM „KULTURY” ISTNIEJE. Został zakupiony, gdyż w przeciwnym razie groziło nam przerwanie pracy redakcyjnej i wydawniczej. Stało się to możliwe tylko dzięki pomocy naszych przyjaciół-czytelników. Otrzymujemy przekazy z pięciu kontynentów a również z morza — bo do tej kategorii należy zaliczyć dar marynarza, wysłany z Wysp Azorskich. Wszystkim tym, którzy odesłali się na nasz apel, składamy serdeczne podziękowanie. To doświadczenie jest dla nas szczególnie cenne: przekonaliśmy się, że wydając nasze pismo nawiązujemy łączność niemal rodziną z mnóstwem ludzi, znanych nam najczęściej tylko z imienia i nazwiska, jeżeli są na liście naszych prenumeratorów, a nieraz zupełnie nam nieznanych. Stąd przekonanie, że znajdujemy życzliwość dla naszej pracy.

Fakt, że mogliśmy wejść w posiadanie domu przy obecnych zasobach gotówkowych, przypisać należy również niezwykle skutecznej, a wymagającej wiele bezinteresownie ofiarowanego czasu, pomocy dwóch osób, bez których nie dalibyśmy sobie rady: są to konstruktorzy budowlani Ignacy Sternbach i inż. architekt Józef Wetstein, którzy dokonali wszystkich niezbędnych a kosztownych ekspertyz, przeprowadzili wprost za nas uciążliwe pertraktacje, ułatwili niezbędne remonty oszczędzając nam przez to sumy idące w setki tysięcy franków. Należy im się żywa wdzięczność i nasza, i wszystkich tych, którzy chcieliby wiedzieć, że ich pieniądze zostaną zużyte w sposób jak najbardziej oszczędny i celowy.

W chwili przenoszenia naszej biblioteki otrzymaliśmy z Beyrutu, od p. Ewy French cenny dar, dowód wzruszającej zapobiegliwości: dywan na pokrycie hallu i schodów.

Nasze kłopoty nie są jednak zakończone. Ze względu na specyficzne warunki nie możemy rozłożyć należności na wieloletnie raty i stoimy wobec konieczności spłacenia zaciągniętych długów w najbliższym czasie. Dlatego zwracamy się do przyjaciół-czytelników i stwierdzamy: NASZ APEL TRWA. Wiemy,

ie wielu z tych, którzy doceniają nasz wysiłek, teoretycznie zgadza się, że niezależna impreza małego zespołu, rozwijająca się w ciągu ubiegłych siedmiu lat, zasługuje na poparcie. Udzieleniu przez nich pomocy w praktyce stoją na przeszkodzie tysiące drobnych okoliczności codziennego życia. Prosimy ich aby przezwyciężyli opór jaki stawia im dzień dzisiejszy i pomogli nam w miarę swoich możliwości. Każdy, nawet najmniejszy ich wkład będzie dla nas znakiem że jesteśmy im potrzebni.



Ponieważ ostatnio mnożą się podróże do Europy Polaków, zamieszkających w krajach zamorskich — odwiedzali nas niedawno nasi czytelnicy z Ameryki Północnej i Południowej oraz z Afryki — chcielibyśmy aby dom „Kultury” stał się w przyszłości rodzajem klubu, w którym każdy z przyjezdnych znajdzie nie tylko gościnę, ale niezbędne mu informacje i w razie potrzeby, opiekę.



Na skutek otrzymanych zapytań podajemy, że „cegielki” można przekazywać zarówno bezpośrednio na adres „Kultury” jak i do wszystkich naszych przedstawicieli.



Nasz nowy adres brzmi :

91, Avenue de Poissy,
MAISONS LAFFITTE (S. et O.)

Życie muzyczne w dzisiejszej Polsce

Czytając w Polsce *Zniewolony Umysł* Czesława Miłosza (książka ta krążyła wśród pisarzy i artystów), byłem uderzony jego trafną i subtelną interpretacją procesu psychologicznego artysty w systemie komunistycznym. Poczucie nieodwołalności pewnych przemian, siła mitu „historii”, instynkt samozachowawczy — wszystkie te elementy grały w każdym z nas, pisarzy i artystów którzy staraliśmy się nadal tworzyć w Polsce w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Moim zdaniem Miłosz podkreśla jednak zbyt silnie intelektualną pokusę jaką stanowi „nowa wiara”. Nie należy tego zjawiska zbyt uogólniać. Wydaje mi się że większość polskich artystów nie odczuwa tej „pokusy” zbyt głęboko, nawet jeśli przesiakają — choćby na skutek zmęczenia — obowiązującymi sloganami. Oczywiście sytuacja pisarza jest skrajna, gdyż operuje on pojęciami i jego przydatność polityczna jest oczywista. W innych dziedzinach sztuki, a zwłaszcza w muzyce, zagadnienia nacisku wywieranego przez system są bardziej złożone. Myślę, że obraz konkretnych warunków życia i pracy artysty w Polsce najlepiej może wykazać do jakiego stopnia system sparaliżował wszelką możliwość wolnej i oryginalnej twórczości.

Sytuacja muzyki w Polsce jest bardziej może jeszcze uproszczona od innych dziedzin sztuki. Mówiąc obowiązującym żargonem, na obecnym „etapie” prawdziwie twórcza muzyka jest najmniej potrzebna. Odbija się to i na twórczości i na życiu muzycznym całego kraju.

Życie muzyczne, podobnie jak i wszystkie inne dziedziny, jest w Polsce przedmiotem skomplikowanej i sztywnej organizacji. Aby ją opisać, trzeba by właściwie nakreślić cały schemat graficzny — trudno inaczej powiązać wszystkie te biura, związki i ministerstwa, znane w Polsce pod skomplikowanymi skrótami. Od tej biurokracji zależą warunki materialne artysty i jego

życie twórcze. Związek Kompozytorów Polskich, centralny organizm życia muzycznego, nie ma silnej pozycji wobec rządu i partii. Na stu dwudziestu polskich kompozytorów, członków związku, dwaj zaledwie są członkami partii. Dlatego nie ma nawet przy Związku Kompozytorów koła partyjnego, jak przy innych związkach. Nie ułatwia to życia polskim kompozytorom, nawet materialnie. Zaobserwowałem, że na Zachodzie istnieje pewien mit o dobrych warunkach materialnych artystów w krajach komunistycznych. Jest to zupełnie fałszywe. Walka o sam byt jest bardzo ciężka, absorbuje niemal całkowicie polskich artystów i jest niewątpliwie jednym z elementów presji wywieranej przez rząd.

W skład Komisji Zamówień wchodzi przedstawiciele Prezydium Związku Kompozytorów, CZOFIMu (Centralnego Zarządu Oper i Filharmonii), Ministerstwa Kultury i Sztuki i radia. Komisja Zamówień wyznacza terminy i honoraria. Aby wziąć konkretny przykład, na napisanie symfonii wyznaczany jest termin roczny lub dwuletni. Ale stawka pieniężna wynosi równowartość dwumiesięcznego zaledwie utrzymania. Jasne, że w tych warunkach kompozytor musi wciąż łowić jakieś drobne złe płatne zamówienia poboczne — muzyka filmowa, „pieśni masowe” itd. — aby móc związać koniec z końcem. Ponieważ stawki są prawie jednakowe dla wszystkich, system ten najboleśniej dotyczy poważnych kompozytorów, działając jednocześnie na korzyść różnego pokroju miernot. Ci którym przychodzi bez trudu pisanie najbardziej wulgarnej, oklepanej muzyki w „pieśniach masowych”, do satyrycznych teatrzyków, cyrku, mają okazję do zarabiania sporych sum.

Jeśli zacząłem od warunków materialnych, to dlatego że sama walka o byt zmusza poniekąd artystów do wejścia w tryby nieubłaganej maszyny. Nie myślę żeby byli dziś w Polsce artyści tworzący „dla siebie” utwory, które nie mogłyby w dzisiejszych warunkach wyjść na światło dzienne. To było możliwe pod okupacją niemiecką, kiedy nadzieja wyzwolenia była wciąż żywa, kiedy żyło się z dnia na dzień wśród solidarnego społeczeństwa, utrzymując się w różny, zwykle „nielegalny” sposób. Dziś nie ma innego wyjścia dla artysty jak ugnać się i przystosować swe dzieło do wymagań partii. Dlatego chciałbym zaznaczyć że pisząc te krytyczne uwagi czuję się w pełni solidarny z kolegami, którzy, będąc w kraju, zmuszeni są do ustępstw i tworzą w niezwykle ciężkich warunkach. Pytano mnie czasem na Zachodzie czy w podobnym systemie nie byłoby lepiej dla artysty wyrzec się życia twórczego, przynajmniej jawnego, i zająć się inną pracą. Ale pomijając już oczywiście trudności twórczej pracy przy innym zajęciu zarobkowym, takie wyjście jest właściwie niemożliwe. Artysta który by się ostantacyjnie usunął od życia twórczego, stałby się z miejsca podejrzany. Jako „wróg ludu” nie mógłby znaleźć żadnej innej pracy. Znalazłby się poza nawiasem życia.

Położenie kompozytora jest tu specjalnie trudne. To prawda

że twórczość oryginalna jest może jeszcze bardziej niedostępna dla pisarza, w obecnych warunkach. Ale pisarz może zawsze się przetrząść na tłumaczenia, studia językowe: ma pewną ilość „rezerwatów”. Kompozytor musi komponować — i siłą rzeczy zmuszony jest do dostosowania swej muzyki do obowiązujących przepisów. Nie łatwo jest przepisy te określić i wykazać sam mechanizm cenzury. Same przepisy są tak prymitywne i tak mało ścisłe, że właściwie pozbawione są prawdziwej treści. Cenzura zaś przejawia się na wszystkich stopniach systemu i jest z nim całkowicie zespolona. Stąd trudno jest powiedzieć że działa ona specjalnie w takim czy innym stadium.

Jakie są przepisy? O co chodzi pod pokrywką znanych banałów o „realizmie socjalistycznym”? Zabroniony jest „formalizm”. Ale samo to pojęcie jest pozbawione znaczenia, a właściwie można mu nadawać znaczenia dowolne. W tej chwili, jako „formalizm” uważa się właściwie w Polsce wszelką twórczość muzyczną niesłużącą propagandzie politycznej i w jakikolwiek sposób związaną z środkami wyrazu współczesnej muzyki zachodniej. Poza tym istnieje wciąż nacisk o stworzenie tzw. „nowego języka” w muzyce, który by rzekomo mógł bezpośrednio przemawiać do mas. Jest to oczywiście fikcja. W istocie wybiera się najłatwiejszą drogę i proteguje się muzykę która już jest zrozumiała dla szerokiego ogółu, czyli właściwie nawraca się do „starego języka”, przeważnie 19-wiecznego. W jednym z moich artykułów, ogłoszonym w „Timesie” po moim wyjeździe z Polski, stwierdziłem, że jedyna muzyka która cieszy się poparciem — to muzyka łatwo wpadająca w muzycznie nieuformowane ucho robotnika czy chłopca. Posłużono się w Polsce tym zdaniem aby oskarżyć mnie o „pogardę” dla robotników. Wydaje mi się że jest wprost na odwrót. Prawdziwą pogardę dla ludzi pracy mają ci, którzy z góry zakładają że nie można w nich wyrobić subtelniejszego smaku muzycznego i dostarczają im najłatwiejszej, wulgarnej strawy.

Wspomniałem już, że „cenzura” przenika cały system. Nikomu nie przyszłoby do głowy zgłosić do Komisji Zamówień projektu dzieła, które nie służyłoby zasadniczo po linii obowiązujących przepisów. Oczywiście istnieją tu pewne podstępny, w myśl „Ketmana” opisanego przez Miłosza. I tak wskazane jest poświęcić dzieło, przynajmniej w tytule, jakiemuś wydarzeniu czy tendencji politycznej. Są też pewne naciski w kierunku stworzenia dzieła które może być w danej chwili „potrzebne”. Kompozytorzy — członkowie partii — są oczywiście w stałym związku z wydziałem kulturalnym partii. Mają oni stąd możliwość dawania pewnych autorytatywnych sugestii. I tak partia przez długi czas wywierała nacisk na Związek Kompozytorów o napisanie kantaty na cześć Stalina. Ale nikt jakoś się nie kwapił do opiewania „Wielkiego Chorażego Pokoju”. Wreszcie po długich usiłowaniach znaleziono jednego z trzech — wówczas — kompozytorów, członków partii, który poczuł się w obowiązku utworzenia napisanej. Napisał kantatę według wszelkich prawideł, aż po

bałwochwalczy tekst, broniąc się od posługiwanie się „warsztatem międzywojennym” i szukając „prostego, socjalistycznego języka”. Wykonanie było bardzo uroczyste, partia zadowolona. Cóż z tego, kiedy Stalin wkrótce umarł, kult jednostki okazał się przesadą, zaczął obowiązywać kult kolektywu. Utwór przestał być wykonywany. „Historia” przeszła do nowego „etapu”. Kantata pozostała na zawsze w „etapie” minionym.

Jedną z najbardziej niebezpiecznych stron systemu jest całkowita izolacja muzyki — i sztuki w ogóle — w Polsce. Wydaje mi się czasami że hasła „realizmu socjalistycznego” są po prostu pretekstem. Że chodzi właściwie głównie o odcięcie Polski od kultury zachodniej. Wszelkie slogany o sztuce „narodowej w formie, socjalistycznej w treści” nie odpowiadające żadnej rzeczywistości i wytwarzające jedynie klimat hipokryzji i przygnębienia wśród twórców są właściwie płaszczykiem pod którym przeprowadza się tę politykę izolacji. Jest to dla twórców polskich tragiczne. Interesują się oni ogromnie twórczością zachodnią, ale utrzymanie jakiegokolwiek kontaktu jest niemożliwe. Nasi młodzi muzycy nie znają już nawet problemów które każe im się „odrzuć”. Nie znają nie tylko dodekafonistów z Schoenbergiem, ale nawet muzyki Strawińskiego czy francuskiej „Groupe des Six”. Oczywiście wszelkie nowe doświadczenia zachodnie — jakakolwiek by była ich istotna wartość — są całkiem nieznane. W ogóle, jeśli chodzi o doświadczenia formalne, o „laboratorium” muzyczne — to jest to dziedzina w Polsce zakazana. Współczesna muzyka zachodnia nie jest nigdy grywana na koncertach, nie istnieje w formie płyt, słuchanie jej przez radio jest prawie niemożliwe. Aparaty radiowe dostępne w Polsce są w bardzo złym gatunku, a programy zachodnich stacji są zagłuszane ze względu na wiadomości polityczne. Nie można nawet się dowiedzieć co się dzieje w zachodnim świecie muzycznym. Jedyną polskie czasopismo muzyczne, „Muzyka Polska” wzorowane jest na „Sowieckiej Muzyce”. Przedrukowuje artykuły sowieckie, zawiera długie i nudne artykuły o życiu słowiańskich klasyków, muzyka zachodnia wspomniana jest tylko w celu jej ośmieszenia. Ponieważ pismo wychodzi z dwumiesięcznym opóźnieniem, wiadomości o krajowym życiu muzycznym nie mają żadnej aktualności. Zachodzi zresztą pewna ciekawa reakcja, wywołana tymi próbami ośmieszenia i zakazami. Otóż na Zachodzie na przykład, eksperymenty w rodzaju „musique concrète” odbywają się właściwie wśród pewnej obojętności publiczności. Istnieje garstka entuzjastów — grupa przeciwników — szeroka rzesza ludzi patrzących sceptycznie na to zjawisko, jak na przejściowy eksperyment. Otóż w polskiej atmosferze tego rodzaju eksperymenty urastają do rozmiarów obrazoburczych. Ma się wrażenie że jeden koncert „musique concrète”, jedna wystawa abstrakcyjnej sztuki zagroziłaby istnieniu „światowego obozu pokoju”. W ten sposób ścisła cenzura przywraca nam złudną romantyczną wiarę w konkretną „potęgę sztuki”.

Niezależna i oryginalna twórczość uniemożliwiona jest nie-

tylko przez bezpośrednie działanie partii w ramach systemu — system sam w sobie z warunkami życia i pracy jakie wytwarza najskuteczniej paraliżuje artystę. Przede wszystkim istnieje niemożliwość samotności i koncentracji. Każdy wybitniejszy artysta staje się człowiekiem publicznym i zmuszony jest do odgrywania roli w życiu politycznym. Każdy należy do szeregu komitetów i czuje się właściwie urzędnikiem, zdany na łaskę pierwszego telefonu lub zawiadomienia ściągającego go na akademię, obchód, zebranie. Byłem sam członkiem wielu komitetów, które wszystkie pochłaniały ogromną ilość czasu i nie pozwalały na koncentrację. A więc — Zarząd Związku Kompozytorów (jako wiceprezes); Rada Artystyczna przy Ministerstwie Kultury i Sztuki; Komitet Współpracy Kulturalnej z Zagranicą; Polski Komitet Obronców Pokoju (jako członek prezydium). Nie byłem członkiem partii, ale oczywiście nie ma sposobu wymówienia się od żadnego z tych komitetów, które wszystkie są tak czy inaczej organami systemu. Byłem w ten sposób zmuszony (tym bardziej że nie należałem do partii) do wypowiedzi siłą rzeczy zawsze mniej lub więcej sprzecznych z moimi przekonaniem. Wszystkie te komitety zatruwają możliwości twórcze w sposób bardzo skuteczny. Człowiek wtłoczony jest siłą w gorset haseł i sloganów, które całkowicie na dłuższą metę zabijają fantazję i odwagę.

Chciałbym przy tej sposobności powiedzieć dwa słowa o Komitecie Obronców Pokoju. Jest to organizacja w której uczestniczą bez wyjątku wszyscy wybitniejsi ludzie w Polsce z każdej dziedziny życia. Polska była tak spustoszona wojnami, że nie trzeba było Polaków namawiać do „obrony pokoju”. Utało się że jest to jakby najmniej kompromitująca forma współpracy z reżymem. Mimo to nikt w Polsce nie ma wątpliwości co do prawdziwych celów tej organizacji. Znam jej działalność na Zachodzie, gdzie jest formą penetracji komunistycznej, ale w krajach komunistycznych przejawia ona działalność jeszcze bardziej sprzeczną z jej rzekomymi celami. Służy ona bowiem wyłącznie do judzenia przeciw Zachodowi, do krzewienia nienawiści, do wmawiania w ludzi że Zachód, a zwłaszcza „krwawi” Amerykanie przygotowują się bez ustanku do agresji. Trudno, jednym słowem, o mniej pokojową i mniej „braterską” instytucję.

Powróćmy do problemów cenzury. Ostateczna ocena polityczna kształtuje się przy przesłuchaniu dzieła. Ale oczywiście można być pewnym że utwór odbiegający za daleko od obowiązujących kanonów nigdy by do tego stadium nie doszedł. Po przesłuchaniu (które jest rodzajem próby generalnej przed pierwszym wykonaniem) odbywa się dyskusja nad utworem z udziałem kompozytora, przedstawiciela Związku Kompozytorów, przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Partii. Można przyjąć, że już przed przesłuchaniem wiadomo jaka będzie ocena; „Władze” mają swych doradców w tej dziedzinie. Jak zawsze, tak i tutaj elementy oceny są złożone. Dominuje oczywiście moment polityczny, który się zresztą zmienia, zależnie choćby od jakiegoś artykułu w „Sowieckim Iskustwie” czy „Sowieckiej Muzyce”,

ale grają również zawiści, rywalizacje czy sympatie osobiste. Przypominam sobie choćby dyskusję, po przesłuchaniu mojej „Uwertury Bohaterskiej”. Brali w niej udział poza tzw. „czynnikami oficjalnymi”, trzech najwybitniejsi przedstawiciele polskiej muzyki, między innymi niedawno zmarły Fitelberg. Napaści na mnie były bardzo silne. Twierdzono, że muzyka moja nie odpowiada „wielkiej epoce socjalistycznej”. Jeden z uczestników dyskusji wystąpił z najostrzejszym atakiem i oświadczył że współ z kolegami zamierzał spalić moją partyturę razem z materiałem orkiestry przed moim przyjazdem do Katowic gdzie odbywało się przesłuchanie — żeby wyrzucić mi przysługę. Ani jeden z trzech wybitnych polskich muzyków, którzy byli obecni, nie wziął udziału w tej dyskusji. Ale natychmiast po jej zakończeniu każdy z nich podszedł do mnie prywatnie wyrażając współczucie i oburzenie. Fitelberg uważał ten mój utwór za najlepszy. Był przeżarty poziomem dyskusji, zwłaszcza, że jak podkreślał, całe życie służył muzyce współczesnej. Nie mogłem mieć do żadnego z nich pretensji. Jedną z najpotworniejszych cech całego systemu, jest że wyzwała on w człowieku najgorsze instynkty, a przede wszystkim tchórzostwo. Jest to tym bardziej tragiczne, że przecież zasada systemu jest rzekomo przygotowanie i kształtowanie tego „lepszego człowieka”, którego miałyby wydać epoka socjalizmu...

To tchórzostwo, ta ciągła obawa, tak weszły w krew wszystkich artystów, że pewne próby liberalizacji, których dokonano po śmierci Stalina, spotkały się z najbardziej nieoczekiwanymi reakcjami. Książko wśród nas powiedzenie, że manewr ten przypomina otwarcie lufcika w bardzo zadymionym pokoju, na to tylko żeby zobaczyć kto pierwszy się rzuci w kierunku świeżego powietrza. Toteż nikt bardzo się nie kwapił do skorzystania z tej chwilowej liberalizacji. Liberalizację rozpoczął w marcu 1954 roku zjazd Rady Artystycznej przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, której byłem członkiem. Celem było pewne kokietywanie twórców, całkiem rozgoryczonych i wyczerpanych ostatnimi latami (po roku 1949) „walki z formalizmem”. Wszyscy byli zniechęceni. Ilość i jakość dzieł przedstawiała się fatalnie. Pod pozorem większej swobody chciano teraz zbliżyć twórców do partii i zmobilizować ich ponownie do walki politycznej. Toteż na zebraniu minister Kultury i Sztuki, Sokorski, zaczął od „samokrytycyzmu”. Zachęcał artystów i pisarzy do szczerych wystąpień. Wreszcie paru śmiałków zdobyło się na swobodniejsze wypowiedzi. Sokorski zapytał retorycznie: „Czy słuszna jest walka z formalizmem”? Odpowiedź jego była subtelniejsza niż dawniej. Zapytano nawet czy można krytykować słabe dzieła rosyjskich twórców. Ale w sprawozdaniu prasowym ze zjazdu, wypowiedź Sokorskiego o formalizmie została znów zniekształcona i przedstawiona jako bezwzględne potępienie formalizmu, a ustęp o krytyce słabych dzieł rosyjskich opuszczono całkowicie. Trzeba dodać że zarówno na tym zebraniu jak i na innych znaleźli się młodzi gorliwcy komunistyczni, którzy ostro występowali prze-

ciw „liberalizacji”. Tak było z pisarzami. Tak było i na zjeździe Związku Kompozytorów, na którym mierny muzykolog i kompozytor oświadczył, że liberalizacja byłaby szkodliwa, gdyż artyści są politycznie niedojrzali i muszą być kierowani.

Reakcja ta jest całkiem zrozumiała. Obecny system jest ideałem wszelkiego rodzaju miernot, których nędzne utwory są wydawane, wykonywane, aprobowane, jedynie ze względu na ich gorliwość polityczną. Jasne że zły pisarz będzie bronił „schematyzmu”, bo inaczej jak schematycznie pisać nie potrafi. Liberalizacja groziłaby młodym karierowiczom we wszystkich dziedzinach sztuki zdemaskowaniem ich beztalencja. Toteż bronią oni zjadale cenzury, w której widzą nie żadne skrupowanie, ale wręcz usprawiedliwienie własnego bytu.

„Liberalizacja” niedługo była modna. Na wiosnę tego roku powstał w Warszawie kabaret literacki, w którym puszczono się nawet na odważne i ostre dowcipy. Zwrócone były wszystkie oczywiście przeciw „biurokratom”, przeciw wszelkiego gatunku „złym wykonawcom” zarządzeń doskonałego ustroju. Gdyż sam ustrój, rząd, partia — pozostały, oczywiście, nietykalne. W każdym razie poruszenie w Warszawie było duże i ludzie siedzieli na przedstawieniach dziwnie zażenowani, nie wiedząc czy mogą się śmiać, czy nie kryje się w tym jakaś prowokacja. Ale po kilku przedstawieniach cenzura nie wytrzymała i okroiła teksty kabaretu.

Moja własna sytuacja w Polsce jako kompozytora była dość specjalna. Otrzymywałem szereg nagród, byłem stale wysyłany zagranicę w delegacjach, utwory moje nadawano zagranicę przez radio, ale muzyka moja była często potępiana. I tak, moja „Sinfonia Rustica” odznaczona była w roku 1949 pierwszą nagrodą na Konkursie Chopinowskim w Warszawie. Ale w rok później, na zebraniu Związku Kompozytorów, w obecności Sokorskiego i delegatów sowieckich, między innymi Chrennikowa, generalnego sekretarza Związku Kompozytorów Sowieckich, jeden z moich polskich kolegów wystąpił z atakiem zwróconym przeciw mojej muzyce. Twierdził że „Sinfonia Rustica” jest wroga epoce socjalizmu. Dodam tutaj, że ten sam kompozytor był członkiem jury które w poprzednim roku nagrodziło moją symfonię. Wobec tego Sokorski orzekł, na zebraniu, że moja symfonia przestała istnieć...

Moja „Symfonia Pokoju”, napisana w roku 1950, została przez Związek Kompozytorów zaopiniowana do nagrody państwowej. Tym niemniej i to dzieło potępiono. Doszukiwano się w nim uczuć religijnych. Zarzucano mi, że „nie walczę o pokój w tym utworze”, ale że raczej „modłę się o pokój”. Los moich utworów, mówiąc tamtejszym żargonem, bardziej „formalistycznych” nie mógł być oczywiście pomyślny. Moją „Kolysankę” na 29 instrumentów smyczkowych i dwie harfy dyrygowałem na festiwalu międzynarodowym w Amsterdamie w roku 1948. Utwór ten grano potem często zagranicą. W Polsce został on jednak tylko raz wykonany. Utwory są zresztą czasem celowo raz wy-

konane, żeby można było przy okazji powiedzieć na Zachodzie, że nie jest to muzyka w Polsce zabroniona (*). W ogóle muzykę „formalistyczną” traktuje się w Polsce jako towar eksportowy. Radio polskie wykonuje je nieraz na swej specjalnej fali przeznaczanej zagranicę a KWKZ wysyła partytury do krajów zachodnich.

Nagrody państwowe, medale itd. są jednym z narzędzi polityki systemu wobec artystów. Pierwsza nagroda państwowa wynosi w Polsce 25.000 zł., co jest niczym wobec olbrzymich nagród stalinowskich, ale jednak zabezpiecza artystę na pewien czas. Przed samym moim wyjazdem z Polski przystano mi formularz do wypełnienia w związku z jakimś odznaczeniem które chciano mi nadać przy okazji obchodów dziesięciolecia Polski Ludowej (prawdopodobnie za nie komponowanie w ciągu ostatnich czterech lat). Formularz — „Tajny” — zawierał, naturalnie, pytania dotyczące nie tylko pochodzenia społecznego, oraz moich zapatrywań politycznych przed wojną, podczas wojny i po wojnie, ale także te same pytania w stosunku do mojej żony, rodziców, rodzeństwa. Wartość dzieła nie decyduje oczywiście ani o nagrodach, ani o odznaczeniach.

Staralem się pokrótce przedstawić sytuację kompozytora. Ale obraz życia muzycznego w Polsce jest ponury na każdym poziomie. Można bez przesady powiedzieć że obrzydza się w Polsce muzykę wszelkimi środkami. Muzykę w Polsce konsumuje dziś nie ten kto jej chce, potrzebuje, pragnie, ale jest ona narzucana na każdym kroku, i to narzucana w swej najbardziej wulgarnej formie. Największą plagą są tu głośniki — ryczące bez przestanku wszędzie, których nie można zatrzymać ani wyłączyć. Koszmar zbliżony do „1984” Orwella. Na ulicach miasta, w uzdrowiskach, w biurach — wszędzie rozbrzmiewa głośnie muzyka o najniższej wartości (poza audycjami propagandowymi, które są na pierwszym planie). Są to utwory odpowiadające „etapowi” — a więc pieśni masowe i pseudo-ludowa muzyka w najbardziej tandetnym sosie. Pieśni masowe — to górnolotne słowo na szlagiery. Już przed wojną szlagiery polskie stały na opłakanym poziomie — ale działał tu jeszcze pewien snobizm Zachodu i sama moda narzucała nieco lepsze formy — na przykład zbliżone do jazzu. Autentyczny jazz jest teraz w Polsce wykłt. „Pieśni masowe” — to marszowa i „mobilizująca” muzyka, sentymentalne piosenki, ekwiwalent przedwojennych „Gdy wrócisz...”, tyle że nie mówi się już o miłości i zdradzie, ale o traktorach i przodownikach pracy. Mania głośników przysłała oczywiście z Rosji. Pamiętam jak jadąc do Berlina z Warszawy w roku 1948 wsiadłem do wagonu jadącego z Moskwy. Niedługo po zaśnięciu obudziła mnie w przedziale muzyka. Z pomocą towarzysza podróży, sowieckiego majora, próbowaliśmy

(*) Przyszły festiwal Muzyki Polskiej z okazji „Dziesięciolecia Polski Ludowej” zawierać będzie dlatego (na pokaz zagranicznym gościom) kilka pozycji „formalistycznych”.

wszelkimi sposobami zamknąć ten głośnik — nie było sposobu. Nieznośne brzęczenie powtarzających się wciąż tych samych, kilku zdartych, płyt towarzyszyło nam cały dzień aż do Berlina. Innym razem udałem się do pewnego polskiego biura urzędowego, aby omówić jakieś muzyczne zamówienie. Mój rozmówca przyjął mnie w pokoju w którym zainstalowany był głośnik radiowy — na stałe. Rozmowa była niemożliwa do tego stopnia, że mój rozmówca tak się w pewnej chwili zirytował, że zaczął rzucać w głośnik różnymi przedmiotami aż go zmusił do milczenia. Plaga głośnikowa jest tym groźniejsza, że w Polsce nie ma dobrych płyt. Muzyki klasycznej nie nagrywa się prawie wcale. ani współczesnej symfonicznej i kameralnej. Muzycy nie są temu obojętni i chcieliby nieraz przeciwdziałać, ale są bezsilni. Na koncercie, poświęconym muzyce Szymanowskiego, zespół — chór i orkiestra — postanowił bezinteresownie zrobić nagranie „Stabat Mater”. Nagranie zostało wykonane, ale nie wykorzystano go nigdy. Kiedy starałem się interweniować u „czynników oficjalnych” żeby wykorzystano tę taśmę do produkcji płyt — poradzono mi bym najlepiej o tej sprawie zapomniał. Starano się przekonać mnie, że to sprawa polityczna — podstęp polskich reaccionistów, którzy chcieli nagrać utwór religijny na płyty.

Inną plagą muzyczną są niezliczone akademie. Recepta na akademie jest zawsze ta sama: część pierwsza — nudne, tasiemcowe przemówienia i część druga, tzw. „artystyczna”, w której do znudzenia powtarza się zawsze te same utwory muzyczne. Na tych akademiach — rzekomo „ludowych” zbiera się zawsze zresztą ten sam zespół ludzi. Są też akademie ściśle muzyczne, jak na przykład ku czci Dworzaka, który jest oczywiście patronem pokoju. To już łączy się z politycznym wykorzystywaniem dawnej muzyki, co się często uprawia. Tak było w roku 1949 — „chopinowskim”, tak było w roku 1950 z Bachem, którego się zresztą przedstawia jako kompozytora „postępowego”, którego dzieła religijne są właściwie przypadkowe.

Wspominałem już o wymarcu w Polsce muzyki kameralnej. Nie wykonywuje się nigdzie i nigdy muzyki kameralnej klasycznej. Pamiętam z jaką zazdrością oglądałem w Brukseli na festiwalu plakaty zapowiadające wykonanie 17-tu kwartetów Beethovena. Muzyki kameralnej prawie nikt również dziś w Polsce nie tworzy. Mimo że jest to forma która mnie bardzo pociąga, mogłem w ciągu tych lat skomponować jeden zaledwie utwór kameralny — i to pod pretekstem celów dydaktycznych: przeznaczony był dla uczelni muzycznych. Oczywiście przyczyną wymarcia muzyki kameralnej jest fakt, że trudno ją zastosować do propagandy politycznej. Na tym przykładzie zresztą widzi się doskonale do jakiego stopnia reżymowi nie nie zależy na poziomie kulturalnym ludności. Przecież muzyka kameralna jest jedną z najbardziej celowych dróg do rozwinięcia zamiłowań muzycznych w szerokich rzeszach. Tak zwane w Niemczech „Musizieren” nie musi się przecież ograniczać do domu. Można sobie doskonale wyobrazić świetlice fabryczne, w których grały

by amatorskie zespoły kameralne i mogły się zapoznać z muzyką klasyczną. W Anglii, w Niemczech, nawet we Francji istnieją zespoły amatorskie dużej klasy. Ale te problemy nikogo w Polsce nie interesują.

Polska, która jest, moim zdaniem, krajem nie wykształconym muzycznie, zwłaszcza w porównaniu z takimi krajami jak Niemcy i Rosja, wydawała jednak zawsze i wydaje zadziwiająco dużą proporcję talentów muzycznych. Otóż problem kształcenia narybku muzycznego w każdej dziedzinie przedstawia się dziś tragicznie. Przede wszystkim zniesiono w szkołach naukę śpiewu — nawet w formie lekcji dowolnych. W Polsce jest obecnie 14 orkiestr symfonicznych, które zorganizowano po wojnie w oparciu o nieliczną grupę przedwojennych instrumentalistów. W miarę jak ci wymierają powstaje zastraszający brak młodych instrumentalistów i poziom orkiestr wciąż spada z wielu względów: brak instrumentów, a nawet niezbędnych części do nich, a także dlatego, że eksploatuje się orkiestry w celach propagandowych.

Eksperyment, który przeprowadzono organizując „Mazowsze” jest przygnębiający. Zespół powstał rzekomo w celu wyławiania talentów muzycznych w masach chłopskich i robotniczych i rozwijania ich. Z drugiej strony zespół miał udostępnić koncerty najszerszym masom w kraju. Otóż zespół nie spełnił ani jednego, ani drugiego zadania. W zespole „Mazowsza” jest dużo utalentowanej młodzieży, ale nie ma ona żadnej okazji do rozwinięcia swego talentu. Zespół został całkowicie poświęcony dla celów politycznych, i jest wykorzystywany propagandowo. Program muzyczny „Mazowsza” jest bardzo słaby: pieśni pseudo-ludowe i pieśni masowe nie mające już nic wspólnego ani z ludem ani ze sztuką. Akcentem najsilniejszym i stale w Polsce używanym jest branie się tej całej młodzieży za ręce pod koniec przedstawienia i śpiewania „Hymnu Młodzieży Świata”. Zespół narzuca przy tym sali wspólny śpiew. Stanowi to oczywiście silny motyw więcej niż propagandowy — agitacyjny. Mimo że zespół jest strasznie wykorzystywany i musi pracować bez przerwy, śpiewa i tańczy tych samych kilkanaście utworów przez kilka lat. Program jest bardzo nieznacznie wzbogacany, co nudzi i zniechęca członków zespołu, i uniemożliwia im rozwój. Przy tym masy polskie nie wiele mają do tego zespołu dostępu. Właściwie Mazowsze głównie funkcjonuje na akademiach i obchodach na których jak już wspomniałem spotykają się wciąż ci sami ludzie — grupa partyjnych i rządowych dygnitarzy — i wybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa których się spędza na te obchody.

Koncerty symfoniczne są niesłychanie monotonne. Gra się wciąż tych samych kompozytorów klasycznych, a nawet wciąż te same ich utwory. Oczywiście dużo miejsca poświęca się muzyce rosyjskiej. Od lat mamy do czynienia z prawdziwą ofensywą rosyjskiej muzyki. Poza tym gra się m. inn. Beethovena (Lenin go cenil), Mozarta, rzadziej Bacha. Współcześni zachod-

ni kompozytorzy nie są nigdy grani na koncertach. Nawet ci, o których czasem wspomina prasa — oczywiście jako „działaczach pokoju” czy ze względu na ich „postępowe” przekonania — nie są grywani. Zresztą jest takich kompozytorów bardzo niewiele. Z Francuzów nie słyszy się w Polsce nigdy o nikim. Z Anglików pisze się czasem o „najwybitniejszym kompozytorze Allanie Bush, ale muzyki jego nikt w Polsce nie zna.

Krytyka muzyczna w Polsce nie istnieje — w sensie w jakim istniała przed wojną czy istnieje dziś na zachodzie. Starzy krytycy przeważnie wymarli. Zresztą uczciwy krytyk nie mógłby oczywiście dziś pisać. W praktyce krytyk muzyczny w Polsce musi z góry znać stanowisko „czynników oficjalnych” do nowego utworu zanim napisze recenzję. Toteż w Polsce dwaj krytycy dziś najbardziej aktywni nie są muzykologami — jeden jest lekarzem wojskowym, drugi dziennikarzem.

Jako jedyną bodaj pozytywną zdobycz we współczesnym polskim życiu muzycznym należy wymienić wspaniałe wydawnictwa muzyczne. Wydano całego Chopina, wydano piękne i mało znane utwory starej muzyki polskiej, wydano dzieła współczesnych polskich kompozytorów.

Wpływ Sowietów na polskie życie muzyczne jest przemożny — podobnie zresztą jak we wszystkich dziedzinach. Stosuje się właściwie w Polsce rezultat sowieckich doświadczeń. Naturalnie, chociażby ze względu na znacznie dłuższy okres totalnej presji, położenie sowieckiej muzyki — i sztuki w ogóle — jest bardziej jeszcze rozpaczkliwe niż w Polsce. Zdałem sobie z tego sprawę w czasie mojej wizyty w Moskwie. Od czasu dekretów Żdanowa nie pojawiło się w sowieckiej muzyce nic interesującego. Związek Kompozytorów Sowieckich liczy 1.200 członków, ale zaledwie kilku z nich wybija się ponad przeciętność. To ogólne obniżenie poziomu talentów, które teraz dopiero zaczyna dotykać Polskę, od dawna się już przejawia w Sowietach. Będąc w zeszłym roku w Wiedniu spotkałem Szostakowicza i stwierdziłem że jest on w stanie całkowitego nerwowego wyczerpania. Nie rozmawiał sam na sam ani ze mną, ani z innymi cudzoziemcami. Polskiej muzyki współczesnej nie grywa się w Sowietach. W ogóle w szeregu dziedzinach obserwuje się oddzielenie „satelitów” od Rosji podobną „żelazną kurtyną” jaka ich dzieli od zachodu. O muzyce polskiej panuje zresztą w Rosji najgorsze pojęcie. W sowieckim języku krytycznym najgorszym zarzutem jest „oryginalność”. Na temat polskiej muzyki współczesnej ukazał się artykuł w „Sowieckiej Muzyce” sowieckiego kompozytora Wolberga — podobno polskiego pochodzenia. Artykuł ten obfitował w szczególnie negatywne oceny. Mnie dostało się specjalnie za „poszukiwanie oryginalności”. Pewien kompozytor ukraiński poprosił mnie kiedyś o opisanie mu pewnego polskiego współczesnego utworu którego był ciekaw. Kiedy powiedziałem mu że jest to utwór na orkiestrę smyczkową, instrumenty perkusyjne i celestę, uśmiechnął się ironicznie: „Oryginalny, co?” Biedny Ukraińiec nie wiedział nawet, że na podobny skład

pisał Bela Bartok już kilkanaście lat temu. Czytałem niedawno w „Sunday Timesie” że będąc w Londynie sowiecki kompozytor Chaczaturian oświadczył, że w Z.S.S.R. nie ma zakazanych utworów muzycznych. Może to jest i prawnie słuszne — podobnie jak konstytucja sowiecka gwarantuje wolność sumienia i słowa. Ale w każdym razie utworów tych się nie gra. Nowoczesna muzyka zachodnia jest w Sowietach zupełnie nieznana. Kiedy byłem w Moskwie dyrektor Filharmonii pokazał mi z wielką dumą program z jednym utworem Debussy'ego — oczywiście jako utwór „nowoczesny”.

Artykuł ten poświęciłem przeważnie muzyce. Ale wyjechałem z Polski tak niedawno, że chciałbym dorzucić parę szczegółów o innych dziedzinach sztuki. Właściwie wszędzie panuje to samo przygnębienie, ta sama hipokryzja, to samo zniechęcenie. Sztuki plastyczne są w strasznym położeniu. I tutaj także obowiązują oczywiście wzory sowieckie. Pamiętam wykład sowieckiego malarza Gerasimowa do polskich plastyków. Mówił on że Impresjonizm zabił światło i kolor w malarstwie. Jeden z polskich malarzy opowiadał mi, jak oprowadzał po Zachęcie jednego z „wielkich” malarzy sowieckich. Zatrzymali się przed obrazem Chelmońskiego „Bociany lecą”. Malarz sowiecki głośno komentował obraz: „No tak, chłop, leży, bez butów, tak — ale o czym on myśli?” To wyłączone zainteresowanie tematem obrazu, z całkowitym pominięciem malarskich wartości zaobserwowałem również zwiedzając w Moskwie Galerię Tretiakowską. Dyrektor oprowadzał mnie godzinami po dziale „współczesnego malarstwa”, objaśniając mi dokładnie temat każdego obrazu, dlaczego Stalin patrzy w prawo a nie w lewo, co znaczy zaduma Mołotowa itd. Zachodnie malarstwo jest oczywiście równie nieznane w Polsce jak zachodnia muzyka. Docierają do nas jedynie zachodni „socrealiści”. I z nimi jednak bywają kłopoty. Jako członek Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, ogłaszałem przygotowania do wystawy angielskiego „progresywnego” malarza. Organizatorzy zwracali się do mnie z dużymi wątpliwościami (chodziło o obrazy o polskiej tematyce): „Czy można wystawić obraz ponurego przodownika pracy?” Albo: „Jak to przodowniczka pracy bez butów?”

Odbudowa Warszawy z jednej strony jest dowodem energii całego narodu i zawiera piękne elementy historycznej rekonstrukcji, z drugiej jednak strony jest triumfem „socrealizmu” w architekturze, czyli wulgarnych, przestarzałych pseudoklasycznych form. Na wiosnę tego roku w czasie wizyty architektów zachodnich w Warszawie (towarzyszyłem im znów jako członek Komitetu Współpracy Kulturalnej), jeden z zachodnich architektów zapytał mnie, mówiąc o domach na MDM (Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkalnej): „Rozumiem żeście wiernie odbudowali Stare Miasto, ale czy było warto także i to odbudowywać?” Był on przekonany, że nasze nowe konstrukcje są wierną kopią, poddyktowaną jakimś sentymentalnym pietyzmem, ohydnych dziewiętnastowiecznych wzorów. Nie rozumiał wprost, że można ta-

kie rzeczy projektować. Jest to tym bardziej tragiczne, że pierwotne plany odbudowy Warszawy, wykonane zaraz po wojnie przez polskich architektów, były wspaniałe, tchnęły nowością, pięknem, rozmachem. Wzbudziły one entuzjazm zagranicą w czasie wystaw planów Warszawy. Nawet wydana w Polsce w roku 1948 książka poświęcona odbudowie stolicy zawiera jeszcze te plany. Ale żaden z nich nie został ani nie zostanie wykonany. Po roku 1949 socrealistyczny banał zaczął obowiązywać wszędzie i bez reszty. Zresztą Warszawa coraz bardziej upodabnia się do Moskwy. Tylko, że jest niestety jakby „Moskwą dla ubogich”. Potęgują wrażenie te same autobusy, taksówki. Tylko że w tym stylu — wolę już Moskwę. Nad Warszawą panuje zniechęcający przez mieszkańców stolicy „Pałac Kultury”, dar Stalina, dzieło sowieckich architektów. Jest to rodzaj wielkiego drapacza chmur z Chicago sprzed pół wieku, ozdobiony ohydny „ozdobkami”. Bierut spytał się jednego ze starych polskich architektów, co sądzi o tym gmachu. „Nie znam się na wyrobach cukierniczych, panie prezydencie”, padła odpowiedź.

Starłem się wybrać dla czytelników „Kultury” garść wrażeń i informacji, głównie z życia muzycznego w Polsce. Prawdopodobnie zostaną one w zniekształconej formie wykorzystane w Polsce jako argument mojej „zdrady” czy „dezercji”. Znam przecież dobrze metody jakie obowiązują w systemie jeśli chodzi o „skompromitowanie” kogoś. Pojęcia „kłamstwa” czy „prawdy” nie istnieją w tym systemie. Dlatego nie zamierzam ani przez chwilę wdawać się z daleka w „polemikę” z „Trybuną Ludu”, czy z „Przeglądem Kulturalnym”. Zresztą są to kłamstwa, które i tak nie przenikają do opinii publicznej. A co do moich uwag krytycznych, to raz jeszcze podkreślam że są one wyłącznie skierowane przeciw systemowi i drobnej grupie ludzi, którzy ten system narzucają. Jestem natomiast całkowicie solidarny z polskimi artystami i pisarzami i z polskim społeczeństwem.

Andrzej PANUFNIK

Wieczór dyskusyjny zorganizowany przez „Kulturę” i „Preuves” na temat „Artysta i twórczość w dzisiejszej Polsce”, odbył się dnia 21 grudnia w Paryżu, w lokalu Kongresu Wolności Kultury.

Przewodniczył zebraniu Jean Cassou, znany pisarz i krytyk francuski, dyrektor paryskiego Musée de l'Art Moderne. Cassou jest ściśle związany z międzynarodowym ruchem rewolucyjnym. Jest on przewodniczącym francuskiego Związku Przyjaciół Republiki Hiszpańskiej.

Przemawiali kolejno na zebraniu Czesław Miłosz, Józef Czapski, Andrzej Panufnik i Konstanty Regamey.

Miłosz mówił o sytuacji polskiego pisarza w Kraju i na uchodźstwie. Podkreślił on konieczność zachowania — dla pisarza wygnancy — charakteru narodowego. Polski pisarz winien zawsze pisać dla polskiej publiczności.

Cóż z tego, że teraz publiczność ta jest „hipotetyczna”? Podobnie pisali przecież dawniej Stendhal, Melville, Baudelaire... Chodzi o to aby postać pisarza emigracyjnego jednak nadal liczyła się — z daleka — dla polskiej publiczności w Kraju, jako postać pisarza — niekonformisty. Miłosz podkreślił również pewne kompleksy obecnej polskiej literatury wynikające z tego, że „rewolucja” została w Polsce narzucona siłą obcych i wrogich wojsk.

Józef Czapski mówił o malarstwie. Przedstawił on problem polskiego malarstwa jako problem izolacji od wielkich kierunków zachodnich. Nie jest to w Polsce problem nowy. Już po roku 1863 istniał on w formie konfliktu Matejko-Gierzymski. Tylko że dziś narzuca się siłą antyplastyczną koncepcję malarstwa, i że tradycja Michałowskiego, Gienyńskiego, Pankiewicza, Kapistów nie ma po prostu prawa bytu.

Andrzej Panufnik poruszył zagadnienia dotyczące warunków życia i twórczości muzycznej polskich artystów, szerzej rozwinięte przez niego w artykule który zamieszczamy powyżej.

Konstanty Regamey dał wreszcie próbę syntezy wszystkich tych wypowiedzi.

Na zebranie — w małej sali Kongresu, mieszczącej zwykle około 60 osób — przybyło tym razem około 200 słuchaczy, wśród których wielu czołowych przedstawicieli francuskiej literatury i sztuki. Słuchacze wzięli żywy udział w dyskusji, która wykazała że wielu intelektualistów francuskich nie tylko zdaje sobie sprawę z niewoli umysłowej narzucanej przez system komunistyczny, ale śledzi rozwój teorii „realizmu socjalistycznego” i ich zastosowania.

POLSKIE SŁOWO NA OBCYZŹNIE

ROZPOCZYNAJĄC DRUGIE DZIESIECIOLECIE
SWEJ PRACY NA OBCYZŹNIE

KSIĘGARNIA POLSKA W LONDYNIE

ORBIS

38, Knightsbridge, London S.W.1.

przesyła wszystkim swoim Klientom i Przyjaciółom

podziękowanie

za dotychczasowe zlecenia i zapewnienie
najstaranniejszego załatwiania Ich zleceń nadal.

Zawsze na składzie ponad 3.000 tytułów.

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE

o r a z

PLYTY GRAMOFONOWE POLONIA

Okolo 100 płyt własnych nagrań
w wykonaniu najwybitniejszych polskich artystów
na emigracji.

Płyty wysyłamy w specjalnym opakowaniu i ubezpieczone.

W Paryżu: Księgarnia Princesse, 15, rue Princesse, Paris 6.

Katalogi książek i płyt wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Dziesięć lat poezji krajowej

Hucznie i szumnie obchodzono w Kraju dziesiątą rocznicę powstania Polski Ludowej. Były defilady i dożynki a prasa zajęła się podsumowaniem osiągnięć nowej administracji i porównywaniem tego co jest z tym co było przed wrześniem 1939 roku.

Organ Związku Literatów Polskich, *Nowa Kultura*, rozpiął ankietę *Pisarze wobec dziesięciolecia*, w której wzięło udział kilkudziesięciu pisarzy krajowych. Odpowiedzi, chociaż liczne, z wielu względów nie mogą odzwierciedlić istotnego stanu rzeczy. Autorzy ci, uczestnicząc w opisywanych przez się wydarzeniach, nie zawsze umieją czy też nawet chcą zachować wobec nich należyty dystans. Częściej świadczą o sobie, przypominając swoją rolę w okresie dziesięciolecia. Oprócz tego wspomnianie jest nie dla wszystkich rzeczą łatwą — dla wielu oznacza szamotanie, zryw i klęski, walkę i bezsilność...

Dlatego też spróbuję odpowiedzieć stąd na ankietę *Nowej Kultury*, ograniczając się do poezji. Zdaję sobie sprawę, że mnie również brak jest pewnych elementów niezbędnych do oceny tamtego okresu; pracę tę oparłem bowiem wyłącznie na tomach poetów krajowych i prasie literackiej. Mam jednak nadzieję, że dopiero dwie oceny, krajowa i emigracyjna, uzupełnione jedna drugą, dadzą prawdziwie pełny wizerunek dziesięciu lat poezji krajowej. O tym myślałem, pisząc to co następuje.

Całość okresu, który nas interesuje można by podzielić na trzy części. 1) Lata chaosu (1944-1946); 2) Błaski i nędze „polskiej drogi do socjalizmu” (1947-1950) i 3) Etap komunizmu biurokratycznego (trwający od 1950 po dziś dzień). Zajmijmy się nimi po kolei.

LATA CHAOSU

Oglądając się na pierwsze lata powojenne, trudno mówić o jakiejś nowej, czy choćby innej poezji. Ówczesna twórczość była przedłużeniem tradycji dwudziestolecia i lat okupacyjnych. Zresztą nie istniało wówczas powszechne życie kulturalne. Po

miastach, z których jedne były opustoszałe, inne przeludnione, organizowały się grupy poetów. Wprawdzie zaczęła się już ukazywać prasa literacka, *Odrodzenie*, potem *Twórczość* i *Kuźnica*, ale Lublin, Kraków czy Łódź były wypami na ogromnym obszarze, przez który przeciągał jeszcze żywioł wojny. Kraj był rozbity. Improwizowana na prędkę administracja nie mogła opanować chaosu. Ludność oddychała wprawdzie swobodnie, ale dzień po dniu rosła nieufność wobec wybawcy-okupanta.

Życie społeczne polegało wtenczas na wędrownościach. Rodziny zwoływały się poprzez ruiny miast. Tłumnie powracali z Niemiec wczorajsi kacetowcy i ludzie z przymusowych robót, mijając ciągnących na Zachód przesiedleńców zza Bugu i szabrowników, jadących polonizować Ziemię Odzyskaną.

W owej sytuacji dwie kategorie ludzi dawały sobie doskonałe radę: „patrioci”, to jest polscy komuniści uformowani w Moskwie, i rodzime męty krajowe. Tych pierwszych było niewiele, liczbę zaś drugich powiększyła nędza i terror lat okupacyjnych. Hasło „bić frajerów” pasowało równie dobrze do nowej rzeczywistości.

Byli też ludzie dobrej wiary, oczekujący sprawiedliwych reform, wierzący, że nowy ustrój zniesie odwieczną krzywdę chłopu, i że wprowadzi demokrację na miejsce faszystowskiego mordotrzymstwa sanacji. Idealiści owi rekrutowali się spośród inteligencji, która czas okupacji przeżyła w Kraju, inaczej mówiąc, nie poznała Rosji Sowieckiej. Tych w pierwszym rzędzie użyli „patrioci”. Potem doszli inni.

W czasie pierwszych lat wszelki ład był nieobecny. Polska była „dzikim Wschodem”. Lasami przeciągały oddziały tych, którzy nie chcieli pogodzić się z nową okupacją; bratobójcze strzały zza węgła, wywlekanie z pociągów „komunistów i Żydów” na rozwałkę, oto smutne, typowo nasze, przykłady powojennego bezprawia. W Karpatach, do końca 1947-go, grasowały oddziały nacjonalistów ukraińskich i bandy zbiegłych esesmanów.

Nie łatwo było poczynąć cokolwiek w społeczeństwie o rozluźnionych rygorach moralnych. „Zarażenie śmiercią” było powszechne. Specjalne wycieczki z całego Kraju jechały do dawnego obozu w Stutthofie, aby... przypatrzeć się wieszaniu kilkunastu hitlerowskich katów. Bimber i szaber dopełniły tragicznej edukacji.

W okresie tym rząd warszawski, zajęty montowaniem aparatu państwowego, i rozwiązywaniem naglących problemów gospodarczych, nie myślał o polityce kulturalnej. Pisarze korzystają z pełnej swobody twórczej, zawdzięczając ją proporcji sił politycznych w Kraju i, co szło za tym, ogólniejszej taktyce Partii. Trzeba było mieć wówczas dar jasnowidzenia, albo... doświadczenie sowieckie, aby przypuścić, że Partia zbuduje maszynę kulturalną, której primus movens i następne przychodzą będą ze Związku Sowieckiego — i poprzez P.P.R. i Związek Literatów Polskich urabiać krajową twórczość artystyczną.

Na razie nawet polityczny program nikłej liczebnie Partii był bardzo ostrożny. Starał się objąć jak największą część społeczeństwa, wysuwając hasła tak popularne jak „obrona Ziemi Odzyskanych” i „odbudowa ukochanej Stolicy”, a odkładając na później reformy mające kompletnie zmienić strukturę ekonomiczną i oblicze polityczne Kraju.

Dlatego też pierwszy Zjazd Literatów Polskich, który odbył się w Krakowie, w jesieni 1945 roku, był swobodną, szumną i tłumną konfrontacją wszystkich tendencji. Partia ograniczyła się do wysunięcia pewnych postulatów. W rezolucji Zjazdu między innymi czytamy: iż „pogłębienie stosunku naszego do zagadnień społecznych i kulturalnych pozwoli nam na rozszerzenie zasięgu naszego dzieła. Wierzymy, że tą drogą literatura przyniknie do mas, nie tylko nie obniżona w swoim poziomie, lecz realizująca swoje najwyższe możliwości. W szczególności kładziemy nacisk na odbudowę moralnych podstaw społeczeństwa i uważamy wysoki poziom etyczny twórczości za najbardziej akcentowany postulat”.

Były to postulaty bardzo ogólne, był to raczej apel do twórców, aby zechcieli wziąć pod uwagę pewne problemy. A twórcy? Pisali, jak gdyby nigdy nic. Produkcja owych lat jest arcybogata, różna formalnie — choć nierówna jakościowo. Wiele pozycji ukazujących się wówczas zostało napisanych w czasie okupacji.

Poeci starszego i średniego pokolenia rozprawiają się z tematyką wojenną. Chcą świadczyć o epoce wobec potomnych. Wczorajsi awangardiści, czy neoskamandryci tworzą w patosie, którego jest pełno — w śmierci najbliższych, w mowie przyjaciół, w pogorzeli i ruinie miast. Mitologizują, umetafizyczniają dzieje, bądź też szukają ludzkiego klucza do ludzkiej zbrodni. Ale nie wszyscy podjęli przerwana przez wojnę twórczość.

Tużim wrócił do Kraju, ale milczy, a jednemu, autentycznemu poecie buntu i walki, Broniewskiemu, trzeba będzie paru lat, aby zapomnieć o sowieckich więzieniach.

Najaktywniejszym z poetów jest Przyboś, ku niemu więc zwracają się oczy młodych, tym bardziej, że Kraków gości wówczas prawie wszystkich pisarzy, stając się ważnym ośrodkiem odradzającego się życia kulturalnego. Nowozałożony „Czytelnik” wydaje w 1945-ym *Póki my żyjemy* Przybosia i *Ocalenie* Miłosza. Ukazują się również *Rzecz ludzka* Jastruna i wiersze Ważyka.

Już same tytuły oznaczają rodzaj wzruszenia, będącego u narodzin tej poezji. Jest to humanizm zaprawiony goryczą lub nadzieją; są to owoce refleksji z czasu okupacji, lub pobytu w Zw. Sowieckim. Człowiek, który poległ i człowiek, który przeżył, są treścią tej poezji.

Kłęska polityczna przedwrześniowego państwa pociągnęła za sobą upadek wielu pojęć i wartości kulturalnych. Niektórzy poeci, wczoraj samotni, przerażeni okupacją, garną się dziś do tych, którzy oznajmiali nowe. O ile bowiem 9/10 społeczeństwa

czeka czegoś skądś, owego legendarnego, białego konia, o tyle „patrioci” są jedynymi entuzjastami w owych niejasnych latach powojnia — nic też dziwnego, iż przyciągają ku sobie jednostki, którym nie wystarcza słuchanie polskiego Londynu. W ten sposób w społeczeństwie zarysowuje się podział, nie będący na razie niczym wyraźnym — niemniej od tej chwili istnieją dwa bieguny; pisarze, wcześniej niż ktokolwiek inny, musieli wybierać.

Drugi Zjazd Literatów Polskich (Łódź 1946) nie zastał Partii nieprzygotowanej. Ustami S. Żółkiewskiego Partia stwierdziła iż „moralność pisarza wymaga dziś jasnej deklaracji politycznej — nie tylko w życiu, ale i w literaturze. Jasnego opowiedzenia się za lub przeciw postępowi w Polsce, za czy przeciw Obozowi Wielkiej Reformy” (1).

Jeżeli nie damy się zwać eufemistycznemu zwrotowi, „obóz wielkiej reformy” przykrywającemu owczą skórą aparat Partii z przybudówkami, wypowiedź Żółkiewskiego odczytamy jako wyrok. Najostrzejsze bowiem późniejsze wystąpienia Sokorskiego, czy pomniejszych urzędników Partii, nie dorzuca niczego do słów znaczących jedno: pisarz musi nie tylko być politycznie z nami jako obywatel, musi iść z nami również i w swej twórczości.

Od tej pory zaczyna działać mechanizm, Partia bolszewicka - P.P.R. - Zw. Lit. Polskich - Twórcy, o którym wspominałem już na początku. Bez terroru, bez przymusu — przypominając jednak stale twórcom o istnieniu dwóch przeciwnych obozów. Z nami albo przeciw nam. Od tych, którzy „idą z Władzą Ludową” nie wymaga się na razie wiele, wystarczy być „antyfaszystą” i lojalnym obywatelem. Miłość do Władzy Ludowej nie jest jeszcze obowiązkiem.

Mylibyśmy się jednak sądzić, że w atmosferze ogólnego niezdecydowania i politycznego abstencjonizmu nie było poetów tworzących w imię haseł rzucanych przez Partię. Byli to pisarze, których nie trzeba było przekonywać o słuszności ideologii, powiedzmy ogólnie, lewicowej. Pisali, dorzucając szczerze swój wiersz do haseł oficjalnych, nie przez oportunizm, ale dlatego, że Partia dawała im wizję nowego i sprawiedliwego świata, za którym od lat nie przestawali tęsknić. Sądzę, że najlepszym przykładem będzie wiersz Ważyka:

KRONIKA (2)

*Żołnierz, że bił się, jest zabity w lesie
chłop, że brał ziemię, jest zabity w domu.
Żyd, że ocalał, jest zabity w drodze.
W kronice gorzkiej teraźniejszej rzeczy
wyrok stu głupców wisi nad przyszłością.*

(1) W. Woroszyński. „W walce o literaturę Polski Ludowej”, *Twórczość*, nr 5, 1951.

(2) *Kuźnica*, maj, 1946.

*Las, co pod wrzosem partyzantów chował,
chwałę poległych pomnaża szyderstwem,
żołnierz, że bił się, jest zabity w lesie.
Młyn na resztówce w ogniu, jak niemowa
rozpaczający, ramionami rusza,
chłop, że brał ziemię, jest zabity w domu,
Żyd, że ocalał, jest zabity w drodze,
kondukt żałobny rozśmiesza mieszczaucha,
lotrzyk się bawi w domową wojenkę —
przeżyło wilka jego nocne wycie.*

*Wyrok stu głupców wisi nad przyszłością,
a ona drga jak powietrze od kuli
i wraca w siebie, powietrzem się leczy
raniony kryształ, pomnożona chwała
tych, co tę śmierć niedorzeczną poculi
w kronice gorzkiej teraźniejszych rzeczy.*

Wiersz głęboko ludzki, zawiera gorzkie dzieje Narodu, wczoraj zjednoczonego klęską, dziś rozbitego złudną wolnością. Wiersz piętnujący zbrodnie. Jest kroniką, słowem napisanym na chór antyczny. Późniejsze utwory poetów zaangażowanych po stronie Partii tracą liryzm tej jakości. Czas będzie inny i zmieni się wymagania nadzorców kultury. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Krytyka poetycka stacza w tym okresie niekończące się boje o nową poezję. Wszyscy biorą w niej udział, prawica i lewica, *Tygodnik Powszechny* i *Kuźnica*, krytycy i poeci. Oto sąd Jastruna z tamtych czasów (3): „*Poziom*” w literaturze jest rzeczą dość względną; dekoracją, poza niejednokrotnie długo można maskować pustkę wewnętrzną. Ucieczka w rejony oderwanego czasu — na pewno...” Po pierwszej deklaracji dorzuca zdanie, które wyprzedza w swej ultimatywności współczesne dyrektywy partyjne: „Czas, aby poeci zrozumieli, że jedyne dzisiaj wyjście dla nich jest w realizmie humanistycznym, że innej drogi nie ma, że każda inna byłaby ścieżką reakcji społecznej i wstępnictwa poetyckiego.”

W identycznym tonie napisana była deklaracja Jastruna w pierwszym n-rze *Kuźnicy* (4): „...nowy realizm zwycięży z nieodpartą historyczną koniecznością pozostałe jeszcze z okresu przedwojennego i okupacji przeżytki...”

Smutny obraz poety, który na ochotnika zaciąga się do naganianczy... Przyjdą potem żale, skrucha... niestety *scripta manent*.

BLASKI I NĘDZE „POLSKIEJ DROGI DO SOCJALIZMU”

Okres ten był niewątpliwie najszcześniejszym dla twórców i dla poezji. Zresztą dla wszystkich. Cały Kraj dźwiga się do normalniejszego życia ekonomicznego. Jest to złudna wiosna podciętego śmiertelnie ustroju kapitalistycznego. Aparat administracyjny „Polski Ludowej” działa jeszcze słabo, chłop gospodaruje na swojej ziemi. Pewnie, że sztukuje jak może pożyczanymi kołmi — ale nie musi na razie „dzielić się z państwem” swymi plonami. Handel zagnieżdża się w parterach ruin, wyrastają małe fabryczki, prywatne przedsiębiorstwa, dając właścicielom parę lat dobrobytu.

Są jeszcze partie, a jakże, P.P.S., Str. Pracy i P.S.L. — a nawet w P.P.R. 'ze mówi się o „polskiej drodze do socjalizmu”. Jest to okres, kiedy *Kuźnica* w daje specjalny numer poświęcony Ameryce. Kiedy tłumaczy sę Camusa, Steinbecka i Caldwell. *Odrodzenie* i *Kuźnica* wielbią Sartre'a, którego „Szalonej dziwkę (u krajowych socrealistów „Ladacznica z zasadami”) wystawia teatr łódzki.

„Zginiły Zachód”, zdawałoby się powraca, zbrojny w nowe siły, aby rozbić w puch i niki, wprost śmieszne wpływy literatury sowieckiej.

Radosny rozgardiasz wpłynął dodatnio na rynek wydawniczy. Książka rozchodzi się błyskawicznie. Po sześcioletnim milczeniu, nałożonym przez hitlerowskiego barbarzyńcę, pisarz i czytelnik nawiązują przerwany dialog. Nowa książka oznaczała lepiej niż cokolwiek powrót do życia. Utwierdzając je, inteligencja nasza zwróciła się na Zachód.

Z ciężkim sercem wspomina tamten czas poeta ludowy Woroszyński (5):

„...Z prawicowo-nacjonalistycznym niedocenianiem wzorów radzieckich wiąże się penetracja do naszego życia literackiego najszkodliwszej, najperfidniejszej odmiany ideologii burżuazyjnej — kosmopolityzmu. Korzenie się przed rzekomymi osiągnięciami burżuazyjnej literatury Zachodu było jakby dopełnieniem, zaokrągleniem lekceważącego stosunku do literatury radzieckiej. Ci sami autorzy, którzy w swych artykułach nie umieli się zdobyć na jakieś serdeczniejsze zdanie pod adresem literatury radzieckiej, rozpyliwali się z zachwytem nad francuskimi naturalistami”.

Jak widać z relacji niepodważanego o stronniczość świadka, były to czasy szczęśliwe...

Debiutują nowi poeci: Różewicz, Jachimowicz, Braun, Wirpśza, Bratny i wielu innych. Zamiast układać „schodki” à la Majakowski, piszą nowym, „gęstym” językiem, w którym jest coś z Awangardy, coś z Eliota, ale też dużo z nich samych.

Spośród wierszy poetów powyżej wymienionych najbardziej

(3) *Odrodzenie*, nr. 37, 1945; (4) Czerwiec, 1945.

(5) „W walce o literaturę Polski Ludowej”, *Twórczość*, nr. 5, 1951.

oryginalna jest niewątpliwie poezja Różewicza. Szczęśliwie odmierając wyraz i nie dając przystępu łatwej melodyjności, Różewicz organizuje swe utwory pełne dojrzałego liryzmu. Zaczynając jeden z jego wierszy.

WARKOCZYK

*Kiedy już wszystkie kobiety
z transportu ogolono
czterech robotników miotłami
zrobionymi z lipy zamiatano
i gromadziło włosy*

*Pod czystymi szybami
leżą sztywne włosy uduszonych
w komorach gazowych
w tych włosach są szpilki
i kościane grzebienie*

*Nie przeświecła ich światło
nie rozdziela wiatr
nie dotyka ich dłoni
ani deszcz ani usta*

*W wielkich skrzyniach
klebią się suche włosy
uduszonych
i szary warkoczek
mysi ogonek ze wstążeczką
za który pociągają w szkole
niegrzeczni chłopcy.*

Muzeum-Oświęcim, 1948

W tym czasie Iwaszkiewicz wydaje dalekie od realizmu, kolorowe *Nowiny Literackie*. Mało tego. Niektórzy poeci wycofują się z wczorajszych deklaracji. Pisze Jastrun (6): „...Ja sam, wstrząśnięty wydarzeniami wojny i okupacji, przykladałem w początkach naszej nowej niepodległości zbyt ostre miary do poezji, odsądzając od racji bytu wszystko co trąciło ‘poetycznością’...”

O tym, że odwrót Jastruna nie był częścią deklaracją świadczą nowe wiersze poety („Sezon w Alpach”).

Inny z poetów średniego pokolenia, Czesław Miłosz, ogłasza w *Odrodzeniu* i w *Nowinach Literackich* nowe, trwałe wiersze, jak również przekłady z poezji murzyńskiej. „Traktat moralny”, drukowany w *Twórczości*, był szeroko dyskutowany na łamach pism literackich.

(6) *Kuźnica*, maj 1947.

K. I. Gałczyński podbija czytelników, dając w swych wierszach jedyny w naszej liryce ton, mający jakby coś z Préverta, z Jarry'ego, czy nawet z fraszek mistrza Jana. Tygodnik *Przekrój* służy pocie za salon, w którym podaje się gościom na smak napoje o nieznanym w kraju aromatach. „Zielona gęś” jest cennym elementarzem, pozwalającym przeciętnemu czytelnikowi oswoić się z nowymi dla niego chwytami warsztatu poetyckiego. Tradycyjna tępota strasznych mieszczan i ogólnopolska tramtadracja są niekończącym się tematem wierszy i wierszyków tego herszta naszej liryki i kpiarza nad kpiarze.

Tymczasem Partia nie traciła czasu. W roku 1948 zlikwidowała „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne” i P.P.S. Od tej chwili „patrioci” nie potrzebują już dekoracji ćmiących oczy społeczeństwa. Zapomniano już o „Obozie Wielkiej Reformy”, mówi się wyłącznie o „przodującej klasie” i „zwycięskiej Partii”.

Szkoli się politycznie nowych ludzi. Partyjni mają już w swoim ręku kluczowe pozycje w Kraju. Bogactwo rozdrobnione dotychczas pośród społeczeństwa, dzięki wywłaszczeniom spływa do kas państwa. Topnieje wczorajsza niezależność materialna obywateli; wszyscy zaczynają się liczyć z „Władzą Ludową”. Coraz bardziej zaciera się wizja białego konia...

Dzieje tej przemiany wyraził trafnie Arnold Słucki (7): „W pierwszym okresie inteligencja wahająca (?) odnosi się do Partii w sposób wyczekujący, często nieufny, często wrogi... Inteligent przekonał się, że Partia jest siłą... to najbardziej pozytywnie inteligenta dla naszej Partii”...

Zjazd szczeciński literatów polskich (styczeń 1949) był jeszcze jednym dowodem, „że Partia jest siłą”. Metodę realizmu socjalistycznego nazwano „najsłuszniejszą”, obwarowując ją autorytetem Partii.

W okresie tym spotykają się dwa nurty twórcze. Pierwszy, szerokim wachlarzem obejmuje pokolenia starszych i młodszych poetów, którzy chcieliby pisać po swojemu, idąc na ustępstwa jedynie w zakresie tematyki. Nurt drugi, partyjny i deklaracyjny, domaga się poezji „mobilizującej”, „ujmującej wydarzenia w ich aspekcie klasowym, ...aby budzić w nim (czytelniku) uczucia sprzyjające owej walce o przyszły, lepszy świat socjalizmu” (8).

W 1949 ukazuje się poemat epicki Tuwima *Kwiaty Polskie*. Krytyka, ułożywszy sobie nową hierarchię wartości, niechętnie zajmuje się wielkim poematem. Chwali półgębkiem, robi liczne zastrzeżenia. Ryszard Matuszewski wie, że skończyły się czasy czyhania na Boga, wie czego teraz trzeba żądać od poezji. Razi go „idealizacja mieszczaństwa”. Według niego: „...Dziwierski, który od roku 1905 nie ma nic wspólnego z klasą robotniczą, nie zasługuje na tak ciepły obraz, bo w tym czasie wszyst-

ko, co reprezentowało pozytywne dziś dla nas wartości, było z tą klasą solidarne”... (9)

Nie trzeba chyba komentarzy.

Dla Partii i jej krytyków Tuwim jest przeżytkiem epoki kapitalizmu. Niech dożywa obok Staffa swych lat, ale nie ma mowy o powrocie na czoło liryki wojującej. Cóż z tego, pisze Matuszewski iż „Znakomity poeta ofiarował nam dzieło obfitujące w wiele pięknych, mistrzowskich artystycznie fragmentów. Nie jego to wina, że próba stworzenia pełnego obrazu świata, jaki opiewa, jest przy operowaniu środkami tego okresu, który kształtował jego twórczość, całkowicie niemożliwa: jest to poezja analizująca i cząstkująca świat, ale niezdolna do tego, by go scałkować”... „Wielka, realistyczna poezja... mogłaby w Tuwimie zrodzić się z pewnością, gdyby przepoił swój utwór wielką ideą rewolucyjną” (10).

Cóż znaczą fragmenty „artystycznie mistrzowskie”, skoro przyłożone do „Krótkiego Kursu W.K.P.(b). wykazują prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie... A do tego jeszcze „nie wytrzymuje krytyki biologicznej, niehumanistyczny stosunek do sprawy niemieckiej (11). Mocny Boże! Gdyby tak chcieć usunąć z Mickiewicza ustępy „biologicznego stosunku” do sprawy rosyjskiej... a u Żeromskiego...

Nie można chwalić Tuwima z innych jeszcze powodów, gdyż oto pojawił się nieobciążony przeszłością mieszczańską poeta, Broniewski. Pojawił się, gdyż do 1949 milczał. Może wspomnienia więzień sowieckich chłodziły płomienne pióro rewolucyjnego poety; a może było to po prostu ludzkie i zwyczajne: po co się śpieszyć? W każdym razie Broniewski dochodzi do Partii.

Niech nikt nie sądzi, iż chcę w czymkolwiek umniejszyć rzeczywisty talent i serdecznie polską, rewolucyjną poezję autora „Bagnetu na broń” i „Komuny Paryskiej”. Chcę tylko zaznaczyć, że po 1949 Broniewski przestał być artystą wolnym. Zamiast przedwzręśniowych wierszy, podkładanych jak dynamit, pod niesprawiedliwy ustrój, poeta ma dzisiaj opiewać „budowniczych socjalizmu”, i opiewa. Władza Ludowa obsypała go zaszczytami, zaczął otwierać akademie i odsłaniać pomniki.

Pozorny paradoks — mechanizm Partia bolszewicka - P.P.R. - Zw. Literatów Polskich - Twórcy wziął w swe tryby jeszcze jedną ofiarę, autentycznego poetę rewolucji. Wiemy, niestety, co było dalej. Matuszewski, oficjalny krytyk reżimu, wystawił z kolei pomnik Broniewskiemu, pisząc (12):

...historyczny realizm Broniewskiego... jest czymś... co niewątpliwie dominuje nie tylko nad resztą twórczości Broniewskiego, ale także i nad całym z dzisiejszej perspektywy oglądanym obrazem liryki międzywojennego dwudziestolecia.

(7) *Twórczość*, nr 8, 1952.

(8) Ryszard Matuszewski, *Literatura na przełomie*, str. 112.

(9) *Literatura na przełomie*, str. 71; (10) tamże str. 78; (11) tamże str. 75.

(12) „25 lat poezji Wł. Broniewskiego” we wspom. tomie, str. 18.

Nawet „z dzisiejszej perspektywy” rzecz biorąc, Broniewski musiał czuć się trochę zażenowany tą tanią i niepotrzebną laurką.

Pewne urazy i „resztki samotnictwa zostają tym wyraźniej przezwyciężone, im mocniej gruntuje się w poezji Broniewskiego wiara w zwycięstwo rewolucji w oparciu o Związek Radziecki” (13).

Genialna terapia! Ociągasz się z miłością do „Władzy Ludowej”, pamiętając więzienia „radzieckie” — pokochaj Związek Radziecki, a przejdzie ci.

Broniewski okazał się ufnym pacjentem. „Pokłonił się” jak pisze „do ziemi” sowieckiej rewolucji — i zaraz po tym podjął „największy z tematów współczesności „Słowo o Stalinie” (14)...

Maszyna przerzuciła „samotnika” na stronę pogodzonych z Partią. Kto następny?

Nie brak w Polsce poetów. Po raz pierwszy życie z pióra stało się czymś co poplaca; trzeba tylko by państwowo wydawnictwo zechciało się zainteresować rękopisem poety. Państwo Ludowe nie odmawia, niczego nie narzuca, do niczego nie zmusza — przeciwnie, szczerze zachęca... i oczekuje. Gałczyński, bo jego mam na myśli, zakosztował z kolei radości, jakie daje życie oficjalnego poety. Kawalarza cwałującego na zielonej gęsi, bawiącego się kosztem wszystkich, ale zarazem sławiącego rozkosze mieszczańskiego świata: śledzika, wódeczkę i parę płyt Bacha przy czarnej kawie — takiego Gałczyńskiego nie mogła adoptować Partia. Stanął układ. Cena ustępstw była niewielka: serdeczniejsze podejście do człowieka pracy, „gospodarza Ludowej Ojczyzny”.

Gałczyński chętnie poświęca trochę uwagi rękodzielnikom, łącząc piękne i konieczne w chytrze stopionym aliażu. Chodzenie po linie nie może być jednak czynnością codzienną. Gałczyński zaczyna coraz częściej dawać wiarę lipnym dekoracjom, którymi obstawia swe wiersze. Głupota publicystyki emigracyjnej przez naszczekiwanie zawiedzionych miłośników jego talentu przyspieszyła proces przechodzenia poety na stronę sztuki oficjalnej. „Psikuśny karzelek”, rozwichrzony Cygan naszej poezji, przywdziewa błyszczącą liberię.

Matuszewski, pisząc „O sytuacji w poezji” (15) w 1950, tak ocenia sprawę poetów średniego pokolenia i „zmagającego się z trudnościami wielkiego przełomu” Gałczyńskiego:

...powinniśmy dołożyć wszelkich starań, aby stworzyć atmosferę, która by sprzyjała jak najobficiej ich twórczości, atmosferę, która by przerwała wielomiesięczne milczenie tych poetów”.

Jak więc widzimy „starania” Partii nie poszły na marne, Gałczyński zrozumiał... i wkrótce uczynił swój wiersz „nieza-

(13) „25 lat poezji Wł. Broniewskiego”, str. 35; (14) tamże, str. 63.
(15) *Literatura na przełomie*, str. 136.

stąpioną bronią, zwycięskim bojowym sztandarem, jaki wznosimy przeciwstawiając się światu imperialistycznego łotrostwa”.

Daleko nam do śmiechu. W ciągu dwóch, trzech lat poeta coraz rzadziej przewozi poezję w swej zaczarowanej dorożce, coraz zaś częściej podwozi nią cegły na budowę „zwycięskiego jutra socjalizmu”. O ile niektóre z napisanych tuż przed śmiercią „Pieśni” są wielką liryką — o tyle „Podróż do Ciemnogrodu” jest smutną agitką.

Naprzeciw poetów starszego i średniego pokolenia występuje coraz butniej, zbrojna w legitymacje Z.M.P. (polski odpowiednik komsomotu) grupa młodych. Niektórzy z nich ogłaszali swe wiersze w *Sztandarze Młodych* lub w *Nowej Kulturze* — ale rok 1950 przynosi kilka tomików, których typowość jest pocuczająca. Autorami ich są: Braun, Gaworski, Hołda, Mandalian i Woroszyński.

Tak charakteryzuje ich styl przywódca młodych poetów, Wiktor Woroszyński (16): „potoczny język, realistyczne obrazowanie, próby formułowania w wierszu myśli politycznych i relacjonowania wydarzeń politycznych”.

Za przykład podaję W. zwrotek z wiersza Brauna „Człowiek”. Oto ona:

*Aby rzeka strajkowa z Baku
płytkie minęła mielizny —
aby zniosła w pierwszym ataku
stragany ekonomizmu.*

„Te stragany ekonomizmu”, pisze dalej Woroszyński, „były nie tylko osiągnięciem Brauna”... (sic) Cechy tej poezji wylicza Matuszewski, m. in. pisząc iż „łączą ich... przewaga retoryki i elementu postulatycznego nad opisowością, postawy czynnej... nad refleksyjną, kontemplacyjną” (17).

Nie mogę powstrzymać się od zacytowania choćby trzech zwrotek z innego wiersza Brauna, pt.:

KOMUNA MIESZKANIOWA BLOKU Nr 25 (18)

Motto: Grupa dziewcząt i chłopców, pracujących w Nowej Hucie, po przedstawieniu „Młodej Gwardii” postanowiła przybrać imiona bohaterów komsomolców i naśladować ich postępowanie w swym codziennym życiu.

*Rozmawiała o heroizmie Młodej Gwardii i Komsomole.
Bohaterki z murów Nowej Huty marzyły o bohaterstwie.
Mówiła Dasza z Bydgoszczy: „Chcę być taką jak Koszewoj Oleg”.
A pod drelichem było młode dziewczęce serce.*

(16) *Twórczość*, nr 5, 1951, str. 123.

(17) *Literatura na przełomie*, str. 128.

(18) *Wiosna Sześciolatki*, Warszawa 1951, Książka i Wiedza.

„Ja będę od dziś Lubą” — rzekła Zosia z wsi podkrakowskiej.
 „A czemu przemilczałaś, że do pracy nie przyszedł Sasza?
 Czy ty tylko od święta nosisz krawat zetempowski,
 jeszcze cię nie wychowała pokojowa komuna nasza?”

Surowy był kolektyw. Zakwitła czerwienią Zosia
 i dojrzewała szybciej, podobna polnej różyczce.
 To w własnym mieście kipiła dyskusja głośna
 o moralności socjalistycznej.

Wspaniała różyczka poezji socrealistycznej! Cukierkowato-
 ekliwa i sławiąca donosicielstwo!

Tak pisali ci, których atak na poezję krajową, niedość partyjną, nazwano najazdem „pryszczatych”. Z odległości kilku lat można brać ową sprawę na wesoło, ale wówczas mało kto z poetów średniego i starszego pokolenia miał ochotę do śmiechu. Nie można było bagatelizować, ni tym bardziej wyśmiać manifestów opatrzonych cytatami z Majakowskiego i Stalina. Trzeba było podjąć dyskusję z młodymi gorliwcami, czującymi skąd wieje wiatr i świadomymi metod walki w społeczeństwie sowieckim. Partia przyglądała się z nieukrywaną radością akcji „pryszczatych”, a kiedy uznała, że wystarczająco poruszyli sumienie letnich i niepartyjnych poetów — uciszyła młodzików, nie przyznając bynajmniej racji „dorosłym”.

Ciekawym oświeceniem buntu „pryszczatych” są słowa Ważyka (19):

„Istnieją u nas elementy fałszywej, pretensjonalnej poetyki, która wyrządza ogromne szkody sprawie realizmu. Tylko ślepi mogą tego nie widzieć. Ta poetyka jest agresywna... Nie przypuszczam, aby redaktorzy czy pracownicy naszych wydawnictw drukowali to z lekkim sercem, ale ta poetyka była tak agresywna, że musieli ustępować. Raz coś tam zakwestionowano w wierszu Andrzeja Brauna i ten ogłosił artykuł, w którym wszystkich pracowników wszystkich wydawnictw w czambuł potępił: uznał za niekompetentnych...”

Ciekawy tekst. „To” oznacza wzgardliwie produkcję „pryszczatych”. Tylko jak rozumieć ową „agresywną poetykę” przez którą „musieli ustępować” redaktorzy i wydawnictwa? Chodzi oczywiście nie o poetykę, lecz o politykę, czego Ważyk nie mógł napisać. Redaktorzy wiedzą jak należy postąpić z poetą natrętem; tutaj jednak chodziło o coś zupełnie innego; nie można było bowiem pokazać drzwi komsomolcowi przynoszącemu wiersz wzmocniony cytatami z Bieruta czy Stalina. Odrzucić, znaczyłoby popęlić świętokradztwo.

„Pryszczaci” byli batem polityki kulturalnej Partii. Trzeba było bata, gdyż poeci starszego pokolenia milczeli czasem latami. Trzeba było ich wypłoszyć z antyludowej samotności. Że wystąpienie zetempowców nie było czymś oderwanym, lecz czę-

(19) „Uwagi o kryteriach poezji”, *Twórczość*, nr 8, 1952.

ścią ogólnego planu, świadczy o tym wypowiedź Matuszewskiego:

„Gdybym chciał kogokolwiek atakować za całokształt jego postawy poetyckiej, musiałbym uderzyć przede wszystkim w poetów, którzy dotąd nie umieli zdobyć się na żaden wyraz łączności z toczoną przez nas walką, tkwiących jak zaskorupiałe ślimaki w konwencjach formalizmu i estetyzmu. Są jeszcze i tacy” (20).

Nagonka szła lawą. Uratował się jedynie Czesław Miłosz, poeta, którego dojrziała twórczość stanowi rozdział odrębny, i nie typowy dla omawianych przez nas przemian. Poeta przebywał przez cały czas zagranicą i dlatego też mógł uchować nietkniętym profil swej sztuki, którą cenił więcej niż dobrobyt i szczęście przebywania między swoimi.

ETAP KOMUNIZMU BIUROKRATYCZNEGO

Okresy poprzednie widywały jeszcze ludzi dzielnych, wierzących całym sercem, że pomimo wszystko da się wyprowadzić z chaosu powojnia ojczyznę sprawiedliwości społecznej. Były to etapy, kiedy nie brakowało poświęceń. Budowano Kraj, odkładając na później budowę własnego ogniska. Ludzie ci zdarli się do szczytu, na ich miejsce przyszli inni, przysadziści o grubych karkach biurokraci. Rządy objęło nowe plemię, mówiące wprawdzie po polsku, ale politycznie i kulturalnie oddane bez reszty Związkowi Sowieckiemu. Objęło władzę, usuwając w cień więzienia niedobitki ideowych polskich komunistów.

Podobnie ciężka, parna cisza zawisła nad literaturą. W okresie tym, nie tylko że wszyscy piszą, ale *piszą tak jak trzeba*. Zauważam, że stwierdzenie to w najmniejszym stopniu nie obarcza odpowiedzialnością pisarzy. Nikt nie mógł obejść w Kraju maszyni przetwarzającej *twórcę* w *dostawcę*. Co najwyżej można by mówić o jakości oporu i czasie ustępowania...

Sytuacja ta jest tym okropniejsza, że nie istniał żaden dosłowny przymus. Nikt nie kazał Różewiczowi dawać w wierszach tzw. akcentów antyamerykańskich, a Gałczyńskiemu czy dziesiątkom innych pisać o Partii. Ale stworzono atmosferę oczekiwania, na którą poeci nie mogli stale i ciągle odpowiadać milczeniem. W tamtych krajach milczenie poety znaczy: głód. Znaczący żywienie rodziny rękopisami, których nie można, nie wypada przedstawić do druku państwowym wydawnictwom, przy których urzęduje redaktor odpowiedzialny za treść polityczną drukowanych książek.

Zaczęli więc poeci pisać dla świętego spokoju, dla chleba. Szczęśliwi ci, którzy zrozumieli to wcześniej, „świadomie wybierając miejsce... walki, świadomie podporządkowując swą twór-

(20) *Literatura na przełomie*, str. 135.

cość sprawie powszechnej, wspólnej sprawie Partii, klasy robotniczej i narodu" (21).

Wystarczy spojrzeć na kolejność wymienionych przez Woroszyńskiego wartości, aby zdać sobie sprawę ze zmian jakie zaszły w ciągu kilku lat.

Jeszcze lepiej podsumował całokształt przemian Jerzy Andrzejewski, pisząc (22):

„W tym wielkim zbiorowym marszu literatury polskiej do socjalizmu towarzyszyła pisarzom Partia. Ona potrafiła wskazywać pisarzom konieczność tej drogi. Ona umiała przekonać i wahających się i wątpiących. Umiała wahać przełamywać”...

I dalej:

„Partia nasza... potrafiła w praktyce zastosować zasady, jakimi w swoim czasie kierowała się bratnia partia bolszewików”...

Na szczęście, jak dotychczas, nie wszystkich poetów zdołała Partia zrobić dostawcami rymowanej kroniki uprzemysławiania Kraju i reporterami wydarzeń polityki międzynarodowej.

Jeden jedyny pisarz świadomie opiera się wszelkim próbom ingerencji partyjnej w sprawy twórcze, Julian Przyboś. Jest to zjawisko świadczące o wielkiej odwadze i niezależności intelektualnej poety, który podpisując się całkowicie pod polityką Partii — w poezji swej rządzi się niepodległe, nie schlebując nakazom dnia, przeciwnie, wyrażając otwarcie swe sądy i krytyki. Oto jak Przyboś ocenia wiersze socrealistyczne drukowane w Kraju (23):

„W toku owej dyskusji zarzuciłem ogromnej ilości chwalonych wierszy — *brak poezji, pojętej jako poryw ku nowości*, ku odkrywaniu niewyraźnych jeszcze a dziejących się teraz nowych zdarzeń, wyobraźni i serca. Krytykowałem przesadny kult tradycji, określiłem, że właściwością każdej tradycji postępowej, było przeciwstawienie się tradycjonalizmowi, że każda prężna epoka nie oglądała się zbytnio na przeszłość; że świadczyła przede wszystkim o sobie... Dowodziłem, że ustawiczne powoływanie się na tradycję (postępową) w literaturze wcale nie przyczyniło się do rewolucyjności współczesnego naszego piśmiennictwa; że przeciwnie: ustawiczne cofanie się myślą wstecz, odwoływanie się nawet do wartościowej tradycji — doprowadziło do *kultu starych, nieprzydatnych form, do epigoństwa, miłośności i szarżyzny w naszej poezji*. Chciałoby się rzec — do formalizmu... I w istocie większość produkcji poetyckiej w czasopiśmie przypomina swoją sztuką wierszopisarską już to... Lenartowicza, Syrokomlę albo nawet Pola... Tam, gdzie żąda się tylko popularnej poprawności, wracają echa dawnej poezji miernej i popularnej. Tam, gdzie nie ma nowej idei poetyckiej (rezultatu twórczego przemyślenia nowych treści) powraca starzyzna stylistyczna, tam

(21) W. Woroszyński, „W walce o literaturę Polski Ludowej”, *Twórczość*, nr 5, 1951.

(22) „Nad wskazaniem Partii”, *Twórczość*, nr 4, 1952.

(23) *Nowa Kultura*, nr 18, 1954.

nowy temat odziewa się bezmyślnie w znoszony po dziadkach strój... Debiutanci w poszukiwaniu wyrazu dla nowych tematów zdają się cofać w dalszą, lecz nie lepszą przeszłość, przypominając sposobem swojego wierszowania i ujęciem aktualnych tematów — drobnych realistów i epigonów sprzed stu lat. Tym też chyba *zdrobnieniem ambicji twórczych tłumaczyć* można długotrwającą nagonkę recenzentów na istotnie nową i oryginalną poezję najzdolniejszego z młodych, Tadeusza Różewicza...

Sądę, że prawie wszystkie błędy literatury i sztuki... pochodzą... z traktowania twórczości artystycznej tak, jak produkcji towarowej. Twórczość artystyczna nie znosi nie tylko „komenderowania”, ale nawet — twórczości artystycznej nie można planować; nie można stosować do niej (jak w produkcji dóbr materialnych) tzw. „etapów”... Był okres („etap”) kiedy prawie każdy wiersz o temacie „kalendarzowym” choćby nie zasługiwał nawet na druk w gminnej gazetce ścienniej pojawił się w czołowym tygodniku Związku Literatów. Myślenie „etapami” doprowadzić może w sztuce — i doprowadziło — do obniżenia poziomu i rozluźnienia samokontroli u artystów”.

Powie ktoś, proszę, poeta wygarnął partyjnikom co mu leżało na sercu — a oni uszy po sobie i milczą. Winien jestem czytelnikowi parę objaśnień.

Po śmierci Stalina zaszło kilka chwilowych zmian w życiu i metodach rządzenia Imperium Sowieckiego. Na odcinku kultury pojawiły się jakby znaki zwiastujące zelżenie despotycznej cenzury. Znany pisarz sowiecki, Erenburg, dał swej książce wymowny tytuł „Odwilż”. Ciepły podmuch nadziei przejęły skwapliwie krainy satelickie, jak zwykle z małym opóźnieniem. Toteż w chwili gdy w Polsce Ludowej rozgorzała dyskusja stawiająca pod znakiem zapytania słuszność kierowania sztuką — w Związku Sowieckim „Litieraturnaja Gazeta” ostro skrytykowała „Odwilż” Erenburga, odmawiając książce wszelkich wartości, nazywając ją szkodliwą.

Okres „odwilży” w Kraju trwał niedługo. Tyle że upuścił trochę czarnej krwi, goryczy i niezadowolonych. Pisarze mogli się wygadać — a Partia mogła przez dwa, trzy miesiące uśmiechać się z wyrozumiałością.

Pewnego pięknego dnia obudzono śniących swobodę pisarzy. Zaczął krytyk partyjny Lasota, napadając na Przybosia:

„Przyboś odpowiadając na ankietę „Nowej Kultury” w przeciwieństwie do swych kolegów pisarzy (Iwaszkiewicza, Brezy) nie widzi żadnych powodów do samokrytycznej oceny swej twórczości... Nie. Przyboś atakuje potęgę nowe, łaje i gromi... Sformułowanie Przybosia stanowi adorację wszystkiego przez zdania Przybosia. Trudno o większy konserwatyzm — niż to trwanie z uporem przez 25 lat na starych, straconych pozycjach. Cóż oznacza to nowe? Jeżeli Przyboś neguje wielkie przeobrażenia ideowe naszej literatury w ostatnich latach, jej rzeczywistą „nowość”, to znaczy, że nowość w gruncie rzeczy sprowadza się do strony formalnej utworu”.

Ciosy Lasoty, te i następne, uderzają poniżej pasa. Przyboś bynajmniej nie negował przeobrażenia ideowego literatury krajowej, żądał tylko „twórczego przemyślenia nowych treści” (tzn. również nowych ideologicznie).

A oto dalsza insynuacja Lasoty: „Czy poezja Eliota — to nie ‘poryw ku nowości’ bomby atomowej?” Zestawić dzisiaj w Kraju czyjąś wypowiedź, w tym wypadku Przybosia, z Eliotem i bombą atomową — znaczy nie tylko zakwestionować lojalność obywatela, ale rzucić oskarżenie o sprzyjanie wojnie atomowej...

„Krytyka marksistowska” jak nazywają metodę szantażu i insynuacji członkowie Partii, zna siłę argumentów...

Następny ustęp artykułu Lasoty jest równie interesujący dla historyka literatury:

„Przyboś w swoim rozumowaniu raczy zapominać o takim drobiazgu jak ten, że żyjemy w warunkach dyktatury proletariatu. Państwo dyktatury proletariatu obok funkcji dławienia klas wyzyskujących, pełni funkcje wychowawczo-kulturalne. Polityka kulturalna jest orężem w rękach klasy robotniczej rządzącej państwem” (22).

To już nie dyskusja, oprawca głaska czule ostrze siekiery, patrząc wyczekująco na oskarżonego. I po „odwilży”!

Tekst Lasoty potwierdza naszą tezę. W ciągu kilku lat dyrektywy Sowietkiej Partii Komunistycznej stały się dogmatami, określając granicę rezerwatu, w którym mogą się poruszać pisarze krajowi. Lasotom i Putramentom powierzono zwalczanie herezji.

Przyboś nie był dla Partii niespodzianką. Rogaty chłop z Gwoźnicy nigdy nie owijał niczego w bawełnę. Ale „odwilż” ogarnęła również innych. Marcin Czerwiński, w artykule pt. „Budzą nas w kolorze czerwonym” (25), pisze:

„Chodziło o to (na XI Sesji Rady Kultury (przyp. mój, MP.) czy rola opiniująca w stosunku do dzieł może być pozostawiona takim organizacjom jak wydawnictwa, których nie zawsze szczęśliwa ręka — jak to stwierdzili właściwie wszyscy na XI-ej Sesji — niejedno w kulturze zepsuła. Druga sprawa sporna — o charakterze bardziej teoretycznym — to wartość osiągnięć literatury wychodzącej z założeń realizmu socjalistycznego, a w związku z tym słuszność udziału Partii w sprawach literackich”. „Na pytania te” — pisze Czerwiński — „pewna liczba pisarzy odpowiedziała negatywnie. Zatem: odjąć gestię wydawnictwom, literatura po roku 1949 jest nic nie warta, kierowanie kulturą jest niemożliwe”...

Dalej Czerwiński stwierdza, że naprzeciw pisarzy Partii stała grupa pisarzy negujących politykę kulturalną tejże. Nazywa ich „liberałami” i pisze:

„Tymczasem owi „liberałowie” są pisarzami, którzy wybór polityczny mają poza sobą... jest to wybór dyktatury proletariatu. Pisarze ci akceptują...wszystko to, co społecznie nowe... dynamikę nadaną tym sytuacjom przez przewodnictwo Partii. Wydaje się więc, że odrzucanie a limine osądu Partii reprezentowanej przez te czy inne transmisje jest sprzeczne z własnym ideowym stanowiskiem rzekomych liberałów”...

(24) „W perspektywie walki”, *Nowa Kultura*, nr 23, 1954.

(25) *Przegląd Kulturalny*, nr 324, 1954.

Sprawa „odwilży”, którą naświetliliśmy przykładami Przybosia i „liberałów” — świadczy o rzeczy najważniejszej. O ile dawniej literaturom kierowanym zakreślano tematykę — obecnie to nie wystarczy, pisarz musi również *formalnie* interpretować temat tak, jak sobie tego życzą rzeczoznawcy Partii. Przestaje być twórcą. Najchytrzejsze tłumaczenia ojców Partii nie zmieniają tego faktu.

„Odwilż” dotknęła i Jastruna, o którego przykrych, bo szczerzych szamotaniach wspominałem uprzednio. Myśląc, że pękać zaczynają „radzieckie” okowy, którymi P.P.R. skrepiwała twórczość polskich poetów, Jastrun żałuje iż „w pierwszym czasie niepodległości” pisywał „owe suche, niedobre artykuły, fanatycznie tropiące ‘poetyczność’ w poezji, żądające surowej ascezy” (26).

Po tym uderzeniu się w piersi próbuje obrony:

„Już pierwsze moje wypowiedzi zawierały niedwuznaczne zastrzeżenia pod adresem często niepowołanych i zbyt gwałtownych ingerentów w kraj sztuki. Stanowisko moje zaostriżało się w miarę jak tereny poezji ulegały coraz większym zwężeniom. Sprawa komplikowała się na skutek braku odwagi u samych pisarzy. Pewien poeta, świetny niegdyś liryk, zapytany przeze mnie dlaczego nie pisze teraz wierszy lirycznych, odpowiedział z oburzeniem: — Zwariowałeś? Na tym etapie! ...Mogłem wówczas złamać pióro, albo pisać dalej. Stał przed mną bardzo trudny problem: dalszego uproszczenia formy, przystosowania jej w miarę moich sił i moich pojęć o granicach sztuki, do możliwości nowego odbiorcy”...

Podobnie jak Przyboś, Jastrun odnosi się krytycznie do nakazanego zwrotu do tradycji: „Masowe nawiązywanie przy równoczesnym zatanku gardła eksperymentowi może spowodować tylko jałowość i nudę”...

„W dalszym ciągu identyfikowano twórczość artysty z działalnością dziennikarza i urzędnika propagandy... Obraz, metafora, tok frazy poetyckiej, wszystko to korzeniami swymi tkwi głęboko we wrażliwości i w całej strukturze poety, tak że jedynie z krwią może być stamtąd wydarte”.

Słowa, słowa, słowa... bo okazało się, że Partia potrafiła bezkrwawo wydrzeć poetom „obrazy i tok frazy poetyckiej i wszelką indywidualność twórczą. Przede wszystkim zaś Jastrunowi.

Aby mnie jednak nikt nie posądził o gołostowność oddaję głos Arturowi Sandauerowi, który tak pisze o poezji Jastruna (27):

„Aby zrealizować ów program „literatury dziejowej”, Jastrun musi jednak zburzyć swój dotychczasowy świat poetycki. Nie jest to przebudowa

(26) *Nowa Kultura*, nr 20, 1954.

(27) *Nowa Kultura*, nr 31, 1954.

latwa, jeśli zważyć wymaganą w poezji jednolitość składników. W dawnych swych wierszach poeta ukazywał nie obiektywne cechy przedmiotów, lecz jedynie — związane z nimi osobiste skojarzenia; obecnie natomiast chce wydobyć w przedmiocie to, co *dostrzegają w nim wszyscy*. I dalej: „Słowem w zbiorze tym pojawia się obcy dotychczas Jastrunowi rodzaj *poetyckiej gawędy*... nowa ta forma — mniej rygorystyczna od poprzedniej, godząca się na ledwie zrytmizowaną półprozę — świadczy o dokonanej ostatecznie przebudowie poezji jastrunowskiej. Nastrojowa w swych początkach, patetyczna i moralizatorska za okupacji, staje się ona teraz potoczna i refleksyjna. Próżno żądać by od niej dawnych zrywów. Wszelkie próby wznowienia tej nuty kończą się żenującym niepowodzeniem”...

Przykre i, niestety, prawdziwe.

Każdy etap miał i ma swoich naganiaczy w stronę Partii. Takim był nieżyjący dziś Tadeusz Borowski, takimi byli „pryszczaci”, takim jest Putrament. Należy jedynie żałować, że do zajęć czysto policyjnych dorzuca wystąpienia krytyka. Dyskutując z recenzentem krakowskim Herdegenem, Putrament cytuje jego zdanie: „W twórczości Ficowskiego każdy problem jest wykorzystany — o ile jest możliwe — w całej pełni”. Zobaczmy interpretację Putramenta:

„Po pierwsze — zakres problemów, które przed sobą stawia Ficowski nie jest jeszcze aż tak szeroki... O ile w tych wierszach znajdziemy szczerą umiłowanie idei pokoju, o tyle nie wydaje się, aby poeta całkiem jasno zdawał sobie sprawę ze wszystkich konieczności, które walka o pokój wywołuje u nas w Kraju. Nienawidzi on hitleryzmu, nienawidzi agresorów amerykańskich w Korei. Czy zdaje sobie sprawę, że np. kulak na wsi u nas zasługuje na taką samą nienawiść? Może, ale w wierszach tego nie widać” (28).

Jak wytłumaczy naganiaczowi, że wiersze są nie po to, aby w nich było „widać” ostatnie dyrektywy Partii?

Nie trzeba sobie jednak wyobrażać, że wszystkie wiersze drukowane w Kraju są bezwartościowe, przeszedłszy przez ręce fachowców partyjnych typu Putramenta. Na szczęście poetom udało się przemycić, to tu to tam, jakiś utwór czy choćby fragment poematu (jak to miało miejsce u Gałczyńskiego). I właśnie tę poezję, która powstała *pomimo* socrealistycznych nakazów i zachęt, uważam za jedynie cenną. Należą do niej liczne utwory Przybosia i Gałczyńskiego, Iwaszkiewicza, Różewicza i Jastruna. Obok ogarka zapalonego Partii, świeci w nich nadal słońce prawdziwej liryki. Jest to jednak poezja „nie typowa” i niestety coraz rzadsza...

Osiągnięcia uznane oficjalnie są innego pokroju. Wspomniany już Lasota, dał w *Nowej Kulturze* (29) wybór najlepszych

(28) „Przemysłnictwo ideologiczne w krytyce” *Nowa Kultura* nr 7, 1953

(29) *Nowa Kultura*, nr 13, 1953.

fragmentów poezji socrealistycznej. Powtórzę tu wiersze wraz z komentarzami Lasoty, aby czytelnik mógł ogarnąć ogrom kłębski, do której przywiedli poezję w Kraju „patrioci”.

Lasota: „poeta (Hołda), zwracając się do wiejskiego agitatora śmiało wyraża swą nienawiść do kulactwa”:

...za zboże
spasione bydłem
za polamaną maszynę,
za skrytobójcze widły
kark do ziemi przycinaj...

(„Trójka skupu zwyciężyła”)

Lasota o wierszu Woroszyńskiego: „To nie ucieczka do wyświechtanych rekwizytów, lecz trafne uchwycenie postawy moralnej nowego człowieka”:

Więc tacy jak my
także nie zawsze
bywają w miłości szczęśliwi?
Więc tego trzeciego
nie w słym teatrze
autorzy wymyślili?
Więc takim jak my
też się zdarza to wszystko:
z uczuciem boleśnie się łamać?

Tak. Tylko jedno
nie zdarza się komunistom:
kłamać.

(„Czas miłości”)

Lasota o fragmencie poematu Wirszysy: „A oto wspomnienie żony pracującej w centrali telefonicznej w wielkie dni Kongresu Wroclawskiego, dające tak osobisty, a przecież zarazem symboliczny obraz”:

Pamiętam ciebie: nachylona
wołałaś w przestrzeń — Czy Maskwa?
i wtedy mięśnie twego łona
odczuły drugi życia znak.
A po przewodów ciemnych sznurkach
przebiegły słowa Erenburga...”

Wzruszające, nieprawdaz? Również Jastrunowi dostało się parę ciepłych słów. Lasota chwali u poety „ton socjalistycznego optymizmu” i pisze: „szczególnie ciekawa jest *Wielka Bajka*, stanowiąca adorację słusznych realistycznych marzeń”.

„SŁUSZNE REALISTYCZNE MARZENIA”... te trzy słowa streszczają lepiej niż tomy rozpraw grozę orwellowskiego, sowieckiego życia.

Szczytowym jednak osiągnięciem poezji „ludowej” jest według mnie „Piosenka o Coca-Cola”, strasznym trunku, który spać nie daje socrealistycznym abstynentom. Podam na smak jedną zwrotkę:

*Po Coca-Cola błogo, różowo
za parę centów amerykańskich
śniliście naszą śmierć atomową,
pięć kontynentów amerykańskich.
Po Coca-Cola błogo, różowo...*

Autorem wiersza jest Ważyk.

Obraz ten byłby niekompletny, gdybym pominął zjawisko piękne i wzruszające, poezję Leopolda Staffa. Pięćdziesiąt lat minęło od chwili, kiedy pojawił się pierwszy tom poety. Od pół wieku prowadzi naszej liryce, wyprowadzając coraz to nowe pokolenia ku poezji, wiecznie młody jak ona. I dziś zwraca się do poetów polskich, pisząc w „Natchnieniu”:

*Przelatującą chwycić w dłoń błyskawicę,
Rzuć się wichrowi na szyję.
I śmieć się jak dziewczyna, kiedy o trzy kroki
Piorun się w ziemię zaryje.*

Marian PANKOWSKI



2 HOGARTH ROAD,
LONDON S. W. 5,
ENGLAND

POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog

100 POPULARNYCH PACZEK

oraz Wykaz Przepisów Celnych —
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

Dziennik podróży do Westfalii

Dawne *Länder*, kraje stanowiące niegdyś Rzeszę niemiecką, okazały niewyczerpaną żywotność. Część ich znikła w wieku XIX. Partykularyzmy regionalne zacierały się powoli na skutek stałej migracji ludności z wschodu na zachód. Wielkie przetasowanie ludności podczas ostatniej wojny zmyło wreszcie na pozór odrębność krajów niemieckich.

Po wielkiej katastrofie życie zaczęło się jednak odradzać od dawnych ośrodków regionalnych. Kraje stanowiące obecnie Republikę federalną niemiecką ukazały się znów na mapie, ale szukały długo swych granic.

Łączenie się krajów historycznych w nowe jednostki i przystosowanie ich granic do nowych warunków gospodarczych i administracyjnych nie jest być może i dziś całkowicie zakończone. Wzdłuż Renu istnieją w tej chwili cztery kraje autonomiczne, posiadające własne rządy i parlamenty. Są to, jadąc z południa na północ: Badenia-Wirtembergia, Hesja, Nadrenia Północna-Westfalia i, na lewym brzegu, Nadrenia-Palatynat.

KOLEJE, DOKUMENTY, PODRÓŻE ETC.

Jadąc w końcu października 1954 — w kilka dni po podpisaniu umów paryskich o ponownym uzbrojeniu Niemiec — z Bazylei do Kolonii, przypominam sobie, że tą samą drogą jechałem przed dziewięć laty, chłodną jesienią 1945.

Wagony posiadające w oknach szyby były wówczas zarekwirowane przez wojska okupacyjne. Pasażerowie cywilni tłoczyli się w wagonach bez szyb, na mroźnym wietrze. Wszystkie stacje były czarnymi od pożaru ruinami. Pociągi wlokły się powoli po świeżo położonych szynach i tymczasowych mostach. Wyjeżdżający rankiem z Bazylei przyjeżdżał na wieczór do Karlsruhe,

gdzie musiał nocować na cementowej podłodze schronu kolejowego. Podróż do Frankfurtu zabierała cały następny dzień. Przyjeżdżny widział tam zrazu tylko pagórki gruzu, z których wystawały gdzieśgdzieś okopcowe ściany. Znalezienie noclegu wymagało nie tylko znajomości ludzi i rzeczy, ale także długich wędrówek po nieoświetlonych i zasypanych gruzem ulicach. Jadący wzdłuż Renu przekraczał kilka linii demarkacyjnych; na każdej z nich żądano odeń papierów i niełatwych do zdobycia przepustek. Myśl o drodze do Kolonii lub Hamburga napępiała zniechęceniem najwytrwalszych podróżnych.

W cztery lata później znalazłem stare wagony zaopatrzone w szyby i ogrzewane w zimie. Dworce kolejowe były nadal w ruinach, ale przed każdym funkcjonowało biuro przydzielające podróżnym pokoje na nocleg.

Przed dwoma laty większe miasta posiadały już pewną liczbę odbudowanych lub całkiem nowych hoteli. Koleje chodziły sprawnie; w ciągu jednego dnia można było przejechać znaczną część kraju. Znikły wagony zarezerwowane dla wojskowych. Na wielu widać było napis: odnowiony staraniem armii amerykańskiej. Biura paszportowe władz okupacyjnych wystawiały wizy ważne dla całych Niemiec Zachodnich.

Obecnie jadącego do Niemiec czeka kilka miłych niespodzianek. Niemcy są jedynym krajem, do którego emigrant z Europy Wschodniej otrzymuje wizę *stante pede*, po wypełnieniu najprostszego ze znanych mi formularzy. Następną niespodzianka czeka go na granicy.

Przechodząc rankiem na dworzec w Bazylei, znalazłem na peronie niemieckim sznur purpurowych wagonów noszących nazwy *Loreley-Express*. W pierwszej chwili myślałem, że mam przed sobą jeden ze zbytkownych pociągów służących do obwożenia gości oficjalnych, lecz zbliżywszy się zobaczyłem, że składa się przeważnie z wagonów trzeciej klasy. Niemcy odnowiły w znacznej mierze swój tabor kolejowy i część pociągów dalekobieżnych składa się obecnie z wagonów ofiarowujących podróżnym nieznaną dotąd wygodę.

Każdy pasażer otrzymuje rozkład jazdy swego pociągu, wykazujący wszystkie użyteczne połączenia. Z leżącego na moim miejscu rozkładu dowiaduję się, że podróż z Bazylei do Amsterdamu lub Brukseli trwa 12, do Hamburga 10, do Kolonii 8 i do Frankfurtu 4 lub 6 godzin. Do każdego miasta można dojechać przed nocą. Uderza również wielki wybór pociągów łączących wielkie miasta we wszystkich kierunkach.

PODRÓŻNI OBCY

Ofiarując podróżującym tyle wygod, Niemcy ściągną zapewne do siebie większą liczbę turystów odwiedzających dotąd inne kraje. Co jednak mogą im dać poza komfortem wagonów i nowo zbudowanych hoteli, przy których znane hotele Europy Zachod-

niej przypominają zabytki historyczne? W klasycznych krajach turystyki przyjezdni oglądają okryte sławą pałace, stare kościoły, pomniki i muzea, wzrok ich zwraca się ku przeszłości. Niemcy posiadają też niemało pałaców pozostałych po różnych dynastiach, starych kościołów i muzeów, znanych za wszystkich czasów znawcom, jak widać chociażby z tego, co Edmond de Goncourt pisze w swym dzienniku o rokoku niemieckim. Dla różnych subtelnych i mało uchwytnych przyczyn zabytki przeszłości niemieckie nie posiadały u turystów obcych tego samego autorytetu co *châteaux de la Loire* i miasta włoskie. Niemcy historyczne i ich sztuka zostaną być może też odkryte przez wielką publiczność międzynarodową. Na razie co innego przyciąga do Niemiec obcych podróżnych.

Niemcy są dziś najczulszym punktem stosunków między Wschodem i Zachodem, miejscem, w którym krzyżują się wszystkie kalkulacje zdążające do odgadnięcia przyszłości Europy, a być może i globu.

Od dawna już Niemcy zajmują miejsce, z którego wzrok sięga najdalej w przyszłość. Już w kilka lat po pierwszej wojnie światowej stało się jasne, że przyszłość Europy zależeć będzie od ewolucji wewnętrznej Niemiec. Zniknięcie dawnego „koncertu europejskiego” i poróżnienie się zwycięzców Niemiec stworzyło na kontynencie próżnię, której wypełnienie przypadło Niemcom. Rozbieżność domniemyanych interesów i słabość krajów peryferycznych zapewniły Niemcom długotrwałą pokój, lecz stwarzały jednocześnie wyjątkowo pomyślne warunki dla prób opanowania całego kontynentu. Od wyboru Niemiec zależał dalszy los Europy.

Sytuacja obecna jest zgoła odmienna. Niemcy wtłoczone są w system równowagi między Wschodem i Zachodem. Środkiem kraju przebiega linia demarkacyjna, na której można wymierzyć siłę nacisku obu bloków. W żadnym innym miejscu Europy nacisk ten nie jest tak bezpośredni i widoczny. W razie zachwiania się obecnej równowagi, Niemcy — niezależnie od życzeń ich mieszkańców — wejsz muszą w orbitę strony silniejszej.

Na razie Niemcy nie mogą powziąć żadnej inicjatywy mogącej zmienić sytuację, bo nawet ich ponowne uzbrojenie nie wniesie do niej żadnych nowych danych. Dopiero dalsze postępy „odprężenia” i polityki „koegzystencji” mogą stworzyć luzy dające Niemcom możliwość samodzielnego manewrowania między obu blokami.

W jakimkolwiek kierunku pójdzie ewolucja wewnętrzna Niemiec, będzie to zależało w znacznej mierze od tego, jak Niemcy będą oceniali położenie ogólne Europy, zwłaszcza zaś siły i możliwości bloku wschodniego. Zawodność takich ekspertyz jest oczywista. Jeden z twórców angielskiego systemu *balance of power* — utrzymywania na kontynencie równowagi sił i popierania w tym celu strony słabszej — pisał że największym brakiem tego systemu jest trudność rozpoznania przed końcem wojny, która

strona jest silniejsza. O ileż trudniejsza jest ocena bloków obejmujących po parę kontynentów i po kilkadziesiąt narodów. Nikt jednak nie chce rezygnować z takich kalkulacji, zwłaszcza gdy od ich wyniku zdaje się zależeć jego przyszłość.

Nigdzie indziej Europy Wschodnia nie jest badana równie uważnie jak w Niemczech, posiadających pewnego rodzaju monopol na wiadomości przenikające z drugiej strony linii demarkacyjnej. Liczne instytuty badawcze zajęte są zbieraniem książek, pism, relacji i wiadomości o Europie Wschodniej. Niektóre z nich posiadają prawdziwe skarby informacji, które przy pomocy maszyny do liczenia i tablic logarytmów można układać w wykresy i cyfry służące nowożytnym astrologom do stawiania horoskopów.

Publikacje, biblioteki i archiwa tych instytutów są przeważnie dostępne dla obcych, ale korzystanie z nich wymaga przygotowania, a także czasu na studia przynoszące w końcu uczucie niedosytu i zwątpienia. Z punktu, z którego według wszelkich rozumnych obliczeń wzrok powinien sięgać najdalej w przyszłość, widać tylko niezmierzoną równinę spowitą w mgłę.

Niemcy przyciągają dziś wielu podróżnych ciekawych przeszłości. Nieliczni z nich tylko, rzecz prosta, mają czas na zgłębienie tego nieuchwytnego przedmiotu. Większości ich wystarczy, że mieli możliwość dotknięcia instrumentów służących do mierzenia ambicji dyktatorów oraz oglądania magicznych cyfr i porażonych nad nimi w medytacji astrologów. Sam widok ten uspokaja najczęściej ciekawych, dając im pewność, że przynajmniej dostępna dla oka część przyszłości nie pozostanie nierozpoznana.

Rywalizacja między Wschodem i Zachodem toczy się zresztą nie tylko w sferze spekulacji umysłowych, ale także w dziedzinie gospodarczej i społecznej, gdzie fakty są łatwiej uchwytne i gdzie doświadczenia niemieckie ostatnich lat są ze wszech miar godne uwagi.

W WESTFALII: O CZYM SIĘ MÓWI

Z łaski dziennikarzy przyjęte było przez dłuższy czas uważać kraje bałkańskie za beczkę prochu, do której wystarczy zbliżyć zapalnik, aby wywołać wybuch mogący wstrząsnąć całą Europą. Wystarczy wszakże jednego spojrzenia na te kraje — na ich chaty kryte słomą i na stojących przed nimi chłopów w białych portkach i wyszywanych koszulach — aby się przekonać, że ludność ich na pewno nie potrafi dokonać niczego co mogłoby zachwiać porządkiem kontynentu. Sama nawet używana w krajach bałkańskich broń palna i potrzebna do niej amunicja były za wszystkich czasów przywożone z zagranicy.

Wystarczy również jednego spojrzenia na Westfalię, aby upewnić się, że tu właśnie znajduje się gigantyczna kuźnia Hejfajestosa, dostarczająca od kilkadziesiąt lat broni najsilniejszej

armii Europy. Jak okiem zająrzeć, wszędzie stoją wyciągi kopalni, rotundy koksowni, kominy odlewni i walcowni oraz korpusy fabryk metalurgicznych różnej specjalności. Sama nawet ziemia Westfalii wygląda tak, jak gdyby europejska beczka prochu wybuchła na niej już kilkakrotnie, pokrywając kraj żużlami i popiołem. Wreszcie i rozmowy mieszkańców odpowiadają dość dokładnie temu otoczeniu.

Z okazji wstąpienia na tron Edwarda VIII, angielskie towarzystwo Mass Observation Movement ogłosiło tom, zawierający strzępy rozmów słyszanych przez jego współpracowników w dniu koronacji. Mając w pamięci ten wzór, staram się zebrać wątki rozmów słyszanych w ciągu ostatnich dni.

Prócz jednej rozmowy o najbliższym sezonie operowym, wszystko co słyszałem odnosiło się do uzbrojenia Niemiec. Nawet nieznajomi wstępowali ze mną w rozmowy na ten temat. Od dnia podpisania umów paryskich Westfalia nie ma na pozór żadnego innego przedmiotu rozmów, komentowanego zresztą nieustannie przez prasę.

Zainteresowania Westfalczyków skupiają się głównie na przypuszczalnych skutkach gospodarczych uzbrojenia:

— Cena miedzi podniosła się znów.

— Wszystkie akcje przemysłu ciężkiego mają tendencję zwyżkować.

— Od początku wojny koreańskiej nie było jeszcze tak pomyslniej koniunktury.

— Poziom życia podniósł się wówczas najwydatniej, można więc spodziewać się i teraz nowej zwyżki zarobków i płac.

Nie brak jednak i głosów sceptycznych:

— Uzbrojenia pociągną za sobą ograniczenia produkcji dóbr konsumpcyjnych, których i tak nie ma za wiele.

— Zmniejszenie ilości towarów przy jednoczesnej ekspansji kredytowej może wywołać nową inflację.

— Wykorzystać obecną koniunkturę można tylko przy ostrożnej i ograniczonej produkcji broni.

— Do takiej polityki rząd nie posiada warunków. Czy myśli pan, że Amerykanie będą patrzyli biernie na powolność zbrojeń i przedłużanie w nieskończoność obecnej sytuacji? Będą parli do najszybszego uzbrojenia. (Zapewne w wyniku długotrwałej okupacji, Niemcy mają bardzo wygórowane pojęcie o wpływie Stanów Zjednoczonych na rządy i opinię publiczną w Europie.)

Co pewien czas pada także pytanie:

— Ale co na to powie Rosja? W tej chwili Kreml szuka porozumienia z Zachodem, ale czy ta polityka wytrzyma obecną próbę?

Nie udaje mi się odwrócić uwagi żadnego z przygodnych rozmówców od tematów zbrojeniowych. O cymkolwiek zaczynam mówić, rozmowa powraca po chwili do tego samego przedmiotu. Mając w pamięci pewną ilość takich rozmów, staram się wyciągnąć z nich ostrożne wnioski.

W żywiołowej sile, z jaką zagadnienia uzbrojenia opanowały

umysły Westfalczyków, wyraża się nie tylko *genius loci*, lecz także zaskoczenie przez umowy paryskie. Odraczana latami decyzja wydawała się odległa i niepewna; wreszcie przestano o niej mówić. Lud nie miał okazji wypowiedzenia się w tej sprawie i nie ma być może o niej jasnej opinii. Dla większej części czytelników gazet umowa paryska była niespodzianką. Nikt nie wie, dlaczego doszła do skutku właśnie w tej chwili.

Jeszcze przed dwoma laty na wszystkich płotach i murach Niemiec widniały napisy *ohne uns*, świadczące o istnieniu czynnych przeciwników uzbrojenia i służby wojskowej. Obecnie widzę zaledwie kilka takich napisów, splukanych w połowie przez deszcze. Czy wnosić stąd należy, że liczba przeciwników uzbrojenia zmalała, czy też że długotrwałe przewleknięcie sprawy uspiło ich czujność? Czy po podpisaniu umów paryskich okazały się więcej inicjatywne?

To co widzę i słyszę nie upoważnia do takich przewidywań, w każdym razie nie w Westfalii. Uderza mnie tu pewnego rodzaju bierność i bezosobowość słyszanych komentarzy. Obywatele omawiają zapadłe decyzje jak fakty natury stojące poza zasięgiem sądów wartościujących, ograniczając się do rozważania zagadnień stojących w ich mniemaniu przed rządem Republiki federalnej. Nic nie zdradza w ich słowach, aby w sprawie uzbrojenia posiadali jakiś mocne przekonania własne lub aby przekonaniom tym przypisywali znaczenie.

Taka postawa nie jest zjawiskiem wyłącznie niemieckim. Wszystkie ludy Europy Zachodniej, znużone nierozwiązalnymi zagadnieniami, pragną dziś złożyć odpowiedzialność w ręce rządów, którym we wszystkich ważniejszych sprawach parlamenty udzielają najszerszych pełnomocnictw. Nie ma na ogół nigdzie czynnej opinii publicznej; ludy stoją najczęściej w milczeniu za swymi rządami. Można przypuszczać, że partie komunistyczne zawdzięczają część swego powodzenia faktowi posiadania monopolu na opinie inne od rządowych. Niemcy nie odbiegają tu zapewne od ogólnoeuropejskiego szablonu.

LIBERALIZM NIEMIECKI

Od swych protektorów amerykańskich Republika federalna niemiecka przejęła zasady inicjatywy prywatnej i wolnej konkurencji. Po dłuższym okresie etatyzmu hitlerowskiego Niemcy wróciły do liberalizmu, który miał tu zawsze licznych zwolenników, nie tylko w zainteresowanych sferach gospodarczych, ale także np. na uniwersytetach.

Eksperyment ten, na który — prócz wolnej konkurencji — złożyły się przede wszystkim pomoc finansowa Ameryki, *das deutsche Arbeitswunder*, a wreszcie i eliminacja przez bombardowania przedsiębiorstw nierentownych, wydał w zdumiewająco krótkim czasie bardzo pomyślne wyniki. Ludność Niemiec Za-

chodnich jest zatrudniona; bezrobocie zdaje się posiadać obecnie charakter lokalny, ograniczony do trudniejszych do zagospodarowania okręgów; artykuły spożywcze i inne towary powszechnego użytku są tańsze niż w krajach sąsiednich; opieka społeczna zdaje się funkcjonować wydatniej niż gdzie indziej; czytam wreszcie, że oszczędności gotówkowe przekroczyły dziesięć miliardów marek.

Powodzenie gospodarcze nie wyczerpuje jednak potrzeb i ambicji ludności. Po latach wojny, przewrotów i ubóstwa, wszyscy chcieliby utrwalić swą nową, chociażby nawet umiarkowaną zamożność. Opinię kraju nurtują w tej chwili dwa sprzeczne prądy: z jednej strony wiara w zalety systemu liberalnego i trwałość obecnej koniunktury, z drugiej zaś dążenie do stabilizacji i ciągłości życia, wyrażające się w różnych projektach reglamentacji życia gospodarczego. Profesor Ludwik Ehrhard, minister spraw gospodarczych rządu federalnego, charakteryzuje te projekty jako „powrót do ustroju cechowego”. Obie tendencje można było wyczuć w przytoczonych wyżej rozmowach.

Te dwie sprzeczne tendencje rodzą się niejako ze wzrostu zamożności i liczby posiadających, którzy chcieliby zabezpieczyć i utrwalić swój stan posiadania, chociażby za cenę wyrzeczenia się dalszego wzrostu dochodów. Bez obawy popełnienia większej omyłki można przewidywać, że w ciągu najbliższych lat ludność Niemiec będzie tak samo konserwatywna i ostrożna jak ludność pozostałej Europy Zachodniej. Proletariat nie mający do stracenia nic prócz kajdanów istnieje dziś w wielkich masach głównie na obszarach bloku wschodniego. Szeregi jego topnieją szybko na Zachodzie. Większe grupy proletariatu istnieją dotąd we Włoszech, w Hiszpanii, we Francji, ale wystarczy być może jeszcze kilka lat obecnej koniunktury i kilku wysiłków polityki społecznej, aby grupy te zaczęły również maleć. W Niemczech — jak w wielu innych krajach Zachodu — ludzie pracy zbliżają się do posiadania własnych mieszkań, stałego zatrudnienia i oszczędności. Kto nie ma tego dziś, widzi osiągnięcie tych celów w perspektywie niewielu lat. Byłe tylko obyło się bez wojny, byle nie zrobiono żadnych kroków nieprzeznaczonych mogących spłoszyć koniunkturę.

DUESSELDORF

Odrodzenie gospodarcze nie objęło równomiernie całego obszaru Republiki federalnej. Wszędzie uderza wzrost zamożności, ale zjawisko to nie ma nigdzie tych samych rozmiarów jak w Nadrenii-Westfalii, gdzie rozbudowa przemysłu przybrała formy rwącego potoku, znoszącego lub przeskakującego leżące na jego drodze przeszkody.

Ewolucja ta ma dwa różne oblicza, z których jedno, nieco lekkomyślne i niepokojące, widać w Düsseldorfie, siedzibie rządu

i parlamentu Nadrenii-Westfalii, drugie zaś w Dortmundzie, wielkiej aglomeracji robotniczej.

Dawna siedziba elektorów Palatynatu, Düsseldorf zachował z tych czasów trochę starych budynków, parę pałaców i pięknych parków, leżących w środku miasta. Najelegantsze miasto Niemiec — jak mówią o nim Westfalczyki — wita dziś przyjezdnych widokami ruin otaczających dworzec kolejowy. Niecały kilometr drogi dzieli ten ostatni od głównej arterii miasta, tonącej w zieleni Königsallee, za którą leży stare miasto, schodzące po łagodnej pochyłości ku rzece. Ren opuszcza tu skaliste brzegi i płynie powoli, ogromny, wśród zielonych pagórków.

Ojczyzna Heinego, Düsseldorf odbiega nieco od szablonu innych miast niemieckich. Nie ma tu wprawdzie uniwersytetu, ale jest stara akademia sztuk pięknych, której dawne zbiory są dziś główną podstawą monachijskiej Pinakoteki, i teatr znany już w pierwszej połowie XIX wieku. Düsseldorf posiadał zawsze bardzo zamożne mieszczaństwo i interesujące życie artystyczne.

Po krótkim pobycie trudno osądzić co — prócz niejasnych tradycji — zostało w Düsseldorfie po tamtych czasach. Przez zrujnowane podczas wojny ulice miasta przeszła w ostatnich latach wielka fala pieniędzy, splukujących rzeczy dawne jeszcze dokładniej niż fale bombowców. W środku miasta wyrosły budynki wzniesione na miarę nowej fortuny kraju. Na jednej z głównych ulic stoi sznur ogromnych budynków banków, w których tysiące urzędników rozdzielają mannę kredytów. Rząd Nadrenii-Westfalii mieści się w nowym gmachu z żelazo-betonu i szkła, przeglądającym się w jeziorze o romantycznej nazwie Schwannenspiegel.

Najbardziej nowa w tym mieście wydaje mi się jednak publiczność, którą widzę na ulicach. Już przed 11-tą rano nowe i przeważnie gustownie urządzone kawiarnie śródmieścia wypełniają się publicznością, która ma na pozór równie wiele wolnego czasu co pieniądze i, po latach klęski, zdaje się śpieszyć do lekkomyślności i beztroski. Podobną publiczność widziałem przed dwoma laty w Wiesbaden. Było to jednak letnim wieczorem przed premierą w otoczoneym starym parkiem gmachu teatru. Tu oglądam ją rankiem w dzień powszedni. Znajomy, który spędza wiele czasu w Niemczech, zwracał mi uwagę na wielką ilość osób jedzących tu kawior do śniadania bez żadnej szczególnej przyczyny, po prostu aby nie stracić okazji zjedzenia czegoś smacznego. Düsseldorf jest zapewne stolicą zjadaczy kawioru na co dzień. Przyglądam się damom zasiadającym w kawiarniach na Königsallee. Niektóre, mimo ciepłej jesieni, noszą już futra. Żadna z nich na pewno nie pochodzi ze starej burżuazji düsseldorfskiej: wydają się nieco oszołomione swą nową beztroską i brak im jeszcze nieodłącznej od zbytku dyscypliny.

Za lśnącymi fasadami Königsallee leży odbudowywana w tej chwili dzielnica ruin. W południe widzę śniadających tam majstrów i monterów. Zarobki ich muszą być nienajgorsze, bo i im udzieliło się coś z wesołej pogody zamożnych.

Nie bez żalu opuszczam to miasto, gdzie zamożność posiada jeszcze świeżość uśmiechu fortuny. Inne miasta, nawet bogatsze od Düsseldorfu, wydają mi się w tej chwili ponure, odpychające swym koszmarnym skąpstwem i lękiem o prawa nabyte.

W kilka dni później nadeszły z Düsseldorfu pierwsze wiadomości o bandytach zatrzymujących pod miastem automobile i odbierających gotówkę podróżnym. Nie mogę się oprzeć przypuszczeniu, że owi nieuchwytni dla policji bandyci są być może mistyfikаторami, którym nie wystarczyły teatry i teatrzyki Düsseldorfu i którzy w poszukiwaniu rozrywek przekroczyli umowną granicę.

Lekkomyślne życie Düsseldorfu wydaje się niemal feeryczne, ponieważ w administracyjnej stolicy nie widać istotnych przesłanek zamożności kraju. Te ostatnie widać lepiej we właściwym zagłębiu węglowym Westfalii.

ZIEMIA

Podróżujący brzegiem Renu widzi przed sobą kraj zagospodarowany jeszcze przez Rzymian. W niedalekim Trewirze znajdowała się przez pewien czas rezydencja cesarza schyłkowego imperium. Wiele rzeczy przypomina tu jeszcze krajobraz opisany przez Ausoniusa w poemacie o Mozeli. W brudnej wodzie, niosącej tłuste oka smarów, nie ma wprawdzie więcej ryb opisanych przed nadwornego poetę; dymiące kominy nie należą też do jego czasów, ale szosa nadbrzeżna biegnie w tym samym miejscu, gdzie szła niegdyś ścieżka wydeptana przez marynarzy holujących swe staki w górę rzeki.

Południowe stoki brzegów pocięte są wciąż w schody, na których leżą złote w jesiennym słońcu winnice. Stopnie te, zwane na południu Francji *les berges*, należą do cywilizacji śródziemnomorskiej i powstały tu zapewne w starożytności. Przyjrząwszy się okolicznym polom, można by zapewne znaleźć między i drogi wytyczone niegdyś przez rzymskich agrimensorów według rytuału przyniesionego z brzegów Tybru. Zwyczaj ludów południowych wyrażania swej myśli przez nadawanie ziemi pewnych szczególnych kształtów rozszerzał się kilkakrotnie na kraje północne w formach bądź rzymskich, bądź też renesansowych i barokowych. Na brzegach Renu widać jeszcze liczne ślady antycznego stosunku do ziemi. Ślady te znikają szybko w miarę oddalania się od wielkiej rzeki.

Na północo-wschód od Kolonii rozciąga się lekko falująca równina, którą dopiero Carolus Magnus włączył do mocno podupadłego wówczas świata zachodniego. W jej okolicach rolniczych przekonać się można, że tysiąc lat jest krótkim okresem czasu, gdy chodzi o ukształtowanie powierzchni ziemi i obyczaje wiejskie. Błotniste drogi polne i drewniane płoty Westfalii są znacznie bliższe wzorów polskich niż krajów należących niegdyś do imperium rzymskiego. Na tej równinie leży obecne zagłębie węglowe.

Zagłębie pokryte jest rozrzuconymi szeroko miastami, bądź łączącymi się ze sobą, bądź oddzielonymi od siebie niewielkimi obszarami rolniczymi. Miasta składają się z szarniawych od dymu śródmieści, otoczonych sięgającymi daleko dzielnicami podmiejskimi i wieńcami luźnych osiedli, grupujących się dokoła kopalni i zakładów przemysłowych. Wszystko to przetykane jest dymiącymi kominami i grupami budynków fabrycznych.

Ziemia jest z wierzchu czarna od węgla, spodem gliniasta, jasno-żółta. Między dzielnicami podmiejskimi i osiedlami leżą wszędzie szaro-zielone pasy nieużytków. Niektóre z nich porośnięte są zdziczałą trawą, poprzecinane w różnych kierunkach wydeptanymi w błocie ścieżkami. Inne, leżące na terenach kopalnianych, pokryte są pagórkami żużli lub kamieni i odpadków wywożonych windami z kopalni. Między wzgórzami odpadków czernieją wypełnione wodą zapadliny. Gdzieś tam stoją resztki zniszczonego lasu, w innych miejscach opuszczoną ziemię pokrywają niskie zarośla z splecionej gęstwiny głogu, dzikiego bzu, jeżyn, ostów i pokrzyw. Pozostawiona samej sobie i zaśmiecona jedynie odpadkami papieru i blaszankami konserw ziemia tworzy nowe zespoły roślin.

Nad zniszczoną i zdziczałą ziemią ciągną smugi dymu i wędrują niskie obłoki pary, wydobywającej się z koksowni i odlewni. Para ta, kondensując się w chłodnym powietrzu, spada na ziemię rzadkimi kroplami deszczu.

Wśród mieszkańców przedmieści i osiedli nie ma widocznie amatorów ogrodnictwa, bo otaczające je pasy zieleni składają się tylko z łysiej trawy i chwastów. Ogródki działkowe z czasów wojny zostały przeważnie porzucone. Miejscami z brunatnych chwastów sterczą na nich suche badyle i połamane żerdzie, po których pięła się niegdyś fasola. Jedyny kawałek starannie utrzymanego trawnika widziałem przed zabudowaniami administracyjnymi jednej z kopalni dortmundzkich.

Gdzieś tam zachowały się resztki cofającego się pod naporem nieużytków rolnictwa: szarniawe od sadzy zabudowania wiejskie, kawałki zieleniejącej w tej chwili oziminy i łąki, na których pasie się po kilka krów i szarych od dymu owiec. Z rzadka widać drzewa polne, które niegdyś dawały cień pasącym się stadom, dziś zaś stoją pod płotem fabrycznym i mają pień czarny jak smoła.

Skrywająca w swych wnętrzach bogactwa kopalniane ziemia westfalska ubrała na siebie szatę zgrzebną, strój roboczy pełen plam i łat, pozbawiony wszelkiej kokieterii.

DORTMUND

Podróżnik systematyczny, chcę kupić na dworcu plan miasta.

— Nie na wiele się panu przyda, mówi czekający na mnie przyjaciel. Już wychodząc z druku każdy plan jest tu przesta-

rzały. W Dortmundzie powstaje każdego dnia nowa ulica. Nawet w śródmieściu budują się w tej chwili nowe arterie, których przedtem nie było.

W słowach tych nie było przesady, bo następnego dnia znalazłem w miejscowej gazecie wiadomość, że nadano nazwy dwu nowym ulicom.

Dortmund jest starym miastem hanzeatyckim, które w wiekach średnich miało swój okres zamożności, lecz potem zeszło na długo z kart historii. W początku XIX wieku liczyło niewiele ponad 4.000 mieszkańców. Z dawnych czasów został mu tylko obszerny kościół św. Reinolda i kolisty zarys ulic otaczających właściwe śródmieście. Z tego ostatniego bomby pozostawiły niewiele tylko domów czarnych jak smoła, z których jeden zaledwie zdaje się pochodzić z czasów poprzedzających wiek XIX. Na szczątkach i wspomnieniach dawnego śródmieścia wznosi się obecnie luźno kilka wysokich budynków o architekturze użytkowej, nie liczącej się wcale z tym co było.

Po wielkiej katastrofie nie pozostało na pozór w Dortmundzie żadnej większej grupy mieszkańców przechowujących obyczaje burżuazyjne czasów poprzednich. W jednym ze starych bloków śródmieścia zachowały się dwie kawiarnie. Przed południem są puste, koło 16-ej zbiera się w nich trzydziści do czterdziestu pań opowiadających sobie plotki przy kawie i ciastkach. Jest to zapewne wszystko co w tym ludnym mieście pozostało z dawnego mieszczaństwa.

Dortmund jest więc rozległym miastem robotniczym bez właściwego ośrodka miejskiego. Ma wprowadzić dwa teatry, z których jeden zatrudnia zespół operowy, ale program ich zwraca się do publiczności małomiasteczkowej, która nie zna jeszcze *Traviaty* i *Cnotliwej Zuzanny*. Dortmund liczy 34 browary i miejscowi konsumenci piwa mogliby wypełnić taką samą ilość teatrów.

Na obszarze miasta objętym moim planem znajduję 9 kopalni węgla, kilka bardzo wielkich fabryk metalurgicznych, których nazwy figurują w cedułach giełdowych, i wielką liczbę mniejszych zakładów przemysłowych. Wszystkie te przedsiębiorstwa pracują obecnie na pełnych obrotach, ściągając coraz większą ilość robotników.

Przemysł westfalski zatrudniał zawsze robotników obcych. W czasach wilhelmińskich pracowało tu wielu Polaków, posiadających własne związki zawodowe, tzw. *polnische Gewerkschaften*. Pewna ilość Polaków pracowała tu i później, w okresie niepodległości. Na cmentarzu w Eving widziałem zbiorowy grób kilkudziesięciu górników, którzy w 1925 zginęli w kopalni Minister Stein. Grób ten jest bardzo wystawny: leży na tarasie tworząc dwa skrzydła koło pomnika, na którym czytamy:

*Ein ehernes Schicksal waltet über mir
Und unaufhaltsam reisst es mich dahin.*

Uroczyste słowo „los” oznacza zazwyczaj oszczędności zrobione przez przedsiębiorstwa na bezpieczeństwie pracy. Jakakolwiek była jego historia grób jest dotąd starannie utrzymany: na każdej mogile rośnie kilka złotych chryzantem. Idąc wzdłuż mogił czytam nazwiska: Smoliński, Zaremba, Woynowski, Kowalski...

Nieustanny napływ robotników spowodował w ostatnich latach szybkie rozrastanie się miasta. Władze miejskie, krajowe i federalne dążą do zapewnienia każdemu robotnikowi mieszkania, stąd budowa coraz to nowych dzielnic i osiedli. Wiek ich można poznać po barwie ścian, które w domach przedwojennych są czarne, w późniejszych zaś coraz jaśniejsze. Bloki mieszkaniowe nowych osiedli są podobne do koszar; widać na nich pośpiech i oszczędność budowy. Główny cel został jednak osiągnięty: baraki stojące jeszcze na peryferiach miasta są puste.

Mieszkam przy szosie na skraju miasta, w małym hotelu dla podróżnych przyjeżdżających w interesach do leżącej naprzeciw kopalni. Budynek jest nowy; na piętrze znajduje się kilka pokoi, na dole bar, restauracja i sala, w której wieczorem się tańczy. W ciągu dnia dom wydaje się niezamieszkały, dopiero po zakończeniu w kopalni dziennej zmiany górnicy wypełniają bar. Brzęk szklanek, dźwięki radia i szcęk automatów słychać wówczas aż na ulicy. Przed szynkwasem tłoczą się ludzie młodzi, szczupli, w bluzach i spodniach z granatowego manchesteru, rozgrzani jeszcze kąpielą po zejściu z szychy. Mieszą się języki i dialekty. Wódka i piwo wydają się tu niezbędne dla odprężenia po ośmiu godzinach wytężonej pracy i skupionej uwagi. Pierwsi przychodzą kawalerowie — w Dortmundzie jest więcej mężczyzn niż kobiet — i żonaci zachodzący do knajpy na jednego przed powrotem do domu. Później przychodzą robotnicy z żonami i narzeczonymi na parę godzin tańca.

Po kilku dniach zaczynam rozumieć rolę knajpy, wódki i piwa w życiu westfalskich osiedli fabrycznych i kopalnianych. Zarobki są tu przeważnie dobre, jedzenie tanie. Osiem godzin wytężonej, czasami niebezpiecznej pracy, osiem godzin głębokiego snu i książeczka oszczędnościowa będąca magicznym kluczem do wszystkich rzeczy, które można dostać za pieniądze, ale które często trudno sobie wyobrazić — ta część życia wydaje się uregulowana. Otwarta natomiast pozostaje sprawa kilku godzin pustych, do spędzenia w ponurym mieszkaniu lub wśród spustoszonych nieużytków. Bez dobroczynnego zamroczenia gorzałką godziny te byłyby nie do zniesienia. Posiadanie własnej kobiety nie zawsze poprawia sytuację: do chandry dodaje niecierpliwość, chyba że się pije we dwoje. Chore dziecko, pies lub chociażby kanarek może tu być skarbem nieocenionym. Nie widzę tu jednak wielu zwierząt.

Probuje głośno czytać Apokalipsę. W pustce godzin słowa jej wzrastają do olbrzymich rozmiarów.

Władze i organizacje społeczne popierają wszelkie zatrudnienie dodatkowe i inicjatywę własną mieszkańców: szkolenie w różnych specjalnościach lub zajęcie się handlem, który nie zostawia swym adeptom pustych godzin. Nigdzie zapewne nie można równie łatwo otrzymać patentu na otwarcie szynku lub sklepu. „Czy pan już wykonywał kiedyś ten zawód?” Odpowiedź przecząca nie jest powodem do odmowy. Naiwnym urzędnicy radzą, dla uniknięcia późniejszych przykrości, przejść dwutygodniowy kurs elementarnej księgowości.

Westfalski liberalizm w dziedzinie pracy ma oczywiste przyczyny. W mieście budującym każdego dnia nową ulicę nikt nie potrafi obliczyć, ile nowych punktów sprzedaży potrzeba będzie dla normalnych procesów wymiany. Nikt też nie potrafi ocenić, ile okaże się wart tak łatwo wystawiony patent. Popieranie inicjatywy prywatnej wydaje się najszcześliwszym rozwiązaniem.

Porównując ją z innymi krajami, gdzie przez kilkanaście lat starałem się na próżno o legalizację pobytu i prawo pracy, mam wrażenie, że Westfalia jest w tej chwili najbardziej wolnym krajem Europy. W ocenie tej nie jestem zresztą odosobniony, bo znajduję tu przyjaciela, który wrócił ze Stanów Zjednoczonych w przekonaniu, że Westfalia ofiarowuje emigrantowi lepsze warunki pracy.

Teorie i praktyki liberalne związane były na Zachodzie z okresem wielkiej rozbudowy przemysłu i wzrostu zamożności, który zamknął się z wybuchem pierwszej wojny światowej. Tylko Westfalia przeżywa nadal podobną ekspansję gospodarczą i z tej przyczyny jest ostatnią twierdzą liberalizmu.

Liberalizm gospodarczy nie rozwiązuje wcale zagadnienia wolnego czasu w wielkim mieście robotniczym. Dowiaduję się też, że w Dortmundzie rada miejska postanowiła powołać komitet doradczy, mający opracować plan podniesienia i urozmaicenia życia kulturalnego miasta. Komitet ten będzie miał do rozważenia jedno z najważniejszych zagadnień cywilizacji przemysłowej.

KOREA

Nazwę tę nosi jedno z dalszych osiedli przedmieścia Eving, leżące za dwoma cmentarzami na stoku lekko falującego gruntu. Około 60 bloków mieszkaniowych stoi tu w czterech rzędach na polu porośłym dziką trawą i chwastem. Mieszka w nich około półtora tysiąca emigrantów, z czego około 500 dzieci. Najlicniejszą grupę stanowią Polacy, obok nich są jednak liczni emigranci z wszystkich krajów Europy Wschodniej.

Grunt i budynki tej kolonii należą do rządu federalnego, który wynajmuje emigrantom mieszkania po cenie ulgowej, wynoszącej około 40 marek miesięcznie za trzypokojowe pomieszczenie. Mieszkania są dość prymitywne, brak w nich np. łazienek.

Jak w innych koloniach robotniczych bloki przypominają z zewnątrz koszary z Infanteriestrasse.

Mieszkańcy Korei rekrutują się z uchodźców, którzy podczas wielkiego rozładowywania obozów nie wyjechali do krajów zamorskich z powodu stanu zdrowia ich lub ich rodzin lub z racji ciąży na nich w przeszłości zatargów z sprawiedliwością okupacyjną. Dodać wypada, że są to emigranci mający za sobą najdłuższy pobyt w obozach. Grupa ta składa się więc z osób najbardziej wykolejonych, najdalszych od normalnych egzystencji. Niektórzy z nich nie nauczyli się dotąd niemieckiego.

Przerobienie tej kategorii emigrantów na robotników musiało wydawać się wszystkim zadaniem trudnym. Eksperymentu takiego próbować można było najłatwiej w Westfalii, gdzie grupa ta jest tylko skrajnym wypadkiem dezintegracji społecznej obejmującej w różnym stopniu znaczną część ludności napływowej, i gdzie istnieją najszerze możliwości pracy.

Osiedle istnieje już dwa lata, widziałem je więc już w fazie względnej stabilizacji jego mieszkańców. Nie łatwo zapewne byłoby powiedzieć, jakimi drogami doszli do oswojenia się z nowymi warunkami. Korea jest nie tylko wieżą Babel języków, ale także arką Noego, mieszczącą najróżnorodniejsze formacje społeczne, temperamenty i uzdolnienia. Opis życia wewnętrznego tej kolonii zbudowanej na brzegu otchłani byłby dokumentem ludzkim o niezmierzonej perspektywie. Samo znalezienie w tym celu słów przylegających ściśle do zjawisk byłoby zapewne przedsięwzięciem deklasującym stylizację i manieryzmy literackie naszych czasów. Nie próbuję więc nawet wchodzić w szczegóły, zastrzymując się na najogólniejszych zarysach tego złożonego zjawiska.

Prócz kilku chorych, dorośli Koreańczycy zrobili na mnie wrażenie ludzi nieźle odżywionych i konsumujących większe ilości piwa. Zważywszy, że dochody swe czerpią z pracy, można wnosić, że regularne zarobkowanie nie nastręcza im większych trudności. Słyszałem o kilku kradzieżach popełnionych w osiedlu i okolicy i przypisywanych Koreańczykom, takie rzeczy wchodzi jednak w normalny bieg spraw ludzkich.

Więcej można powiedzieć o dzieciach, które zdają się stanowić właściwy klucz do przyszłości tej grupy emigrantów. Wszystkie są starannie ubrane i wyglądają doskonale. Dowiaduję się, że opieka społeczna zajmowała się wiele dziećmi z Korei, wysyłając słabsze na kolonie letnie i do zakładów leczniczych.

Część Koreańczyków ożeniła się z Niemkami w czasach kiedy D.P. byli żywieni przez U.N.R.R.-ę i mieli urzędowe papierozy. Dzieci tych małżeństw mówią w domu po niemiecku. Inne nabywają tej umiejętności w szkole. Z biegiem lat będą z nich „Preussen” jak nazywają tu Niemców pochodzących z innych prowincji — i to zdecyduje zapewne o końcowej — w granicach ich możliwości — asymilacji rodziców.

Czy dla dzieci Korei istnieją jeszcze jakieś inne wyjścia? Spotkałem raz w osiedlu automobil z holenderskim numerem i do-

wiedziałem się z tej okazji, że grupa dzieci była zaproszona latem do Holandii, i że inicjatorzy tych zaprosin zaczęli odwiedzać swych pupilów w Dortmundzie. W parę dni później zaczęli mnie na ulicy chłopiec mogący mieć koło pięciu lat, o ciemnych, uważnych oczach:

- Chciałbym pojechać do Holandii.
- Czemu chcesz stąd jechać, dziecinko?
- Tam jest lepiej. Tu jest niedobrze.
- Jedźmy w takim razie do Holandii.
- Przed tym trzeba napisać list. Niech pan pomówi o tym

z mamą.

Chłopiec ma rację. Tu nie jest dobrze: przede wszystkim jest tu niepewnie. Kto potrafi przewidzieć dalsze losy Korei? Osada ta, jak i inne osady dla emigrantów w Westfalii, powstała w czasach, kiedy losem emigrantów zajmowały się władze okupacyjne i traktowały o tym z rządem w Bonn. Rząd ten nie ma jednak żadnej jasnej polityki wobec uchodźców ze Wschodu. Utrzymuje wprawdzie dla nich osiedla w Westfalii, ale nowych uchodźców zamyka w ponurej sławie obozie Valka. Jakie wyciągnąć stąd wróżby? Niedługo los emigrantów w Niemczech w ogóle, a z nim i losy Korei staną się zależne tylko od polityki wewnętrznej niemieckiej, której dróg nikt nie potrafi przewidzieć.

Październik-listopad 1954.

Paweł HOSTOWIEC

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Île, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Zachód nareszcie wyzwala

Zawiniłem. Trzeba było od razu napisać pomimo, że nie lubię krajoznawczych referatów. I zamiast mnie, osiadłego w Guatemali od przeszło sześciu lat, zżytego z tym krajem tak, jak tylko można żyć się z ziemią, którą się szczerze pokochało, zamiast mnie napisał „fachowy” artykuł o Guatemali p. Zarzewski w N-rze 9/83 „Kultury”.

Z Ameryką odkrywaną bezustannie przez Europejczyków są wieczne nieporozumienia od Kolumba począwszy, a z Ameryką na południe od granicy USA i Meksyku nieporozumienie zamienia się w większości wypadków w zwyczajne klituf-bajduś. Niech mi p. Zarzewski wybaczy, ale cały jego artykuł na temat przewrotu w Guatemali trzeba zaliczyć do tej kategorii. I byłoby to nieważne, gdyby nie fakt, że po przeczytaniu go odniosłem wrażenie jakby był on wprost inspirowany przez któregoś z guatemalskich „demokratów” Arbenza.

Na pewno tak się nie stało, ale niech to posłuży za dowód, jak ostrożnie należy traktować odległe i egzotyczne tematy, spoglądając na nie wyłącznie z wysokości paryskiego czy londyńskiego pępka i analizując je w oparciu o bzdury wypisywane na ten temat przez „Times” lub „Manchester Guardian”. Zresztą cała prasa europejska wypisywała banialuki, a moi znajomi, przebywający w czasie uwolnienia Guatemali w Europie i orientujący się w istocie konfliktu, doszli do wniosku, że ton dzienników niemal wszystkich odcieni nosił cechy doskonale przeprowadzonej przez komunistów inspiracji.

Czy była to inspiracja? W wielu wypadkach tak, lecz w wielu na pewno nie, będąc jedynie objawem tej straszliwej zmory przygniatającej olbrzymią większość zachodnich intelektualistów, pisarzy, publicystów i dziennikarzy, zabierających głos na tzw. tematy aktualne.

Zmorą duszącą dziś niemal cały intelektualny, a szczególnie antykomunistyczny świat po tej stronie, jest po prostu paniczny, przeraźliwy i ogarniający każdą myśl strach, aby nie być nazwanym przez jakiegoś „postępowca” reakcjonistą. Najbardziej wolne umysły wolnego świata skracają się pod okiem dalekiej komunistycznej cenzury kluczą, płatają się. A gdy zaczyna być mowa o USA albo — zgiń szatanie — o jakimś koncernie, pióro wypada z ręki. I pod wpływem tego strachu wypisuje się i wygłasza opinie, które z rzeczywistością nie mają nic wspólnego i są w przeważającej ilości wypadków albo slalomem pomiędzy białymi i czerwonymi chorągiewkami, albo pełnym rozkoszy i wyższości samounicestwianiem się na kredyt na łonie Historii. Strach jest powszechny i umiejętnie rozbudowany przez komunistów. Wkręca się we wszystkie poczynania po naszej stronie i paraliżuje. Niedoceniając tej „angoisse” p. Zarzewski udzielił zbyt dużego kredytu prasie angielskiej opierając na niej swe informacje i wnioski. Mimo swego niewątpliwego poziomu nie jest ona obiektywna i ścisła jeśli idzie o sprawy związane z Sowietami i Stanami Zjednoczonymi.

DUCHOWY SOCJALIZM

Do października 1944 roku Guatemala rządzona była przez kolejno następujących po sobie dyktatorów. Ostatnim z nich był gen. Ubico, który zastał Guatemalę drewnianą i zostawił mruwaną. W całym kraju klimat jest dobry, w częściach niskich tropik, ale nieszkodliwy; w wyższych przez cały rok wiosna. Ziemia nie jest zbyt żyzna, ponieważ najważniejszym problemem jest nawodnienie w porze suchej. Ludzi bogatych jest dużo, klasa średnia szybko tworzy się, a Indianie żyją w nędzy wskutek straszliwego konserwatyzmu i — lenistwa. Z głodu jednak nikt tu nigdy nie umarł. Złota nie ma, srebra nie ma, o miedzi nie słyszałem, trochę ołowiu i cynku. Prawdopodobnie nafta, ale to okaże się dopiero teraz, kiedy Amerykanom pozwolą wiercić.

Dyktator Ubico ustąpił pod naciskiem opinii publicznej w czerwcu 1944 roku, przekazując władzę równie dyktatorsko nastawionej klice wojskowych z gen. Ponce na czele. Po czterech miesiącach Ponce został obalony rewolucją z 20 października 1944 roku. Rewolucja ta była odruchem na wskroś popularnym i połączyły się w niej wszystkie warstwy społeczne Guatemali. Przywódcami jej byli dwa młodzi pułkownicy, Arana i Arbenz, oraz bogaty kupiec, J. Toriello, brat ostatniego ministra spraw zagranicznych rządu Arbenza.

Ci trzej „caballeros” utworzyli triumwirat, zakładając w szybkim tempie fundamenty pod rzetelną demokrację. Guatemala przebudziła się. Cały kraj wspierał pracę „junty” z entuzjazmem. Przyszły wybory, parlament, konstytucja, prezydent.

Został nim J. J. Arévalo, profesor jednego z prowincjonalnych uniwersytetów argentyńskich, Guatemalczyk przebywający od dziesięciu lat na wygnaniu.

Kandydatura ta została bardzo zręcznie podszeptnięta przez skrajnie lewicowe ugrupowania rewolucyjne i z entuzjazmem przyjęta przez ogół, jak w ogóle wszystko w tych czasach wolnościowego upojenia. Arévalo był bardzo zręcznym politykiem. Pod pozorem „duchowego socjalizmu” (socialismo espiritual), o którym nikt nigdy nie umiał powiedzieć, czym był, udało mu się od samego początku przemycić i rozbudować wpływy komunistyczne.

Do Guatemali zaczęli teraz zjeżdżać z honorami Lombardo Toledano z Meksyku, Blaz Roca z Kuby, Louis Saillant z Francji, Pablo Neruda z Chile; zaczęli także masowo osiedlać się hiszpańscy komuniści. Tym Państwo płaciło hotele, dawało dobrze płatne posady rządowe, kredyty bankowe na zakładanie własnych przedsiębiorstw, a funkcjonująca tu placówka IRO została szybko zamieniona w biuro pomocy dla hiszpańskich komunistów.

Jak w kilka miesięcy po wylądowaniu tutaj Arévalo wpuścił grupę szesnastu Polaków jako argument, że nie tylko czerwoni Hiszpanie są przyjmowani — wywahałem od razu, co się w gruncie rzeczy przygotowuje. Gdy podzieliłem się moimi spostrzeżeniami z kilku bardzo światłymi osobami miejscowymi, potraktowano moje wywody z pobłażliwym uśmiechem. Nie mogli i nie chcieli uwierzyć, gdy prorokowałem im czerwoną przyszłość. Polacy są obciążeni kompleksem. A tymczasem praca szła miarowo naprzód.

Po roku pobytu tutaj wyczuwałem już najwyraźniej misterną robotę i przewidywałem każdy następny etap. Arévalo nie spieszył się — pracował wolno, delikatnie i inteligentnie, stosując coś na kształt metody Mao Tse Tung. Coraz mocniejsze zastrzyki oszalałego nacjonalizmu, a równocześnie zawsze na dwóch płaszczyznach: każdemu krokowi naprzód w kierunku skomunizowania kraju odpowiadało jakieś posunięcie maskujące, pozornie bardzo demokratyczne, ale już kryjące w sobie szereg niewidocznych dla niewprawnego oka momentów, których rozwinięcie czy odpowiednia interpretacja mogły oddać komunistom wielkie usługi w przyszłej działalności.

Popierano wszystko: kulturę, sztukę, do Guatemali przyjeżdżała meksykańska opera, ale — Małcużyńskiemu wizy nie dano. I tak było ze wszystkim. Ale mało kto widział rzeczywistość. Tymczasem nowoutworzone syndykaty robotnicze i chłopskie, sądy pracy, inspektoraty pracy, ubezpieczalnie społeczne i wszelkie ważniejsze urzędy obsadzone były przez komunistów lub sympatyków. Nowe ustawy, jak bardzo postępowy — aż za postępowy — kodeks pracy, stały się doskonałymi instrumentami niszczenia prywatnej inicjatywy. Wskutek braku przeszkolonego personelu krajowego, Guatemala importowała masowo komunistów z Meksyku, Hondurasu, Nikaragui, Costa Rica, Chile

— zewsząd. Przynależność do partii była najlepszym listem polecającym we wszystkich poczekalniach ministrów i szefów wydziałów. Komuniści objęli wszystkie kierownicze stanowiska i zorganizowali wyższą szkołę marksizmu-leninizmu pod nazwą „Escuela Claridad” przechrzczoną następnie już otwarciem na „Escuela de Capacitación Marxista”. W 1949 r. o Guatemali można już było mówić jako o stolicy pewnego rodzaju Kominformu środkowo amerykańskiego, bo komunistyczna bibuła zaczęła rozchodzić się stąd na wszystkie strony.

Penetracja była przeprowadzana tak zręcznie, przy użyciu tak koronkowych metod, że nie tylko na zewnątrz, ale nawet w samej Guatemali mało kto widział ku czemu kraj idzie. I wszystko udawało się — nawet wyrzucenie amerykańskiego ambasadora. Nacjonalizm, kretyński jak każdy nacjonalizm, zaślepił. Dziś zostało już udowodnione przy pomocy odnalezionych dokumentów, że rząd „duchowego socjalisty” Arévalo od samego początku nawiązał kontakty z zamorskimi ośrodkami komunistycznymi i że krajowe czynniki rządzące otrzymywały bardzo dokładne dyrektywy z zewnątrz.

Praca komunistów postępowała bezustannie naprzód. Dzień za dniem rozszerzali oni swoje wpływy, gdyż tylko oni mieli pełne poparcie rządu. Uniwersytet, a głównie wydziały prawa i humanistyki stały się w gruncie rzeczy ośrodkami szkolenia młodych intelektualistów komunistycznych. Dawne podręczniki ekonomii, socjologii, historii doktryn ekonomicznych etc., zastąpiono powoli podręcznikami, opracowanymi przez marksistów różnych narodowości. Na tych fakultetach jedynie marksistowski punkt widzenia uważany był za prawdę naukową. Innego nie uczono. We wszystkich szkołach średnich, rządowych i prywatnych wprowadzono jako jedynie obowiązujący podręcznik ekonomii politycznej „Breves Resúmenes de Economía Política” opracowany przez dwóch czołowych komunistów krajowych V. M. Gutierrez i G. Alvarado i wydany przez Ministerstwo Oświaty. Egzamin na końcu roku odbywały się pod okiem inspektorów Ministerstwa i uczniowie zmuszeni byli odpowiadać na pytania z ekonomii i nauk społecznych jedynie w oparciu o ten podręcznik.

Pod koniec 1949 roku pojawiły się pierwsze numery tygodnika „Octubre”, w którym litery nazwy pisma stylizowane były w ten sposób, że przypominały litery alfabetu rosyjskiego. Po kilku numerach zmieniono kliszę, bo wydało się to trochę za wiele nawet samym komunistom. Z podniecanym coraz to bardziej nacjonalizmem, cała prasa rządowa ziała nienawiścią do wszystkiego, co obce, a szczególnie północno-amerykańskie. W redakcjach tych dzienników, w radiu państwowym prym wiodli komuniści. Komunikaty i oświadczenia sytuacji na Korei otrzymywano bardzo szybko. Słuchając w nocy Warszawy, można było na następny dzień wylapać w tutejszych informacjach rządowych niemal dosłowne tłumaczenie całych zdań. Oczywiście agresorem były USA, które następnie rozpętały wojnę bakteriologiczną.

KU DEMOKRACJI LUDOWEJ

Momentem przełomowym był lipiec 1949 rok. Na miesiąc przedtem Arévalo zmobilizował samoloty państwowej linii lotniczej „Aviateca” celem przetransportowania komunistów i broni, koncentrujących się nad Atlantykiem w celu obalenia dyktatury na Santo Domingo. Miało to być jedno z początkowych posunięć zbrojnych Kominformu Środkowoamerykańskiego, mające na celu rozszerzenie wpływów i podporządkowanie komunistom szeregu krajów sąsiednich.

Wypadek na Santo Domingo nie udał się, statek wiozący pierwszy rzut sił desantowych został przychwycony przez torpedowce dyktatora Trujillo. W Guatemali pozostały znaczne zapasy broni, przechowywane prywatnie przez komunistów i mające służyć do ewentualnego zaopatrywania oddziałów na Santo Domingo. Zaczęto otwarcie mówić, że teraz broń ta posłuży do wyposażenia milicji ludowej. Nie będąc pewni wojska, komuniści chcieli stworzyć przeciwwagę. Arbenz był w tym czasie ministrem spraw wojskowych, a Arana naczelnym wodzem sił zbrojnych. I — co gorsze — najbardziej popularnym kandydatem na prezydenta po skończeniu się kadencji Arévala. Orientacja polityczna Arany, antykomunistyczna i proamerykańska, była przeszkodą na równo ścielącej się drodze komunistów.

Arana wiedział, ku czemu rząd zmierza i natychmiast po nieudalym wypadku na Santo Domingo postanowił zlikwidować prywatne arsenały komunistów. Zażądał wyjaśnień na ten temat od prezydenta. Arévalo początkowo uchylał się od wydania broni pod kontrolę wojska, lecz 18 lipca zawiadomił nagle Arana, że jedna z większych składnic znajduje się pod Guatemalą, w willi byłego dyktatora Ubico. Arana dał się wciągnąć w zręczną zasadzkę. W drodze powrotnej z inspekcji został napadnięty i zastrzelony w samochodzie przez „nieznanych” sprawców, o których cała Guatemala wiedziała, kim byli.

Po południu wybuchło powstanie wiernych Aranie oddziałów wojskowych, ale pozbawione jednolitego dowództwa, po trzydniowej walce przeciwko bojówkom syndykatów, atakowane przez wierne rządowi lotnictwo, powstanie to upadło. Wojsko poddano gruntownej czystce, zwyciężyła „demokracja”.

Jeszcze ciągle zachowywano pozory, jeszcze ciągle Arévalo zręcznie lawirował i powstrzymywał zbyt jaskrawe wystąpienia komunistów, jeszcze ciągle nie dopuszczał do zupełnego ujawnienia się partii, mydląc oczy opinii krajowej i międzynarodowej „duchowym socjalizmem”. Teraz rozpoczęto już otwarcie kampanię wyborczą za Arbenzem i nie ulegało żadnej wątpliwości, że następnym prezydentem będzie jeden z morderców Arany. W tym celu utworzono komisję koordynacyjną rewolucyjnych partii rządowych. Kierowali nią wyłącznie komuniści: J. M. Fortuny, Guerra Borges, B. Alvarado Monzón i A. Cuenca. Cała

działalność propagandowa przedwyborcza spoczęła w rękach komunistów.

Wszystkie instytucje rządowe, polityczne i gospodarcze, tworzone pod najbardziej demokratycznymi pozorami, zaczęły nagle przedstawiać się oczom zdziwionych obywateli jako doskonałe narzędzia do stopniowego „uspołeczniania” całej gospodarki. Stworzony z wielkim hukiem i nakładem państwowych pieniędzy „Instituto de Fomento de la Producción” i mający służyć jako czynnik wspierający rozwój inicjatywy prywatnej w wytwórczości przemysłowej i rolnej, zaczął coraz wyraźniej przejawiać cechy Centrali Importu i Eksportu, zaczął podkopywać handel prywatny, importując bez cła cały szereg produktów i sprzedając je po znacznie niższych cenach, aniżeli mógł sobie na to pozwolić handel prywatny. Uzyskanie pożyczki zależne było od przekonania politycznych i sympatii prorządowych. Pieniądze wpływające do Ubezpieczalni Społecznej zużywano na propagandę polityczną. Dyrektorem jej był komunista. Biurokracja rozrastała się z każdym dniem, bo „wszystkie rewolucje skończyły na tym, iż pomnożyły liczbę urzędników”, jak to gdzieś zauważył G. Ferrero. Po przeprowadzeniu czystki w wojsku, zaczęto je obłaskawiać i przekupywać wysokimi pensjami oficerskimi, sprzedając za grosze działek miejskich pod budowę własnych domków w najlepszych dzielnicach miasta, sprzedając samochodów importowanych bez cła. Porucznicy jeździli Chevroletami, pułkownicy i ministrowie Cadillacami.

Po lipcu 1949 roku zaczął także objawiać się „demokratyczny” terror. Cenzurowano korespondencję osób podejrzanych o antykomunizm. Wystarczyło, aby ktoś przejawiał najlżejszą inicjatywę antykomunistyczną, stawał się natychmiast pilnie obserwowanym. Przywódcy odruchów antykomunistycznych — zaczęły się one nieśmiało formować pod koniec 1949 roku — znikali po pewnym czasie z horyzontu. Dowiadywaliśmy się później okólną drogą, że ten lub tamten został potajemnie aresztowany, storturowany przez policję i odwieziony na granicę Meksyku lub Hondurasu, gdzie przepędzało się go nagiego w dzunglę na drugą stronę. Na horyzoncie pojawiła się także reforma rolna. Jej projekt został opracowany w całości przez komunistów w oparciu o najlepsze zakurtynowe wzory. Jeden z wcześniejszych projektów, który dostał się w moje ręce, nie pozostawił we mnie żadnych wątpliwości co do celów tej reformy. Była pomyślana jako jeden z etapów w programie partii.

CASTILLO ARMAS

Obecny prezydent Guatemali i przywódca sił wyzwoleniczych nie jest osobą nową. 5 listopada 1950 roku, na cztery dni przed wyborami, których wynik był z góry przesądzony na korzyść Arbenza, płk. Castillo Armas próbował ratować sytuację. Na czele 60-ciu spiskowców antykomunistycznych zaatakował bazę lotni-

czą w stolicy. Atak był bardzo dobrze przygotowany, niestety, wywiad rządowy pracował jeszcze lepiej.

Spiskowcom wprawdzie udało się dostać na lotnisko, tam jednak zostali otoczeni i wystrzelani z karabinów maszynowych niemal co do jednego. Castillo Armas, podziurawiony jak sito, został wrzucony na ciężarówkę razem z innymi trupami i przewieziony do kostnicy. Tam dopiero lekarz stwierdzający zgon przewiezionych skostatował, że pułkownik żyje. Przewieziono go do szpitala, po wyleczeniu zamknięto, po czym skazano na śmierć. Na krótko przed wykonaniem wyroku, 11 czerwca 1951 Castillo Armas wydostał się z więzienia przez podkop. Nie złapano go. Guatemala po cichu szalała z radości, a człowiek ten od tej chwili stał się symbolem walki z komunizmem i pomimo wszystko — wolności. Bo od 15 marca 1951 roku tj. od dnia objęcia władzy przez Arbenza z wolnością zaczęło się dziać źle. Posiadali ją *jedynie* komuniści i wypadki potoczyły się bardzo szybko.

ARBENZ

Arbenz doszedł do władzy jako pionek komunistów. Od tej chwili przestano liczyć się z pozorami. W połowie 1951 roku partia komunistyczna została oficjalnie utworzona i zarejestrowana jako Partido Comunista Guatemalteco" a następnie przechrzczona na „Partido Guatemalteco del Trabajo”. Wzmógł się nacisk na prasę niezależną, na szkolnictwo prywatne i na Kościół. Arbenz kilkakrotnie oświadczył wprost, że jeżeli dzienniki niezależne będą kontynuowały politykę oporu i krytyki rządu, zostaną zmuszone do milczenia. Prywatne stacje radiowe, nadające jedną ostre komentarze na tematy aktualne, a druga programy antykomunistyczne ataszatu kulturalnego ambasady amerykańskiej, zostały zdemolowane w krótkich odstępach czasu przez „nieznanych sprawców”. Szkołom prywatnym zabroniono przyjmowania nauczycieli i profesorów na własną rękę bez uprzedniej zgody Ministerstwa Oświaty. Dzięki temu komuniści mieli możliwość umieszczania swoich ludzi w każdej szkole. Poprzez „Confederación General de Trabajadores” i „Confederación Nacional Campesina” komuniści kontrolowali ruch robotniczy i chłopski w całym kraju. Obydwie te centrale należały do komunistycznej Światowej Federacji Związków Zawodowych. Zaczęły w każdym mieście i miasteczku powstawać „Związki Młodzieży Demokratycznej”, Komitety Pokoju, żona Arbenza założyła „Alianza Femenina Guatemalteca”, na Guatemalę spadł deszcz wydawnictw ze wschodu. Mnie przysyłano do domu „Polonia Nueva”, na każdym rogu ulicy można było kupić „Tiempos Nuevos” i wspaniałe kolorową „Unión Soviética”.

Walka przeciwko Kościołowi toczyła się bardzo ostrożnie, ale przy zastosowaniu nienajgorszych metod. Tak np. na banknotach 50-centowych, a więc mających największy obieg wśród

chłoptwa, pojawiły się przybijane tajemniczą pieczęcią napisy: „Precz z arcybiskupem”.

Komuniści jeździli teraz na wycieczki za kurtynę z paszportami dyplomatycznymi. Żaden z ministrów Arbenza nie był oficjalnie członkiem partii — to prawda — i na to Arbenz powoływał się bezustannie, lecz spełniali oni wszystkie obowiązki i wykonywali wszystkie dyrektywy partii z nieudaną gorliwością. Kierownikiem sumienia, układaczem mów, przyjacielem domu Arbenza stał się V. M. Gutierrez, czołowy komunista Guatemali. To on skompletował wspaniałą bibliotekę komunistyczną w willi Arbenzów. Antykomunizm został oficjalnie uznany za ruch antyrządowy, antyrewolucyjny i wywrotowy. W oparciu o ten argument wielka manifestacja antykomunistyczna, domagająca się rozwiązania partii na podstawie Art. 32 Konstytucji guatemalskiej (Zakaz tworzenia organizacji politycznych podlegających wpływowi obcym) i zorganizowana 12 lipca 1952 roku została zmasakrowana strzałami policji. Otoczono manifestantów zając zając z ulic wokół placu. Zabito sześć osób, ponad 40 rannych. Widziałem to. Był to chyba jedyny kraj w wolnym świecie, w którym strzelano do antykomunistów. Jakież więc był ten rząd, którego dziś bronią wyłoki dziennikarskie w rodzaju Patricka Keatley'a z BBC, na którego powołuje się p. Zarzewski. „Czy byli to reformatorzy agrarni, liberalni kapitaliści, typowi łacińskoa amerykańscy mocni ludzie z ambicjami władzy, czy po prostu komuniści?” — zapytuje Keatley i odpowiada, że rząd Guatemali obejmował wszystkie cztery elementy po równemu. Typowa aspirynkowa odpowiedź eunucha politycznego, od jakich roi się dziś na Zachodzie.

REFORMA ROLNA

Reforma rolna na pewno była konieczna. Że rozdział ziemi był tu nierówny, to też prawda, szczególnie gdy weźmie się pod uwagę, że największym obszarnikiem w Guatemali jest Państwo. Potem dopiero idą obszarownicy prywatni, mniejsi właściciele ziemscy, małorolni „ladinos” we wschodnich częściach kraju itd. Państwo posiada tu olbrzymie i bogate tereny i najwłaściwszym sposobem rozdziału ziemi byłoby skolonizowanie tych terytoriów własnym chłopom ślęczonym na jałowych i od lat prymitywnie eksploatowanych terenach górskich. Ale na to trzeba by udostępnić tę ziemię, ułatwić i zorganizować osadnictwo. Wiadomo zaś, że komunistyczne reformy rolne nie mają nigdy na widoku celów gospodarczych, lecz przede wszystkim polityczne. I ten cel, wyłącznie polityczny, miała reforma rolna Arbenza.

Reforma ta poszła po najmniejszej linii oporu i objęła wyłącznie ziemię leżącą w zagospodarowanej strefie kraju i będące prywatną własnością. Bo z rozdziałem rządowych majątków nie spieszo się. Stanowiły one wygodny pretekst do utworzenia sowchozów. W postaci, w jakiej została proklamowana, a szcze-

gólniej wprowadzona w życie, miała na celu doprowadzenie do kolektywizacji rolnictwa. Ziemi nie dawano na własność. Ziemi nadzielane chłopom przez reformę, Państwo oddawało im *w dzierżawę*. Obdarowany chłop nie był jej właścicielem — ziemia pozostawała własnością Państwa. Indianin jest analfabeta, ale nie jest głupi. W wielu wypadkach zdarzało się, że nowi „posiadacze”, otrzymawszy np. trochę bydła razem z ziemią, sprzedawali wszystkie ruchomości i przechodzili do Meksyku.

„Jak nie będziesz z nimi, to ci ziemię odbiorą” było normalnym powiedzeniem po wsiach.

Wykonanie reformy rolnej przechodziło w całości przez ręce komunistów, odbywało się w całości pod kątem widzenia ich interesów. Zgodnie z przepisami reformy własność poniżej pewnej powierzchni, nawet jeżeli składała się z samych ugorów, nie podlegała parcelacji. W rzeczywistości od pierwszego dnia wprowadzenia reformy absolutnie wszystkie jej postanowienia były gwałcone. Po wsiach rozproszyli się agitatorzy komunistyczni i rozpoczęli podburzać Indian do zajmowania ziemi na własną rękę, bez oglądania się na przepisy ustawy. Utworzono po wsiach komitety agrarne, a właściwie sowiety chłopskie, i te decydowały o wszystkim. Na ich czele stali *wyłącznie* komuniści. Jakkolwiek sprzeciw uważany był za „antyagraryzm”, a sprzeciwiający się orzeczeniom tych komitetów najczęściej płacił życiem za opór. Indianie rżnęli ludzi pod aprobującym okiem policji. Nie łapano ani nie karano nikogo.

Na wschodzie Guatemali doszło natychmiast do walki z małymi właścicielami rolnymi. W departamentach wschodnich, wyeksploatowanych już przez Hiszpanów, ubogich, jest dużo małych posiadaczy rolnych, Ladinos (prawie biali) bardzo dumnych i twardych. Ich własność, zgodnie z przepisami reformy, nie podlegała parcelacji. Ale komuniści podburzali tam chłopów bezrolnych, bardzo często przywiezionych z innych części kraju, i doszło do rzezi i krwawo stłumionego powstania. W marcu 1953 r. „grupa antykomunistów” zaatakowała miejscowość Salamá, odległą o 150 km. od stolicy. Był to nieudały i spontaniczny odruch rozpaczki małych posiadaczy, którym teraz odbierano w wielu wypadkach wszystko. Szli z dubeltówkami na karabiny maszynowe.

Powstanie to przydało się bardzo Arbenzowi. Posłużyło za pretekst do wystąpienia Guatemali ze Zgromadzenia Narodów Środkowoamerykańskich na parę tygodni przed obradami tej organizacji, w czasie których minister spraw zagranicznych San Salwadoru miał wnieść wniosek zalecający walkę z komunizmem. Posłużyło także do stworzenia obozu koncentracyjnego w Salamá. Od tej chwili zaczęły się zsyłki antykomunistów do tego obozu. Bici i głodzeni, zmuszani do pracy w tropiku bez kropli wody przez cały dzień, gnili w brudzie, bez opieki lekarskiej. Wielu umarło, wielu widziałem w Guatemali, kiedy przywieziono ich po uwolnieniu. Był to widok, który też znamy aż za dobrze. „Wolności obywatelskie — pisze p. Zarzewski — nie

zostały przez Arbenza naruszone, w każdym razie nie w stopniu przekraczającym obyczaje polityczne w republikach centralno-amerykańskich”. Rozbrajająca jest ta nasza wyższość zetatyzowanych dusz europejskich w stosunku do ludzi naprawdę wolnych i mających znacznie lepsze pojęcie o wolnościach obywatelskich aniżeli przeciętny obywatel Europy, marzący o kajdanach nakładanych mu przez Państwo na każdym kroku i uważający to za — postęp. Atlee zauważyłby, że za czasów Arbenza nie było w Guatemali — much.

Na wsi kwitło donosicielstwo, bo szanse otrzymania lub utrzymania ziemi rozdanej w celach całkowicie taktycznych, mieli tylko „właściciele” przejawiający ożywioną działalność komunistyczną. Zdarzały się wypadki masowych uchylań się od przyjęcia ziemi. Uchylających się wyłapywano, bito, więziono lub po prostu wyrzynano.

Powstał kompletny chaos gospodarczy. Produkcja rolna zaczęła obniżać się, pogłowie bydła spadało z miesiąca na miesiąc, bo pastwiska traktowane były jako ugory i parcelowane. Ceny mięsa rosły. Wobec tego przygotowano ustawę o upaństwowieniu handlu mięsem. Koszt utrzymania wzrastał z dnia na dzień, wobec tego rozpoczęto nagonkę na handel prywatny. W całym kraju zapanowała niepewność, kapitały wycofywały się gwałtownie i dziś oblicza się tę ucieczkę na około 60 milionów dolarów.

Wywłaszczanie ziemi odbywało się tylko pozornie na zasadzie stuprocentowej kompensacji. Odszkodowania wypłacano bonami rolnymi, płatnymi po 20-tu latach, a jako ich pokrycie miały służyć opłaty za dzierżawę, płacone Państwu przez „obdarowanych” chłopów. Trudno nazwać bezwartościowy papier, nie mający żadnego obiegu na rynku, stuprocentową kompensacją. Od decyzji Centralnego Urzędu Reformy Rolnej nie było apelacji. Gdy Sąd Najwyższy w jednym z wypadków krzyczącej niesprawiedliwości przyjął skargę jednego z pokrzywdzonych, został natychmiast w całości destytuowany wbrew wszelkim postanowieniom Konstytucji. W skład nowego Sądu Najwyższego weszli ludzie oddani duszą i ciałem komunistom.

Wszystkie komisje Izby Deputowanych, opracowujące projekty nowych ustaw, opanowane były przez komunistów i *wszystkie* projekty były faktycznie opracowywane przez nich. Czterech posłów komunistycznych, pracujących — to trzeba im przyznać — niezmordowanie, prowadziło na smyczy 39-ciu pozostałych posłów ze stronnictw prorządowych. Nie było to trudne, skoro ci byli terminatorami. Jeden z posłów (Foncea) publicznie oświadczył w czasie jednej z debat, że partie rządowe są tylko partiami przejściowymi i „prędzej czy później wszyscy znajdziemy się w szeregach partii komunistycznej”. Nazajutrz ukazał się komunikat, że poseł ten przemawiał — w stanie nietrzeźwym...

Trzech posłów opozycji najczęściej nie dopuszczano do głosu, bo kiedy któryś z nich chciał przemawiać, „publiczność” zwożona do gmachu parlamentu rządowymi ciężarówkami, zakrzyki-

wała i uniemożliwiała wszelką interwencję opozycji. Tenże parlament, w czasie uroczystej sesji, uczcił minutą milczenia pamięć Stalina po jego zgonie. O ile wiem, był to jedyny parlament w wolnym świecie, który oddał tak uroczyste honory zmarłemu dyktatorowi Rosji.

TERROR

Przy końcu 1953 roku rozpoczął się najzwyklejszy terror. Przypomniały mi się lata okupacji niemieckiej. Ludzie znikali. Wiedzano tylko, że zostali potajemnie aresztowani, po czym wszelki ślad po nich ginął. Zapanowała atmosfera nie do zniesienia. Trzeba było liczyć się z każdym słowem. Imadło komunistyczne zaciskało się tak silnie, iż w skuteczność jakiejś akcji od wewnątrz przestano wierzyć. Przestałem nawet pisywać listy do przyjaciół i zacząłem myśleć o wyjeździe. Pamiętam długą rozmowę z jednym z tutejszych przyjaciół, dziś wysokim dygnitarzem. „Słuchaj, ty się na tym znasz — powiedział — i odpowiedz mi całkiem bezstronnie i fachowo czy to już jest komunizm?” — „Do pełnej demokracji ludowej brakuje jeszcze trochę, ale do uzupełnienia tych braków wszystko jest już tak przygotowane, że właściwie to *już jest* państwo komunistyczne” — odpowiedziałem. „W takim razie pozostaje już tylko to” — odrzekł rozpinając marynarkę i pokazując zatkniętego za pas Colta.

Nie mogę zrozumieć jakim sposobem p. Zarzewski wie, że Arbenz *nie* był komunistą, co specjalnie podkreśla w swoim artykule. Może próbka dialektyki, wzięta z jednej z jego ostatnich mów, przekona najlepiej, czy nim był, czy nie. „Zalecenia odnoszące się do walki przeciwko „interwencji komunizmu międzynarodowego” — mówił Arbenz tuż przed konferencją w Caracas — zostały powzięte w imieniu obrony demokracji i bezpieczeństwa półkuli zachodniej. Zasługuje to na poczynienie szeregu uwag. Po pierwsze wyrażenie „interwencja komunizmu międzynarodowego” jest terminem mętnym, niesprecyzowanym. W prawie międzynarodowym jedynie definicje mają moc określającą. Po wyższy termin nie definiuje o co chodzi. Czy chodzi o jakąś doktrynę, organizację, Państwo? Gdyby chodziło o jakąś doktrynę, to jest ono źle użyte, ponieważ doktryny wskutek ich charakteru abstrakcyjnego nie interweniują, nie posiadają sensu stricto środków ku temu z punktu widzenia prawa międzynarodowego. To samo można zauważyć w odniesieniu do organizacji o charakterze międzynarodowym zarówno sankcjonowanych przez organizmy międzynarodowe jak i nie posiadających żadnej sankcji. Poza tym brak tu sprecyzowania o jaką organizację konkretnie chodzi”. Wystarczy? Tatuniu, czy wąż ma ogon? — żeby przypomnieć dowcipny skrót dialektyki przytoczony przez Miłosza.

Minister spraw zagranicznych Arbenza, G. Toriello, słabiej obkuty w dialektycznym talmudzie, nie potrafił tak dobrze mówić i streścił to w prostym pytaniu „pierwszej naiwnej”, które

stało się sławne na konferencji w Caracas. Toriello wręcz zapytał: „Co to jest komunizm międzynarodowy?” Nie — to nie byli komuniści. Nawet nie wiedzieli, co to jest.

Po konferencji w Caracas, gdzie Guatemala była jedynym krajem głosującym przeciwko antykomunistycznej rezolucji USA, Arbenz oświadczył: „Odnieśliśmy olbrzymie zwycięstwo moralne nad imperialistami”. Terror wzmożł się. Mnożyły się aresztowania, a na uwięzionych wymuszano torturami najbardziej nieprawdopodobne zeznania. Guatemala pustoszała; ludzie uciekali. Zręcznym posunięciem podatkowym, rząd Arbenza zamknął dopływ filmów amerykańskich. Na ich miejsce przysłały filmy sowieckie, zapowiadano polskie i czeskie. Handel zamierał, projekty „uspołecznienia” terenów prywatnych w obrębie miasta, wywłaszczenia domów (ley, urbana) doprowadziły do zupełnego zastoju budownictwa. W samej Guatemali-mieście ponad 10.000 robotników pozostało bez pracy. Komuniści mieli nowy i gotowy materiał, wytworzony przez nich samych.

Wewnątrz wszystko było przygotowane do ostatecznego przewrotu. Guatemala była pomyślana jako przyczółek mostowy komunizmu w Ameryce Środkowej. Powoli, ale bardzo metodycznie, komuniści gromadzili amunicję. Po uwolnieniu kraju okazało się, że w budynkach rządowych przechowywano ponad 40 ton literatury propagandowej sowieckiej. Były to kompletne biblioteki: komplety dzieł Stalina, powieści, broszury propagandowe, słowniki hiszpańsko-rosyjskie, podręczniki dla szkół powszechnych, książki dla dzieci. Oglądałem. Wszystko wydane bardzo ładnie, w doskonałym tłumaczeniu na hiszpański, i wszystko wydane w Moskwie przez tzw. „Ediciones Internacionales Moscú”. Ponad dwie tony filmów propagandowych sowieckich, przysłanych przez „Soweksportfilm”. Broń propagandowa była przygotowana i było jej pod dostatkiem. Nie tylko dla Guatemali. Brakowało broni zwyczajnej, ale i na to znalazła się rada.

BRON

18 maja 1954 nadeszła wiadomość, że do Puerto Barrios wpłynął okręt z ładunkiem 2.000 ton broni i amunicji, pochodzącej z Polski. W rzeczywistości okręt był szwedzki, armator angielski, broń niemiecka zakupiona w Czechosłowacji, pośrednictwem w sprzedaży szwajcarskie, a wszystko załadowane w Szczecinie. Broń była całkowicie zdalna do użytku. Wszystkie próbki oglądałem osobiście. Jest to sprzęt niemiecki, częściowo nowy, częściowo całkowicie odremontowany (nowe lufy, nowe rzemieńce). Broń składała się ze sprzętu lekkiego: karabiny ręczne, lekkie karabiny maszynowe i trochę ciężkich, miotacze min, granaty ręczne, amunicja. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że całe wojsko regularne Guatemali liczy 7.000 ludzi i że w momencie nadejścia tej broni, było ono już zupełnie dobrze uzbrojone, to okazało się, że broń ta na pewno nie była przeznaczona tylko dla Gua-

temali. Samej nowej broni i amunicji wypadało około 300-tu kg. na jednego żołnierza. Nie było to wszystko. Następny transport, składający się z około 400 ton, w tym szwajcarskie działka przeciwlotnicze i amunicja, został przychwycony przez Amerykanów w Hamburgu, a okręt angielski, wiozący podobno samoloty myśliwskie dla ratowania „demokracji” Arbenza został zatopiony przez lotnictwo Castillo Armas już w czasie rewolucji w jednym z portów nad Pacyfikiem.

O angielskich samolotach myśliwskich nie mogę powiedzieć nic pewnego, natomiast okręt jeszcze widać. No a że zaraz po uwolnieniu Guatemali zmieniono tutejszego posła brytyjskiego i przysłano na jego miejsce katolika, który długo przebywał na placówce w Polsce Bieruta i wiele miał Guatemalczykom do powiedzenia o (hear, hear) cierpieniach Polaków pod okupacją sowiecką, a nie o zatopionym okręcie i samolotach myśliwskich — to już inna sprawa. Arbenz istotnie nie mógł kupić ani broni, ani samolotów w USA, bo nie chciano mu ich sprzedać. Wiem od dobrze poinformowanych Amerykanów, że głównym motywem odmowy, poza rozbudowującym się komunizmem, była obawa o — British Honduras. Niewątpliwie sytuacja USA stałaby się bardzo kłopotliwa, gdyby Arbenz nagłym skokiem zajął tę kolonię, do której Guatemala od dawna rości sobie uzasadnione pretensje.

Agenci komunistyczni rządu Arbenza starannie przygotowywali grunt, stacja rządowa Guatemali codziennie nadawała specjalne programy dla British Honduras. Rozszerzenie pola działania komunistów mogło się odbyć pod pokrywką najbardziej uzasadnionych pretensyj nacjonalistycznych. Co mogły w tym wypadku zrobić USA? Jakich środków miały użyć USA, żeby zapobiec ekspansji komunizmu w Ameryce? Sytuacja była trudna. Jak wiadomo tylko Anglicy mogą wysyłać krążowniki i wysadzać na ląd wojsko w Ameryce. Amerykanom nie wolno.

Arbenz potrzebował broni także i do czego innego. Guatemala miała stać się arsenałem komunistów. Plany ich przewidywały organizowanie strajków we wszystkich republikach sąsiednich, uzbrajanie robotników, po czym obalanie tamtejszych rządów. Na początku 1954 roku było wiadomo, że agenci rządu Guatemali szpiegowali w republikach sąsiednich na korzyść Sowietów, że strajki w Honduras, San Salvador etc. były organizowane i kierowane z Guatemali przy pomocy konsułów i poczty dyplomatycznej. Poczta dyplomatyczną wysyłała z Guatemali cały materiał propagandowy sowiecki. Było wiadomo, że komitet wykonawczy narodowego frontu demokratycznego był kierowany przez komunistów, którzy powracając z podróży do ZSSR, przekazywali rządowi i Arbenzowi zalecenia i dyrektywy. To nie były czcze oskarżenia. Honduras, Panama i Nicaragua miały dowody rzeczowe w rękach. Strajk w Honduras został tak dobrze przygotowany, że wybuchł na kilka dni przed rozpoczęciem akcji wojskowej przez Castillo Armas. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby rząd Arbenza zdołał się utrzymać.

BANANY

Zagadnienie konfliktu rządu Arbenza z koncernem bananowym „United Fruit Co.” popularnie zwanym Fruterą, nie było takie proste. Arbenz wcale nie chciał usunąć koncernu dlatego, że ten jest „państwem w państwie”. Motywy nacjonalistyczne, niezależność gospodarcza, były świetnym zamaskowaniem walki przeciwko Amerykanom w ogóle i — jeżeli chodzi o sam koncern — walki przeciwko propagandzie postępowego kapitalizmu, jaką szerzył ten koncern na terenie kraju.

Europejczykowi o upaństwowionej mentalności, który doszedł już dziś do tego, że każde większe przedsiębiorstwo prywatne wydaje mu się skandalem, a jedynym kapitalizmem jest brodaty kapitalizm Marksa sprzed stu lat, trudno zrozumieć, czym jest kapitalizm amerykański. Tymczasem kapitalistyczne koncerny amerykańskie dają dziś swojemu pracownikowi to, o czym pracownikowi najbardziej upaństwowionego przedsiębiorstwa nawet się śni. Po osiedleniu się tutaj marzyłem o dostaniu pracy w United Fruit, ale niestety, było to niemożliwe, bo pierwszeństwo mają — Guatemalczyki, a nie obcy. Tylko obcy specjaliści, w tym wypadku Amerykanie, posiadają ułatwienia.

Koncern bananowy w Guatemali płaci najwyższe stawki nie tylko swoim urzędnikom, ale i robotnikom. Wszyscy pracownicy posiadają szereg ułatwień. Domki, kawałek ziemi pod uprawę jarzyn, ułatwienia w hodowli drobiu, koncern zapewnia opiekę lekarską i szpital. Robotnicy mają prawo nabywania podstawowych artykułów żywnościowych (kukurydza, fasola, ryż, kukier) i odzieżowych po cenach znacznie niższych, niż rynkowe (różnicę pokrywa koncern) nie mówiąc o innych ułatwieniach, jak np. pomoc dla młodych małżeństw, którym dostarcza się wszystko na nowe gospodarstwo na bardzo wygodne spłaty, jeżeli oczywiście zainteresowani chcą z tego skorzystać. Koncern prowadzi także własne szkoły dla dzieci pracowników.

Oczywiście wszystko to było solą w oku komunistów. Wszystkie strajki były tam wprost organizowane przez agentów rządowych, niemal wymuszane na pracownikach. Arbenz parł do konfliktu z koncernem, bo walka z nim dostarczała komunistom doskonałego materiału maskującego. Na każdy atak przeciwko komunizmowi w Guatemali, Arbenz odpowiadał, że o żadnym komunizmie mowy nie ma i Guatemala stara się jedynie wyswobodzić z pęt obcego monopolu. Komunizm jest straszakiem kapitalistycznych interesów amerykańskich. Koncern, posiadający od r. 1931 50-letni kontrakt, gotów był do ustępstw i do ostatniej chwili wolał pertraktować, niż wdawać się w walkę z rządem. Ale Arbenz nie chciał pertraktacji. Walka szła o cały personel koncernu, który — po usunięciu United Fruit, co spowodowałoby katastrofę gospodarczą w całej Guatemali podobnie, jak w Iranie — stałby się gotowym elementem w rękach komunistów. Pracow-

nicy koncernu mieli być przemienieni w milicję ludową. I na tym polu przygotowania organizacyjne zostały daleko posunięte.

Rząd Arbenza z 562.000 akrów ziemi, będących w posiadaniu koncernu, wywłaszczył 410.000 akrów. Wywłaszczył bezprawnie, bo wywłaszczone ziemie nie były ugorami. Były to tereny, które w rotacyjnej hodowli palmy bananowej, znajdowały się w spoczynku. Koncern wniósł skargę przeciwko rządowi Arbenza, domagając się 16-tu milionów dolarów odszkodowania — i miał rację. Po upadku rządu Arbenza, natychmiast rozpoczęto pertraktacje, które nie zostały jeszcze zakończone. Wygląda jednak na to, że Guatemala będzie mogła zmienić dotychczasowy kontrakt na znacznie korzystniejszy.

Banany stanowią zaledwie ponad 20% wartości całego eksportu Guatemali. Fakt, że koncern posiada własne statki, udział w linii kolejowej albo własne linie telefoniczne nie jest niczym nienormalnym. Statki koncernu nie mają żadnego monopolu na przewóz towarów, do Puerto Barrios przybijają okręty z całego świata. Rząd Arbenza rozpoczął budowę nowego portu i drogi do Atlantyku. Nie zrobiono wiele, bo cała ta impreza miała cele przede wszystkim propagandowe. Obecnie Amerykanie ofiarowali Guatemali ponad 6 milionów dolarów na dalsze prowadzenie robót.

Nie tylko koncern posiada własne linie telefoniczne. W całej Ameryce można prywatnie telegrafować bez konieczności udawania się na pocztę, bo „Tropical Radio” i „Western Union” są w rękach prywatnych. To samo z telefonami, z radiem, z liniami lotniczymi. Widocznie jestem tak zacofany, że nie mogę traktować tego z oburzeniem. Zapomniałem tylko dodać obowiązkowego zwrotu: „Wprawdzie nie mam zamiaru bronić koncernu, ale...” To byłoby w stylu.

Koncern bronił swego stanu posiadania i bronił go najprawdopodobniej tym silniej, że miał poparcie Waszyngtonu. Na szczęście. Brakowało tylko tego, żeby jeszcze i Środkowa Ameryka wymknęła się spod kontroli. A mogła się wymknąć, bo wszystko było ku temu przygotowane. Bardzo starannie. Ataki na rząd Arbenza wcale nie zaczęły się od momentu zagrożenia przez reformę rolną stanu posiadania United Fruit. Ataki były już bardzo silne pod koniec prezydentury Arévalo, a że wzmocniły się od chwili objęcia władzy przez Arbenza, to świadczy tylko o tym, że po dziesięciu latach Amerykanie zaczęli nareszcie coś rozumieć. Dalsze tolerowanie komunizmu w sąsiednim pokoju podczas gdy zwalczało go się wszędzie poza domem, mogło zaszkodzić ich opinii w wolnym świecie w sposób katastrofalny. Banany nie miały tym razem żadnej podszewki prywatno-gospodarczej, a po prostu polityczną. Łatwiej i delikatniej było w tym wypadku posłużyć się koncernem, niż wysadzać „marines”. A nie wiele brakowało, aby USA widziały się zmuszone do podjęcia tak radykalnego kroku. Pozostawienie Arbenza przy władzy doprowadziłoby niechybnie do opanowania przez komunistów jednej republiki środkowo-amerykańskiej za drugą i — kto wie

— czy nie do bardzo krwawych wypadków na całym terytorium pomiędzy Panamą i Meksykiem.

Raczej trzeba podziwiać zręczność i takt, z jakim cała operacja została przeprowadzona. W Guatemali, tak jak i w innych krajach Ameryki Łacińskiej, mieszkańcy są bardzo czuli i poczucie godności jest bardzo rozwinięte. Otóż wszyscy są zgodni: Amerykanie w osobie byłego ambasadora Peurifoy i prezydenta republiki San Salvador, Osorio, potrafili dopomóc całej akcji Castillo Armas w ten sposób, że najbardziej czuli nacjonałści nie czuli się dotknięci na honorze.

UWOLNIENIE

Uwolnienie Guatemali nie było rzeczą łatwą. Po objęciu funkcji ambasadora USA w Guatemali na jesieni 1953 r., Peurifoy, dobry znawca komunizmu, potrafił bardzo szybko rozszyfrować Arbenza i jego politykę. Doszedł on do wniosku, że wypadek jest beznadziejny i że nic nie da się zrobić „dla ułatwienia Arbenzowi, aby mógł mniej liczyć się z wpływami komunistów, mniej ulegać ich naciskom” — jak to idyllicznie proponuje pan Zarzewski. Nie udało się nic zrobić, bo próby tego rodzaju nie dawały żadnych wyników (czyniono je) i tylko bardziej utwierdzały Arbenza w sile; nie dało się także nic zrobić, bo Arbenz był komunistą. W niedawnym wywiadzie prasowym na wygnaniu w Meksyku, opublikowanym „in extenso” w guatemalskiej prasie, oświadczył wprawdzie, że nim nie jest, ale że zawsze popierał sowiecką politykę pokoju. Nehrutalista.

Już przy końcu kwietnia 1954 zaczęliśmy chwytać programy tajnej radiostacji „Wolnej Guatemali”. Stacja została zainstalowana na pograniczu Hondurasu. Rozpoczęła się prawdziwa wojna nerwów. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że jeżeli to, o czym mówiła wolna radiostacja jest prawdą, to grozi konflikt nie mający nic wspólnego z dotychczasowymi rewolucjami. Zakrawało na prawdziwą wojnę. Wszystko sprowadzało się do pytania, do jakiego stopnia udało się rządowi Arbenza skomunizować szerokie masy i wojsko, jak dalece mógł liczyć na ich poparcie. W wojsku już od roku wprowadzono obowiązkowe przeszkolenie polityczne dla młodszych oficerów.

Tymczasem ludzie ginęli coraz częściej, bo aresztowania mnożyły się. Muszę otwarcie przyznać, że bałem się. Równocześnie opowiadano sobie w tajemnicy, że ten lub ów przekradł się na tamtą stronę i wstąpił w szeregi sił wyzwoleniczych. Była to jedyna nadzieja. Napięcie wzrastało z dnia na dzień i w ciągu trzech miesięcy poprzedzających rewolucję, terror doszedł do szczytu. Dziś, po zrobieniu dokładnych rachunków, po odkryciu szeregu Katyniów na mniejszą skalę, (po 15 do 20 trupów strzelanych wypróbowanym sposobem) oblicza się, że tylko w ciągu

trzech miesięcy komuniści Arbenza wymordowali ponad 600 osób, około 700 przeszło przez izby tortur policyjne, której dyrektorem był członek partii, Cruz Wer, a około 3.000 więziono za antykomunizm. Na małą Gwatemalę cyfry zupełnie nieprawdopodobne i rekord, jak dotąd, nie osiągnięty przez żadną z dotychczasowych dyktatur.

14 czerwca lotnictwo Castillo Armas zaatakowało po raz pierwszy obiekty wojskowe i zbiorniki z benzyną. Szybkie Thunderbolty opanowały od pierwszego dnia sytuację. 17 czerwca siły wyzwolenie przeszły granicę Hondurasu i weszły na terytorium Gwatemali.

Dzięki bardzo dobrej taktyce, oddziały Castillo Armas, bardzo szczupłe, nie dały wciągnąć się w otwartą walkę i wojsko okazało się wobec nich bezsilne. O zwycięstwie zdecydowało lotnictwo. Nie jest prawdą, że Arbenz został zdradzony przez swoje wojsko. Wojsko przez długi czas było na szczęście przekonane, że potrafi uporać się z przeciwnikiem samo i sprzeciwiało się rozdawnictwu broni. Chodziło o honor Armii. Komuniści gwatemalscy nie wzięli udziału w obronie Arbenza, ponieważ nie zdecydowano się uzbroić ich na czas. Kiedy wreszcie zapadła decyzja (nie zapomnę nigdy tej nocy) było już za późno. Dezorganizacja aparatu politycznego posunęła się już zbyt daleko, a siła uderzeń Castillo Armas zdołała już ostudzić zapał wielu zwolenników rządu. Nastąpił psychologiczny zwrot, bojówki odmawiały posłuszeństwa, ludzie nie stawiali się na punkty zbrojne. Po dziesięciu dniach działań wojskowych nie ulegało żadnej wątpliwości, kto jest silniejszy i stało się całkiem pewne, że Castillo Armas będzie szedł konsekwentnie i stanowczo do celu. Wojsku groziło zupełne rozbitcie i demoralizacja, żołnierze uciekali. I dopiero wtedy, ratując w ostatniej chwili swoje istnienie, Armia wkroczyła na drogę pertraktacji z siłami wyzwoleniczymi, zmuszając równocześnie Arbenza do podpisania dymisji. Arbenz ustępując jeszcze nie dał za wygraną i wyznaczył na swego następcę drugiego komunistę, płk. Diaz (szereg wycieczek za żelazną kurtynę). Dopiero silny atak lotniczy na obiekty wojskowe w stolicy, będący jedyną odpowiedzią Castillo Armas na tego rodzaju kombinacje, przekonał ostatecznie Armię. Ludność została przekonana wcześniej. Cała Gwatemala siedząc na dachach domów witała z entuzjazmem atakujące samoloty. 2 lipca podpisano rozejm i Castillo Armas wkroczył do Gwatemali. Siła i stanowczość zaimponowały. Nikt w historii Gwatemali nie był witany tak entuzjastycznie przez takie tłumy. To było uwolnienie. Przeżyłem ten moment bardzo silnie. Przypominały mi się odległe już lata, gdy na ulicach Paryża ujrzałem po raz pierwszy żołnierzy amerykańskich. Tu wkraczali swoi, wygnańcy, a z nimi jeden Polak, Leszek M. porucznik Armii Ludowej Bieruta. Uciekł z Polski w 1948 roku, przedostał się do Gwatemali, ożenił z nauczycielką i osiadł na małym kawałku ziemi. Od początku nie miał złudzeń, z kim ma do czynienia. I gdy nadszedł czas, poszedł prac. Przydał się jako instruktor do broni — rosyjskiej, w którą czę-

ściowo uzbrojone były oddziały wyzwolenie. Ale to już ich tajemnica. „Praliśmy do nich z pepesz. Pan sobie nie wyobraża jaką miałem satysfakcję” — zwierzał mi się.

ANI W LEWO, ANI W PRAWO. NAPRZÓD.

Z tą zasadą na przyszłość wkroczył do Gwatemali Castillo Armas. Pierwszym zarządzeniem było zniesienie cenzury prasowej, wprowadzonej przez Arbenza. Drugim oddanie *na własność* ziemi tym wszystkim, którzy legalnie otrzymali ją w dzierżawę dzięki reformie rolnej Arbenza. Wszelkie samowolne wybryki posiadaczy ziemi w stosunku do chłopów zostały z punktu surowo ukarane, reforma rolna poddana koniecznym zmianom z położeniem nacisku na zagospodarowanie obszarów nieuprawnych przez osadnictwo. Kodeks pracy utrzymany w całej rozciągłości. Nikogo nie rozstrzelano (a szkoda) i około 1.000 komunistów i sympatyków, szukających schronienia w ambasadach i poselstwach innych krajów Ameryki łacińskiej (prawo azylu) otrzymało zezwolenie opuszczenia kraju bez żadnych przeszkód. Wygląda na to, że dopiero Castillo Armas będzie zdolny zrobić demokrację z tej „demokracji” Arbenza. Jeżeli nie okaże się za subtelny i za delikatny.

Uwolnienie Gwatemali było niewątpliwie poważną porażką dla komunizmu. Czy zażegnało jego niebezpieczeństwo na kontynencie łacińsko-amerykańskim? Na pewno nie. Komunizm znalazł dziś wspaniałą pożywkę, na której może rozwijać się lepiej, aniżeli przed wojną i bezpośrednio po wojnie. Jest to zawieszony rośnię nacjonalizmu, tępego, ślepego i ogarniającego dziś wolny świat z zastraszającą siłą.

Andrzej BOBKOWSKI

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem świetnie napisany artykuł p. Bobkowskiego. Oto kilka słów odpowiedzi:

1. — Artykuł swój oparłem na poważnych źródłach angielskich, nb. konserwatywnych i prawicowo-liberalnych oraz na antykomunistycznym „Socjalistycznym Wiestniku” — jednym z najlepszych na świecie znawców polityki komunistycznej. Dobór tych źródeł powinien by uchronić moje wnioski od błędów w kierunku niedoceniań niebezpieczeństw, o których p. Bobkowski pisze. Oczywiście, jeżeli przesłanki, którymi operowałem, są błędne, to i wnioski, z nich płynące, muszą być błędne.

2. — Czy jednak przesłanki są błędne? Czy faktem jest, że „cała prasa europejska wypisywała banialuki na ten temat”, a p. Bobkowski zna prawdę? Fakt zamieszkania w Gwatemali, sam w sobie, niekoniecznie musi oznaczać, że opinia rezydenta jest trafna. Brak „perspektywy terytorialnej”, podobnie jak brak perspektywy historycznej, sprzyja czasem sądom błędnym. Chętnie przyznaję jednak, że wywody p. B. robią wrażenie dokładnej znajomości przebiegu spraw lokalnych w Gwatemali. Nie dostrzegam podobnej znajomości

mości rzeczy u szanownego krytyka w rozważaniu problemu Guatemali w kontekście polityki międzynarodowej.

3. — P. Bobkowski nie oświecił motywów, dla których Meksyk i Argentyna nie poparły cytowanej przeze mnie panamerykańsko-antykomunistycznej rezolucji Dullesa na konferencji w Caracas. Ma to przecież związek istotny z oceną niebezpieczeństwa komunistycznego w Guatemali.

4. — P. Bobkowski nie wiąże tej oceny z dzisiejszą fazą polityki komunistycznej to jest nie odpowiada na pytanie, czy przewrót komunistyczny w Guatemali w tej właśnie fazie leżałby w interesie Moskwy. Sprawa bynajmniej nie jest prosta. Poważne analizy taktyki komunistycznej w Południowej Ameryce rozważają tu różne możliwości, np. *Economist*, gdy przed rokiem omawiał tę sprawę, określił cele Kremla w formie alternatywnej: albo budowa przyczółka mostowego rewolucji komunistycznej w Poł. Ameryce, albo budowa bastionu przeciwko „interwencji” amerykańskiej. „Socjalistyczny Wiestnik” reprezentuje tezę, że w obecnym układzie sił i stosunków międzynarodowych właśnie ten drugi cel wchodzi dla Kremla w rachubę, rozumiejąc przez to potęgowanie antyamerykanizmu na południowej półkuli. Są to dwa pisma o uznanej w całym świecie powadze. Ale, o dziwo, także „New York Times” napisał zdanie: „It would be dangerously inconsistent for our Government to welcome any revolution in Latin America achieved principally by troops moving in from neighbouring states”.

5. — P. Bobkowski pisze: „Zmorą, duszącą dziś cały niemal intelektualny, a szczególnie antykomunistyczny świat po tej stronie, jest po prostu paniczny, przeraźliwy i ogarniający każdą myśl strach, aby nie być nazwanym przez jakiegoś ‘postępowca’ reakcjonistą”. To święta prawda. Jeżeli jednak p. B. mnie zalicza do kategorii ludzi, ogarniętych owym strachem, to trafia kulą w płot. Istota rzeczy polega na prawidłowym rozszyfrowaniu bieżących celów polityki Kremla w Guatemali, a następnie na wyciągnięciu logicznych wniosków co do metody kontrdziałania. Jeżeli przyjąć, że fakty, przytoczone przez p. Bobkowskiego są prawdziwe i jeżeli przekonywująco powiąże on je z analizą aktualnych celów sowieckiej polityki w Guatemali — to pierwszy piszę się na jego wnioski. Wówczas dojdę też do wniosku, że pomyliłem się w tej skomplikowanej i kontrowersyjnej sprawie i nie mi nie pozostanie, jak pocieszać się tym, że skoro — słowami p. Bobkowskiego — po stronie Europejczyków „z Ameryką są wieczne nieporozumienia od czasów Kolumba”, to rodowód mego błędu jest „historycznie szanowny”.

S. ZARZEWSKI

Nasza stała lektura

Czy emigracyjny czytelnik ma żywy i krytyczny stosunek do emigracyjnej prasy? Czy też powoli przyszwyczał się do tych kilku pism, jak do członków rodziny, przestając obserwować ich wady i zalety? Trudno jest „od wewnątrz” chwalić czy ganić. Zbyt dobrze znamy młłą hipokryzję „samokrytyki”.

„Pastiche” jest formą literackiej karykatury, która może jednak przywrócić pewną świeżość spojrzenia. Poświęcając w tym miesiącu kilka stron odtworzeniu fikcyjnego numeru „Wiadomości”, zapowiadamy jednocześnie w przyszłości podobne wizerunki w krzywym zwierciadle „Kultury”, „Życia”, „Dziennika Polskiego”... Dobry „Pastiche” może być tylko pracą zbiorową. Proponujemy naszym czytelnikom udział w tej zabawie. Najlepszemu „pastiche” numeru „Kultury” (przynajmniej dwa fikcyjne artykułiki) nagrodzony będzie roczną prenumeratą „Kultury” i jedną książką (do wyboru) z Biblioteki „Kultury”.

WIADOMOŚCI

TYGODNIK

JAN LECHON

KARTKI Z DZIENNIKA

10 Maja.

Myślę o dogmacie Wniebowstąpienia Matki Boskiej. Aldous Huxley mówił mi na obiedzie u Mrs. Crane że ciało ludzkie nie mogłoby wytrzymać presji stratosfery. Ale to z urodzenia protestant, z formacji staroświeckiego niedowiarę, a nam, katolikom — od chwili ogłoszenia dogmatu — przecież wątpić nie wolno!

11 Maja.

Czytam u Saint-Simona jak na kolacji u króla („petite col-

lation du Roy), starej Duchesse de la Force wymknął się dźwięk naturalny (ten któremu w „Tentation de Saint Antoine” Flauberta patronuje bóg Crepus). Księżna zaczęła szurać pod stołem trzewiczkiem („de son talon rouge”). Na to Ludwik XIV: „Ne cherchez pas la rime, Madame!” Nigdy Bierut nie zdobyłby się na podobnie delikatną „pointe” gdyby się coś podobnego zdarzyło — powiedzmy — pani Radkiewiczowej na „obiedzie” (w południe!) w Belwederze...

11 Maja.

Dużo się mówi o snobizmie Prousta. Ale Proust przecież przejrzał snobizm (Legrandin). A czy nie jest rewelacyjny tytuł: „A la Recherche du Temps Perdu”? A więc Proust traktował swoje wieczory w paryskim „mondzie” jako czas stracony!

12 Maja.

Wczoraj wieczór, po obiedzie u Mrs. John Rockefeller (doutairière'y), niestrawność i niepokój. Myślę o „Borborygmes” Valéry Larbaud. Wszystko może być materiałem do literatury: „une échelle vers le Beau”, mówił mi Max Jacob.

30 Maja.

Powiedziałem kiedyś Marie-Laure de Noailles: „Vous êtes belle comme une rose!” Pod pozornym banałem kryła się subtelnie złośliwa aluzja do Ronsarda („l'espace d'un matin”...) I rzeczywiście (jak mawia niedoceniony Wiech) — biedna Marie-Laure musi być dziś „on the wrong side of forty”.

2 Czerwca.

Kafka pisze o wariatach. To trochę łatwe. U Prusa wszyscy są normalni, a przecież nie przetargowałbym „Lalki” na

„Zamek”. A ta obrzydliwa historia o człowieku zamienionym w karalucha! O ileż więcej gustu w „Metamorfozach” Owidiusza!

2 Czerwca.

Foster Dulles mniej mówi ostatnio o „liberation”, ale wiem że się głęboko o Sprawę Polską troszczy.

4 Czerwca.

Książę Mikołaj Radziwiłł, przyjechawszy do Paryża w roku 1740 zburzył całe „paté de maisons”, żeby utorować sobie bezpośrednią drogę ze swego „hotel” do Palais-Royal. Dziś siejsza „Rue Radziwiłł”. Rozrzutne — ale bardzo polskie!

5 Czerwca.

Odczytuję Ewangelię. Zasada tej przepięknej księgi jest miłość bliźniego. Jesteśmy dziś „jako cymbał brzmiały, jako miedź brząkająca”. Ale nawet Św. Piotrowi nie stało miłości („Quo Vadis Domine?”)

6 Czerwca.

Myślę o tak niesłusznie krytykowanej starszslacheckiej tradycji. „Razem Mości Panowie!” „Zgoda! Zgoda!” — toż to przecież i więkne i słuszne zasady, które by sobie z korzyścią przypomnieć mogli pewni nasi politycy...

Jan Lechoń

Silva rerum

W pamiętnikach Mrs. Dudley-Beachcomb („Fourty Years of Edwardian England”, Macmillan, London 1934, 2 str. ok. 3 str. br. in qu., 455 str.) jest wzmianka o Hr. de Laranguillère, Polce, z domu Stadnickiej. Zapewne chodzi tu o najmłodszą, czwartą siostrę Pani

Kuki ze Stadnickich Dzieduszyckiej. Pani Dudley-Beachcomb wspomina o przepisie na barszcz zabielały (małopolski?) jaki otrzymała od Pani de Laranguillère („an excellent Polish beetroot soup with cream”).

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

WIECZÓR W WALII

Kołyszą się kłosa i kwiaty, skowronek podniebnie kwili,
Mięty i macierzanki odurzają zapachem,
O, Matko z Ostrej Bramy! Nie daj minąć tej chwili,
Która bocianem wzlata nad rodzinnym dachem.

Z gęstwinnego sitowia żabi się i rechocze,
Z zielistego kobierca zapachniała konwalia.
Jakie to wszystko rzeźkie, i czerstwe, i ochocze!
Stój chwilo! Nie... już mija... to nie Wilia — to Walia...

MIECZYSLAW LURCZYŃSKI

PSALM BOLESNY

Boleję mym wygnaniem jak rozdartą różą,
Goreję powołaniem jak krzak gorejący.
Czy róż nie uratuje krwawa lasów burza?
Czy nie pomoże psalm mój, bolesny, gorący?

Ofiarę mą dołączę do męki Van Gogha
Norwidowym całopaleniem.
Dla mnie Cezanne'a pustelnicza droga,
A kres jej — ocaleniem.

WŁADYSŁAW MATLAKOWSKI

PRZYSŁOWIA I POGADUSZKI

(Z cyklu: „Wspomnienia Ukraińskie”)

Ziemianie nasi ukraińscy mają swoje przysłówia i przygwarki — inni powiedzą pogaduszki — które tak w krew im weszły, że często dwóch ich powiedzenie ulubione, czy

przy wincie, czy jak z Żydem sadownikiem targują, czy przy karnawale w miłe i piękne uszko.

I tak Pan Apolinary Zbyszewski — dobry gospodarz, Zaklikówkę w trzy lata z dłu-

głów wyciągnął — ma przysłówie „Mździem, Panie”.

A znów Rakowski z Derkaczy, elegant, w karty za dużo gra, ale niedrogo. Przy tym głowa tęga, wszyscy się go radzą. On znów w rozmowę często „Żółto-Zielono” wtrąca, diabli wiedzą skąd mu takie przysłowie przyszło?

Pan Włodzimierz Hryniewiecki miał szpetne bardzo przysłowie, tak że go nawet w towarzystwie Niemile widziano, a Pani Andrzejowa Braniczka na bale nie zapraszała. Zresztą porządny człowiek, dobry gospodarz, w karty trochę grał, ale ze szczęściem. A gło-

wa bardzo tęga, nawet polityczna. Po jego śmierci (żona była z krewniaczką, Hryniewiecką z Zaklicza), żona, święta osoba i niewinności wielkiej, usłyszała kiedyś pod karczmą (a jechałem z nią właśnie karetą, razem w gościnie u Grocholskich byliśmy, do Białej cerkwi na kolej żelazną nas odsyłali), usłyszała więc to słowo którego mąż jej śp. wciąż używał i pyta mnie: „Panie Władysławie, a co to znaczy?” I tu ze wstydu we francuszczyznę wpada: „Mon mari disait toujours ça, mais il ajoutait Wołowa”.

Władysław Matlakowski

W dalszych numerach „Wiadomości” ukazały się między innymi: Stefana Badeniego „Od Meyerlingu do Sarajewa”; Zofii Bohdanowiczowej „Czytając Konopnicką” i „Ranek w Walii”; Jana Frylinga „Moja wizyta u szwagra Panczen-Lamy”; Mieczysława Lurczyńskiego „Psalm Gorejący”; Jana Lechonia „Ameryka — Kraj Wolności”; Władysława Matlakowskiego „Gracze i Palacze” (z cyklu „Wspomnienia Ukraińskie”); Jana Siemieńskiego „Poluję na Karribu” oraz listy Stefana Badeniego, Jana Frylinga.

MISCELLANEA

Śladami Popei.

Piękna Martine Carol w roli Popei w filmie „Rzym Płonie” kąpie się podobno w prawdziwym oślim mleku. Lola Montez, kochanka Ludwika I. bawarskiego kąpała się w szampanie.

Muzykalność Pingwinów.

John Smythe, uczestnik wyprawy na północny cypel Grenlandii opowiada że pingwiny

czuły są na muzykę: „Wykonywały one dziwny taniec parami kiedy grałem na patefonie płytę Bonnie Scotland”.

Nowe straszne dziwy.

W barbarzyńskich Indiach zdarzyło się ostatnio nowe morderstwo przy słynnym przecięciu na pół kobiety w kuftrze (znany „trick” hinduskich fakirów). Przeciawszy swą żonę na pół, fakir odmówił złożenia jej z powrotem.

KORESPONDENCJA

Do Redaktora „Wiadomości”.

Coraz bardziej się cieszę że Silva staje się genealogiem i heraldykiem... honoris causa. Ale pilnując właśnie jego honoru, spieszę sprostować niecny „lapsus calami” w ostatnim numerze. Hortensja Augustowa Dzieduszycka („Pani Kuka”) miała trzy siostry, a nie cztery. Malwina Stadnicka, o której wspomina Silva, była jej stryjczną siostrą, córką Pana Wojciecha z Górki. Nazywano go w Wiedniu „Excellenz Bubi”. Powiedział on kiedyś hr. Palffy d'Erdody że lubi czardasza... ale woli mazurę. Wywołało to niemal skandal, ponieważ bawiła wtedy u Palffyów Arcyksiężna Maria-Elżbieta, która specjalnie lubiła czardasza. W posiadłości Palffyów, Nemesztothy, odbywały się słynne polowania. W

r. 1913 zabito jednak o 330 bażantów mniej niż w poprzednim. „Das riecht mir nach dem Krieg” (to mi pachnie wojną) powiedział wtedy hr. Czernin do Cesarza. I miał rację. Zwierzyna często miewa tego rodzaju „przecucie” (w języku łowieckim, dla pp. Krasickiego i Siemieńskiego, koryguję: „nagórny niuch”). Malwina Stadnicka wyszła za mąż za hr. de Laranguillère. Był to jeden z rzadkich aliansów naszych małopolskich rodów z arystokracją francuską. Matka hr. de Laranguillère (teściowa Pani Malwiny) była z domu Soult, córką napoleońskiego marszałka. Łączy się więc ten epizod z polskimi „napoleonicami”, o których Silva pisał w Nr. 424. Od barszczu do... Napoleona!

Stefan Badeni

Czytelnicy o „Wiadomościach”

Br. Gr. Buenos Aires:

„Wiadomości” są dla nas chlebem duchowym i intelektualną strawą. Każdy numer bije poprzedni. Tylko tak dalej!

C. C., Dublin:

Trudno wszystkim oddać w krótkim liście sprawiedliwość. Zbyszewski jak szampan! Sakowski — miód nie pisanie! Od dawna już nie widzę Badeniego. Więcej Frylinga! Ależ to literaci z tych naszych Emeszeciarzy!

Gr. Br., Nowy Jork:

Nadal z radością obserwuję wciąż dalej rozwijający się rozwój naszych ulubionych pisa-

rzy. Niech Zbyszewskiego kule biją!

D. K., Paryż:

„Wiadomości” — to okno na świat. Lubię przez nie wyglądać i nalykać się świeżego powietrza.

C. K.:

Zbyszewski słaby. Sakowski dobry. Fryling świetny. Badeni tym razem nie dopisał. Silva coś opada. Collector idzie w górę.

D. B.:

Zbyszewski świetny. Sakowski słaby. Silva bije Collectora o dwie długości. Fryling coś słabszy. Ale Badeni, co za cudo!

K. A. JELEŃSKI

Nagroda literacka

KOŁA KSIĘŻY KAPELANÓW
POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH
W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Pod protektorem J.E. Ks. Arcybiskupa Józefa F. Gawliny,
Koło Księży Kapelanów Polskich Sił Zbrojnych w Stanach Zjednoczonych, celem uczczenia Roku Maryjnego, Polskiego Czynu Zbrojnego, oraz 300-lecia Obrony Częstochowy, ustanawia:

NAGRODĘ LITERACKĄ
IMIENIA KARDYNAŁA PRYMASA POLSKI
AUGUSTA HLONDA

na pracę niepublikowaną związaną z kultem Matki Bożej pośród żołnierzy polskich wszystkich epok.

Pozostawia się najszerszą swobodę w ujęciu tematu, poczynając od reportażu a nawet twórczej kompilacji po powieść a nawet monografię. Każdy jednak z tych rodzajów musi mieć walory literackie i nadawać się do szerokiego czytelnictwa.

Nagrody są następujące:

1. Za pracę nie mniejszą od 20 arkuszy (320 stron druku — około 120.000 słów) dolarów 500.

2. Za prace mniejsze (nie ma dolnej granicy) prozą lub wierszem:

Pierwsza nagroda: 250 dolarów;

Druga nagroda: 150 dolarów.

Trzecia nagroda: 100 dolarów.

W wypadku nie wpłynięcia pracy większej, lub niezakwalifikowania do nagrody — suma 500 dolarów może być obrócona na zwiększenie lub pomnożenie nagród za prace mniejsze. Do pracy dołączyć zamkniętą kopertę z nazwiskiem i adresem autora. Na kopercie umieścić godło lub pseudonim.

Koło Księży Kapelanów zastrzega prawo wydania prac nagrodzonych za honorarium wynoszącym 10 procent brutto (przy pracach drobniejszych, które ewentualnie będą wydane w zbiorze — odpowiednio proporcjonalną część wynagrodzenia).

Termin nadsyłania prac — ósmy grudzień, 1955 roku.

Rozstrzyga data stempla pocztowego.

Skład Jury: Oskar HALECKI, Tadeusz ROMER, Melchior WĄKOWICZ, Kazimierz WIERZYŃSKI, Ks. Wojciech A. ROJEK.

Prace nadsyłać należy pod adresem:

Sekretariat Koła Księży Kapelanów PSZ,
6 Wall St., Passaic, N.Y., U.S.A.

Dolina Issy

I

Należy zacząć od opisu Kraju Jezior, w którym mieszkał Tomasz. Te okolice Europy długo były pokryte lodowcem i jest w ich krajobrazie surowość północy. Ziemia jest tu na ogół piaszczysta i kamienista, zdatna pod uprawę tylko kartofli, żyta, owsa i lnu. Tym tłumaczy się, że człowiek nie zniszczył tu lasów, które łagodzą nieco klimat i chronią od wiatrów Bałtyckiego Morza. Przeważa w nich sosna i świerk, są również brzozy, dęby i graby, brak całkowicie buków, granica ich zasięgu przebiega o wiele dalej na południe. Można lasami podróżować tu długo, nigdy nie nużąc oczu, bo jak ludzkie miasta, społeczeństwa drzew mają swoje niepowtarzalne właściwości, tworzą wyspy, strefy, archipelagi, znaczone tu i ówdzie jakąś drogą z koleinami w piasku, leśniczówką, starą smolarnią, której rozpadające się piece obrosła roślinność. I zawsze w pewnej chwili jest z pagórka widok na niebieską taflę jeziora z białą, ledwo dostrzegalną plamką perkoza, ze sznurem kaczek ciągnących nad trzcinami. Na bagnach lęgną się tutaj masy błotnego ptactwa, na wiosnę w bladym tutejszym niebie trwa wracający seriami warkot, wa-wa hekasów — taki dźwięk wydaje powietrze w ich sterach z piór, kiedy odpowiadają swoje monotonne akrobacje oznaczające miłość. Ten wątlwy warkot i bełkot ciętrzewi, jakby gdzieś daleko gotował się horyzont i kumkanie tysięcy żab na łąkach (ich liczba decyduje o liczbie bocianów, mających swoje gniazda na dachach chat i stodół), są tutaj głosami tej pory, kiedy po gwałtownym topnieniu śniegów kwitnie kaczeniec i wilcze łyko — drobne różowo-liliowe kwiatki na krzakach jeszcze bez liści. Dwie pory roku są temu krajowi właściwe, jakby dla nich był stworzony: wiosna i jesień — długa, najczęściej pogodna, pełna zapachów moknącego lnu, stukania międlic, biegnących z daleka

ech. Gęsi ogarnia wtedy niepokój, zrywają się nieporadnie chcąc wzbąć się za dzikimi, które nawołują z wysoka; zdarza się, że ktoś przynosi do domu bociana ze złamanym skrzydłem: to ten, co uratował się od śmierci jaką towarzyszowi, niezdolnemu lecieć w podróż nad Nil, wymierzają dziobami strażnicy prawa; opowiada się, że tam i tam wilk porwał komuś wieprzka; z lasów słychać muzykę psów gończych: sopran, bas i baryton szczekają w biegu, goniąc za zwierzyną i po modulacji poznaje się, czy idą śladem zająca czy sarny.

Fauna jest tu mieszana, jeszcze nie całkowicie północna. Zdarzają się pardwy, ale są i kuropatwy. Wiewiórka ma zimną futerko szarawe, ale nie całkowicie szare. Są dwa gatunki zające — jeden zwykły, który wygląda zimą i latem tak samo. Drugi, bielak, zmienia sierść i jest nie do odróżnienia od śniegu. To współistnienie gatunków daje materiał do rozważań uczonym, a sprawa komplikuje się jeszcze przez to, że, jak mówią myśliwi, zając zwykły ma dwie odmiany: pełną i leśną, krzyżującą się czasem z bielakiem.

Człowiek do niedawna wyrabiał tutaj w domu wszystko, co było mu potrzebne. Nosił grube płótno, które kobiety rozkładają na trawie i polewają wodą, żeby zbielało na słońcu. W porze bajek i pieśni, późną jesienią, palce wyciągały z motka wełny przedzę, przy miarowym stukaniu pedału kołowrotek. Z tej przedży gospodynie tkwały sukna na domowych warsztatach, zażdrośnie strzegąc sekretów wzoru: w jodełkę, w siatkę, taki kolor na osnowę, taki na odetkę. Łyżki, kadzie i narzędzia gospodarskie strugano własnym przemysłem, tak samo jak chodaki. Latem noszono przeważnie łapcie, wyplatane z lipowego łyka. Dopiero po pierwszej wojnie światowej powstawać zaczęły spółdzielcze mleczarnie i stacje skupu zboża i mięsa, a rodzaj potrzeb mieszkańców wioski zaczął ulegać zmianie.

Chaty buduje się tutaj z drzewa, kryje się nie słomą a gontem. Żurawie, złożone z poprzecznej żerdzi, opartej o rozwidlony słup i obciążonej na jednym końcu, służą do wyciągania wiadra ze studni. Ambicją gospodyń jest mały ogródek przy wejściu. Hodują w nim georginie i malwy: coś co buja wysoko pod ścianę, a nie ozdabia tylko ziemi i czego przez płot nie widać.

Od tego ogólnego obrazu trzeba przejść do doliny rzeki Issy, która pod wieloma względami jest wyjątkiem w Kraju Jezior. Issa jest czarna, głęboka, o leniwym prądzie, szczelnie obrosła łożyną; jej powierzchnia miejscami jest ledwie widoczna pod liśćmi lilii wodnych; wiję się po łąkach, a pola, rozłożone na łagodnych zboczach po obu jej stronach, mają głębę urodzajną. Dolina jest błogosławiona przez rzadki u nas czarnoziem, bujność swoich sadów i może odcięcie od świata, które ludziom

tutejszym nigdy nie przedstawiało się jako dokuczliwe. Wioski są tu bogatsze niż gdzie indziej, siedzące albo przy jedynej dużej drodze wzdłuż rzeki, albo wyżej nad nią, na tarasach i przylądających się sobie wieczorem światłami okien poprzez obszar, który powtarza jak pudło rezonansowe stuk młotka, szczekanie psów i głosy ludzi — może dlatego tak znana jest ze swoich starych pieśni, które śpiewa się tutaj, rozkładając je na głosy, nigdy unisono, starając się zawsze zwyciężyć rywali w wiosce naprzeciwko przez ładniejsze, powolne dogasanie frazy. Zbieracze folkloru zapisali nad Issą wiele motywów, sięgających czasów pogańskich, jak choćby tę opowieść o Księżycu (który u nas jest mężczyzną), wychodzącym z łoża małżeńskiego, gdzie spał ze swoją żoną — Słońcem.

II

Osobliwością doliny Issy jest większa niż gdzie indziej ilość diabłów. Być może spróchniałe wierzyby, młyny, haszcze na brzegach są szczególnie wygodne dla istot, które ukazują się oczom ludzkim tylko wtedy, kiedy same sobie tego życzą. Ci, co je widzieli, mówią, że diabeł jest nieduży, wzrostu dziewięcioletniego dziecka, że nosi zielony fraczek, żabot, włosy splecione w harcap, białe pończochy i przy pomocy pantofli na wysokich obcasach stara się ukryć kopyta, których się wstydzi. Do tych opowiadań trzeba się odnieść z pewną ostrożnością. Jest prawdopodobne, że diabły, znając zabobonny podziw ludności dla Niemców — ludzi handlu, wynalazków i nauki — starają się sobie dodać powagi, ubierając się jak Immanuel Kant z Królewca. Nie darmo inna nazwa nieczystej siły jest nad Issą „Niemczyk” — oznaczająca, że diabeł jest po stronie postępu. Jednak trudno przypuścić, żeby nosiły taki strój na co dzień. Na przykład ulubioną ich zabawą jest tańczyć w osieciach, pustych szopach, gdzie miedli się len, stojących zwykle na uboczu od zabudowań: jakże mogłyby we frakach wzbijać kłęby kurzu i paździerz, nie troszcząc się o zachowanie przyzwoitego wyglądu? I dlaczego, jeżeli dany jest im jakiś rodzaj nieśmiertelności, miałyby wybrać właśnie strój z osiemnastego wieku?

Nie wiadomo właściwie do jakiego stopnia mogą zmieniać postać. Kiedy dziewczyna zapala dwie świece w wigilię świętego Andrzeja i patrzy w lustro, może zobaczyć przyszłość: twarz mężczyzny, z którym złączone będzie jej życie, czasem twarz śmierci. Czy to diabeł tak się przebiera, czy działają tutaj inne magiczne moce? I jak odróżnić istoty, które zjawiały się tutaj z nastaniem chrześcijaństwa od innych, dawnych tubylców: od

leśnej czarownicy, która zamienia dzieci w kołyskach, czy od maleńkich ludzi, wychodzących nocą ze swoich pałaców, pod korzeniami czarnego bzu? Czy diabły i te różne inne stwory mają ze sobą jakieś porozumienie, czy też po prostu są obok siebie, jak są obok siebie sówki, wróble i wrony? I gdzie jest kraina, do której chronią się i jedne i drugie, kiedy glebę gniotą gąsienice czołgów, kiedy nad rzeką kopią sobie płytkie groby, ci, co mają być rozstrzelani, a wśród krwi i łez w aureoli Historii wschodzi Uprzemysłowienie? Czy można sobie wyobrazić jakiś sejm w pieczarach, głęboko we wnętrzu ziemi, gdzie jest już gorąco od ogni płynnego centrum planety, sejm, na którym setki tysięcy małych diabłów we frakach, poważnie i ze smutkiem, słuchają mówców, reprezentujących komitet centralny piekieł? Oto mówcy obwieszczają, że w interesie sprawy skończone jest hasanie po lasach i łąkach, że moment wymaga innych środków i że wysoko kwalifikowani specjaliści działać będą już tak, żeby ich obecności nie podejrzewał umysł śmiertelnych. Rozlegają się oklaski, ale wymuszone, bo obecni już rozumieją, że byli potrzebni tylko w okresie przygotowawczym, że postęp zamyka ich w ponurych czeluściach i że nie zobaczą już zachodów słońca, lotu zimorodków, iskrzących się gwiazd, wszelkich cudów nieobjętego świata.

Rolnicy nad Issą stawiali na progu chaty miseczkę z mlekiem dla łagodnych węzów wodnych, które nie bały się ludzi. Potem stali się gorliwymi katolikami i obecność diabłów przypominała im o walce, jaka się toczy o ostateczne panowanie nad duszą ludzką. Czym staną się jutro? Opowiadając nie wie się, jaki wybrać czas, teraźniejszy czy przeszły, jakby to co minęło nie było całkowicie minione dopóki trwa w pamięci pokoleń — czy tylko jednego kronikarza.

Może diabły upodobały sobie Issę ze względu na jej wodę? Mówi się, że ta ma właściwości wpływające na usposobienie ludzi, jacy się rodzą nad jej brzegami. Są skłonni do zachowania się ekscentrycznego, dalecy od spokoju, a ich niebieskie oczy, jasne włosy i nieco ociężała budowa są złudnym tylko pozorem nordyckiego zdrowia.

III

Tomasz urodził się w Giniu nad Issą w porze, kiedy dojrzałe jabłko spada ze stukiem na ziemię w ciszy popołudni, a w sieniach stoją kadzie brunatnego piwa, które warzy się tutaj po zakończeniu żniw. Ginie, to przede wszystkim góra zarosła dębami. W tym, że zbudowano na niej drewniany kościół, kryje się

intencja wroga dawnej religii, albo, być może chęć przejścia od dawnej do nowej bez wstrząsów: na tym miejscu odprowadzali kiedyś swoje obrzędy ofiarnicy boga piorunów. Z trawnika przed kościołem, opierając się o ogrodzenie z głazów, widzi się na dole pętle rzeki, prom z wózkiem na nim, posuwający się powoli wzdłuż liny, za którą ciągnie miarowo ręka przewoźnika (nie ma tu mostu), drogę, dachy między drzewami. Nieco z boku stoi plebania z szarym dachem z drewnianych gontów, podobnym do korabia na obrazkach. Wszedłszy na schodki i nacisnąwszy klamkę, stąpa się po posadzce z wytartych cegiełek, ułożonych ukośnie w jodełkę, a światło pada na nią przez zielone, czerwone i żółte szybki, które budzą podziw dzieci.

Między dębami, na zboczu jest cmentarz, a na nim, w kwadracie łańcuchów łączących kamienne słupki, leżą przodkowie Tomasza z rodziny jego matki. Z jednej strony do cmentarza przytykają obłe wzniesienia, na których latem jaszczurki szmyrgają spomiędzy czombrow. Nazywa się to Szwedzkie Wały. Usypali je albo Szwedzi, którzy przyjeżdżali tutaj zza morza, albo ci, co bili się z nimi; znajduje się tutaj czasem szczątka pancerzy.

Za Wałami zaczynają się drzewa parku, jego skrajem przebiega droga, bardzo stroma, która zmienia się w czasie roztopów w łożysko potoku. Przy drodze z tajemniczej kępy tarnin wystają ramiona krzyża. Dostać się do niego trzeba po trawie na resztkach stopni i wtedy ma się pod sobą okrągłą jamę krynicy, żaba wytrzeszcza oko spod krawędzi, a przykłękając i odgarniając rzęsę, można długo wpatrywać się w obracającą się na dnie kulkę wody. Zadziera się głowę i wtedy ukazuje się obrosły mchem Chrystus z drzewa. Siedzi w rodzaju kapliczki, jedną rękę trzyma na kolanach, a na drugiej wspiera podbródek, bo jest smutny.

Od drogi aleją idzie się w stronę domu. Jak tunel, tak gęste są tutaj lipy, zniża się aż do sadzawki koło świrna. Sadzawka ma imię Czarna, bo nigdy nie dosięga jej słońce. W nocy chodzić tutaj jest straszno; widziano tu nieraz czarną świnię, która chrząka, tupie racicami po ścieżkach i przeżegnana, znika. Za sadzawką aleja wznosi się znowu i nagle otwiera się jasność gazonu. Dom jest biały, tak niski, że dach, na którego deszczulkach mieszka gdzieniegdzie mech i trawa, wydaje się go przyniatać. Dzikie wino, którego jagody ściągają język, oplata okna i dwie kolumnienki na ganku. Z tyłu dobudowano skrzydło budynku — tam wszyscy przenoszą się na zimę, bo front butwieje i zapada się od wilgoci, jaka przedostaje się spod podłogi. Skrzydło składa się z wielu pokoi, stoją w nich kołowrotki, warsztaty tkackie i prasy do wałowania sukna.

Kołyska Tomasza umieszczona była w starej części domu.

od ogrodu i pierwszym dźwiękiem, jaki go witał, były pewnie krzyki ptaków za oknem. Wiele czasu zużył, kiedy już chodził, na zwiedzanie izb i zakamarków. W sali jadalnej bał się zbliżyć do ceratowej kanapy — mniej z powodu portretu mężczyzny w zbroi, z rąbkiem purpurowej szaty, patrzącego surowo, bardziej z powodu dwóch okropnie wykrzywionych twarzy z gliny na półce. W część, na którą mówiło się „salon” nigdy się nie zapuszczał i, będąc nawet dużym już chłopcem, czuł się tam nie-swojo. „Salon” za sienią był zawsze pusty, parkiety i meble trzaskały same w ciszy i jakoś wiadomo było, że tam przebywa czyjaś obecność. Najbardziej pragnął znaleźć się w spiżarni, co zdarzało się rzadko. Wtedy ręka babki przekręcała klucz w drzwiach pomalowanych na czerwono i buchał zapach. Najpierw zapach wędzonych kiełbas i szynek, które wisały pod belkami pułapu, ale mieszała się z nim inna woń, z szufladek, wznoszących się jedna nad drugą wzdłuż ścian. Babka wyciągała szufladki i pozwalała wachać, objaśniając: „to cynamon, to kawa, to goździki”. Wyżej, tam, gdzie tylko dorośli mogli sięgnąć, błyszczały garnuszki ciemno-złotego koloru, które budziły pożądanie, moździerze i nawet maszynka do mielenia migdałów, a także pastka na myszy: pudełko z blachy, na które mysz mogła wbiec po mostku, powycinanym w schodki, a kiedy sięgała po słoninę, otwierała się zapadnia i wpadała w wodę. Małe okno spiżarni miało kraty i prócz zapachu był tu chłód i cień. Tomasz lubił też izbę z korytarza, koło kuchni, „garde-robę”, gdzie suszyły się sery i gdzie często bito masło. Brał w tym udział, bo zabawnie jest poruszać kijem w górę i w dół, kiedy w otworze syczy maślanka; co prawda zniechęcał się prędko, bo długo trzeba pracować zanim podnosząc wieko spostrzeże się, że krzyżak na końcu kija oblepiają już żółte grudki.

Dom, ogród owocowy za nim i trawnik przed nim, to najpierw znał Tomasz. Na trawniku trzy agawy, wielka pośrodku, dwie mniejsze po bokach, rozsadzały donice, na których klepkach zostawiała znaki, wyżej i niżej, rdza obręczy. Tych agaw sięgały wierzchołki świerków, co rosły w dole parku, a między nimi, świat. Zbiegało się w dół, do rzeki i do wioski, z początku tylko wtedy, kiedy Antonina niosła w necce opartej o biodro bieliznę do prania, a na niej położony pralnik, czy jak to się inaczej nazywa, kijankę.

IV

Przodkowie Tomasza byli panami. O tym, w jaki sposób nimi zostali, zagubiła się pamięć. Nosili hełmy i miecze, a mieszkańcy okolicznych wiosek musieli uprawiać ich pola. Bogactwo

ich określało się bardziej liczbą dusz czyli poddanych, niż obszarem posiadanej ziemi. Bardzo dawno temu wioski składały im tylko daninę w naturze, później spostrzeżono, że zboże, które ładuje się na skutury i odprawia rzeką Niemnem do morza, przynosi duże zyski i że oplaca się z lasu wycinać poletka. Wtedy zdarzało się, że zmuszani do pracy ludzie urządzali bunt i zabijali panów, a przewodzili im starzy, nienawidzący i panów i chrześcijaństwa, które przyszło równocześnie z końcem swobody.

Tomasz urodził się kiedy dwór już przemijał. Zostało niezbyt dużo gruntu na którym orało, siało i kosiło kilka rodzin ordynariuszy; wynagrodzenie dostawali przeważnie w kartoflach i ziarnie i ten roczny przydział zapisywało się w ksiązkach jako ordynaria. Prócz nich trzymano pewną ilość czeladzi „na dworskim stole”.

Dziadek Tomasza, Kazimierz Surkont, w niczym nie przypominał tych mężczyzn którzy tutaj kiedyś zajmowali się głównie dobieraniem wierzchowców i kłótniami o gatunki broni. Nie-wysoki, nieco ociężały, przesiadywał najczęściej w swoim krzesle, kiedy, drzemiąc, opierał podbródek o pierś, ześlizgiwały mu się siwe pasma zaczesane na różowej łysinie, a pince-nez dyndało na jedwabnym sznurku. Miał cerę dziecka (nos mu tylko często od chłodu przybierał barwę śliwki) i oczy niebieskie z czerwonymi żyłkami. Łatwo się przeziębiał i swój pokój wołał od otwartej przestrzeni. Nie pił, nie palił, a choć powinien by był nosić buty z cholewami, a nawet ostrogi, żeby okazać swoją gotowość do skoczenia w pole, chodził w długich spodniach wypchniętych na kolanach i w sznurowanych trzewikach. Nie było we dworze ani jednego myśliwskiego psa, choć na dziedzińcu koło stajni drapały się i wybierały sobie pchły czeredy różnych Żuczków, wolnych od jakichkolwiek obowiązków. Nie było też żadnej strzelby. Dziadek Surkont cenił nade wszystko spokój i książki o hodowli roślin. Być może do ludzi odnosił się też trochę jak do roślin i ich namiętności nie łatwo wyprowadzały go z równowagi. Starał się ich zrozumieć i to że był „za dobry”, w połączeniu z jego niechęcią do kart i hałaśliwości, odstręczało sąsiadów równych mu stanem. Wymawiali jego nazwisko i wzruszali ramionami, nie umiając mu postawić jakichś wyraźnych zarzutów. Każdego kto przyjeżdżał pan Surkont przyjmował świadcząc mu grzeczności zupełnie niedostosowane do rangi i stanowiska. Wiadomo, że inaczej trzeba odnosić się do szlachcica, Żyda i chłopca, a on tę zasadę obchodził, nawet wobec strasznego Chaima. Co kilka tygodni Chaim zjawiał się na swojej bryce i, z biczem w rękę, w czarnym kaftanie, z bufami spodni opadającymi na cholewy, wkraczał do domu. Broda mu sterczała jak polano które osmalił ogień. Zaczynał rozmowy o cenach żyta i cielaków, a to stano-

wiło tylko wstęp do wybuchu. Wtedy, wrzeszcząc i gestykulując, biegał i ścigał domowników po wszystkich izbach, targał się za włosy i przysięgał że zbankrutuje jeżeli zapłaci co żądają. Zdaje się że bez odegrania tej rozpaczliwej odjeżdżałby z poczuciem że nie wypełnił tego co uważał za zadanie dobrego kupca. Tomasz dziwił się, że wrzaski ustawały nagle, Chaim już miał w ustach coś w rodzaju uśmieszku, siedzieli z dziadkiem rozmawiając przyjaźnie.

Życzliwość dla ludzi nie oznaczała wcale że Surkont skłonny był ustępować ze swego. Dawne urazy pomiędzy wioską Ginie i dworem wygasły i rozkład gruntów był taki, że brakowało powodu do kłótni. Co innego wioska Pogiry, z drugiej strony, pod lasem. Toczyła ona nieustanne spory o prawo do pastwisk i przychodziło to jej nie łatwo. Zbierali się, roztrząsali sprawę, gniew w nich wzbiarał, wyznaczali delegację starszyny. Kiedy jednak starszyzna zasiadła z Surkontem przy stole na którym stała wódka i plastry wędlin, całe przygotowanie traciło cel. Głodził wierzch ręki dłonią i, nie śpiesząc się, serdecznie, tłumaczył. Widać było jego pewność że zmierza tylko do rozwikłania tak żeby było sprawiedliwie. Przytakiwali, miękli, zawierali nową ugodę i dopiero w drodze powrotnej przychodziło im na myśl wszystko czego nie powiedzieli, źli byli że jeszcze raz ich zaczarował i że muszą wstydzić się przed wioską.

W młodości Surkont uczył się w mieście, czytał książki Auguste Comte'a i John Stuart Mill'a, o których nad Issą mało kto poza tym słyszał. Z jego opowiadań o tych czasach Tomasz zapamiętał głównie to o balach, na których mężczyźni nosili fraki. Dziadek i jego kolega mieli do spółki tylko jeden frak i kiedy jeden z nich tańczył, drugi czekał w domu, a po kilku godzinach zamieniali się.

Z dwóch córek, Helena wyszła za mąż za dzierżawcę z okolicy, a Tekla za człowieka z miasta i ona to była matką Tomasza. Do Ginia przyjeżdżała czasem na kilka miesięcy, ale rzadko, bo towarzyszyła mężowi, którego nosiło po świecie poszukiwanie zarobku i później wojna. Dla Tomasza pozostawała pięknem za dużym, żeby można było coś z nim zrobić i patrząc na nią, przełykał ślinę z miłości. Ojca prawie nie znał. Kobiety koło niego to przede wszystkim Pola, kiedy był zupełnie mały, a później Antonina. Polę odczuwał jako biel skóry, len, miękkość i przenosił później swoją sympatię na kraj, którego nazwa dźwięczała podobnie: Polskę. Antonina wysuwała naprzód brzuch w fartuchach w prążki. Przy pasie nosiła pęk kluczy. Śmiech jej przypominał rzenie, a w sercu chowała życzliwość dla wszystkich. Mówiła mieszaniną dwóch języków, to znaczy litewski był jej macierzystym, a polski nabytym. Jej polszczyzna brzmiała tak,

jak to wskazuje na przykład to wołanie dobroci: „Tomasz, kuodź, dam kampatura!”

Tomasz bardzo lubił dziadka. Pachniało od niego przyjemnie a siwa szczecina nad ustami łechtala w policzek. W małym pokoju gdzie mieszkał wisiała nad łóżkiem rycina, przedstawiająca ludzi, których przywiązano do słupów, inni ludzie półgoli, przykładali do słupów pochodnie. Jednym z pierwszych ćwiczeń Tomasza w czytaniu było sylabizowanie podpisu: Pochodnie Nerona. Tak miał na imię okrutny król, ale Tomasz dał takie same jednemu ze szczeniaków, bo zaglądając mu w pysk, starsi mówili, że ma czarne podniebienie, co znaczy, że będzie zły. Neron wyrósł i nie okazywał ciętości, za to dużo sprytu; zjadał śliwki opadłe z drzew, a kiedy ich nie znalazł umiał oprzeć się łapami o pień i trząść. Na stole dziadka leżało wiele książek a na obrazkach w nich oglądało się korzenie, liście i kwiaty. Czasem dziadek brał Tomasza do „salonu” i tam otwierał fortepian, którego wieko miało kolor kasztanów. Palce jakby obrzękle, zwężające się na końcach, przebierały po klawiszach, ten ruch dziwił i dziwiło sypanie się kropli dźwięku.

Dziadka często można było widzieć, odbywającego narady z ekonomem. Był nim pan Szatybelko, z bródką na dwa boki, które wyglądał i rozsuwał, rozmawiając. Małutki, chodzący ze zgiętymi kolanami, wysuwał nogi z butów, których cholewy były za obszerne. Palił ogromną w porównaniu z nim fajkę. Jej cybuch zakręcał się w dół, a palenisko zamykało się na metalowe wieczko z dziurkami. Stancja jego, na końcu budynku co mieścił stajnię, wozownię i izbę czeladną, zieleniała od krzaków geranium w doniczkach, a nawet blaszanych kubkach. Na ścianie pełno było świętych obrazów, które jego żona, Paulina, ozdabiała kwiatami z papieru. Za Szatybelką wszędzie dreptał piesek Mopsik. Kiedy jego pan przesiadywał w pokoju dziadka, Mopsik czekał na dworze i niepokoił się, bo wśród dużych psów i ludzi potrzebował w każdej chwili opieki.

Goście — z wyjątkiem takich, jak Chaim czy gospodarze w różnych sprawach — zjawiali się nie częściej niż raz czy parę razy do roku. Sam pan ani ich wyglądał, ani nie był im nierad. Prawie każde ich jednak pojawienie się wpędzało babkę Surkontową w humory.

V

Od babki Michaliny czyli Misi Tomasz nigdy nie dostał żadnego prezentu i nie zajmowała się nim zupełnie, ale to dopiero była osoba. Trzaskała drzwiami, wymyślała każdemu, nic ją nie obchodzili ludzie ani co pomyślą. Kiedy wpadła w złość,

zamykała się u siebie na całe dnie. Tomasza przenikała, kiedy znalazł się przy niej, radość — ta sama, którą się czuje spotykając w gąszczu wiewiórkę albo kunę. Jak one należała do stworzeń leśnych. Do ich pyszczków podobny był jej duży, prosty nos między policzkami, co tak sterczały naprzód, że jeszcze trochę a schowałby się między nimi. Oczy jak orzechy, włosy ciemne, które czesała gładko, zdrowie, czystość. W końcu maja zaczynała swoje wyprawy do rzeki, latem kąpała się kilka razy dziennie, w jesieni przebijała stopą pierwszy lód. W zimie też dużo czasu spędzała na przeróżnych ablucjach. Nie mniej dbała o schludność w domu, a właściwie tylko w tej części, którą uważała za swoją norkę. Poza tym potrzeb nie miała żadnych. Do stołu dziadkowie i Tomasz zasiadali razem rzadko, bo nie uznawała regularnych posiłków, uważała to za zawracanie głowy. Kiedy przyszła jej ochota, biegła do kuchni i pałaszowała garnki kwaśnego mleka, zagryzając solonymi ogórkami czy kwaszeniną z octem — przepadała za wszystkim co ostre i słone. Ta jej niechęć do obrządku talerzy i półmisek — kiedy milej jest zaszyć się w kącie i podjadać tak, żeby nikt nie widział — pochodziła z jej przekonania, że traci się niepotrzebnie czas na ceremonie, a również ze skąpstwa. Co do gości, to irytowali ją dlatego, że trzeba ich bawić kiedy nie ma się do tego usposobienia i dlatego, że trzeba im dać jeść.

Nie nosiła kaftaników, wełnianych halek ani sznurówek. W zimie ulubionym jej zajęciem było stawać przy piecu, zadzierać spódnicę i grzać tyłek — ta pozycja oznaczała, że jest gotowa do rozmowy. Ów gest wyzwania wobec obyczajów bardzo Tomaszowi imponował.

Gniewy babci Misi pozostawały chyba na powierzchni, tam wewnątrz siedziało coś jak pęknięcie ze śmiechu i zostawiona samej sobie, odgradzona przez obojętność, musiała bawić się doskonale. Tomasz odgadywał, że zrobiona jest z twardego materiału i że tyka w niej jakaś niepotrzebująca nakręcania maszynka, perpetuum mobile, dla którego świat zewnętrzny był zbyteczny. Używała różnych chytrłości, żeby móc zwijać się w kłębek wewnątrz siebie.

Interesowała się przede wszystkim czarami, duchami i życiem pozagrobowym. Z książek czytała tylko żywoty świętych, ale chyba nie szukała w nich treści, a raczej upajał ją i wprowadzał w marzenie sam język, dźwięk pobożnych zdań. Żadnych nauk moralnych Tomaszowi nie udzielała. Rano (jeżeli ukazywała się ze swojej dziupli, gdzie pachniało woskiem i mydłem) siadały z Antoniną i tłumaczyły sny. Dowiadując się, że ktoś zobaczył diabła, albo że gdzieś w sąsiedztwie dom nie nadaje się do użytku, bo coś dzwoni w nim łańcuchami i toczy beczki,

rozpromieniała się. W dobry humor wprowadzał ją każdy znak z innego świata, czyli dowód, że człowiek na ziemi nie jest sam, ale w towarzystwie. W różnych drobnych zdarzeniach odgadywała przestrogi i wskazówki S i I. Bo ostatecznie trzeba wiedzieć, umieć się zachować, a wtedy Siły, co nas otaczają, usłużą i pomogą. Babcia Misia miała taką ciekawość dla tych stworów, które kłębią się dokoła nas w powietrzu i których dotykamy w każdej chwili, nie wiedząc o tym, że do bab znających sekrety i zaklęcia odnosiła się zupełnie inaczej niż do innych i nawet dawała im to kawałek materiału, to krążek kielbasy, ciągnąc je za język.

Zajmowała się mało gospodarstwem, tyle, żeby kontrolować czy dziadek nie wynosi czegoś dla swoich protegowanych, bo podkradał, bojąc się awantur. Nikomu nie świadcząca usług — cudze potrzeby nie przedostawały się do jej wyobraźni — wolna od wyrzutów sumienia i rozważań o jakichś obowiązkach wobec bliźnich, po prostu żyła. Jeżeli Tomaszowi udało się odwiedzić ją w łóżku, w niszy zakrytej kotarą, obok klęcznika z rzeźbionym oparciem i poduszką z czerwonego aksamitu, siadał w jej nogach i opierał się o jej kolana pod kocem (nie znosiła wotowanych kołder) a koło jej oczu zbierały się zmarszczki, jabłka policzków wyskakiwały jeszcze bardziej niż zwykle, co oznaczało przyjaźń i śmieszne opowieści. Czasem narażał się przez jakąś psotę na jej burczenie, nazywała go paskudnikiem i błaznem, ale to go nie przejmowało, bo wiedział że go lubi.

W niedzielę ubierała się do kościoła w ciemne bluzki, które zapinały się pod szyją na agrafki, nad żabotem. Wkładała złoty łańcuszek z ziarenkami jak łebki od szpilek, a medalion, który pozwalała otwierać (nic w nim nie było), chowała w kieszonce za pasem.

VI

Rozmaite Siły obserwowały Tomasza w słońcu i zieleni i osądzały go według zakresu swojej wiedzy. Te z nich, którym dane jest wyłączać się poza czas, kiwały melancholijnie przezroczytymi głowami, bo zdolne były ogarnąć skutki ekstazy, w jakiej żył. Siłom tym znane są na przykład kompozycje muzyków, próbujących wyrazić szczęśliwość, ale takie wysiłki okazują się niedołężne, kiedy się przykucnie przy łóżku dziecka, które budzi się w letni ranek, a za oknem słychać gwizd wilgi, chór kwakań, gdakań i gęgań od podwórza, wszystkie głosy w świetle, co nigdy się nie skończy. Szczęśliwość to także dotyk — bosymi stopami Tomasz przebiegał od gładkości desek podłogi, do chłodu kamien-

nej posadzki korytarza i do okrągłości bruku na ścieżce, gdzie ob-
sychała rosa. I, trzeba to wziąć pod uwagę, był samotnym
dzieckiem w królestwie, co zmieniało się tak jak zechciał. Diabły,
kurczące się szybko kiedy nadbiegał i włączące pod liście, zacho-
wywały się jak kury, kiedy, spłoszone, wyciągają szyje i pokazują
głupotę oka.

Na trawniku pojawiały się na wiosnę kwiaty nazywane klu-
czyki św. Piotra. Cieszyły one Tomasza, bo trawa jednolicie
zielona, a nagle ta jasna żółtość, na gołej łądźce, właśnie jak
pęk małych kluczy, a w każdym drobny krążek czerwieni. Liście
u dołu pomarszczone, miłe w dotyku, jak zamsz. Kiedy na kłom-
bach rozkwiatały piwonie, ścinali je z Antoniną żeby zanieść do
kościółka. Zanurzał w nich oczy i cały chciałby wejść do tego
różowego pałacu; słońce prześwieca przez ściany a na dnie w zło-
tym pyłku biegają żuczki, jednego raz wciągnął w nos, tak moc-
no wachał. Podskakując na jednej nodze biegł za Antoniną
kiedy szła po mięso do sklepu, który był wydrążony w ziemi
w ogrodzie. Złazili w dół drabiną i Tomasz smakował palcami
nóg mróz od tafli lodu z Issy przysypanych słomą. Na górze
skwar, tu inaczej, a któżby z wierzchu odgadł. Nie mógł uwie-
rzyć, że sklep nie ciągnie się daleko tylko kończy się tu gdzie
podmurowana ściana z zaciekami wilgoci. Albo ślimaki. Przez
mokre dróżki po deszczu przeprawiały się z jednego trawnika
na drugi, wlokąc za sobą ślad ze srebra. Wzięte w rękę, wcią-
gały się w skorupkę, ale zaraz wysuwały się znowu jeżeli do nich
przemówić: „Ślimak, ślimak, wystaw rogi, dam trzy grosze na
pierogi”. Wszystko to, jeżeli sprawiało dorosłym przyjemność, to,
jak mogły stwierdzić Siły, trochę wstydliwą, na przykład zamy-
ślać się nad białą obrączką na skorupie ślimaka to nie dla nich.

Rzeka dla Tomasza była olbrzymia. Niosły się nad nią
zawsze echa: kijanki stukwały tak-tak-tak; skądś odzywały się
Cała orkiestra i kobiety piorące nigdy nie pomyliły się, jeżeli
inne, jakby była umowa, że jedne drugim mają odpowiadać.
zaczynała nowa, zaraz wpadała w ten takt co już był. Tomasz
zaszywał się w krzaki, wlażył na pień wierzy i słuchając spędzał
całe godziny na przyglądaniu się wodzie. Po powierzchni uga-
niały się pająki, dokoła nóg których tworzą się wgłębienia, żuki
— krople metalu tak śliskie, że woda ich się nie ima — od-
prawiały swój taniec w kółko, ciągle w kółko. W słonecznym
promieniu lasy roślin na dnie, między nimi stoją ławice rybek,
które pryskają na wszystkie strony i znów zbierają się, kilka
ruchów ogonkiem, rozpęd, kilka ruchów ogonkiem. Czasem od
głębi przychodziła większa ryba na jasność i wtedy Tomaszowi
biło serce z przejęcia. Podskakiwał na swoim pniu, kiedy w środ-
ku rzeki odzywał się plusk, coś błyskało i rozchodziły się kręgi.

Jeżeli przepłynęła łódka, to było niezwykle: zjawiała się i nikła
tak szybko, że nie dawało się wiele zauważyć. Rybak siedział
nisko, prawie na wodzie, garnał wiosłem, które miało dwie
łopatki, a za sobą włókł sznur.

Tomasz wcześniej zmajstrował sobie wędkę i był cierpliwy,
ale nie udawało mu się. Dopiero dzieci Akulonisów, Józiuk
i Onuté, nauczyły go, jak przywiązuje się haczyki. Do ich chaty
na skraju wioski z początku wpadał na chwilę, później przy-
swoił się i, jeżeli nie wracał do domu, wiadano gdzie jest.
W południe dostawał drewnianą łyżkę i siadał ze wszystkimi
za stołem, czerpiąc jak inni z jednej misy bonduki ze śmietaną.
Akulonis był wielki, z plecami których płaskość zastanawiała
Tomasza, bo nie znał nikogo, kto by trzymał się tak prosto. Płót-
no spodni na łydkach opasywał rzemieniami łapci aż do kolan.
Łowieniem ryb zajmował się z upodobaniem i co najważniejsze
miał czółno. Za jabłoniemi, koło świronka, grunt zniżał się w za-
tokę obrosłą ajerem, czółno w nim wygniotło przejście i leżało
wyciągnięte do połowy. Dzieciom zakazano spychać je na wodę,
więc mogły tylko udawać, że jadą, kołysząc się na jego końcu.
Wywrotne, składało się z wydrążonego pnia i dwóch skrzydeł
dla równowagi. Akulonis jeździł nim na szczupaki z błyskotką.
Sznur, który rozwijał za sobą, zakładał za ucho, żeby poczuć
natychmiast szarpnięcie. Na noc zastawiał popuszczanki i jedną
popuszczankę dał Tomaszowi. Zaraz koło wędziska przywiązane
były leszczynowe widelki, na nich nawinięta linka, którą wsad-
zało się w rozszczepienie i dalej, na jej wolnym kawałku pod-
wójny hak. Mały okuń najlepiej nadaje się na przynętę, bo kiedy
hak założy mu się z boku, rozcinając nożykiem skórę, potrafi
chodzić całą noc, inne rybki nie są tak żywuszcze, za prędko
umierają. Zasluga zdarzenia przypaść powinna Akulonisowi,
który wybrał miejsce i wędkę zarzucił. Tomasz nie mógł spać.
Zerwał się wcześniej i zbiegł do rzeki, kiedy stała jeszcze mgła
świt. Nad różowością gładzizny, gdzie kłębił się opar, zobaczył
widelki — puste. Jeszcze nie wierzył, ciągnął i szło ciężko,
pluskało. Pod górę pędził biegiem, w szczęściu, żeby wszystkim
pokazać rybę dużą jak cała ręka. Zbiegli się naprawdę i oglądali.
Nie był to szczupak, jakaś inna i Akulonis orzekł, że łapie się
rzadko. Nigdy dotychczas Tomaszowi nie zdarzyło się nic podob-
nego i z dumą opowiadał o tym przez kilka lat.

Do Akulonisowej, białej jak Pola, garnał się i szukał jej
pieszczot. W chacie rozmawiało się po litewsku i ani się spo-
strzegł, jak przechodził z jednego języka w drugi. Dzieci mie-
szały oba, oczywiście nie tam, gdzie wypada zwoływać się
przepisanym od wieków okrzykiem, na przykład kiedy chłopcy
biegną goli, żeby buchnąć w wodę, nie mogliby wrzeszczeć nic

innego jak: „Ej, Vyrail” czyli „Ej, mężczyźni!” Vir, jak Tomasz dowiedział się później, znaczy po łacinie to samo, ale litewski jest pewnie starszy od łaciny.

Mija jednak lato. Deszcze, rozplaszczanie nosa na szybie, nudzenie starszych. W wieczory w kuchni, gdzie zbierały się koło Antoniny dziewczęta żeby prząść albo łuskać fasolę, czekało się coraz to nowych opowieści i rozpacz ogarniała jeżeli, jak to czasem bywa, coś psuło zabawę. Tomasz słuchał pieśni, a zwłaszcza intrygowała go jedna, bo Antonina zachowywała się tajemniczo i mówiła, że to nie dla niego. Śpiewała przy nim tylko refren:

*Sukieneczka wachu, wachu
Ci nie czujesz panna strachu?*

a resztę podchwycił urywkami. Było to o rycerzu, co pojechał na wojnę i zginął, a potem wrócił do swojej ukochanej w nocy jako duch, wsadził ją na konia i wiozł do swego zamku. Naprawdę nie miał zamku, tylko grób na cmentarzu.

Jedna z dziewcząt, od strony Poniewieża, często powtarzała tę piosenkę, jak to Tomasz sobie wyobrażał, o cieślach budujących dom:

*Pania majstra, prosza na rachunek
Już pracować nia bendá.
Prosza oddać moja zarobiona,
Bo odjeżdżam ja w drogá.*

i to ostatnie słowo ciągnęło się długo, żeby pokazać, że droga daleka.

*Moja walizka stoi spakowana
Stoi w sieni za progiem.
Moja Kasieńka już ucałowana
Płacze w drugim pokój.*

Od niej weselsze były krótkie przyspiewki, jak choćby:

*Wzioł butelka i kieliszek
I pojechał do Gryniskiek
A z Gryniskiek do Wajwody
Szukać sobie żony młodej.
Kiku kiku na koniku
Na kościele galka
Nie pójdą ja za nikogo
Tylko za Michałka.*

Albo:

*Panienki tancujcie,
Trzewiczków nie psujcie.
— Mam brata, Kondrata,
Trzewiczki podłata,
Mam psiuka, kudłuka,
Trzewiczków poszuka.*

We wróżbach przez lanie wosku, najbardziej przejmujący moment jest kiedy płynny wosk syczy w zimnej wodzie i układa się w figury Losu. Potem na cieniu ogląda się go, obracając, aż zebrani wołają och i ach, rozpoznając wieńce, zwierzęta, krzyże i góry. Z powodu wróżb na św. Andrzeja Tomasz zresztą najadł się strachu. Patrząc w lustro powinny tylko dziewczęta i to poważnie — zamknąć się w izbie o północy. Próbował to robić dla żartu, przy wszystkich i skończyło się płaczem, bo zobaczył czerwone rogi. Może to wyszycia na bluzkach tak mu mignęły zza pleców, ale nie na pewno i przez długi czas później obchodził każde lustro z daleka.

Któreś zimy (a każda ma ten pierwszy poranek, kiedy stąpa się po śniegu, co spadł w nocy) Tomasz widział nad Issą grono-staja czy łasicę. Mróz i słońce, różgi krzaków na stromym brzegu po drugiej stronie wyglądały na bukiety ze złota, powleczone gdzieś tam szarą i siną farbą. Zjawia się baletnica niezwyklej lekkości i gracji, biały sierp, co gnie się i prostuje. Tomasz, z otwartymi ustami, w osłupieniu gapił się na nią i męczyło go pożądanie. Mieć. Gdyby w rękę trzymał strzelbę, strzeliłby, bo nie można tak trwać, kiedy podziw wzywa, żeby to, co go wywołuje zachować na zawsze. Ale co by się wtedy stało? Ani łasicy, ani podziwu, rzecz martwa na ziemi, lepiej, że oczy mu tylko wyłaziły i że nie mógł prócz tego nic.

Na wiosnę, w porze kwitnących bzów, zdejmowało się buty i wykrzywiała się stopy, bo każdy kamyk kłuł jak gwóźdź. Ale zaraz skóra grubiała i aż do przymrozków Tomasz obijał gołe pięty po ścieżkach, a w niedzielę trzewiki go piekły i pozbywał się ich zaraz po kościele.

VII

Nie każdy bywa bohaterem takiej przygody, w jaką trafił Pakienas. Tomasz zawsze zbliżał się do niego z nabożeństwem. Pakienas, podobny do okunia, z ostrym nosem co błyszczał, zajmował się tkaniem na wielkim warsztacie i obsługiwał prasę, gdzie wkładało się samodziały między dwie tektury — te szcer-

niały od długiego użycia i wchłaniania barwników. Ludzie z sąsiedztwa przynosili często do dworu swoje sukna do walenia i prasowania. Choć przygoda, o której mowa, miała miejsce dawno, została o niej pamięć i żywy dowód, że nie było to coś, o czym gdzieś się słyszy, bo Pakienas mógł ją potwierdzić (choć niechętnie) w każdej chwili.

Łączyło się to z Borkiem, to jest kępą sosen niedaleko Issy. W sosnach gnieździły się gawrony i krążyły nad wierzchołkami z krakaniem. Borek nie miał dobrej opinii. W jego środku pogrzebano kiedyś starego skierdzia czyli nad-pastucha, który udławił się serem. Jakto udławił się? — pytał Tomasz. No udławił się, jedząc swój obiad na pastwisku i chyba z powodu niezwykłej śmierci nie złożono go na cmentarzu. Poza tym w Borku leżała skrzynia, zakopana przez wojsko Napoleona. Podobno, kiedy pracowano nad wyryciem dołu dla skierdzia, natrafiono na żelazne wieko. Ale dlaczego w takim razie nie wyjęto jej? Nie można było znaleźć jej brzegu, zabrakło czasu i sił — tłumaczenia pozostawały niejasne.

Pakienas wracał późno, koło północy, z wieczorynki po drugiej stronie rzeki. Odnalazł schowane przedtem w krzakach czółno i przeprawił się. Zaledwie jednak dał kilka kroków polem, od strony Borku zaczął zbliżać się do niego jakby słup pary. Ruszył szybko, słup za nim. Włosy mu się zjeżyły, biegł, a słup utrzymywał dokładnie taki sam dystans. Pod górę do parku Pakienas skakał jak zając i z rykiem grozy bił w drzwi Szatybelki, szukając ratunku.

Pewną wstydlivość, z jaką Pakienas o tym wspominał, wyjaśniłyby zajścia na wieczorynce. W zjawieniu się ducha skierdzia dopatrywał się kary i znaku, czyli, jak to się określa, grzeszył zabobonnością. Gdyby, jak jego brat, wyemigrował do Ameryki i prasował tam spodnie w jakimś zakładzie przy jałowej ulicy Bróoklynu, pamięć o tamtej nocy szybko by się zatarła, najpierw przestałby opowiadać o niej innym, a potem sobie. To samo stałoby się, gdyby wzięto go do wojska. To wierzchołki drzew Borku, jakie co dzień widział, idąc ze swojej stacji w świrnie do izby z warsztatem, utrzymywały ciągłość. Przypomnijmy zresztą, że do obowiązków kronikarza nie należy dostarczanie szczegółów o wszystkich postaciach, jakie pojawiają się w polu widzenia. Nikt nie przeniknie tego życia i zostaje ono tutaj napomknięte tylko żeby stwierdzić, że istniał Pakienas, raz, kiedyś w czasie, o wiele później niż wielu mędrców piszących traktaty o tym że nie ma upiorów ni bogów. Niech wystarczy informacja, że skrupuły i nieśmiałość zabroniły mu się ożenić, a kiedy dziewczęta i Antonina wytykały mu jego starokawalerstwo, pociągał tylko nosem i nic nie odpowiadał.

Między kamizelką trójkąt białej koszuli, zakończonej pod szyją haftowanym czerwono kołnierzem, wyraz twarzy nieobecny i rozdrażnienie w ruchach, kiedy rwały mu się na warsztacie nitki. Poza tym we władzy Pakienasa zostawał olbrzymi klucz od świrna. Wychodząc chował go w szparę pod drewnianym progiem. Wewnątrz — kiedy Tomasz nauczył się otwierać drzwi, nabijane żelaznymi guzami — stąpało się po rozsypanym ziarnie i czarnych szczurzych bobkach, a w zasięgach siadało się w chłodnym zbożu i zasypywało się sobie nogi. Na strychu przez małe okienko (wiódł do niego tunel — taka grubość muru) oglądać można było widok w dole, całą dolinę. W pokoju Pakienasa stały worki z mąką, łóżko, nad nim wisiał krzyż z ołowianą miską na święconą wodę i zasunięte za ramię krzyża kropidło.

Tomasz, bawiąc się z Józiukiem i Onuté na polu, gdzie pasły się gęsi, zapędzał się czasem na skraj Borku. Szum wiatru w górze, krakanie, w dole cisza, tajemniczo i nieprzyjemnie. Raz, dodając sobie nawzajem odwagi, dotarli aż do grobu skierdzia. Rósł na nim gęsty maliniak i pokrzywy. Z tej zieleni dźwigał się więc, wywabiony światłem księżyca, białawy słup i błędził między drzewami. Czy liście pokrzyw chwiały się wtedy czy nie — zastanawiał się Tomasz.

VIII

Do kościoła chodzono przez Szwedzkie Wały. Ubrany w kurtkę z samodziału, która go kłuła przez koszulę, Tomasz śledził ruchy ministrantów w komeżkach. Wolno im było wstępować na stopnie pod sam ołtarz, co lśnił złotem, chwiali kadzielnicami, nie bojąc się odpowiadali księdzu, podawali mu dzbanki z dziobkami podobnymi do księżyców na nowiu. Jakże to jest, że to są ci sami chłopcy, co wrzeszcząc brodzą po wodzie łowią raki, tarmoszą się za włosy i dostają paskiem rżniętkę od ojca? Zazdrościł im, że tak raz na tydzień są inni przez to, że wszyscy na nich patrzą.

Kilka razy do roku odbywał się w Giniu kiermasz. Przekupnie z miasta wystawiali swoje budy z płótna w dole koło drogi, tuż przy ścieżce, co schodziła od dębów cmentarza. Sprzedawali pierniki w kształcie serca i gliniane kogutki-gwizdawkę, ale uwagę Tomasza przyciągały szczególnie fioletowe, czerwone i czarne kwadraciki szkanlerz i wiązki różańców — i barwa i mnogość drobnych przedmiotów.

Żadne święto nie mogło równać się z Wielkanocą, nie tylko dlatego, że wtedy trze się mak w makutrze i wydłubuje się orzechy z mazurków. W Wielkim Tygodniu, w kościele, gdzie

obrazy przesłaniały zasłony z kiru, a kołatki stukały sucho zamiast dzwonek, odwiedzało się grób Pana Jezusa. Przed grotem stała straż w posrebrzanych hełmach z grzebieniami i piórami, uzbrojona w piki i halabardy. Jezus leżał na podniesieniu, ten sam, co na wielkim krucyfiksie, tylko ramiona krzyża zakryte miał liśćmi barwinka.

Czekano się z niecierpliwością na przedstawienie w Wielką Sobotę. Piętnastoletni i szesnastoletni chłopcy, którzy długo przedtem zjawiali się i przygotowywali, wpadali do kościoła z wrzaskiem niosąc kije, a na nich przywiązane martwe wrony. Nabożne stare kobiety modliły się godzinami i wymęczone ścisłym postem pochylały głowy coraz niżej — budzili je z drzemki, podsuwając wronę pod nos, albo bili nią ludzi, przynoszących w węzełkach jajka do święcenia. Na trawniku przed drzwiami odprawiali swoje komedie. Najbardziej Tomaszowi podobało się męczenie Judasza. Uciekał jak mógł, gonili go w kółko obsypując wyzwiskami, wreszcie wieszał się, wyciągając język, zdjęty z drzewa był trupem, ale czy można takiemu pozwolić wymknąć się tak łatwo? Przewrócony na brzuch, szczypany, wydawał jęki, wreszcie ściągnano mu majtki, jeden z chłopców wsadzał mu w tyłek słomkę i przez tę słomkę wdmuchiwał w niego duszę, aż Judasz zrywał się, krzycząc że żyje.

Kiedy Tomasz był trochę starszy, Antonina i babka Surkontowa zabierały go na Resurekcję. Po smutnych pieśniach i litaniach buchał chór: Alleluja, ruszała procesja, pchano się w drzwiach, tam na zewnątrz jeszcze ciemność, wiatr chwiał płomykami świec. W górze przesuwają się gałęzie drzew, zimno, już zaczyna świtać, mieniające się chustki kobiet i gołe głowy mężczyzn, pochód naokoło kościelnego budynku, wzdłuż murku z głazów i to wszystko Tomasz przyzwyczaił się uważać za początek wiosny.

Potem nastawały senne gwary święta, słodycz bułek i kaczanie jajek. Tor dzieci układały z darni, lekko wewnątrz wgięty, wyłożony kawałkami blachy dla rozpędu. Nie ma dwóch jajek, które by toczyły się tak samo, trzeba umieć zgadnąć po kształcie jak pójdzie jeżeli położy się je na brzegu rynienki z prawej strony, jak jeżeli z lewej, jak jeżeli pośrodku. Oto już dobrze, dobrze, już dopędza inne jajka, co leżą rozproszone jak stado krów, już stuknie i wzbogaci właściciela, ale nie, chybocząc się według jakichś swoich własnych chęci, przebiega obok o palec albo zatrzymuje się, nim zdążyło dotknąć.

Na Boże Ciało kościół był ozdobiony girlandami z liści dębów i klonów. Zwieszały się z belek pułapu nisko, tuż nad głowy. Już począwszy od maja ustawiano pod figurą Matki Boskiej kwiaty, ale teraz zakrywały cały ołtarz. Dzieci zbierano

w zakrystii i dawano im koszyczki z płatkami róży czy piwonii. Babka Surkontowa chciała, żeby Tomasz brał udział w procesji. Szło się tyłem przed baldachimem, pod którym ksiądz niósł monstrancję i trzeba było dobrze uważać żeby nie potknąć się o kamyk i nie upaść. W Boże Ciało jest prawie zawsze skwar, wszyscy są spoceni i przejęci noszeniem feretronów i chorągwi. Ale to radosne święto: jasność, ćwir jaskółek, brzękadła poczwórnych dzwonek, biel, czerwień i złoto.

IX

Światem toczyła się wielka wojna i Kraj Jezior w samym jej początku przestał należeć do cesarza rosyjskiego, którego wojśka zostały pobite. Niemców Tomasz widział tylko raz. Było ich trzech, na pięknych koniach. Wjechali w dziedziniec — Tomasz siedział wtedy obok Grzegorzunia, który, za stary żeby pracować, zajmował się pleceniem koszyków. Młody oficer, wcięty w pasie, rumiany jak panienka, zeskoczył z konia, poklepał go po szyi i pił mleko z kwarty. Zebrały się w okół niego kobiety z czeladnej, tylko Grzegorzunio został na miejscu i nie odjął nożyka od witki. Żeby mężczyzna nosił tak kolorowe ubranie — jak trawa — już to dziwiło. A miał przy pasie ogromny pistolet w skórzanym pochwie, z niej sterczał metal kolby i w dole długa lufa. Tomasz prawie zakochał się w jego giętkości i czymś nieznanym. Oficer oddał kwartę, wskoczył na konia, zasalutował i ze swoimi żołnierzami ruszył z powrotem, koło obory, w lipową aleję.

Co pozostawało do opowiedzenia to jego losy, które nigdy nie wykroczą poza prawdopodobieństwo. Obchodził kościół w Giniu i, opierając się o murek, rysował zawzięcie w notesie. Być może przypominał sobie podobne drewniane Kirchen oglądane przed wojną w Norwegii. A kiedy podnosił się i opadał na strzemionach, w chrzeście rzemieni siodła, wdychał zapach łąk nad Issą i myślał o potrząskanej ziemi na froncie zachodnim, we Francji, gdzie bił się jeszcze niedawno. Nie zauważył Tomasza ani teraz, ani (czemużby to miało być niemożliwe?) w dwadzieścia lat później, kiedy w generalskim samochodzie pełnym pledów i termosów, opierając zażywny podbródek o kołnierz munduru, przejeżdżał ulicami jednego z miast Europy Wschodniej, zdobytego właśnie przez armię Führera. Tomasz (założymy) zaciskał w kieszeniach ręce w pięści i nie rozpoznał w zdobywcy swojej krótkotrwałej miłości.

Wojna miała ten tylko skutek dla Gini, że nie warto było jeździć do miasteczka, bo nic tam nie dawało się kupić. Stąd wynikało wiele czynności blisko obchodzących Tomasza. Na

przykład gotowanie mydła. W sadzie rozpalano ognisko, na trójnogu stał kocioł, a w nim mieszano drágim brunatną breję, zatykając nosy. Smród smrodem, ale co uwijań się, pokrzykiwań i narad czy mydło dobrze wychodzi. Później breja kzepła i kroilo się masę na kawalki. Albo przyrządzanie świec. Do tego służyły obcięte butelki, które napelniało się łojem, a pośrodku wsadzano knot. Obciąż butelkę można sznurkiem umaczanym w nalcie: jeżeli ją owinać i podpalić sznurek, szkło pęknie naokoło dokładnie w tym miejscu. Kupiono też dwie lampy karbidowe, których kształt i zapach podniecały Tomasza. Na herbatę babka Surkontowa suszyła liście poziomek, miód służył zamiast cukru, zresztą odkryła wtedy sacharynę i nigdy już odtąd cukru nie używała, bo tak samo słodko a taniej.

Tomasz powinien był się uczyć, ale w domu nikt tym nie umiał się zająć i posyłano go do wioski, do Józefa nazwanego Czarnym. Czarny naprawdę — miał brwi jak grube krechy, twarz chudą, a włosy lekko siwiejące na skroniach. Mieszkał u swego brata i pomagał mu w gospodarstwie, ale parzył się różnościami. Dostawał skądś książki, suszył rośliny między kawałkami gazety przyciśniętej deską, pisał ludziom listy i opowiadał o polityce. Siedział kiedyś w więzieniach za tę politykę i pracował po miastach, ale nie nosił się z miejską, przez wswszycia swoich koszul dawał do poznania, że pozostał chłopem. Należał do tego plemienia, które zyskało u kronikarzy naszych czasów tytuł nacjonalistów, czyli pragnął służyć chwale Imienia. I tutaj kłopot, przyczyna jego żalów. Bo jemu chodziło oczywiście o Litwę, a Tomasza miał uczyć czytać i pisać przede wszystkim po polsku. Ze Surkontowie uważali się za Polaków, traktował jako zdradę, trudno znaleźć bardziej tutejsze nazwisko. I nienawisć do panów — za to, że są panami i za to, że zmienili język, żeby lepiej odgradzić się od ludu i trudność nienawidzenia Surkonta, który właśnie jemu powierzał wnuka i nadzieja, że otworzy chłopcu oczy na wspaniałość Imienia — ta mieszanina uczuć zawierała się w jego chrząkaniu, kiedy Tomasz otwierał przed nim czytanke. Babka była bardzo niezadowolona z tych lekcji i z brataniania się z „chamami”, nie godziła się na istnienie jakichś Litwinów, choć jej fotografia mogłaby ilustrować książkę o tym, jacy ludzie zamieszkiwali Litwę od wieków. Wziął jednak specjalnie do domu nauczycielkę — wglądałoby jej zdaniem na zbiteczną fanaberię i, mruczając że dziecko schamiał, godziła się z konieczności na Józefa. Tomasz tych zawłości i napięć nie rozumiał a kiedy zrozumiał, uznał za coś wyjątkowego. Spotykając się z małym Anielikiem, co rósł w Irlandii, albo w małym Szwedem w Finlandii, odkryłby tam wiele podobieństw, ale ziemie poza doliną Issy okrywała mgła i co wiedział, to chyba to, z opowieści babki,

że Anglicy jedzą kompot na ranne śniadanie — dlatego czuł do nich sympatię — że Rosjanie wysłali dziadka Artura na Sybir i że powinien kochać polskich królów, których groby są w Krakowie. Kraków dla babki pozostawał najpiękniejszym miastem na świecie i obiecywała Tomaszowi, że pojedzie tam jak dorośnie. Razem, z tego jej patriotyzmu ułożonego gdzieś daleko, z tolerancji dziadka, dla którego sprawy narodowościowe były raczej obojętne i z odezwań się Józefa: „my”, „nasz kraj” załęgło się w Tomaszu przyszłe niedowierzanie kiedy w jego obecności ktoś zanedo powoływał się na godła i sztandary, rodzaj podwójności przywiązań.

Nauki u Józefa zaciągnęły się na długo z powodu chaosu lat przejściowych, z których wyłoniła się mała republika Litwy. Staraniem Józefa rozpoczęto wtedy w Giniu budowę pierwszej szkoły, gdzie został nauczycielem.

Na razie jednak wojna dopiero wygasła i jej czas wyróżniał się tym, co można było oglądać na drodze w dole, na przykład ze zmurzonej ławki na skraju parku. Przechodzili tam często włóczędzy wędrujący z daleka, zza jezior, od strony miast. Uciekali stamtąd przed głodem. Nieśli przywiązane na plecach worki i węzelki, a często ciągnęli w drewnianych wózkach małe dzieci. Jedną taką rodziną, złożoną z matki i dwóch chłopców, przyhołupiała się do dworu z poparciem Antoniny, którą czarował dorosły już Stasiak tym, że pięknie grał na organkach, śpiewał miejskie piosenki a przede wszystkim tym, że mówił po polsku zupełnie po mazursku. „On szwapecil” wykrzykiwała i przymykała oczy z lubością. Stasiak, z odstającymi uszami i cienką szyją, nie pociągał Tomasza, choć zrobił mu kuszę, z kolbą jak w prawdziwym karabinie. Wieczorem pod lipą rozlegały się chichoty dziewcząt, a kiedy Stasiak siedział sam z Antoniną też Tomasz wiercił się i wreszcie zostawiał ich, znudzony, i nie wiadomo dlaczego coś mu dokuczało, jak kiedy w południe słońce schowa się za chmurę.

X

Co do diabłów, to do dręczenia wybrały przede wszystkim Baltazara. Trudno byłoby tego się domysleć, bo wyglądał na człowieka stworzonego do radości. Cera cygana, białe zęby, ze dwa metry wzrostu, okrągła twarz, na niej zarost — puch na sliwce. Kiedy zjawiał się we dworze, w swojej bluzie ściągniętej paskiem, w granatowej czapce na bakier spod której sterczał czub, Tomasz biegł pokrzykując na jego powitanie: albo kosz z grzybami — borowiki i opieńki z wierchu tej barwy co przecięta olcha, z boku białawe w kropki — albo zwierzyna —

bekasy czy cietrzew z czerwonym paskiem nad okiem. Baltazar był leśnikiem, choć niezupełnie. Jemu nikt nie płacił, on nikomu nie płacił, siedział w lesie, na pobudowanie się dostał darmo budulec, swoje kartofle i żyto miał rozrzucone po polankach, doorywał sobie gruntu co roku. Trzaskanie drzwiami i przekręcanie kluczy w szafach wznagało się za każdym jego przyjściem i babka Surkontowa dostawała migreny. Tomasz łowił jej lukanie na dziadka: „Ten twój faworyt! Żebyś mi nie ważył się nic dla niego wynosić!”

Baltazarowi wielu zazdrościło i słusznie. Zostając leśnikiem nie miał nic, a teraz gospodarstwo, krowy, konie i nie chata a dom, z podłogą z desek, z gankiem, z czterema izbami. Ożenił się z córką bogatego gospodarza z Ginia i miał dwoje dzieci. Surkont niczego nie odmawiał czegokolwiek poprosił „Baltazarek” i tu już można było pokazywać palcem na czoło. Wrogów sobie nie narobił, bo umiał postępować: pilnował, żeby nie ścinano drzew w starej dębinie, ale nie sprzeciwiał się, jeżeli ktoś z wioski Pogiry spuścił świerk albo grab, byle pień dobrze założyć mchem, tak żeby nie zostało śladu.

Szczęście. Na swoim ganeczku Baltazar lubił wylegiwać się z dzbanem domowego piwa tuż przy nim na podłodze. Popijał z kubka, mlaskał, ziewał i drapał się. Syty kot — a wtedy właśnie w nim szalało. Od czasu do czasu dziadek umieszczał Tomasza obok siebie na bryczce i jechali do leśniczówki, bo była dość daleko, za polami nienależącymi do dworu. Ta bryczka służyła do częstego użytku, a także linijka — rodzaj wałka na czterech kołach, na który wchodziło się jak na konia. W wozowni stały również inne wehikuły, na przykład karetka zarośnięta kurzem i pajęczyną, na płozach, odkryte sanki i „pajak” — jaskrawo żółty, długi, przednie koła ogromne, tylne małe i na nich wysoko siedzenie dla furmana czy lokaja — a pomiędzy jedną i drugą częścią „pajaka” (przypominał raczej osę) tylko deski, które podbijały do góry jeżeli po nich skakać. Na bryczce dziadek trzymał Tomasza wpół kiedy przechylali się; za polami zaczynały się pastwiska i pasieki, czarna woda w koleinach pod nawisającą trawą kryła dziury, w które zapadało się po osie. Dym na tle zwartej grabiny znaczył, że zaraz usłyszysz się szczekanie psów i że ukaże się dach i żuraw studni. Mieszkać tak na odludziu, ze zwierzętami, co wysuwają szyje z gąszczu i śledzą ruch w obejściu — Tomasz chciałby. Dom pachniał żywicą, drzewo nie zdążyło jeszcze poczerwieć i błyszczowało jak wykute z miedzi. Baltazar szczyrzył zęby, żona ustawiała na stole poczęstunek i wmuszała wędliny ciągłym: „Proszka, proszka zakąsywać”. Chuda, z wystającą szczęką nie odzywała się poza tym.

Tomasz zostawiał starszych i biegł podpatrywać sójki albo

dzikie gołębie, ptactwa tu spotykało się mnóstwo. Raz w kupie kamieni na pasiece znalazł gniazdo dudków — sięgnął ręką i złapał młodego, co nie umiał jeszcze latać, rozkładał tylko wachlarz na głowie żeby straszyć. Zabrał go ze sobą, ale dudek nie chciał nic jeść, przemukał się pod ścianami i trzeba było go wypuścić.

Baltazar na pewno nie Tomaszowi zwierzałby się z tego, co go dręczyło. A zresztą sam nie pojmował, poza tym, że z nim coraz gorzej. Dopóki stawiał dom, szło jako tako. Później zatrzymywał się za pługiem, skręcał papierosa i nagle tracił świadomość gdzie jest, budził się ze ściśniętymi palcami, z których wysypywał się tytoń. Jedynym sposobem było upracować się, ale z lenistwa szybko dawał radę każdej pracy, a kiedy rozwalili się na ławce ze swoim dzbanem piwa, napelniała go obrzydliwa miękkość, obracała się wewnątrz powoli i w odrętwieniu, niby drżąc, krzyczał z zaciśniętymi ustami — żeby to mógł krzyczeć, ale nie. Czuł, że czegoś potrzebuje: wyprostować się, uderzyć pięścią w stół, bieć dokądś. Dokąd? Szept nawoływał, tworzył jedno z tą miękkością i Baltazar rzucał czasem kubkiem w swojego dręczyciela, który to wchodził w niego, to przedrzeźniał z odległości, a wtedy żona ściągała mu buty i prowadziła na łóżko. Żonie Baltazar poddawał się, ale tak jak wszystkiemu, z nudą i z przekonaniem, że to nie jest to, co być powinno. Odpychała go jej brzydota, jeszcze w ciemności to nic, ale w dzień? Sen przynosił ulgę, ale nie na długo, w nocy budził się i zdawało mu się, że leży na dnie jamy z wysokimi ścianami i że nigdy się nie wydobędzie.

Bywało, że bił pięścią w stół i że biegł. Po to tylko, żeby zacząć naprawdę pić. Nie obchodziło się wtedy bez trzech, czterech dni, a pił tak, że raz wódka w nim się zapaliła i Żydówka w miasteczku musiała nad nim przykucnąć i nasikać mu do gęby — ten środek jest znany, ale przynoszący dyshonor. Rozchodziła się szybko wiadomość, że Baltazara znów nosi i jedni mówili, że to z tłuszczy i bogactwa, a drudzy żalowali, że marnieje, ponieważ zadał się z diabłem, co nie było tylko ich wymysłem, bo Baltazar po pijanemu rozповідаł, płacząc, różne rzeczy.

Dopiero w wiele lat po opuszczeniu Ginia, Tomasz zastanawiał się nad Baltazarem, łącząc w jedno posłyszane o nim baśnie i nie baśnie. Pamiętał wtedy ramie z mięśniem, co napręzał się w kamień (Baltazar był silaczem) i oczy z długimi rzęsami, sarnie. Żadna udałość ani żadna zabiegliwość nie chronią od choroby duszy — i Tomasz ile razy o nim myślał, niepokoił się o swoje własne przeznaczenie, o wszystko, co jeszcze było przed nim.

XI

Z bródką, z latającym spojrzeniem, składał łagodnie ręce pana z miasta i opierał się łokciami o stół, *Herr Doktor*, Niemczyk — takim go widywał Baltazar. „Won!” mruczał i próbował przeżegnać się, ale zamiast tego skrobał się tylko w pierś, a słowa tamtego sypały się z szelestem suchych liści, w tonie perswazji.

— Ależ drogi Baltazarze — mówił. — Ja chcę tobie tylko pomóc, martwisz się ciągle i zupełnie niepotrzebnie. Troszczysz się o gospodarstwo, że ziemia nie twoja, że niby masz ją a razem nie masz. Lekko przyszła, lekko odejdzie, czy tak? Łaska pańska, jutro kto inny weźmie Ginie i ciebie wyrzuci?

Baltazar jęczał.

— A czy naprawdę o ziemię tak ci chodzi? No przyznaj się. Nie, ty w głębi serca chowasz coś innego. Teraz, tu, masz to pragnienie, żeby zerwać się i odejść stąd na zawsze. A, świat jest wielki, Baltazarze. Miasta gdzie w nocy muzyka i śmiech, zasypiałbyś tam na brzegu rzeki, sam, wolny, nic za tobą, skończzone jedno życie, drugie zaczęte. Nie wstydzilibyś się grzechu, odkryłoby się przed tobą to, co na zawsze zostanie zakryte. Na zawsze. Bo ty boisz się. Trzęsiesz się nad gruntem, nad swoimi kabanami. Jak to tak, mam znów nic nie mieć — pytasz. Dobrze, w tobie jest jeden Baltazar i drugi i trzeci a ty wybierasz najgłupszego. Wolisz nigdy nie doświadczyć, jaki jest inny Baltazar. Może nie?

— O Jezu.

— Nic ci nie pomoże. Jesień, zima, wiosna, lato, znów jesień, tak w kółko, złożą ciebie w ziemi, napij się jeszcze, to twój cały smak. W nocy? Ty wiesz sam. Ale nie ja przecież doradzałem ci żenić się kiedy brak ci do tego ochoty i wybrać najbrzydszą dziewczynę, bo jej ojciec bogacz. Strach Baltazarze. Wszystko przez to. Zabezpieczałeś się. A kiedy ci było lepiej, kiedy miałeś dwadzieścia lat czy teraz? Przypominasz sobie tamte wieczory? Twoja ręka dobra do siekiery, nogi do tańca, gardło do pieśni. Jak tam dokładaliście dREW do ogniska, i tych twoich przyjaciół. A dzisiaj jesteś sam. Gospodarz. Choć nie przeczę, mogą ci ten dom odebrać.

Paraliż porażał Baltazara. Wewnątrz worek trocin. Tamten natychmiast to przenikał.

— Wylazisz rano przed dom, rosa, ptaki śpiewają, a czy to dla ciebie? Nie, ty liczysz. Dla ciebie to jeszcze jeden dzień i jeszcze jeden i jeszcze. Byłe ciągnąć. Jak wałach. A kiedyś? Nie dbałeś o liczenie. Śpiewałeś. Teraz co? Przyglądasz się dębom, ale one jak z pakuł. A może ich nie ma? W książkach

mądrze to opisano. Ty nie dowiesz się jak opisano. Jeżeli kto w sobie chowa taką kaszę, lepiej, żeby się od razu powiesił, bo przestaje już wiedzieć, czy jemu się nie śni, kiedy chodzi po ziemi. To stoi w książkach. Powieszysz się? Nie.

— Dlaczego innym jest dobrze, a mnie nie?

— Dlatego mój drogi, że każdemu dano taką nitkę, jego los. Albo schwyci jej koniec i wtedy cieszy się, że postępuje jak należy. Albo nie schwyci. Tobie się nie udało. Ty nie szukałeś własnej nitki, oglądałeś się na tego i tamtego, żeby być taki jak oni. Ale co dla nich szczęście, dla ciebie nieszczęście.

— Co robić, mów.

— Nic. Za późno. Za późno Baltazarze. Idą dni i noce i coraz mniej odwagi. Ani odwagi, żeby się powiesić, ani odwagi, żeby uciec. Będziesz gnił.

Piwo łało się mętną strugą z dzbana, pił a wewnątrz ciągle paliło. Tamten uśmiechał się.

— A o ten sekret nie potrzebujesz się gryźć. Nikt nie odkryje. To zostanie między nami. Czy nie każdemu sądzona śmierć? Czy nie to samo, trochę wcześniej, trochę później? Chłop był młody, to prawda. Ale długo wojował, już o nim w jego wiosce trochę zapomnieli. Żona popłacze jeszcze, pocieszy się. Jego synek, tłusciutki, za szyję go obejmował, ale za mały, ojca nie spamiętał. Tylko nie trzeba, żebyś plótł przy wódce ludziom, że jakieś tam zbrodnie masz na sumieniu.

— Ksiądz...

— Tak, tak, spowiadałeś się. Ale taki głupi nie jesteś żeby nie rozumieć, że nic tam przy konfesjonale nie potrafisz wybarwotać. Łgałeś. Pewnie, że przykro nie dostać rozgrzeszenia. Więc łgałeś, że on skoczył na ciebie z siekierą i wtedy zabiłeś. Skoczył, tak, ale jak było dalej? No, Baltazarze? Strzeliłeś kiedy siedział w krzakach i jadł chleb. Suchary z krwią wrzuciłeś za nim do jamy i tak zakopałeś, prawda?

Wtedy to Baltazar ryczał i rzucał kubkiem. Pojawianie się Niemczyka tłumaczy też awantury, jakie urządzał po karczmach, przewracając stoły, zydle i tłukąc lampy.

XII

Miejsce w kotlinie między jedliną zabiżniało się łatwo. Baltazar wyciął wtedy darń łopatą i później założył z powrotem. Przychodził tu zwykle pod wieczór, siadał, słuchał wrzasku sójek i myszkowania drożdów. Zmniejszała się dotkliwość, łatwiej to przychodziło znosić tutaj, niż myśleć o tym z daleka. Zazdrościł

prawie temu, co tu leżał. Spokój, obłoki snujące się nad drzewami. A przed nim, ile jeszcze lat?

Karabinek spuścił w dziuplę dębu i nie tykał go więcej. Przerobiony z wojskowego, z obciętą lufą, dawał się schować pod świtką i tamten przypuszczał, że Baltazar idzie bez broni. Wypadł na niego z gęstwy przy ścieżce z podniesioną siekierą krzycząc, żeby podnieść ręce do góry. Ruda broda, podarty rosyjski szynel: plennik wędrujący lasami z niemieckiej niewoli. Czego chciał? Zabrać cywilne ubranie, czy zatłuc, a może pomieszany? Baltazar podrzucił do biodra karabin i tamten zakręcił, świszczając w krzakach tak uciekał. Ale nie jemu znać wszystkie przesmyki i przejścia. Zwierzyna choćby kręciła się w kółko, zawsze oprze się tam gdzie powinna. Nie spiesząc się, zaczął obchód. Jeżeli plennik pobiegł w tamtą stronę, kombinował, wyjdzie na jelniki i tam odpocznie. Co pchało Baltazara? Mściwość czy strach że tamten ma towarzyszy, że napadnie w nocy? Czy po prostu myśliwska żądza? Lść za zwierzem, jak on tak, to ja tak? Na garbach skradał się i mignął mu szary szynel tam mniej więcej gdzie się spodziewał. Zostawił go i znów okrążył od młodziaka, którym mógł dopełznąć bliżej. I wtedy muszka na pochylonych plecach (siedział od Baltazara bokiem), na szyi, na głowie z czapką bez kozyrka. Potem starał się ze wszystkich sił przypomnieć sobie, dlaczego pociągnął za cyngiel, ale raz zdawało mu się że na pewno z takiego powodu, to znów że z zupełnie innego.

Rosjanin padł twarzą w dół. Baltazar czekał, było cicho. jastrzębie kwiliły wysoko. Nic, żadnego ruchu. Upewnił się i wtedy, zakosem, dosięgnął zabitego. Odwrócił go na wznak. Oczy jasno-niebieskie patrzyły w niebo wiosny, wesz pęzła rąbkiem płaszcza. Worek z sucharami rozwiązany, na nim plamy krwi. Obcasy butów starte do szcztetu, maszerował skądś z daleka, od Prus. Przeszukał kieszenie, ale znalazł w nich tylko scyzoryk i dwie niemieckie marki. Wszystko to i siekierę zasunął pod jedlinowe łapki razem z ciałem, bo musiał wrócić tu wieczorem z łopatą.

Właśnie na tym miejscu, rozmyślając, powziął kiedyś zamiar, żeby szukać pomocy. Prawie pewny był, że to postanowienie pochodzi w jakiś sposób od Rosjanina. Może nie darmo go zabił. Tej nocy spał dobrze. Samym świtem wyruszył w drogę.

Czarownik Masiulis hodował dużo owiec i otwierało się wrota za wrotami, żeby przedostać się na dziedziniec. Baltazar wyłożył swoje podarunki: faskę masła i wianki kielbasy. Stary poprawiał okulary w oprawie z drutu. Skóra jak wędzona, z nozdrzy, z uszu wystawał puch siwizny. Rozmawiali najpierw o różnych nowinach z sąsiedztwa. A jak dojrzało i wypadało przystąpić do tego po co te odwiedziny, Baltazar nie umiał wiele

z siebie wydobyć. Pokazywał tylko na serce, jakby chciał wy-rwać i niedźwiedziowato mruczał: „Męczę mnie”. Czarownik nic, pokiwał głową, wyprowadził go do sadu, za ule i tam między jabłonią stała dawna kuźnia obrosła trawą. Zdejmował woreczki wiszące na żerdziach, nzbierał w kacie chrustu i ułożył z niego cztery kupki a Baltazara usadził na kłodzie pośrodku. Chrust podpalił i szepcząc sypał w ogień ziola, które czerpał z woreczków. Dymiło silnie, durzyło, a twarz w okularach poja-wiała się to z tej to z innej strony i mamrotała niby modlitwę. Później kazał mu wstać i wziął z powrotem do izby. Baltazar spuszczał oczy pod jego spojrzeniem, jakby już przyznał się do wielu win.

— Nie, Baltazarze — stary wreszcie powiedział. — Ja to-bie nie mogę pomóc. Na króla król, na cesarza cesarz. Każda siła ma swoją siłę, a ta siła nie moja. Trafisz może na kogo co dostał taką jakiej potrzeba. Ty czekaj.

Tak skończyła się nadzieja. I zęby błyskały, uśmiech pogody dla tych, co nic nie starali się odgadnąć.

XIII

Ksiądz rzadko wybierał się do dworu i znajomość z plebanią liczyła się od tego dnia, kiedy Tomasz stał z Antoniną na schodkach, patrząc w magiczne szybki, a Antonina poprawiała fałdy chustki przy policzku ruchem onieśmienia. Proboszcz, pomięty i zgarbiony, był nazywany „Teigi-Teigi” od słów, które ciągle wtrącał bez widocznej potrzeby. Kazał mu zmówić Ojcie Nasz, Zdrowaś Maria i Wierzę i dał mu obrazek. Matka Boska na nim podobna była do jaskółek, które lepiły gniazda nad stajnią i na-wet wewnątrz, nad drabinkami do siana. Ciemno niebieska suk-nia, brąz na twarzy i naokoło niej krąg z prawdziwego złota. Przechowywał ten obrazek w kalendarzu i cieszył się otwierając stronicę, że zbliża się do miejsca gdzie leżą kolory.

Katechizmu uczył się łatwo, ale swoich sympatii nie rozdzie-lał na równi. Bóg Ojciec, z brodą, marszczy brwi surowo i unosi się nad chmurami. Jezus patrzy łagodnie i pokazuje na serce, skąd idą promienie, ale wrócił do nieba i też mieszka daleko. Co in-nego Duch Święty. Ten jest wiecznie żyjącym gołębiem i wysyła snop światła prosto na głowy ludzi. Kiedy przygotowywał się do spowiedzi, modlił się, żeby nad nim się zatrzymał, bo z grzechami było trudno. Liczył je na palcach i zaraz gubił, liczył na nowo. Przytykając usta do wygładzonych kratek konfesjonału i słysząc sapanie księdza, pośpiesznie wyrecytował swoją listę. Już jednak na Szwedzkich Wałach ogarnęły go wątpliwości, szedł coraz

wolniej, aż w alei zapłakał i z rozpaczą przybiegł do babci Misi pytając ją co zrobić, bo zapomniał grzechy. Doradzała żeby wrócić, ale wtedy zanosił się jeszcze bardziej płaczem, ze wstydu. Nie było innej rady, Antonina wzięła go za rękę i zaprowadziła do księdza, a jej obecność jakoś go uspakajała, może nieładnie ale lepiej niż samemu.

Tomasz więc od razu już miał zadatki na to, co teologowie określają jako sumienie skrupulatne, przyczyna, według nich, wielu zwycięstw diabła. Starając się nic nie pominąć, nie włączał do swoich przewin pewnego sekretu. Nie umiał tego zobaczyć z zewnątrz, nie przychodziło mu do głowy, że to jest i tylko jego własne, najwłaśniejsze, jego i Onuté Akulonis — a równocześnie że to istniało poza nimi, że przed nimi wynaleźli to już inni. Nieczystość w mowie i uczynkach na przykład to było zupełnie nie to — wymawianie brzydkich słów, podglądanie kąpiących się dziewczyn, co mają czarną wronę pod pępkiem, albo straszenie ich w sobotę na wieczorynce, kiedy wychodzą w przerwie pomiędzy jednym tańcem i drugim i kucają w sadzie, podnosząc spod-nice.

Z Onuté często gubili gdzieś gromadę innych dzieci i wymykali się na miejsce nad Issą, które było tylko ich. Dostać się tam nie można było inaczej niż pełzając na czworakach, tunelem pod nawisłą tarniną, a ten zakręcał i należało dobrze go znać. Wewnątrz, na małym pagórku piasku, bezpieczeństwo zbliżało ich do siebie, rozmawiali przyciszonymi głosami i nikt, nikt ich tam nie mógł dosięgnąć, a oni słyszeli stamtąd plusk ryby, stukanie kijanek, turkot kół na drodze. Goli, leżeli głowami zwróceni do siebie, cień padał im na ręce i w tym niedostępnym pałacu mieli w ten sposób jeszcze mniejsze schowanie, w którym przebywało się tajemniczo i chciało się szeptem opowiadać — co? Onuté, tak jak jej matka (i tak jak Pola) miała żółte włosy, splatała je w warkoczyk. A To było takie: kładła się na wznak, przyciągała go do siebie i ścisnęła kolanami. Zostawali tak długo, słońce przesunęło się w górze, wiedział, że chce żeby jej dotykał i robiło się słodko. Ale to przecież nie była żadna inna dziewczynka, tylko Onuté i nie mógłby spowiadać się z czegoś, co zdarzyło się jemu z nią.

Rano przyjmując Komunię Św. czuł się lekki, dlatego także, że na czczo i że ssało go w brzuchu. Odchodził ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, patrząc w końce swoich bucików. Że przylepiony do podniebienia opłatek, który nieśmiało odrywał językiem, jest Ciałem Pana Jezusa, nie umiał sobie przedstawić. Że go to zmieniło i że przynajmniej przez cały dzień był cichy i grzeczny, to jednak było widoczne. Szczególnie trafiły do jego wyobraźni słowa księdza o tym, że dusza ludzka jest jak izba,

co powinna być uprzątnięta i przybrana na przyjęcie Gościa. Myślał, że może opłatek topnieje, ale tam w duszy znów się zrasta i stoi między zielenią w tamtejszym błyszczącym kielichu. Że on, Tomasz, nosi w sobie taką izbę, napelniało go dumą i zachowywał się tak, żeby jej nie popsuć i nie zniszczyć.

Powoli zbliżał się czas kiedy, według obietnicy, miał zostać ministrantem i zaczął nawet uczyć się niezrozumiałych łacińskich odpowiedzi, ale wtedy odszedł stary proboszcz i zaszły duże zmiany. Nowy ksiądz, młody, postawny, z wystającym podbródkiem i brwiami, które zrastały się na nosie, wzbudzał obawę przez gwałtowność swoich ruchów. Zatrzymał tych ministrantów co byli i nowymi się nie zajmował. Zresztą ważniejsze obowiązki go obchodziły.

Jego kazania w niczym nie przypominały monotonnych gawęd, przeplatanych chrząkaniem i monotonnym „tejgi-tejgi”, do jakich przyzwyczajono się w Giniu dotychczas. Tomasz, choć nie bardzo zdolny do śledzenia sensu, jak wszyscy zamierał w oczekiwaniu, kiedy ksiądz zjawiał się na ambonie. Najpierw szemał po domowemu, tak, jak się rozmawia codziennie. Potem co parę zdań wymawiał jedno bardzo głośno i brzmiało to, jak muzyka. Wreszcie podnoszenie rąk, krzyk aż trzęsły się ściany. Piorunował grzechy, jego wyciągnięty palec celował w tłum i każdy drżał, bo każdemu zdawało się, że bije w niego. I nagle — cisza. Stał z czerwoną rozgrzaną twarzą i patrzył: wychylał się oparty o krawędź ambony i ledwo dosłyszalnie, pieszczotliwie, od serca do serca perswadował, roztaczał opisy szczęśliwości, jaka czeka zbawionych. Wtedy słuchacz pociągali nosami. Sława księdza Peikswy szybko sięgnęła poza Ginie i sąsiednie wioski, przyjeżdżano do niego z innych parafii do spowiedzi i zawsze otaczały go chustki, schylające się, kiedy jego wielbicielki usiłowały całować mu stulę, albo ręce.

Wielbiła go Akulonisowa, dziewczęta czeladne, a już przede wszystkim Antonina („czyści grzechy — i wzdychała — wszystko jedno jak żelazno szcztoko we środku drapie”). Nawet babcia Misia, przeciwna z zasady litewskim kazaniom, przekonała się do niego, po wysłuchaniu kilku jego przemówień po polsku. Cały ten jednak zapal trwał niezbyt długo. Na Ginie spadł wielki zaszczyt, tak, to przyznawały jeszcze kobiety wobec obcych, ale już z kwaśnymi minami i zaraz kierowały rozmowę na coś innego. I Tomasz i dzieci z wioski wkrótce już wiedziały, że lepiej jest nie chodzić na plebanie.

XIV

Na kilka dni przed Matką Boską Zielną przywieźli trumnę Magdaleny. Leżała na wielkiej bryce wysłanej sianem, przykryta wzorzystą derką. Konie, w cieniu co padał od lip, opuszczały nisko głowy, tkwiące w workach i z dna szczupały owies, oganiając się sennie od much; drogę odbyły daleką. Wiadomość rozeszła się tak szybko, że ledwie ten, co z ciałem przyjechał, zawiązał lejce o płot, już ludzie zaczęli się zbierać i stali gromadą, czekając co będzie. Na górze, na płaskich kamieniach ścieżki ukazał się ksiądz Peikswa. Nieruchomy, jakby zastanawiał się czy zejść, albo zbierał siły. Wreszcie powoli zaczął zstępować, znów zatrzymał się, wyciągnął chustkę i gniótł ją, skręcał w palcach.

Zgorszenie z Magdalena trwało jakieś pół roku i powstało z jego winy. Mogłoby się bez niego obejść. Peikswa zastał ją już jako gospodynię na plebanii i nikomu nic do tego, co tam między nimi zaszło: ksiądz też człowiek. Zaczęła jednak zachowywać się nieprzychylnie. Chodziła, wysuwając naprzód podbródek, kołyszając się, prawie tańcząc. Sprawiała jej widoczną przyjemność tak do niego podejść czy coś powiedzieć, żeby dać wyrażnie poznać innym kobietom: wy całujecie jego ręce i szaty, a ja mam jego całę. Co prowadziło do wyobrażania sobie jak on, ten sam co przed ołtarzem, leży z nią goły w łóżku, jak do siebie przemawiają i co robią. Wiadomo powszechnie, że w tych sprawach wiele można wybaczyć, dopóki nie pojawiają się obrazy, dokuczliwe, którym nie można się opędzić.

Rozważając zachowanie się Magdaleny w ogóle (u starego proboszcza służyła przez dwa lata) mieszkańcy Ginia w długich, rozwlekłych rozmowach ustalili, że także poprzednio nie wszystko z nią było tak jak należy. Jeżeli małżeństwo nie doszło do skutku i chłopak ożenił się zaraz z inną, stało się to nie tylko ze względu na jej wiek — miała już pewnie ze dwadzieścia pięć lat — i może nie tak zupełnie dlatego, że była biedna, córka bezrolnych i że obca. Żadne perswazje nie pomagały i gotów był postąpić wbrew swoim rodzicom — tutaj już wypada zauważyć jej szczególne zdolności. Ale rozmyślił się w ostatniej chwili. Przestraszył się: za gorąca, nie znająca miary. Także inne podobne zdarzenia teraz ukazywały się w nowym świetle, uzupełniały się wzajemnie. A dla kogoś, kto mógłby dotychczas wątpić, teraz ta trumna.

Tomasz, ponieważ Antonina wymawiając jej imię spluwała, odnosił się do Magdaleny nieżyczliwie, choć nie miał żadnego powodu. Wabiła go do kuchni i dawała mu ciastka ile razy

bywał na plebanii za księdza Teigi-Teigi. Właściwie podziwiał ją wtedy i ścisnęło go w gardle w jej obecności. Jej spódnice szumiały, ich zapięcie wcinając ją w pasie, kiedy pochylała się nad płytą i próbowała potrawy z łyżki, kosmyk włosów zsuwał się koło ucha, a z boku w bluzce dyndała pierś. Łączyło ich to, że on wiedział jak ona wygląda, a ona nie wiedziała, że on wie. Spowiadał się z grzechu, ale widział. Na pochylone nisko nad wodą drzewo można było wleźć i schować się między liśćmi. Serce bije: przyjdzie czy nie przyjdzie? Issa już różowieje od zachodzącego słońca, ryba buszuje. Zagapił się na przelatujące kaczki, a ona już próbowała stopą czy woda ciepła i przez głowę ściągała koszulę. Wchodziła nie tak jak baby, co przysiadają po kilka razy z pluskiem. Powoli, krok za krokiem. Piersi rozchylały się na strony, a pod brzuchem była nie bardzo czarna; tak sobie. Zanurzyła się i płynęła „po psiemu”, nogą wzbijając od czasu do czasu fontannę, aż do miejsca, gdzie liście lilii wodnych zakrywały rzekę. Potem wróciła i myła się mydłem.

Co obijało się o uszy Tomaszowi zostawało dla niego niejasne, a jednak przerażające. To chyba niemożliwe, żeby ten, który grzmi o ogniu piekielnym, sam był grzesznikiem. I jeżeli on, co udziela rozgrzeszenia, jest taki sam jak inni, to co ono warte? Zresztą nie stawiał sobie pytań wyraźnych, a na pewno nie odważyłby się nagabywać o to starszych. Magdalena nabrała dla niego uroku rzeczy zakazanych. A starsi złościli się na nią. Rozdzielali, czego nie umiał Tomasz; ona to było jedno, a ksiądz kiedy ubrał się w komżę, drugie. Ale zepsuła układ, zamąciła spokój i popsuła im przyjemność kazań.

Peikswa schodził w dół i ciekawość ogarniała wszystkich: co każe zrobić z trumną. Kiedy był już przy wozie, zaczęli odwracać głowy. Bo płakał. Łzy ściekały mu po policzkach, jedna po drugiej, usta drgały, zacisnął je, i otworzył tylko żeby powiedzieć, że prosi o zaniesienie ciała na górę do kościoła. Samobójczyni przygotowywał chrześcijański pogrzeb. Zdjęli derkę i ukazała się trumna z białej sosny. Czterech wzięło ją i wspinali się po stromej spadziznie, tak że Magdalena prawie stała.

XV

Żeby otruć się trucizną na szczury, trzeba stracić wszelką nadzieję, a również tak ulec własnym myślom, że one przesłonią świat, aż przestanie się cokolwiek widzieć prócz własnego losu. Magdalena mogłaby poznać wiele miast, krajów, ludzi, wynalazków, książek, przejść przez różne wcielenia, jakie są ludzkim istotom dostępne. Mogłaby, ale tłumaczyć jej to, albo poka-

zywać, przy pomocy jakiejś czarodziejskiej różdżki, miliony kobiet do niej podobnych i cierpiących tak samo, byłoby daremne. Nawet jej przeniknięcie w rozpacz tych, co w tej samej chwili kiedy zadawała sobie śmierć, walczyli jeszcze o godzinę, minutę życia, nic by chyba nie pomogło. Kiedy myśli wreszcie ustąpiły i ciało znalazło się wobec ostatecznej grozy, było już za późno.

Należy zrozumieć, że wpadła w bardzo zły stan na krótko przed tym nim odszedł stary proboszcz. Wtedy właśnie zerwał z nią narzeczony. Po porażce tamtej miłości został w niej chłód i pewność, że nic się nie zmieni, że tak już będzie zawsze. Wszystko w niej się skręcało i buntowało, nie mogła tak zostać, co począc z tą pewnością, że dzień będzie miał za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, i już, patrzcie, jest starą kobietą? Budziła się o świcie i leżała z otwartymi oczami, a wstawać i zaczynać codzienną pracę wydawało jej się straszne. Siadała na łóżku i obejmowała piersi dłońmi — jak ona odtrącone, co dzielić z nią miały staropanieństwo i zwiędnąć bezużytecznie. I co dalej? Łapać chłopców na wieczorynkach, żeby chodzili z nią do odryny albo na łąkę i potem się śmieli? Pograżała się więc w zupełnej beznadziejności kiedy plebanie objął Peikswa.

Na huśtawce jest moment zatrzymania — a potem leci się w dół, aż zapiera oddech. Nagle odmieniła się ziemia i niebo, to samo drzewo na które patrzyła przez okno było inne, obłoki nie podobne do dawnych, wszystkie stworzenia poruszały się jakby napełnione żywym złotem, które z nich promieniowało. Nie przypuszczała nigdy, że może być aż tak. Za cierpienie została przygotowana nagroda i jeżeli ma się cierpieć wieki potem, też warto. Nie najmniejszy udział w jej upojeniu przypadł na rozkosz nasyczonej ambicji: ją, ubogą, prawie niepiśmienną, ją, co nie mogła sobie znaleźć męża wybrał on, uczony, któremu nikt nie dorównywał.

I wtedy — należy to zrozumieć — została pozbawiona wszystkiego i odtrącona w chłód, tym razem na zawsze. Peikswa, świadomy skandalu i zmuszony do wyboru, oddał ją na gospodynię proboszczowi w oddalonych stronach, tak oddalonych, że ostateczność zerwania ukazała się każdemu jasno. W tym domu nad jeziorem, sama ze zgryźliwym starcem, Magdalena nie zabawiła długo — akurat tyle, żeby wrócić w czarną noc, jaką znała przed okresem szczęśliwości. Otruła się, kiedy wiatr gwizdał w trzcinach i fala składała płatw białej piany na żwirach, chlupiąc o dno przywiązanych przy kładce łodzi.

Proboszcz tamtejszy nie chciał jej pochować. Wolał dać swój wóz, parę koni i furmana, byle pozbyć się kłopotu.

Ostatnia podróż Magdaleny, zanim weszła w krainy, gdzie przywitały ją damy niegdysiejszego czasu — zaczęła się wcześniej

rano. Strzępiaste baranki szły w górze, konie biegły rzeźkim truchtem, na otawach mężczyźni ostrzyli kosy i osełki dzwoniły o metal. Potem piaszczystą drogą między jałowcami, przez sosnowe borki, coraz wyżej, aż do rozstaju, skąd widzi się trzy płaszczyny wód spięte ze sobą zielenią, jak naszyjnik z jasnych kamieni. Wtedy znowu w dół, w lasy i tam, w ulicy wioski, Magdalena patrzyła w liście starego klonu przez godziny południa, aż do pory kiedy cienie zaczynają się wydłużać, upał koni już nie zmęczy i można jechać dalej. Na grobli wyłożonej okrągłymi dylami koła podskakiwały choć konie szły stępa, rozlegał się wieczorny koncert drożdów, już otwierało się gwiaździste niebo musujące obrotami sfer i wszechświatów. Ogromny spokój, granatowa przestrzeń, kto stamtąd patrzy i czy widzi jedną maleńką istotę, co sama umiała zatrzymać ruch swego serca, krążenie krwi i własną wolą zmienić się w nieruchomą rzecz. Zapach koni, leniwe gadanie do nich człowieka przy niej i tak do późnych godzin wieczora. A rano, przez pagórki, dąbrowy, już niedaleko, już zjazd w dolinę Issy, a tam, mając przed sobą widok na iskry rzeki w łożinach, ksiądz Peikswa odmawia brewiarz.

Latem ciało psuje się szybko i dziwili się czemu zwleka, jakby nie chciał jej oddać ziemi. Jednak kiedy wreszcie ją wynosili, nie zauważono żadnego przykrego zapachu — ten fakt został później przypomniany. Pochował ją na skraju cmentarza, tam gdzie zaczyna się spadzistość i gdzie korzenie węzłami trzymają sypki grunt.

Kazanie w dzień Matki Boskiej Zielnej dał niedługie i równym, spokojnym głosem. Przedstawiał jak Ta, co nie zaznała zmazy, wstępuje do nieba, nie duchem ale całą sobą, taka jak chodziła między ludźmi. Jej stopy są najpierw tuż nad trawą i nie ruszając nimi unosi się powoli coraz wyżej, powiew igra z jej długą suknią — jakie noszono w Judei, aż jest już tylko punkcikiem między obłokami i to, co nam grzesznym jeżeli zasłużymy będzie udzielone w dolinie Jozafata, ona już otrzymała: zmysłami ziemskimi, w wiecznej młodości, ogląda oblicze Wszechmogącego.

Wkrótce potem Peikswa opuścił Ginie i nigdy o nim odtąd nie słyszano.

XVI

Rozmawiały o tym sąsiadki, opierając łokcie o płot. Mężczyźni milczeli, wzrok mając utkwiony w szczypcie tytoniu, ślinili papierek i udawali, że całą uwagę koncentrują na tej czynności. Powoli wzmagal się niepokój, choć na razie szukano tylko

przyczyn, próbowano utrafić i wystrzegano się niebezpiecznych słów.

Do szerzenia plotek przyczyniał się głównie nowy ksiądz, Monkiewicz, okrągły, łysy i nerwowy. Przestraszył się i niedługo potrafił to ukrywać. Żeby odzywało się ciągle to stukanie w ścianę (po trzy razy) nie znajdował żadnego przyrodzonego powodu. W domu czuł się nieswojo po tym czego się dowiedział i źle znosił obecność, jaka zaznaczała się tym właśnie stukaniem albo powolnym przyciskaniem klamki. Zrywał się i otwierał drzwi, ale za nimi nikogo nie było. Miał nadzieję, że te objawy ustaną, ale przeciwnie, przybierały na sile. Kościelny został wezwany do spania na plebanii i od tej chwili nie musiano ograniczać się do domysłów. Zresztą ksiądz Monkiewicz nie mogąc dać sobie rady, wkrótce poprosił gospodarzy o pomoc. Zbierali się po kilku i w nocy dyżurowali w kuchni.

Biedny duch Magdaleny nie chciał opuścić miejsc, gdzie zaznała szczęścia. Niewidzialnym tasakiem rozszczeniał niewidzialne polana i rozpalał ogień, który buzował i trzeszczał jak prawdziwy. Przesuwał rondle, tłukł jajka i smażył jajecznicę, choć płyta pozostawała zimna i pusta. Jakimi narzędziami rozporządzał? Czy to są tylko dźwięki, rodzaj szerokiego rejestru szmerów naśladujących dźwięki natury, czy też duchowi dana jest cała jakaś druga, inna kuchnia z ogólnym wiadrzem, z ogólną patelnią, z ogólnym stołem polan, które są jak ekstrakt wszystkich wiader, patelni, polan, jakie mogą istnieć? Nie da się tego rozstrzygnąć, można tylko nasłuchiwać i najwyżej nie wierzyć własnym zmysłom. Święcona woda nie pomagała. Ksiądz kropił, przerwa trwała krótko i zaraz znowu odbywała się praca. I z każdym wieczorem coraz śmielej, z hałasowaniem, przrzucaniem rondli, pluskiem wody. Gorzej, że podobna działalność przeniosła się do sypialni. Prócz stuków, ruchów klamką odzywały się teraz kroki, papiery i książki zlatywały na podłogę i zaległo się jeszcze jedno — coś jak przytłumiony śmiech. Ksiądz Monkiewicz żegnał i kropił jeden kąt, nic, drugi, nic, trzeci, nic, ale kiedy podchodził do czwartego rozlegał się chichot i gwizdanie jak na wypróchniałym orzechu.

Wieść o tych zdarzeniach szybko rozeszła się po sąsiednich wioskach i gdyby ludzie z Ginia nie uważali, że bądź co bądź to są ich sprawy i że obcych nie należy do nich dopuszczać, nie trzech by zasiadało na noc w kuchni, a próbowałoby się tam dostać trzystu. Nie mogąc brać czynnego udziału, przynajmniej gadali i parafia trzęsła się od przesadzonych pogłosek.

W stwierdzeniu, że duchowi Magdaleny budynek plebanii nie wystarcza pewną rolę odegrał Baltazar. Cała jego przygoda zasługiwałaby na śmiech i chyba tylko na tę odrobinę powagi

z jaką potakuje się opowiadaniom pijaków, żeby ich nie urazić — gdyby nie jeden szczegół. Baltazar twierdził ni mniej ni więcej, że zobaczył tylko co Magdaleny jak zjeżdżała na białym koniu do rzeki od strony cmentarza. Była goła, i ona i koń błyszczeli w ciemności. Kiedy zebrało się w chacie jego teścia wielu ludzi, powtarzał w kółko to samo i obrażał się, jeżeli przyciskali go do muru i ostrożnie napomykali, że może mu się przywidziało. Ktoś wtedy wpadł na pomysł, żeby pójść do stajni proboszcza i zobaczyć, czy jest tam jego gniady. Gniady był — ale spocony, jakby jeżdżono na nim galopem.

We dworze naturalnie kipiało i Antonina co dzień przynosiła nową porcję. Babcia Misia powtarzała: „cóż okropnego!” i uszczęśliwiona z pozagrobowych figli zaprosiła księdza, żeby się wyskarżył. Siorbał herbatę z poziomek i ze strapioną miną przyznał się, że brak mu już zdrowia, że jeżeli to nie ustanie, to poprosi o przeniesienie na inną parafię — triumf babcia Misia odniosła więc całkowity i w jej okrzykach niedowierzania: „Co ksiądz mówi!” brzmiał zachwyt, bo trzymała przecież z duchami a nie z ludźmi. Wkrótce jednak zaszło coś zupełnie już blisko. Tomaszowi, który został dopuszczony do łóżka Szatybelki, kiedy temu trochę się polepszyło, mrowie przebiegało po skórze. Chory odzywał się słabym głosem, broda rozkładała się na koldrze, a na dywaniku zwinięty w kłębek leżał Mopsik; ten zachował się niesławnie, uciekł wtedy z podwiniętym kawałkiem swego obciętego ogona, ale jego pan nie żywił o to urazy. A oto dokładny opis spotkania. We dworze młócono wtedy zboże. Lokomobila stała w szopie koło stodoły i po zakończeniu pracy drogocenny pas transmisyjny umieszczano w tej szopie, zamykanej na klucz. Szatybelko siedział tego wieczora w miękich papuciach w swojej stancji i palił fajkę, kiedy nagle zaniepokoił się: nie mógł sobie przypomnieć — przekręcił klucz w zamku czy nie, i ta niemożność przedstawienia sobie dopełnionego obowiązku bardzo go męczyła. Wreszcie, pełen obawy, że ktoś może ukraść pas, włożył, gniewnie mruczając, buty, kozuch, wziął latarnię i wyszedł z ciepła na chłód i deszcz. Ciemno było zupełnie i widział tylko tyle ile ogarniał krąg latarni. Szopę rzeczywiście zastał niezamkniętą. Wszedł do środka, ciasnym przejściem pomiędzy ścianą i kotłem lokomobili i sprawdził; pas leżał na miejscu. Kiedy jednak ruszył z powrotem, wyłazł na niego potwór. Szatybelko opisywał go jako rodzaj grubej kłody, sunącej poziomo, całą swoją szerokością. Na niej tkwiły trzy głowy — tatarskie, jak mówił, wyszczerzające się w ohydnych grymasach. Stwora napierała, a on żegnał się i cofał — ale spostrzegł się, że odcina sobie w ten sposób drogę ucieczki i machając latarnią próbował się przemknąć. Wtedy to stąpnął butem w ciało potwora: miękkie „jak

worek plew". Wydostawszy się na zewnątrz, chciał biec, ale nie śmiał się odwrócić. Krok za krokiem, tyłem, przebył całą drogę od zabudowań gospodarskich do swoich drzwi, a trzy potępieńcze głowy cały czas wiły się tuż-tuż na tym niskim korpusie bez nóg. Ledwo łapał oddech i przewrócił się w progu. Dostał zaraz silnej gorączki, a przecież to razem nie trwało dłużej niż kwadrans i niczego dotąd nie brakowało jego zdrowiu.

Możliwe, że, jak przypuszczała babcia Misia, objawił się duch mahometanina pochodzącego z pagórka Tatarski Cmentarz. Pamięć o jeńcach tatarskich, pracujących bardzo dawno temu w Giniu, byłaby zaginęła, gdyby nie pozostała ta nazwa. Dlaczego jednak objawił się właśnie teraz? Ktoś go ośmielił, albo kazał wziąć udział w zakłócaniu porządku. Tylko Magdalena, teraz chyba przełożona podziemnych mocy.

Te wszystkie fakty doprowadziły powoli do zatargu pomiędzy wioską i księdzem Monkiewiczem. Zgodziwszy się co do przyczyny, logicznie rozumowali, że należy przyczynę usunąć. Najpierw napomykali mu nieśmiało, ogólnie, krążąc dokoła sedna, używając porównań i przypowieści. Kiedy to nie odnosiło skutku, mówili wręcz, że trzeba temu położyć koniec i że jest sposób. Machał na to rękami i krzyczał, że on nie zgodzi się na to nigdy, nigdy i wymyślał im od pogan. Uparł się i nie można było go przekonać. Niektórzy radzili, żeby nie pytać go o pozwolenie, ale wiedziano, że również oni się nie odważą. Nic więc nie przedsięwzięto. Tymczasem do proboszcza zjechał na kilka dni drugi ksiądz i odprawiali egzorcyzmy.

XVII

Tomasz bał się biegać po zmroku ale tylko do czasu kiedy miał sen. Był to sen wielkiej słodyczy i potęgi; również grozy i trudno byłoby określić co w nim przeważało. W słowa nie dawał się ująć, ani rano po owej nocy ani później. Słowa nie chwytają mieszaniny zapachów albo tego co nas przyciąga do pewnych ludzi, tym bardziej zanurzania się w studnie przez które przelatuje się na wylot, na drugą stronę znanego nam istnienia.

Widział Magdalene w ziemi, w samotności olbrzymiej ziemi i przebywała tam od lat i na zawsze. Jej suknia rozpadła się i płatki materii mieszały się z suchymi kośćmi a kosmyk włosów, który wyslizgiwał się na policzek nad kuchenną płytą przylegał do trupiej czaszki. A równocześnie była przy nim taka sama jak wtedy kiedy wchodziła w wodę rzeki i w tej równocześnie zawierało się poznanie innego czasu niż ten jaki jest nam zwy-

czajnie dostępny. Uczucie wyrażające się ściskaniem w gardle przenikało go na wskroś, kształt jej piersi i szyi trwał niejako w nim i dotknięcia jej przetłumaczały się na skargę, na rodzaj zaśpiewu: „O, czemu przemijam, czemu moje ręce i nogi przemijają, o czemu jestem i nie jestem, ja, co raz, tylko raz, żyłam od początku po koniec świata, o, niebo i słońce będą a mnie już nigdy nie będzie, te kości po mnie zostają, o, nic nie jest moje, nic”. I Tomasz z nią razem wpadał w ciszę pod warstwami gleby, gdzie obślizguje się kamyk i robaki torują sobie drogę, on teraz zmieniał się w garstkę spróchniałych piszczeł, on skarżył się ustami Magdaleny i odkrywał, sam, te pytania: dlaczego ja jestem ja? Jak to możliwe żebym, mając ciało, ciepło, dłoń, palce, musiał umrzeć i przestać być ja? Właściwie może to nie był nawet sen, bo leżąc na najgłębszym dnie, pod powierzchnią realnych zjawisk, czuł cielesnego siebie, skazanego, rozpadającego się, już po śmierci, a zarazem biorąc udział w tym unicestwieniu, zachowywał zdolność stwierdzania że on tu jest ten sam co on tam. Krzyczał i obudził się. Ale zarysy przedmiotów stanowiły część koszmaru, nie wydzielaly się wcale jako bardziej mocne. Zaraz wpadł znowu w to samo odurzenie i wszystko powtarzało się w coraz to nowych odmianach. Dopiero brzask go uwolnił, otwierał oczy w trwodze. Wracał z daleka. Powoli światło wydobywało poprzeczkę łączącą nogi stołu, zydle, krzesło. Jakaś ulga że świat ten na jawie, składa się z rzeczy z drzewa, z żelaza, z ciepła i że one mają wypukłość i chropowatość! Witiał sprzęty które wczoraj krzywdził, ledwie je zauważając. Teraz wydały mu się skarbami. Wpatrywał się w rysy, w sęki, w pęknięcia. Po tamtym zostawał jednak rozkoszny czad, wspomnienie krain których nigdy dotychczas nie odgadywał.

Odtąd, jeżeli by Magdalena zbliżyła się do niego w ciemnej alei, postanowił nie wrzeszczeć, bo nie zrobiłaby mu nic złego. Nawet pragnął żeby mu się zjawiała, choć dostawał na myśl o tym gęsiej skórki, ale nie — nieprzyjemnej, takiej jak wtedy kiedy gładził aksamitną wstążkę. A do snu nie przyznał się nikomu.

XVIII

Czego dokonano, dokonano w tajemnicy i Tomasz nieprędko potem dowiedział się o tym czynie, który wzbudził w nim wielki żal i zgrozę.

Tylko starszyzna wioski, kilkunastu gospodarzy, zostało dopuszczonych. Zebrali się pod wieczór i pili dużo wódki. Bądź co bądź każdemu z nich było niewyraźnie i starali się dodać sobie odwagi. Pozwolenie zostało udzielone, ściślej, ksiądz Monkiewicz.

wicz powiedział: „Róbcie co chcecie”, ale to stanowiło z jego strony dostateczne przyznanie się do porażki środków jakie miał w swojej dyspozycji. Wkrótce po wyjeździe jego kolegi — nie było tej nocy akurat nikogo na plebanii prócz kościelnego i starej gospodyni, bo zdawało się że Magdalena po egzorcyzmach da spokój — rozległ się w sypialni krzyk i Monkiewicz ukazał się na progu w długiej nocnej koszuli rozdartej w kilku miejscach, tak, że płótno zwisało kawałkami. Magdalena ściągnęła z niego kołdrę i zaczęła drzeć na nim koszulę. Chorobę jego — zachorował na różę — i on sam i wszyscy przypisywali przełknięciu. Na różę z przełknięcia nie ma skutecznych lekarstw poza zamykaniem. Sprowadzono więc znachorkę która mruczała nad nim swoje zaklęcia. Wie się o nich że zawierają rozkazy zwrócone do choroby żeby opuściła ciało; te są poparte groźbami, strzępami chrześcijańskich i jakichś starszych pacierzy, ale słowa, raz wyjawione, tracą moc i wolno temu co je zna przekazać przed śmiercią tylko jednej osobie. Ksiądz poddawał się zabiegom niechętnie. Kiedy chodzi jednak o powrót do zdrowia, nie pora na wątpliwości, spodziewamy się wtedy że może jednak. Podobne osłabienie oporu, wątpli nadzieja że nękające zjawiska ustaną, skłoniła go do udzielenia również tej drugiej zgody.

Powinno się przystępować do tego w ciemności. Może nie jest to przepis, ale wypada żeby towarzyszyła temu nabożność, to jest, przede wszystkim, milczenie. To znaczy bez udziału gapiów, w kręgu ludzi poważnych i pewnych. Próbowali ostrza łopat, zapalali latarnie i wymknęli się po jednym, po dwóch, przez sady.

Wiał silny wiatr i dęby chrzęściły suchymi liśćmi. Ognie w wiosce już pogasły i była tylko czarność i ten szum. Kiedy już wszyscy nadeszli na placyk przed kościołem, skierowali się gromadą na miejsce i ustawili się naokoło jak mogli na zboczu tutaj już stromym. W okrągłych szklach latarni, za ochroną z metalowych prętów, płomyki skakały, miotwały się, ganieane podmuchami.

Najpierw krzyż. Postawiony żeby został tak długo jak starczy siły drewnu, żeby przegnił i zmurszał w swojej zakopanej części i pochylił się powoli, po latach; wyjęli go i położyli ostrożnie z boku. Następnie, kilkoma pchnięciami, zburzyli pagórek grobu na którym nikt nie pielęgnował kwiatów; i zaczęli pracować, pośpiesznie, bo jednak straszno. Składa się w ziemi człowieka na wieczność i zaglądać po iluś tam miesiącach co się z nim dzieje jest przeciwne naturze. To jakby zasadzić żołądek albo kasztan i rozdrapywać potem grunt żeby zobaczyć czy już kiełkuje. Ale może właśnie sens tego co zamierzali polegał na

tym że potrzebna jest wola, decyzja żeby działaniem odwrotnym wystąpić przeciwko odwrotnym niż zwyczajne działaniom.

Zwir zgrzytał i zbliżał się moment. Już łopata stuka, zaglądają, świecą, nie, to jeszcze tylko kamień. Aż wreszcie są deski, odgrzebuja, odsłaniają, tak żeby można było podnieść wieko. Naprawdę wódka przydała się: daje on to wewnętrzne gorąco które pozwala przeciwstawić siebie żywego innemu, co wydają się wtedy mniej żywi, a tym bardziej drzewom, kamieniom, świstowi wichru, widmom nocy.

To co znaleźli potwierdziło wszystkie przypuszczenia. Po pierwsze ciało nie było wcale zepsute. Opowiadali, że zachowało się jakby złożone zostało wczoraj. Dowód wystarczający: tylko ciała świętych albo upiorów mają tę właściwość. Po drugie, Magdalena nie leżała na wznak, tylko odwrócona, twarzą w dół, co również jest znakiem. Nawet jednak bez tych dowodów przygotowani byli zrobić co trzeba. Ponieważ posiadli dowody, przyszło to tym łatwiej, bez wątpliwości.

Przewrócili ciało na wznak i najostrzejszą łopatą, uderzając z rozpędu, jeden z nich odciął głowę Magdaleny. Zaciosany koł z pnia osiny był przygotowany. Oparli go o jej pierś i wbili, uderzając tępym końcem siekiery, tak że przebił z dołu trumnę i dobrze się zagłębił. Następnie głowę, biorąc za włosy, umieścili w jej nogach, założyli wieko i zasypali już teraz z ulgą i nawet ze śmiechami, jak zwykle po chwilach dużego napięcia.

Może Magdalena tak bała się fizycznego rozpadu, tak rozpaczliwie broniła się przed wejściem w inny, obcy jej czas wieczności, że gotowa zapłacić każdą cenę, zgodziła się straszyć, kupując przez ten ciężki obowiązek prawo do zachowania nie naruszonego ciała. Może. Jej usta, jak przysięgali się, pozostały czerwone. Odcinając głowę, miażdżąc żebra, kładziono kres jej cielesnej pysze, pogańskiemu przywiązaniu do własnych ust, rąk i brzucha. Przybita jak motyl na szpilce, stopami w bucikach które jej kupił Peikswa dotykając własnej czaszki, musiała już teraz uznać że roztopi się, tak jak wszyscy, w soki ziemi.

Niepokoje na plebanii ustały natychmiast i nie słyszano już odtąd o jakichkolwiek popisach Magdaleny. Nie jest nieprawdopodobne zresztą, że skuteczniej niż przez gotowanie na niewidzialnej kuchni, niż przez stuki i gwizdy, przedłużyła swoje życie wchodząc w sen Tomasza, który nigdy o niej nie zapomniał.

XIX

Owej jesieni, kiedy straszyla Magdalena, sady nadzwyczajnie obrodziły, a ponieważ nie miano gdzie sprzedawać owoców, karmiono nimi świny, zbierając na domowy użytek i na przechowanie tylko najlepsze gatunki. W trawie gniły stopy jabłek i gruszek, między nimi bzykały osy a także mnóstwo szerszeni. Tomasz ugryzł jeden w wargę i spuchła mu cała twarz; nie zawsze można było je zauważyć, bo wciskały się w środek słodkiej gruszki wąską dziurką, dopiero kiedy dobrze się nią potrzęsnęło, wysuwał się pulsujący prątkowany odwłok. Tomasz pomagał w sadobranii włączając na drzewa i przyczyniało mu dumy że dorośli nie umieją drapać się jak on po kociemu na cienkie nawet gałęzie. I ciągle dojrzywały nowe rodzaje: „cukrówki”, „pocziwe”, „lipówki”, „sapieżanki”, „bergamoty”.

Letnio-jesienną porą Tomasz dobrał się do biblioteki. Dotychczas ten narożny pokój z malowanymi olejną farbą ścianami, tak zimny że kiedy na dworze upał, tu się dygotało, nie wydawał mu się interesujący. Teraz wyżebrał klucze od szaf i wyciągał z nich ciągle coś zabawnego. W jednej z tych szaf, oszklonej, znalazł czerwono oprawne książki, na okładkach złote ozdoby, a wewnątrz dużo rysunków. Podpisów nie potrafił przeczytać, bo to było po francusku, dziewczynka na tych rysunkach miała na imię Sophie i nosiła długie majtki zakończone koronką. W innej szafie, w ścianie, między pajęczyną i zwojami pośliskich papierów, wygrzebał tom z tytułem „Tragedie Szekspira” i spędzał z nim dużo czasu na trawniku, na samym jego skraju, gdzie przy zielonym murze krzaków pachniało mchem i czombrzem. Oprócz niego lubił ten zakątek duże rude mrówki i nieraz wściekle tarł łydka o łydke, bo kasały boleśnie. W luce między szczytami świerków drgała przestrzeń, małe pojazdy wlokły za sobą kurz po drugiej stronie doliny. W książce ludzie w zbrojach albo kuso ubrani (czy te ich nogi są gołe czy w takich obcisłych majtkach?) krzyżowali miecze, przewracali się przebici sztywetem, wiało stęchłą od kartek z plamami rdzy. Prowadził palcem wzdłuż rzędów liter, ale choć pisało po polsku, zniechęcił się i uznał, że dotyczą jakichś spraw dla dorosłych.

Wiecej radości dawały mu książki o podróżach. W nich Murzyni, goli, stali z łukami na łódkach z trzciny, albo ciągnęli na sznurach hipopotama takiego, jak w historii naturalnej. Ich ciała pokrywały prątki i zastanawiał się, czy ich skóra jest w rzeczywistości pełna linii czy tylko tak ich narysowano. Śniło mu się często, że jedzie z Murzynami wodą w coraz bardziej niedostępne zatoki wśród papirusów wyższych od człowieka i tam

buduje sobie wioskę, do której nie trafi nigdy żaden obcy. Dwie z tych książek, ponieważ polskie, przeczytał (na nich właściwie czytać się nauczył bo go porywały) i wtedy wkroczył w zupełnie nową fazę.

Na łuki wybierał leszczyny, ale nie te które rosną w słońcu, bo są przeważnie krzywe. Wpełzał w cień pod krzakami, gdzie nie ma trawy tylko splecione pokłady suszu, a między nim mysikróliki przemykają się z trwożliwym czik-czik-czik. Leszczyna pnie się tam do góry żeby wyrzeć na światło i wtedy, zupełnie prosta, bez gałązek, nadaje się najlepiej. W takiej też ciemnej grocie urządził swoją kryjówkę, gdzie umieszczał broń.

Ze strzałami, do których przybijał lotki z indyjskich piór żeby lepiej leciały, wybierał się na polowanie, a zwierzynek sam wymyślał, mogła nią być na przykład okrągła kępa agrestu. Przesiadywał na kładce, która służyła do nabierania w konewkę wody z sadzawki, nie z tej Czarnej, ale z drugiej, pomiędzy skrzydłem domu i sadem a zabudowaniami folwarcznymi. Zdawało mu się, że płynie i strzelał do kaczek, co raz doprowadziło do śledztwa, bo jedną kaczkę znaleziono nieżywą na środku; ale się nie przyznał. Zresztą może umarła z innego powodu. Indianie polują na ryby z łukiem, więc wypatrywał rybę w rzece na płyciźnie (tak, żeby strzały nie zgubić) ale umykała zawsze w porę.

Na ganku przy stoliku przymocowanym na glucho do podłogi rysował w słotne dni miecze, włócznie i wędki. Tutaj zauważył pewną cechę jego charakteru. Zabrał się raz do rysowania łuków, ale nagle przerwał i papier podarł. Bo łuki kochał a jakoś przyszło mu na myśl, że tego co się kocha nie powinno się przedstawiać, że to powinno zostać pełnym sekretem.

Babcia Misia wzięła go raz ze sobą na strych i pokazała mu skrzynię, wyładowaną po brzegi rupieciami. Wśród nich okładki! I natrafił na przygody chłopca, który zakradł się na okręt, tam pod pokładem za pożywienie służyły mu suchary a wielkie niebezpieczeństwo groziło mu ze strony szczurów. Wodę znalazł tam w beczkach: słodką wodę. Czy to znaczy, że była z cukrem? Tak Tomasz sobie to wyobrażał i tym wyjaśniał sobie radość chłopca, kiedy udało mu się wyświdrować otwór w beczce. Różnym marzeniom o przeczytanych historiach sprzyjała szczególnie wygodka. Prowadziła do niej ścieżka, ponad którą nawisały krzaki porzeczek. Drzwi zamykały się od środka na haczyk a przez wycięte w nich serce obserwowało się kto do wychodka zmierza. Przez szpary przeświecało słońce a naokoło grała bezustanna muzyka much, pszczoł i trzmieli. Taki wlochaty trzmiel bucząc ciężko zapuszczał się czasem z tyłu nad dół, smród z którego Tomasz wciągał w nos z lubością. W kątach pajaki rozpinały swoje sieci. Na poprzecznej belce zacieki stearyny zostawiały

świecie tutaj przylepiane. W bocznych ścianach też otwory, choć nie widziało się w nich nic prócz liści czarnego bzu.

Jeżeli przez serce w drzwiach Tomaszowi mignęła Antonina, przerywał swoje rozmyślenia i szybko zapinał majtki. Na drugim końcu ścieżki, przy pomyjnej jamie, Antonina rzucała kury. Wydymała i zaciniała wtedy usta, przygotowując się do uderzenia tasakiem i układając kurę na pieńku; ta, przestraszona ale w miarę, zastanawiała się pewnie co z tego wyniknie, albo może nie myślała nic. Błyskał tasak, twarz Antoniny kurczyła się w bólu (ale również jakby w uśmiechu) i potem łopotanie, podskakiwanie pierzastego kłęba na ziemi. Tomasz przenikał wtedy dreszcz i dlatego temu asystował. Raz to odbyło się rzeczywiście w niezwykle sposób. Kogut — ogromny, najeżony złoto lśniącymi piórami, zerwał się już bez głowy do lotu, niosąc na przedzie czerwony kikut szyi. Ten lot bez głosu wart był otwartych z podziwu ust Antoniny i jakby uznania, bo kogut spadł dopiero uderzywszy się o pień lipy.

Tomasz rzadziej teraz chodził z wędką nad rzekę i rzadziej biegał do Akulonisów, może z powodu Magdaleny, a może z powodu książek. Ustronia nad Issą zaczęły mu się wydawać groźne, a co do polowań z łukiem, to jakoś z nikim z dzieci nie miałby ochoty ich dzielić, zaraz wyglądałyby śmiesznie, nie to co poważne zajęcia jak łowienie ryb czy kręcenie dudek z łoży. Wolał także, żeby nikt niektórych jego zabaw nie podglądał, zbyt dziecinnych na dużego chłopca: ustawiał dwie armie z patyków wetkniętych w piasek i to był jedną to drugą, bijąc w żółnierzy przeciwnika artylerią z kamieni.

XX

Na początku zimy przyjechała z Dorpatu w Estonii babka Dilbinowa i pokój który zajęła bardzo nęcił Tomasza. Nie wiele od niego wyższa, różowa, stanowiła w tym przeciwieństwo babci Misi, że troszczyła się o wszystko, cerowała Tomaszowi skarpetki i majtki, urządzała z nim lekcje i egzaminowała z religii. Najważniejsza jednak była jej inność od wszystkich. Palila papierosy z długim munsztukiem, nauczyła się tego, jak sama mówiła, ze zmartwień, papierosy trochę na to pomagały. W kufurze, który ze sobą przywiozła, wyjmowało się płaskie pudło, a wtedy otwierał się dostęp do skrzyneczek blaszanych i drewnianych, do pakietów przewiązanych wstążeczkami, różnych małych przedmiotów owiniętych starannie w gazety. Obrządek rozkładania zawartości kufra nie odbywał się często, zachowywał swoją odświętność. Zawsze wtedy przypadał Tomaszowi jakiś podarunek.

na przykład tabliczka prawdziwego chińskiego tuszu; do czego służyła, babka mu wytłumaczyła, ale głównie urzekał go jej kształt, czarność i ostrość kantów.

Nigdy dotychczas nie dowiadywał się o świecie tak wiele jak teraz. Babka młodość spędziła w Rydze i opowiadała mu o wycieczkach do Majorenhofu i o kąpielach w prawdziwym morzu, o tym jak raz o mało nie porwała jej fala, o jej ojcu a jego pradziadku, doktorze Ritterze, który leczył dzieci i nie brał pieniędzy jeżeli ich rodzice byli ubodzy; o tym jak go kochano i jaką sławę miał jako facecjonista, bo często płatał niewinne figle, przebierał się, wyczyniał zabawne miny i raz nawet jej matka wrzuciła mu do kapelusza monetę, myśląc że żebrak — tak dobrze zmienił wygląd. Tomasz usłyszał też o teatrze i operze: na scenę wpływał łabędź, kołysał się a przysiąc można by było, że naprawdę niesie go woda. Babka wymawiała nazwisko śpiewaczki — Adeliny Patti i wzdychała. Wzdychała również kiedy wspominała wieczory w Rydze, gdzie zbierało się dużo młodzieży, grano, śpiewano, urządzano żywe obrazy. I jeszcze wieść: majątek Imbrody pod Dynaburgiem, który należał do Mohlów, rodziny jej matki. Więc podróże kareta, przez lasy pełne rozbójników, odludne karczmy w zmowie z rozbójnikami, łózkogilotyna, którego baldachim spadał w nocy i zabijał podróżnego, a wtedy łóżko z ciałem zagłębiało się pod podłogę, taka maszynaria. Kareta przewożona na promie, konie się spłoszyły i wszyscy utonęli. Panna służąca w Imbrodach, którą chłopcy straszili w ten sposób, że za lustro (bo lubiła się mizdrzyć) wkładali długie cybuchy łulek i znienacka puszczali na nią dym. Kiedyś wynieśli ją z jej łóżkiem i ustawili w jeziorze, a nie przebudziła się — dopiero potem krzyczała, nie rozumiejąc gdzie jest. I spacer po tym jeziorze, w białym baciku z żaglami. To wyłamywał Tomasz ze zdarzeń i nazwisk mniej go obchodzących.

Babce też zawdzięczał powiastki o facecjach sławnego na całą Litwę żarłoka i oryginała, Bitowta. Kiedy nastawało lato, Bitowt kazał oporządzać drewnianą brykę i ładować na jej tył poszor dla koni; zasiadał w pudermantlu za furmanem i ruszał w podróż, która trwała kilka miesięcy, bo rzemiennym dyszlem zajeżdżał do wszystkich majątków po drodze, gdzie go podejmowano jak króla, także dlatego że strach budził jego złośliwy język, żeby później nie obszczekał. Na tym swoim wozie palił cygara a niedopałki rzucał za siebie i raz ledwo zdążył zeskokczyć, bo siano z tyłu stanęło w płomieniach. Kiedyś na rynku miasteczka podszedł do Żydkę sprzedającego pomarańcze i zapytał ile tego da się zjeść; Żydek na to że pięć, Bitowt że on zje kopę, Żydek że on oddaje darmo temu kto to potrafi. Bitowt skończył pięć dziesiątków a Żydek już w krzyk: „Ratujcie, un zjadł kopę

apelcynów, un zaraz umrze!" U siebie w domu trzymał doskonałego kucharza, z którym ciągle powtarzały się utarczki. Wieczorem Bitowt wzywał go do siebie i jęczał: „Łajdaku, ze służby ciebie wyrzucę, znów tak smaczno zrobiłeś, obżarłem się i spać nie mogę". Ale zaraz znów go wołał i pytał co jutro będzie na obiad.

Tomasz przez rozmowy z babką uczył się też co nieco historii. Wyjęty z kufra wisiał nad jej łóżkiem ryngraf z Matką Boską, a nad stolikiem mały portret pięknej panny z gołą szyją nad rozłożonym na dwie strony kołnierzem. Piękna panna nazywała się Emilia Plater i istniało między nią i Tomaszem odległe pokrewieństwo przez Mohlów, z czego powinien być dumny, bo została o niej pamięć jako o bohaterce. W 1831 roku wsiadła na konia i dowodziła oddziałem powstańczym w lasach. Umarła z ran odniesionych w bitwie z Rosjanami. A ryngraf należał do dziadka Artura Dilbina, który w młodości też wybrał las, to był rok 1863 (zapamiętaj Tomasz: tysiąc osiemset sześćdziesiąty trzeci). Hasło powstańców „Za naszą i waszą wolność" znaczyło, że walczą też za wolność Rosjan, ale Car był wtedy potężny a oni przeciwko niemu mieli tylko dubeltówki i szable. Dowódcę dziadka Artura, Sierakowskiego, Car powiesił, a jego zesłał na Sybir, skąd dziadek wydostał się dopiero po wielu latach i wtedy ożenił się. Ojciec i stryj Tomasza są teraz w Polsce w wojsku i też biją się z Rosjanami.

Babka Dilbinowa chodziła po pokojach ubrana jak do miasta, nawet z bursztynową broszką. Pod spód, jak podpatrzył, wkładała kilka wełnianych halek, ścisłała się też w pasie rodzajem gorsetu z fiszbinami. Jej blade niebieskie oczy płoszyły się, w ustach pojawiał się bezbronny grymas, kiedy babcia Misia swoim zwyczajem zadzierała spódnice pod piecem. Drażniło ją jej jakby szyderstwo z uczuć ludzkich czy przedrzeźnianie. Bo na przykład jeżeli mówiła o kimś, że kocha jakąś dziewczynę, babcia Misia tarła siedzeniem o kafele pieca i pytała przeciągając z litewską: „A dlaczego, proszę pani, on ją kocha?". I zawsze: „A dlaczego?" jakby samo to, że ludzie pragną, dążą i cierpią nie wystarczało. Gniewne wzruszenie ramionami, mrużenie o „pogańskich obyczajach" — tak, ale Tomasz nie skłaniał się na stronę babki Dilbinowej, bo odgadywał w niej słabość. I to pomimo całej jej dobroci. Łamała nad nim ręce że jest zaniedbany, obdarty i rośnie jak dziczka. Przez to go psuła, bo dotychczas uważał za zwyczajne, że sam przyszywał sobie guziki nitką i igłą Antoniny, a teraz zwracał się o każdy drobiazg, bo już ktoś o niego dbał i był na jego usługi.

W pochyleniu okrągłych pleców babki Dilbinowej, w żyłkach na jej skroni kryło się coś kruchego. Przekonał się, że o któ-

rejkolwiek rannej godzinie zajrzeć do jej pokoju, o szóstej czy o piątej, zastanie się ją siedzącą w łóżku i odmawiającą modlitwy, głośno, prawie z krzykiem, a spojrzenie obracała nieprzytomne, załawione i dwie wilgotne strużki żłobiły ślad na policzkach. Babcia Misia w zimie spała do dziesiątej, obudziwszy się, przeciągała się jeszcze rozkosznie po kocie. Wieczorem długo w pokoju babki Dilbinowej rozlegały się kroki. Chodząc paliła swoje papierosy. Monotonny tupot rozlegający się w ciszy domu usypiał Tomasza. W dzień na spacer po ogrodzie babka nigdy nie wybierała się sama, potrzebowała jego obecności, bo cierpiała na zawroty głowy; zatrzymywała się na środku ścieżki z wyciągniętymi rękami i wołała, że pada, żeby ją podtrzymał. Kiedy raz jechali końmi w sąsiedztwo, tam gdzie droga wiodła skrajem urwiska, zamykała oczy i po chwili pytała czy już minęli tę przepaść.

Tomasza korciło, żeby wyrządzać jej przykrości i wystawiać ją na próby. Na jej wezwania na spacerze, żeby wziął ją pod rękę nie odzywał się zaraz, chował się za pnem drzewa i w ogóle tak się urządzał, żeby wyrwać z tej okrągłej, różowej kulki lekliwej skargi: „oje, oje".

XXI

Córka grafa von Mohl wyszła za mąż za doktora Rittera i z tego małżeństwa urodziło się sześć córek, z których najmłodszą, Bronisławę, czas miał zmienić w babkę Dilbinową. Z okresu ciepła, miłości i szczęścia przed swoim osiemnastym rokiem życia przechowywała w kufrze kajety zapisane drobnym pismem. Układała wtedy wiersze. Kilka zasuszonych kwiatów przetrwało dłużej niż bliscy jej ludzie.

Konstanty pięknie grał na fortepianie, śpiewał barytonem i na wszystkich wieczorkach młodzieży w Rydze słynął jako deklamator patriotycznej poezji. Ale rodzice byli mu przeciwni, bo za młody, zbyt lekkomyślny i w dodatku bez grosza. Wkrótce po zerwaniu zjawiał się nowy konkurent i Broncia zaznała pierwszych nocy samotnego płaczu i tej grozy, kiedy rozstrzyga się los. Artur Dilbin, wówczas już nie pierwszej młodości a nawet starszawy, uchodził za człowieka statecznego, opromieniał go poza tym nimb przebytego męczeństwa. Majątek jego został skonfiskowany za udział w powstaniu, ale był miał zapewniony, bo zarządzał dobrami swoich krewnych. Przyjęto go i Broncia opuściła miasto swojej młodości, przenosząc się na zapadłą wieś między kłopoty ze służbą i rachunki w milczące wieczory pod kloszem lampy, za którą Artur palił fajkę.

Oto jego portret: duże czoło, wąska twarz, w spojrzeniu gwałtowność i duma, policzki wklęsłość których podkreślają ogromne jasno-blond wąsy. Barczysty, suchy, rękę zakłada za skórzany pas z klamrą. We dworze trzyma sforę psów i każdą wolną chwilę poświęca polowaniu. Przypada też za wyścigami tarantasów, tą próbą sił między kierowcą i końmi, kiedy napięte lejce zdzierają skórę z dłoni. Jest czułym mężem i pewne świadczenia dla matek swoich nieślubnych dzieci w okolicy przekazuje tak, żeby nie spostrzegła tego żona. Te dzieci pochodzą zresztą przeważnie z jego kawalerskich czasów. Wszyscy naokoło wiedzą, że Artur Dilbin jako młodzieniaszek uratował pewną arystokratyczną rodzinę od wygaśnięcia odwiedzając hrabinę, której mąż był kompletnie zidociał. Te gadania nie przynoszą mu ujmy. Gładzi wąsy i kiedy zdarza mu się go spotkać, przygląda się spod oka młodemu hrabiemu, który wyrósł na chłopca na schwał.

Rezygnacja i obowiązek. Później dzieci i na dzieci Bronisława przenosi całą swoją miłość. Kiedy starszy syn, Teodor, ma siedem lat zabiera go ze sobą na lato do Majorenhofu nad morze, ale nie odnajduje już tam tego piękna, które знаła dawniej. Młodszy syn rodzi się w roku śmierci Artura, który przeziębził się polując na wilki. Nadaje mu imię Konstanty.

Nigdy, jak daleko sięgnie się wstecz w historię rodu Dilbinów, Ritterów i Mohlów, nie natrafi się na ślad podobieństwa rodzinnego do Konstantego. Oczy czarne, włosy jak smoła zarastające niskie czoło; cera oliwkowa południowca, nos garbaty. Jest chudy i nerwowy. W dzieciństwie podbija wszystkich, bo ma złote serce i wystarczy żeby go ktoś o coś poprosił, a natychmiast gotów jest oddać co jego, zdjęć nawet palto i kurtkę. Zapowiada się też na genialnie zdolnego chłopca. Kiedy jednak Bronisława przenosi się do Wilna, żeby synów wychować (a przychodzi to jej z trudem, bo zdana jest tylko na własną przemysłność), okazuje się, że Konstanty nie chce się uczyć. Nuży go najmniejszy wysiłek. Matka błaga go, pada przed nim na kolana, przyrzeka prezenty, grozi. On wie, że z grózb nic nie wyniknie, a co do prezentów, nie ma rzeczy której by nie mógł od matki uzyskać. Wkrótce dostaje się w złe towarzystwo, karciarzy i rozpustników. Pije, zaciąga długi, zadaje się z dziewczkami z szantaków. Wyrzucają go wreszcie z czwartej klasy gimnazjum i na tym kończy się jego wykształcenie.

Tymczasem starszy, Teodor, studiuje weterynarię w Dorpacie, a po uzyskaniu dyplomu utrzymuje matkę i brata. Podobny z twarzy i budowy do ojca, jest łagodniejszy, skłonny do romantycznych marzeń. Przygniata go odpowiedzialność i własna rzetelność, ciągnie go do podróży i przygód — wszyscy Dilbino-

wie byli trochę awanturnicy i jeden z nich służył w wojsku Napoleona, biorąc udział w kampanii włoskiej i hiszpańskiej. Żeni się z Teklą Surkont, którą poznaje, kiedy spędza wakacje u swoich kuzynów niedaleko Ginia. On jest ojcem Tomasza. Wybuch wojny wita bez niechęci, jako zapowiedź zmian: jest to przepowiadana od stulecia bez mała „wojna narodów”, mająca zniszczyć potęgę Tyrana Północy.

Łzy Bronisławy Dilbinowej, przełykane najpierw ukradkiem, torowały sobie coraz śmielej drogę po policzkach. Modliła się o zmiłowanie Boga nad Konstantym i przebaczenie mu jej grzechów, jeżeli za te grzechy został ukarany. Prośby jej wznosiły się w przestrzeń w godzinach świtu, kiedy dowiedziano się, że fałszuje na wekslach podpis brata i później, kiedy zmobilizowany do armii rosyjskiej, dostał przydział do szkoły podoficerskiej i stamtąd miał być skierowany na front. Kiedy następnie walczył na froncie o niego drżała nie o Teodora, który jako fachowiec przebywał gdzieś na tyłach. Wreszcie otrzymała wiadomość, że ranny, dostał się do niewoli. Odtąd paczki z dykty, obszyte płótnem, adresowane na Czerwony Krzyż. Docierały do niego gdzieś w niewiadomym punkcie Niemiec. Dnie liczyła od paczki do paczki, szyła woreczki na cukier i kakao, obliczała, żeby jak najczęściej w paczkę wcisnąć. Aż rok 1918 i jego list w którym donosił, że po tamtej ranie od szrapnela zachował tylko bliznę na piersiach; że z obozu próbował uciekać podkopem, ale go złapano; że przebywa już na wolności i wstępuje do polskiej kawalerii.

Wojna toczyła się tam dalej, między Polską i Rosją, w której zabito cara. Teodor z żoną odwiedzili ją w Dorpacie, spod Pskowa kierując się na południe, ku obowiązkowi patriotycznemu. Przesuwała ziarenka różańca, wyobrażając sobie nocne pochody, Konstantego garbiącego się na koniu w śnieżycy i deszczu, szarżę z podniesionymi szablami i jego raz już rozdartą pierś wystawioną na kule. Prześladowały ją twarze trupów: Niemcy, zajmwszy Dorpat, rozstrzelali bolszewickich komisarzy i ciała porzucili na placu, zakazawszy grzebać. Leżały ścięte szronem, szkliste.

Błagała o życie Konstantego. Ale w tych godzinach świtu przenikała ją trwoga inna, trwoga czasu, splecionej przeszłości i przyszłości. Wszystkie jego kłamstwa. Wszystkie pochylenia nad szufladą Teodora, ukradkowe wyciąganie stamtąd banknotów, drżenia jej kiedy musiała się zdobyć żeby mu powiedzieć że zauważyła. Bładł i rumienił się, było mu jej żal i zawsze potem ta chwila: podrzut głowy do góry, przeskok w beczelność. I wierzył sam w co mówił, kłamiąc, a to było najboleśniejsze. Tkwiła w nim jakaś niezdolność przeżywania świata jaki jest,

ozdabiał go swoimi fantastycznymi pomysłami, zawsze pewien że wynalazł nowy sposób zdobycia fortuny, który chwilowe podłości usprawiedliwia. Wiedziała że nie mógł się zmienić. Zakłęcie, wzywające jego powrotu, nie było czyste. Bez ustanku przychodziły obrazy tego co musiało się dokonać, przez jego słabość, niezdolność do jakiegokolwiek wytrwałości, brak zawodu. Jakieś sutenerskie spelunki wielkich miast, mężczyźni grający w karty z prostytutkami opartymi im o ramię, wśród tego on, jej mały Kostuś. Zakłęcie nie było czyste i czuła się temu winna, dlatego podnosiła głos i przy słowach litanii kiwała się, tym ruchem próbując cierpienie odegnąć. Te właśnie „Wieżo z kości słoniowej”, „Arko Przymierza” przez drzwi słyszał Tomasz.

Jej grzechy. Tego nikt się nie dowie. Może tylko, wnikając w siebie, w ruch swojej krwi, w całą cielesną swojość, której język nie zdoła innym przekazać, natykała się tam na skazę, na winę samego swojego istnienia i urodzenia dzieci. To też można przypuścić. Sumienie skrupulatne, skłonność do robienia sobie o wszystko wyrzutów, Tomasz odziedziczył prawdopodobnie po niej. Zresztą drażniąc ją mścił się za to że wstyd, jakby o niego samego chodziło, budziła w nim ta skarga: „Oje, oje”.

(c. d. n.)

Czesław MIŁOSZ

Archiwum polityczne

Bilans emigracyjny

(ROZWAŻANIA NOWOROCZNE)

Przed kilku tygodniami spędziłem miły wieczór w „Ognisku” z polskim inżynierem, który buduje drogi w Kenii. Przyjechał do Londynu na długi sześć-miesięczny kolonialny urlop po trzech latach pracy. Wielu polskich inżynierów, techników, rolników, lekarzy, weterynarzy pracuje w Kenii, w Tanganayce, Ugandzie, na Gold Coast'cie.

W pewnym momencie rozmowa zeszła na tematy polityczne.

— Ach, panie to są niepoważni ludzie — uśmiechnął się pobłażliwie mój znajomy.

Nagle uświadomiłem sobie z jak różnych perspektyw patrzymy na ów londyński tygielek. Mój znajomy dla własnej przyjemności i wygody przywiózł ze sobą piękny samochód z drugiego końca świata a przy kawie wyznał mi, że odkłada pieniądze by „na starość” kupić sobie skromną plantację herbaty.

Po moim artykule „Polacy i Paganie” otrzymałem dziesiątki listów od Czytelników „Kultury”. Patrząc na solidnego, doskonale ubranego mojego afrykańczyka przypominałem sobie list opisujący sytuację w Montrealu. W tamtejszych fabrykach i zakładach przemysłowych pracuje wielu polskich inżynierów i techników. Wszyscy doskonale zarabiają i nie biorą żadnego udziału w życiu polskim. Jeden z tych panów na zapytanie mojego korespondenta dla czego stroni od życia polskiego odpowiedział identycznie jak mój afrykański znajomy: „To są niepoważni ludzie i niepoważne sprawy”.

Bez względu na to jak ocenimy tego rodzaju postawę — trzeba powiedzieć, że nikogo nie można reprezentować wbrew jego woli. Egzekutywa ani rząd p. Mackiewicza nie reprezentują tych tysięcy inżynierów, techników, lekarzy, specjalistów.

Stosując brutalne uproszczenie można przyjąć, że 80% społeczników rządu i Egzekutywy liczy powyżej 45 lat i zarabia poniżej 500 funtów rocznie. Innymi słowy, zainteresowanie emigracyjną polskością jest funkcją wieku i biedy. Po emigracyjnej Polsce chodzi się piechotą — wyjeżdża się z niej samochodem. „Polska na obczyźnie” w odróżnieniu od Polonii —

jest stara i biedna. I tylko ta Polska stara i biedna interesuje się „zamkiem”, orędziami Rady Trzech czy posiedzeniami Egzekutywy.

Owi 100% emigranci polityczni, ów trzon i rdzeń opierający się już nie tylko naturalizacji, lecz nawet adaptacji z punktu widzenia socjologii nie stanowią elementu najlepszego. Niezdolność przystosowania się do nowych warunków nie jest przejawem niezłomnej wierności polszczyźnie, lecz niemal z reguły konsekwencją przekroczonej granicy wieku, studiów (humanistycznych), niedostatecznej znajomości języka itp.

Owa „hard core” emigracji — jak zwykle bywa w takich wypadkach — przyjęła pewien styl, który jest racjonalizacją klęski.

Pewien major, który pracuje w londyńskiej fabryce biskwitów, powiedział mi kiedyś: „Nie zmieniam obywatelstwa, nie pcham się do Anglików, jestem wierny przysiędze”.

Akcent w powyższym zdaniu spoczywa na określeniu: „nie pcham się”.

Polsce nic nie zależy na tym by pan major X wypiekał biskwity. Z punktu widzenia polskich interesów byłoby lepiej, by major X „pchał się tak jak inni” i miał dobre i odpowiedzialne stanowisko. Ale nasz major jest zawodowym oficerem artylerii (konnej!) i minął wiek kiedy można jeszcze czegoś się nauczyć. Jego teoria patriotyczno-moralna, choć pozbawiona podstaw logicznych, umożliwia mu znoszenie deklaszacji społecznej jakiej jest ofiarą. Łatwiej jest bowiem znosić deklaszację socjalną wierząc, że jest konsekwencją dobrowolnie przyjętej postawy moralnej, niż przyznać się przed samym sobą do klęski życiowej. Jest przyjemniej myśleć o sobie jako o niezłomnym charakterze niż wyznać w skrytości ducha, że nie ma się kwalifikacji do przystosowania się do zmienionych warunków.

Jest rzeczą psychologicznie zrozumiałą, że owa grupa upośledzona materialnie a często zdeklasowana społecznie, otoczona morzem obcości — szuka rekompensaty. Owo dążenie przejawia się w różnych manifestacjach. Do formacji rekompensacyjnych należy werbalistyczny patriotyzm a przede wszystkim budowanie „umownej rzeczywistości”.

Przed kilku tygodniami otrzymałem piękny druk, który głosi: „Rektor i Senat Akademicki Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie uprzejmie prosi o przybycie...”

Jaki „rektor”? Jaki „senat”? Tu w Londynie, w centrum wolnego zachodniego świata bawić się w „podziemne uniwersytety”?

Można jeszcze mówić o „rządzie”. Wiadomo, że rząd może być przez jednych uznawany, przez innych nie uznawany, a mimo to być rządem. Ale uniwersytet? Po tej stronie „żelaznej kurtyny”, albo dana szkoła jest uniwersytetem albo uniwersytetem nie jest — trzeciej ewentualności nie ma. O ileż prościej, rzeczowiej i mniej pretensjonalnie byłoby nazwać zasłużoną uczelnię na Bolton Gardens — powiedzmy — kursami uniwersyteckimi.

Jak kiedyś poruszyłem tę sprawę z jednym z wykładowców PUNO — roześmiał się i powiedział: „Panie, dopóki nie wydają dyplomów lekarskich pozwólmy im się bawić. Jak zaczną fabrykować chirurgów będzie czas podnieść alarm”.

Ilekoć zdarzyło mi się rozmawiać z naszymi dygnitarzami, każdy z nich (z wyjątkiem Cata-Mackiewicza) na dźwięk lubego tytułu odpowiadał: „Ależ panie kolego, niechże pan da spokój z tym ministrem!” Oczywiście spokoju nie dawałem i ku radości mego rozmówcy częstowałem go gęsto „panem ministrem” — ale niemniej ta reakcja jest bardzo charakterystyczna. Dany dygnitarz (podobnie jak ów wykładowca PUNO) chciał dać do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę z fikcyjności sytuacji. Owa dwoistość schizofreniczna manifestuje się wszędzie. Ludzie, którzy w Polsce emigracyjnej zajmują dygnitarские stanowiska i urzędy boją się panicznie by ich ktoś nie posądził, że „umowną rzeczywistość” którą żyją — traktują poważnie. Każdy z tych panów z osobna, w cztery oczy, gotów jest wszystko ośmieszyć by zaprezentować się jako ów jedyny normalny i zdrowy w tym emigracyjnym zaczarowanym kole.

Proces „przystosowania i rozmieszczenia” by użyć nomenklatury śp. PKPR’u, dobiegł kresu. Ci, którzy mieli możliwości, odpowiedni wiek, przygotowanie zawodowe i energię — opuścili zaczarowany krąg. Na dnie sita został element, który z uwagi na przekroczony wiek i typ studiów nie nadaje się do adaptacji. W ten sposób pomiędzy Polonią a owym „hard core” zarysowała się wyraźna granica.

Oba „państwa na emigracji” opierają się niemal wyłącznie na „hard core”. Innymi słowy na elemencie najbiedniejszym, najmniej aktywnym, którego poczucie rzeczywistości jest częstokroć spaczone.

Nie leży w niczym interesie, a już na pewno nie leży w interesie sprawy polskiej, by intensywność związku z polskością rosła proporcjonalnie do malejących dochodów, osiągając maksimum natężenia u tych, którzy żyją z zasiłku Assistance Board.

Ów proces proletaryzacji polskości musi być zatrzymany. Jeżeli chcemy prowadzić jakąś politykę nie możemy być sektą ubogich dziwaków.

Ci co pozostali na po-PKPR’owskim placu zbiórki podnieśli ubóstwo do rangi narodowej cnoty i synonimu odporności na obce agentury. Z dziadowania uczyniono styl polityczny tworząc emigracyjną Polskę à la bohème.

Premier Mackiewicz powiedział mi własnoustnie, że jego pensja wynosi 5 funtów tygodniowo. Styl Polski à la bohème wymaga by wszyscy „dla Sprawy” pracowali darmo lub półdarmo, by na nic nie było pieniędzy — by wiecznie apelować i żebrać natomiast nigdy nie ogłaszać sprawozdań finansowych. W tym klimacie jest rzeczą nieprzychylną interesować się bilansem takiej czy innej instytucji — lub dochodzić zbyt natrączywie za czyje pieniądze prezes X. wyjechał na trzy miesiące do Sta-

nów Zjednoczonych. O pieniądzach się nie mówi, tak jak nie mówi się o nieboszczyku, który za życia nie cieszył się zbyt pochlebną reputacją.

Tak jest u nas w romantycznym polskim Londynie. Ale nie wszędzie tak jest.

W „Kulturze” Nr 11/85 p. E. Żagiełł zamieścił interesującą korespondencję obrazującą rozwój i rozmach tej innej emigracji, która przed kilku laty opuściła PKPowski plac zbiórki.

W Australii przeciętne konto bankowe emigranta wynosi około £ 600. Fundusze Polonii australijskiej ocenia się dziś na 30 milionów funtów — na co składa się około 7 milionów funtów w bankach, około 8 tysięcy własnych domów, setki gospodarstw i setki przedsiębiorstw handlowych.

Analizując osiągnięcia Polaków w Australii, w Kanadzie, w Afryce, w Stanach Zjednoczonych i tu na wyspach brytyjskich — musi się dojść do wniosku, że ogólnie biorąc Polak jest przedsiębiorczy, pracowity i „successful” pod warunkiem, że obcy robią za niego politykę...

Jeżeli porównać osiągnięcia Polaków w dziedzinie gospodarczej, zliczyć owe tysiące kwitujących firm handlowych, gospodarstw, zakładów przemysłowych itp. i tej aktywności i dynamice przeciwstawić zdzieciniałe, paralityczne niedołęstwo naszych instytucji politycznych to musi się dojść do przekonania, że Polacy albo są pozbawieni całkowicie talentu politycznego — albo, że istnieją dwie emigracje i tylko jedna z tych emigracji wyłoniła dotychczas instytucje polityczne na własną miarę i użytek.

Dopiero tu na obczyźnie można w pełni wymierzyć braki wyrobienia politycznego w następstwie złej szkoły dwudziestolecia. Brak nam zmysłu demokratycznego, brak nam elementarnego wyrobienia w szukaniu kompromisowych rozwiązań i w gruncie rzeczy nawet partie polityczne z tradycji opozycyjne — instynktownie oglądają się za jakimś nowym syntetycznym Piłsudskim, którego autorytet i osoba zastąpiłyby wszystko czego nam nie dostaje.

Mój afrykański przyjaciel wysłuchał bez większego zainteresowania relacji o „kryzysie konstytucyjnym” (o którym nic nie wiedział!), zapalił fajkę i uśmiechnął się pogodnie.

— Niech pan sam powie, czy stateczny gentleman na odpowiedzialnym stanowisku może traktować poważnie ów cały „zamek”, Radę Trzech czy dwoisty Skarb Narodowy? Czy podejmuje się pan przekonać mnie, że ci ludzie robią coś rozsądnego lub, że kiedyś w przyszłości coś rozsądnego zrobią?

— Nie zamierzam pana przekonywać. Ale pomówmy szczerze. Czy na dnie duszy nie jest pan zadowolony, że w tym Londynie panuje takie kompromitujące bezgłowie? Fakt, że nie musi pan naszych przywódców traktować poważnie nie tylko

ułatwia ale w pewnym sensie nawet moralnie rozgrzesza decyzję odwrócenia się plecami od tak zwanej Sprawy polskiej.

Mój afrykańczyk sięgnął do kieszeni i z pliku papierów wydobyl arkusz z firmowym nadrukiem. Rozprostował go dłonią na blacie stołu, włożył bez pośpiechu okulary i spojrzał na mnie z uwagą.

— Nim pan wyda wyrok czy odwróciłem się od tzw. Sprawy polskiej czy też nie — ustalmy wpierrw sens tego terminu. Widzi pan, tu leży na stole rozliczenie mojego londyńskiego banku. Z tego zestawienia wynika że w okresie ubiegłych trzech lat z mojego konta wypłacono 960 funtów za paczki wysłane do Kraju. Jan panu się wydaje, kto finansuje tę olbrzymią akcję paczkową do Polski? Kim są ci ludzie, którzy są klientami Haskoby, Tazabu i innych wielkich firm wysyłkowych? Czy sądzi pan, że są to poplecznicy p. Mackiewicza czy zwolennicy Rady Trzech? Zapewniam pana, że ta akcja — jedyna konkretna i pozyteczna akcja na Kraj jaką robimy — w 80% finansowana jest przez Polaków, którzy pracują, zarabiają i już dawno przestali się orientować czy gen. Anders jest zwolennikiem czy przeciwnikiem Rady Politycznej, czy p. Mackiewicz jest prezesem Egzekutywy a gen. Odzierżyński premierem czy też na odwrót. Z całą otwartością wyznaję, że jestem zupełnie nie zorientowany w londyńskich kryzysach konstytucyjnych i z niemniejszą otwartością wyznaję, że do tych intryg i personalnych rozgrywek nie przywiązuje żadnej wagi. Gdyby jednak pan zechciał przeegzaminować mnie z wiedzy o Kraju — to kto wie czy nie okazałoby się, że egzaminowany lepiej jest zorientowany w przedmiocie niż egzaminator. Kupuję stale pisma krajowe, przestudiowałem dokładnie komplet krajowych zeszytów „Kultury” i śledzę z największą uwagą wszystko co dzieje się w Polsce. Jeżeli więc przez Sprawę polską rozumieć będziemy nie londyński tygielek lecz Kraj — to zarzut pański, że odwróciłem się od polskości jest całkowicie bezpodstawny.

Tak oto wytworzył się typ emigrantów (czy członków Polonii) którzy czynny ofiarny patriotyzm łączą z zrezygnowanym indyferentyzmem politycznym.

Mojemu afrykańskiemu przyjacielowi mogłem łatwo powiedzieć: drogi panie — pomoc materialna dla Kraju i śledzenie przemian zachodzących w Polsce to wprowadzie wiele ale nie wszystko! Pomoc dla Kraju i studium przemian bez czynnej polityki niepodległościowej — to tak jak samochód bez kierowcy. Ale nie wysunąłem tej sprawy. Bo gdzież jest owa niepodległościowa polityka?

Dziś jeżeli ktoś wypowiada się za polityką niepodległościową a w następnym zdaniu nie precyzuje dokładnie co przez to rozumie — tumani siebie i swych słuchaczy.

Celem każdej partii i każdego nowego odłamu partii czy organizacji politycznej jest „przywrócenie Polsce niepodległości”. Uchwaliwszy taką deklarację mogą wszyscy spokojnie wrócić do domu, ponieważ nie leży w mocy zebranych urzeczywistnienie

uchwalonego postulat. W ten sposób polityka niepodległościowa stała się „odpustem zupełnym”, który zwalnia od wszelkiego programu i działania. Gdyby członkowie frakcji Nr 4. Ligi Y. uchwalili, że zbiorą 100 funtów na komplet polskich książek dla szkoły w Australii czy w Nowej Zelandii — wówczas należałoby opracować plan zbiórki, zastanowić się nad tytułami książek, źródłami zakupu, sposobem wysyłki — jednym słowem trzeba by coś robić. Polityka niepodległościowa tego rodzaju kłopotów nie nastrocza. Nie potrzeba nic robić wystarczy ją tylko uchwalić.

Sytuacja emigracyjnych reprezentacji politycznych na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat uległa zasadniczej zmianie. W roku 1945, na terenie Europy znajdowało się ponad milion młodych emigrantów z krajów wschodnio-europejskich. Większość z nich posiadała wykształcenie i doświadczenie bojowe. Wówczas — nie brygadę ale potężną armię wyzwoleniczą wschodnio-europejską można było zorganizować w przeciągu kilkunastu miesięcy. Istnienie takiego potencjału siły w zasięgu wpływów politycznych ośrodków emigracyjnych nie leżało w interesie Sowietów. I.R.O. i dziesiątki innych organizacji rozładowało tę potencjalną armię — wybierając młodych i zdrowych oraz dbając przezornie by ci młodzi i zdrowi wyjechali możliwie jak najdalej. Nie idę tak daleko jak pewni politycy wschodnio-europejscy, którzy w tym rozładowaniu dopatrują się działania ukrytych „sprężyn” sowieckich. Faktem jest jednak, że tą operacją kierownictwo emigracyjne odcięło od najwartościowszego elementu i de facto rozbrojono.

Równocześnie ulegała zmianie sytuacja międzynarodowa. W roku 1948 w jednym z biuletynów wydawanych w Londynie czytałem artykuł w którym autor odradzał Polakom kupowanie domów w obliczu zbliżającej się wojny, którą nasi wodzowie wytrwale zapowiadali. Dziś nawet zawodowi pułkownicy pokupowali domy i osiedlili się na dobre. Nikt nie mówi o wojnie.

Wszystko uległo gruntownej zmianie. Wszystko z wyjątkiem naszej polityki i polityków. Ci sami ludzie — te same metody.

Jeszcze rząd gen. Bora-Komorowskiego operował budżetem około 30 tysięcy funtów miesięcznie. Budżet premiera Mackiewicza obraca się w ramach 150 funtów. Skarb Narodowy jeszcze przed dwoma laty przynosił około 40 tysięcy funtów rocznie. Dziś nie wiem czy przynosi 400 funtów.

Jeszcze pół roku temu spór między opozycją a stronnictwami rządowymi dotyczył tylko interpretacji tzw. umowy paryskiej. Dziś nikt nawet nie wspomni o umowie paryskiej, gdyż nasi przywódcy i wodzowie łamią samowolnie Konstytucję gruzy legalizmu sypiąc pod fundamenty własnych snów o potęgę. Dodajmy do tego sprawę Bergu i obraz tego rumowiska będzie całkowity.

Gdyby przywódcy emigracyjni mieli jakiegokolwiek poczucie rzeczywistości to sporządziwszy bilans swych dokonań na prze-

strzeni ostatnich lat winni przyznać się otwarciu do pełnego bankructwa.

Wracam do punktu wyjścia tych rozważań. Istnieją dwie polskie emigracje: A i B. Emigracja A — to ci, co pozostali na londyńskim PKPR'owskim placu zbiórki. Emigracja B — to Polonia w zamorskich krajach osiedlenia. Oczywiście i w Anglii istnieje emigracja B ale politycznie Wielka Brytania jest głównym ośrodkiem emigracji A.

Emigracja B straciła całkowicie zaufanie do kierownictwa politycznego i przestała się tymi sprawami interesować. Zarówno rząd jak i TRJN są formacjami Emigracji A i nie mają żadnego tytułu do reprezentowania Polonii.

Krótko i po prostu: ludzie poważnie nie traktują poważnie naszego kierownictwa politycznego. Ludzie, którzy pracują a często zajmują odpowiedzialne stanowiska nie mogą traktować poważnie owej „Polski à la bohème” która rozrzewnia londyńskich starszych panów na zasiłku „Assistance Board”, ale nikogo poza tym. Żałosne wierszyki patriotyczne, „podchorążówki” „podziemne („Leśne echa”... w Hyde Parku), wieczne składki i grosze wdowie, akademie i deklamacje — to jest ów egzotyczny klimat Emigracji A — który odcina nas od reszty świata i Polonii.

A ponad tym wszystkim królują działacze i prezesi, którzy nie uprawiają polityki tylko oddają się „robocie politycznej”. Na czymże ta „robota” polega? Prezes Y. wyjechał na kilku miesięczny pobyt do Ameryki. Dawniej tego rodzaju podróże finansowano z kas partyjnych. Po kilku miesiącach pan prezes Y. wrócił na Londynu łono a wówczas w polskiej prasie stołecznej ukaże się notatka, że „...w środę w Ognisku Polskim odbył się wieczór w czasie którego p. prezes Y. przy lampce wina podzielił się z zaproszonymi gośćmi swoimi wrażeniami ze Stanów Zjednoczonych”.

Obecnie gdy „pomoc Marshalla” ustala, liczyć się należy z faktem, że tego typu wycieczki krajoznawcze (których jedynym rezultatem są wieczorki w Ognisku) opłacane będą z kieszeni płatników Skarbu Narodowego.



Na dobrą politykę składają się trzy elementy:

1. Program,
2. Odpowiedni ludzie,
3. Środki finansowe.

Z powyższych trzech elementów najważniejszy jest program, bo tylko konkretne cele i zadania mogą skupić na sobie uwagę społeczeństwa i skutecznie apelować do jego ofiarności.

Programu nie ma ani rząd, ani Egzekutywa. Premier Mackiewicz w artykule ogłoszonym w londyńskich „Wiadomościach” rację stanu na chwilę obecną ujął w łańciskach dewizy: przede wszystkim nie szkodzić (primum non nocere). To jest niewątpliwie wiele, jeżeli rząd nie szkodzi ani państwu ani obywateli.

telom, ale jeżeli jego jedynym zadaniem jest nie szkodzić — najłatwiej wykonałby ów zbożny plan podając się do dymisji. Jedno bowiem jest pewne: rząd, który nie istnieje nikomu nie szkodzi.

Programem Egzekutywy jest zmusić p. Zaleskiego do abdykacji. Jednak w moim zrozumieniu prawdziwy dramat dla Egzekutywy zaczyna się w dniu w którym p. Zaleski ustąpi. Uważam bowiem za wykluczone by w obecnej sytuacji — kandydaci formatu gen. Sosnkowskiego czy gen. Andersa zechcieli przyjąć tak wątpliwą pod względem prawnym i moralnym godność jaką stała się emigracyjna prezydentura. Jestem pewien, że gdyby któregoś dnia p. Zaleski złośliwie zrezygnował, Egzekutywa musiałaby szukać kandydata już nie w Nairobi lecz w Matto Grosso.

Zarówno rząd jak i Egzekutywa głoszą politykę niepodległościową. Co to znaczy? W praktyce to nic nie znaczy.

Terminu „polityka niepodległościowa” wolno nam używać tylko wówczas jeżeli określa on konkretny, praktyczny program, będący w toku realizacji.

W chwili obecnej mianem polityki niepodległościowej można określić przede wszystkim program zmierzający do wzmożenia wszystkimi dostępnymi środkami żywotności polszczyzny — w jej wyrazie politycznym, kulturalnym i organizacyjnym.

Czy dzięki waszej polityce — panowie prezesi i przywódcy po obu stronach londyńskiej barykady — Polacy w Europie i za morzami, którzy stracili kontakt z polszczyzną zostali odzyskani? Czy dzięki waszej polityce choćby jeden Polak w Nowej Zelandii czy w Australii zaprenumerował polskie pismo i zaczął interesować się polskimi sprawami? Czy jedynym słowem waszą akcją wzmogliście potencjał polszczyzny w wolnym świecie?

Odpowiedź na powyższe pytania musi wypaść negatywnie. Na skutek akcji politycznych ośrodków londyńskich tysiące Polaków w świecie odwróciło się od organizacyjnego życia polskiego i straciło nie tylko zainteresowanie ale wiarę w jakąkolwiek polityczną działalność na emigracji.

Politykę mierzy się wynikami. Wyniki polityki londyńskiej są katastrofalne i w żadnym wypadku nie są godne miana polityki niepodległościowej.

Powiedziałem powyżej, że na dobrą politykę składają się trzy elementy : program — ludzie — pieniądze. Na emigracji nie brak ani ludzi, ani pieniędzy. Londyńscy działacze wiecznie załamują ręce i biadają : nie ma odpowiednich ludzi, nie ma ludzi ! Na emigracji jest wielu wybitnych i uzdolnionych ludzi, którzy stronią od życia politycznego w jego obecnej postaci. Ani rząd, ani Egzekutywa nie mają żadnych szans by tych ludzi zjednać i przyciągnąć.

Na emigracji nie brak również pieniędzy. Jednolity, demokratycznie zorganizowany Skarb Narodowy mógłby po roku czy po dwóch — przynosić 150 tysięcy funtów rocznie a może więcej. Nie ma żadnych istotnych powodów do dziadowania. Emigrację polską stać na to by budżet jej centralnej politycznej organizacji

obracał się w granicach 150 do 250 tysięcy funtów rocznie i by wybierał funkcjonariusze, którzy pracy organizacyjnej poświęcaliby swój cały czas — byli dobrze zapłaćeni.

Ale przyciągnąć zarówno ludzi jak i pieniądze może tylko poważna organizacja o konkretnym programie.

Przez poważną organizację należy rozumieć organizację opartą o zasady demokratyczne (wybory) — przez konkretny program należy rozumieć ustalenie praktycznych celów i zadań.

Najpierw trzeba powołać reprezentację, następnie sprecyzować program i dopiero ogłosiwszy konkretne cele i zadania wolno apelować o pieniądze.

Wreszcie naszym zadaniem jest przetrwać — nie topnieć i aktywizować polskość wśród tych którzy są narażeni na wynarodowienie. By zrealizować ten cel potrzebny jest wszechstronny śmiały i dynamiczny program kulturalny.

Komentując mój artykuł pt. „Polacy i poganie” pewien niedoważeniec londyński napisał : „p. Mieroszewski rezygnuje z wszelkiej akcji politycznej i doradza tylko działalność kulturalną”.

Oczywiście według naszych polityków kultura jest dobra tylko dla tzw. intelektualistów. „Intelektualista w polityce — jak to wyjaśnił nam „Orzeł Biały” (Nr 47/646) — jest rzeczą równie tragiczną jak np. archeolog w finansach, inżynier w administracji i klarnecista w laboratorium atomowym”.

Jasne ! Polityka jest tylko dla generałów i pułkowników.

Doprawdy czytając tego rodzaju wypowiedzi ogarnia człowieka śmiech pusty a potem litość i trwoga. Ci gentlemen siedzą piętnasty rok na Zachodzie. Widzą jakim przepotężnym narzędziem w rękach Sowietów jest wpływ kulturalny i... intelektualistów, których mózgi są teatrem operacyjnym Nr 1 w tej wojnie bezdymnej o panowanie nad światem. Ale dla tych panów kultura to jest jeszcze ciągle „Wydział Kultury i Oświaty” tolerowany z łaski przy dowództwie.

Czy od tego typu mężów stanu można oczekiwać zrozumienia, że w obecnej sytuacji międzynarodowej (a polskiej sytuacji w szczególności) kultura jest jednym z kardynalnych instrumentów polityki? Być może nie bombie wodorowej lecz kulturze (i intelektualistom) przyjdzie zadecydować o zwycięstwie lub klęsce. Rosjanie w pełni to rozumieją — ale dla naszych wodzów intelektualista w polityce to klarnecista w laboratorium atomowym.

Sytuacja nasza jest bezmiernie, bezprzykładnie trudna. Żeby przełamać nieufność, indyferentyzm polityczny i olbrzymie przeszerzenie, które nas dzielą — by przeciwstawić się sile atrakcyjnej obcych środowisk trzeba nieszałonowej, imaginatywnej a cierpliwej polityki. Stosując świadomie ogromne uproszczenie nie wahać się powiedzieć : w obecnym okresie polityka to kultura !

Obok reprezentacji politycznej wyłonionej z wyborów powinna powstać instytucja kulturalna. Zadaniem tej instytucji by-

łoby wypracowanie szczegółowego programu kulturalnego i czuwanie nad jego realizacją. To są sprawy zbyt poważne i z punktu widzenia polityki niepodległościowej zbyt zasadnicze — by mieli o nich decydować generałowie i prezesi. Ten kardynalny dział naszej polityki winien być ustalony i opracowany przez owych „klarncistów” czyli intelektualistów.

Co stanowi istotę zjawiska emigracji z punktu widzenia politycznego? Istotą emigracji jest walka kultur. Obumieranie kultury Kraju pochodzenia i przejmowanie elementów kultury kraju osiedlenia. Proces wynarodowienia odbywa się w pierwszym rzędzie na tej płaszczyźnie.

Jeżeli podejmiemy bezkompromisową walkę z kulturami krajów osiedlenia — przegramy. Trudność emigracyjnej polityki kulturalnej polega na tym, że trzeba z góry zrezygnować z atrybutu pierwszeństwa i wyłączności. Kultura polska na obczyźnie nie może być ani narodowo-endeckim wojującym kościołem, ani państwowo-twórczym konkurencyjnym sklepikiem. Musimy natomiast umieć przekonać ludzi, że warto być Polakiem będąc obywatelem brytyjskim, australijskim czy amerykańskim. Kultura polska musi być narodowa w środkach artystycznej ekspresji a humanistyczna, tolerancyjna, ludzka w treści. Musi być bardziej humanistyczna, bardziej tolerancyjna, bardziej ludzka niż narodowe kultury krajów osiedlenia. Tylko wówczas zdoła się utrzymać i przetrwać.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

PUBLICYSTYKA EMIGRACYJNA

Istnieją ośrodki badań polityki krajowej. Istnieją również ośrodki badań polityki międzynarodowej. Natomiast nie ma ośrodka badań polityki emigracyjnej.

To samo można powiedzieć o publicystyce. Jedni stoją za „zamiem”, drudzy za Radą Trzech. Nikt jednak nie usiłuje badać bezstronnie i niezależnie możliwości, ograniczeń i błędów polityki emigracyjnej.

Nad tym wszystkim ciąży jeszcze odziedziczony po śp. „sanacji” kanon „krytyki konstruktywnej”. Jeżeli jakiś mąż stanu głosi, że uznaje krytykę ale tylko „konstruktywną” jest oczywiście iż nie życzy sobie żadnej krytyki. W gruncie rzeczy każda krytyka jest konstruktywna. Jednak w świetle obowiązującej tradycji, do krytyki upoważniony jest tylko ten, kto nie tylko dostrzeże zło ale mocen jest również objawić co należy zrobić by było dobrze. Krytyka, która nie podaje cudownego lekarstwa i ogranicza się do analizy sytuacji — nie jest „konstruktywna”, a nie będąc konstruktywną jest przejawem defetyzmu lub zgola wrogiej inspiracji.

Jedno z pism emigracyjnych, komentując decyzję Zespołu „Kultury” w sprawie czasowego wstrzymania wpłat na (obecny) Skarb Narodowy, pragnąc nas zgnębić wysunęło pogląd, że Emigracja odrzuciła wszystkie projekty i sugestie proponowane przez „Kulturę”.

Czy znaczenie i rolę pisma można mierzyć ilością zrealizowanych inicjatyw i sugestii? Jeżeli tak, to należałoby zdyktować te pisma i tych publicystów brytyjskich, którzy występowali przeciwko Monachium, gdyż ich sugestii i rad nie posłuchano. Należałoby potępić tych nielicznych publicystów, którzy występowali przeciwko Jalcie.

Teza jest absurdalna, odzwierciadla jednak plastycznie pomieszanie pojęć jakie panuje u nas w odniesieniu do publicystyki z jednej a praktycznej polityki z drugiej strony.

Na Zachodzie od publicysty wymaga się w pierwszym rzędzie wnikliwej analizy i krytycznej oceny sytuacji. Przepisywanie leczenia nie jest rzeczą publicysty lecz polityków i mężów stanu. Podobnie jak obowiązkiem lekarza jest trafnie rozpoznać chorobę, nawet wówczas, kiedy nie ma na nią lekarstwa — podobnie obowiązkiem publicysty jest rozpoznawać zło nawet wówczas, gdy nie potrafi w danej sytuacji wyciągnąć z rękawa cudownego środka zaradczego. Od krytyka teatralnego nikt nie wymaga by wskakiwał z widowni na scenę i praktycznie demonstrował aktorowi jak należy odtwarzać postać Hamleta. Publicysta jest krytykiem teatru politycznego i niczym więcej.

Łączenie publicystyki z aktywną polityką nie wychodzi (na ogół) na dobre ani publicystyce, ani polityce. Od tej, jak i od każdej innej zasady są wyjątki — niekiedy znakomite.

Mackiewicz premier zamordował Mackiewicza pisarza i publicystę. Ale chemia próżności ludzkiej jest niezbadana. Puszkina marzył o tytułach dworskich; nie wystarczyło mu, że był Puszkinem. Cat całe życie marzył o tym by zostać premierem a już co najmniej ministrem spraw zagranicznych. A przecież premierów i ministrów mieliśmy całe kopy a Cata tylko jednego.

Rozpatrując karierę polityczną naszego premiera trudno powstrzymać się od refleksji, że spośród licznych błędów jakie popełnił prez. Zaleski — za jeden z największych należy uznać fakt, że dopiero w dniu 8 czerwca ubiegłego roku, w wigilię otwarcia kryzysu, zdecydował się zamianować Cata premierem. Gdyby zrobił go premierem trzy, cztery lata temu sytuacja „zamku” wyglądałaby dziś zgoła inaczej.

Dysponując 10-ma czy 20-ma tysiącami funtów Cat-Mackiewicz byłby stworzył doskonałe pismo. Wówczas mógłby oddać na usługi rządu swój talent publicystyczny i skupić uwagę społeczeństwa na polityce pana premiera. A dziś „zamek” i uwięziony w nim Cat są politycznym niemową.

Nasi dostojnicy wychowani w tradycji cenzury i konfiskat nie mogli pojąć, że na Zachodzie nie można prowadzić polityki bez własnego organu prasowego. Poruszałem ten temat z wszystkimi niemal premierami tłumacząc im że niewątpliwie najlepiej jest mieć policję i prasę, ale jak nie ma policji to trzeba przynajmniej mieć prasę. Ale to byli panowie, którzy jeżeli nawet myśleli to niezmiernie wolno i ta czynność wyraźnie ich nużyła.

Prezydent Zaleski wołał na stanowisku premierów ludzi nie skażonych talentem ani wybitną inteligencją. W normalnych czasach (gdy się dysponuje prasą i policją) tacy panowie są bezsprzecznie najodpowiedniejsi na ministrów i premierów. Na emigracji jednak całkowicie zawiedli. W niezwykłych warunkach tylko niezwykła inteligencja może sprostać wymogom chwili.

JĘZYKOZNAWCZA DŻUNGLA

Należałoby sądzić, że językoznawcy powinni być na obczyźnie w stanie pogotowia i mobilizacji, bo polszczyźnie zagrażają zewsząd niebezpieczeństwa. Ale naszych filologów nie interesują sprawy bieżące. Nie słyszałem, by któryś z nich poniżył swą akademicką moc do tego stopnia by zebrać i opracować „narzecz” londyńskich Polaków. A praca na ten temat mogłaby być niezmiernie interesująca.

Językoznawcy milczą — redaktorzy rządzą. Redaktor londyńskich „Wiadomości” ogłosił bulę — dekretując ekskomunikę i stos dla całej litanii słów — z matki obcej wprowadzić, ale uczciwie i prawomocnie naturalizowanych.

A no — na jego pięknym i skądinąd w wielkiej kulturze utrzymanym folwarku wolno mu wycinać drzewka jakie mu się podoba. Jest duży, sobiepański i nieznoszący sprzeciwu.

Jak się pewnie łaskawy Czytelnik domysła — nie jestem językoznawcą i zabieram głos mając jedynie do pomocy zdrowy rozsądek, nie zaciemniony znajomością przedmiotu.

Kiedyś, przed stuleciami, gdy w murach krakowskiej Wyższej Szkoły Handlowej (tzw. WSH) kładłem podwaliny pod moją znajomość angielskiego — zapytałem prof. Stanisławskiego (autora nieśmiertelnego słownika) — czym różni się dobra angielszczyzna od złej angielszczyzny?

Prof. Stanisławski wypowiedział wówczas opinię, która świadczy, że jest autentycznym znawcą języka Sir Winstona Churchilla. „Przez dobrą angielszczyznę rozumiemy angielszczyznę, którą w danym okresie historycznym mówi (i używa w piśmie) większość wykształconych Anglików”.

Proste i jasne — prawda?

Co należy rozumieć przez dobrą polszczyznę? Ho, ho, to nie jest takie proste — polszczyzna to nie angielszczyzna, mości dzieju.

Red. Prof. Dr M. Grydzewski (może już docent PUNO?) wydał swój dekret (w formie orędzia do czytelników) z okazji zamiany „koegzystencji” na „współistnienie” w artykule p. St. Mackiewicz — czym wybitny autor poczuł się dotknięty, dowodząc (i słusznie!) że koegzystencja a współistnienie to nie jedno i to samo.

Pewne słowa obcego pochodzenia usynowiamy — nie dlatego że w polskim języku nie mają odpowiednika — ale dlatego, że posiadają pewien wydźwięk treściowy ściśle związany z daną epoką, z danym okresem historycznym. Weźmy dla przykładu słowo „kolaborant”. Piszac opowiadanie nowelę czy powieść z okresu okupacji niemieckiej jest rzeczą niemożliwą słowo „kolaborant” zastąpić czysto polskim słowem „współpracownik”, gdyż — na tle tego okresu historycznego — „kolaborant” znaczył zupełnie co innego niż „współpracownik”.

W czystej teorii słowa „koegzystencja” i „współistnienie” pokry-

wają się całkowicie. Mimo to jednak, w obecnej epoce termin koegzystencja nabrał swoistego wyrazu i tło skojarzeniowe „koegzystencji” jest różne od tła skojarzeniowego „współistnienia”. Redaktor, który tego nie wyczuwa nie rozumie współczesności, nie ma poczucia tonacji słów, którymi wyraża swe myśli współczesny Polak.

Kto ma o tym wszystkim wyrokować i kto kogo ma pouczać jak należy a jak nie należy pisać po polsku?

Osobiście przyjmuję z pokorą i wdzięcznością każdą uwagę dotyczącą mojej angielszczyzny. Nie mam dziś nawet ambicji na temat mojej niemiezczyzny. Jeżeli jednak chodzi o polszczyznę to przy wrodzonej i nabytej skromności sądzę, że ludzie mojego fachu, którzy od ćwierć wieku utrzymują się z pisania po polsku — decydują suwerennie o tym co w danym okresie i pokoleniu jest dobrą polszczyzną a co nią nie jest. Nie filolodzy, nie uchwały akademii, nie przyczynkarze i nudziarze, nie słowniki — lecz my, ogół wykształconych Polaków, decydujemy co jest dobrą a co złą polszczyzną w roku Pańskim 1955.

Dla polskiego dziennikarza, publicysty czy literata nie może być żadnym autorytetem A. Kryński, który żył 100 lat temu i któremu nawet się nie śniło o kolaboracji czy koegzystencji. Dla Polaka przebywającego od 15 lat na obczyźnie i piszącego dla Polaków od 15 lat przebywających na obczyźnie — nie może być wyrocznią nawet nieśmiertelny prof. Nitsch, który przy całej swej bezsprzecznej znakomitości — nie ma pojęcia o przemianach jakie dokonują się w polszczyźnie używanej przez Polaków przebywających niemal od dwóch dziesiątków lat na Zachodzie.

Owe wpływy i przemiany są olbrzymie. Nie tylko usynowiamy pewne rdzennie angielskie słowa ale i rdzennie polskim słowom i określeniom nadajemy odmienny sens. Dla mieszkańca Starego Sącza, który nie umie po angielsku i nie słucha audycji zagranicznych — słowo „współpasażer” oznacza wyłącznie towarzysza podróży w autobusie do Kurowa. Natomiast dla Polaków na Zachodzie — „współ-pasażer” to oczywiście „fellow-traveller” czyli krypto-komunista.

Tego typu przykładów można by cytować dziesiątki. Oczywiście te sprawy nie interesują naszych językoznawców bo oni polszczyznę, którą my mówimy, zajmą się na swych seminarjach dopiero w roku 2549.

Namiętnym puryfikatorom i purystom doradzam zapoznanie się z historią „Komitetu zabijania słów” w orwellowskim „Roku 1984”.

Czystość i poprawność to są dwie rzeczy różne. Tekst może się roić od obcych słów a mimo to być w zgodzie z gramatyką. I odwrotnie teksty największych purystów pod względem gramatycznym pozostawiają często wiele do życzenia. Dla błędów gramatycznych nie powinno być pardonu, bo kośćcem polszczyzny jest gramatyka. Jeżeli chodzi o czystość „słowną” w mojej prywatnej opinii nie wolno jej okupować zubożeniem wyrazistości tekstu. I w tej sprawie nie ma obiektywnych sprawdzianów. Jeżeli autor wyczuwa, że pełniej i dokładniej przekazać swą myśl czytelnikowi używając słowa „koegzystencja” zamiast „współistnienie” powinien bez wahania użyć terminu koegzystencja. Wszelka akcja zmierzająca do zubożenia siły wyrazu tekstu, do zwężenia tła skojarzeniowego użytych słów — jest w gruncie rzeczy akcją *anty-językową* bez względu na to co o tym myślą puryści.

O PANU Z. S.

„Kultura” jest jednym z najczęściej cytowanych pism w prasie politycznej i jest najjadliwiej zwalczana przez komunistów. Jako publicysta „Kultury” jestem przedmiotem stałych ataków prasy komunistycznej co cenię sobie wysoko z dwóch względów. Po pierwsze jest to dowodem że „Kultura” przemilczeć nie można. Po drugie — w dzisiejszej sytuacji publicysta emigracyjny może ożyć w oczach Kraju tylko w atakach wrogów.

„Orzeł Biały” nie po raz pierwszy drogą insynuacji usiłuje rzucić cień na „Kulturę” i jej współpracowników.

Pan Z. S. autor artykułu pt. „Dwaj panowie «M»” (Nr 49/648) pisze dosłownie:

„P. J. Mieroszewski zyskał sobie uznanie komunistycznego dziennikarza...”

A w innym miejscu p. Z. S. zapewnia swych czytelników, że p. Arski (dziennikarz komunistyczny) „zachwala p. Mieroszewskiego”.

O tym, że tenże p. Arski nazwał tegoż p. Mieroszewskiego „nieprzejednanym wrogiem władzy ludowej” p. Z. S. nie wspomina, bo chodzi tu przecież o wywołanie wrażenia, że „Kultura” jest chwalona, cytowana, ceniona i ...krypto-komunistyczna.

Ach, znamy te przedwojenne szlachetne metody szlachetnego przedwojennego obozu. Krok od insynuacji — ćwierć kroku od prowokacji a w sumie anonimowy donos. Czym się ci panowie różnią od donosicieli typu p. Arskiego? Chyba tylko tym, że p. Arski jest niepomnie bardziej inteligentny.

Na dnie tej obrzydliwej notatki pelga tłumiona zawiść. „Orla Białego” nikt, nigdy, nigdzie ani nie cytuje ani nie zwalcza; pana Z. S. również. Ale to jest zwykły los nudnych zer — z czym pan Z. S. i inni współpracownicy „Orla” winni się wreszcie pogodzić.

LONDYŃCZYK

Wolna Trybuna

Na marginesie artykułu p. Hrabyka pragniemy zaznaczyć co następuje: Jak p. Hrabyk słusznie zauważa — polityka jest sztuką przewidywania. „Kultura” swoich przewidywań nie opiera na „pobożnych życzeniach”, tylko na założeniu, że na dłuższą metę współistnienie świata komunistycznego z światem Zachodu nie jest możliwe. Mimo ciągłych zmian taktycznych „rewolucja światowa” jest zawsze głównym celem do którego dąży i dążyć będzie Związek Sowiecki. Okres koegzystencji może trwać 10 czy 15 lat — nikt jednak ani w Moskwie ani w Waszyngtonie nie łudzi się, że jest to rozwiązanie ostateczne.

Jeżeli chodzi o Kraj — obecnej sytuacji nie można porównywać z sytuacją sprzed pierwszej wojny światowej. Polacy nie są obecnie podzieleni na „orientacje” — nie dzielą ich również przeciwieństwa politycznych koncepcji typu Piłsudski contra

Dmowski. Dziś nie ma ani ugodowców ani lojalistów. Można obiektywnie przyjąć, że 98% Polaków w Kraju — choć z podziwu godnym uporem i żywotnością rozbudowuje byt narodu w wszystkich dostępnych dziedzinach — nienawidzi zarówno Rosji jak reżymu. Nie ma żadnych różnic pomiędzy koncepcją polityczną Kraju a Emigracją; walczymy przeciwko temu samemu wrogowi choć różnymi metodami.

Dla każdego, kto obserwuje Stany Zjednoczone bez uprzedzeń jest oczywiste, że świadomość zasięgu i znaczenia obecnego konfliktu pogłębia się stale wśród społeczeństwa amerykańskiego, choć proces ów postępuje wolno. Jeżeli przewidywania nasze opieramy na przekonaniu, że konflikt jest nieuchronny i nadejdzie moment w którym Stany Zjednoczone będą musiały powziąć zasadnicze decyzje — to w konsekwencji, jest obowiązkiem Emigracji politycznej oddziaływać na Zachód, a w szczególności na Amerykę, by — w marę naszych możliwości — przyspieszyć ewolucję poglądów, które muszą dojrzeć i upowszechnić się, nim staną się fundamentem polityki amerykańskiej.

U podstaw filozofii politycznej p. Hrabyka tkwi przekonanie, że obowiązkiem Amerykanów jest wyprzeć Rosję z Europy Wschodniej. Jedynym natomiast naszym zadaniem jest oburzać się że jeszcze tego nie zrobili. Wszystko ma robić Zachód, z którym p. Hrabyk wprowadzając się nie solidaryzuje (jeżeli przez Zachód rozumieć Amerykę) rezerwuje sobie natomiast prawo krytyki. W tej koncepcji, Emigracja jest już nie tyle na marginesie Zachodu, ile w ogóle, poza nawiasem wolnego świata.

Jeżeli Amerykanie nie zamierzają w najbliższym czasie wyprzeć Sowieków z Europy wschodniej — p. Hrabyk radzi byśmy umyli ręce i oświadczyli, że nasze interesy nie mają nic wspólnego z interesami amerykańskimi.

„Kultura” stoi na stanowisku (czemu dawaliśmy wyraz w dziesiątkach artykułów), że Emigracja nie jest politycznym „no-man's land”, lecz jest częścią Zachodu i przynależy w pełni do koalicji wolnego świata. W proporcji do naszych możliwości i naszej liczebności jesteśmy współodpowiedzialni za przemiany dokonywujące się na Zachodzie.

Polityka amerykańska nie jest tylko polityką amerykańską; w pewnym sensie jest również polityką brytyjską, francuską, belgijską, holenderską, duńską i... polską. Co to znaczy? Oznacza to, że nawet państwa kalibru Wielkiej Brytanii są w pewnym stopniu zależne od Stanów Zjednoczonych. Głoszenie w tych warunkach całkowitej niezależności polityki polskiej od Ameryki (niezależności nie w sensie finansowym lecz ideologiczno-politycznym) jest całkowitym nonsensem. Zarówno my, jako Emigracja, jak i państwa Zachodu jesteśmy związani z Ameryką zarówno wówczas kiedy polityka amerykańska jest słuszna i celowa, jak i wtedy, kiedy polityka ta jest błędna. Po tej stronie barykady znajdujemy się wszyscy na pokładzie jednego okrętu. Jeżeli ktoś nie godzi się z polityką kapitana może opuścić statek... skacząc do morza. To jest wyjście, które sugeruje p. Hrabyk.

Po tej stronie „żelaznej kurtyny” możemy współpracować tylko z Stanami Zjednoczonymi i decyzyjnie w tym względzie każdy z nas powziął w dniu, w którym postanowił nie wracać do Kraju i pozostać na Zachodzie. Współczesna polityka — choć w bogactwie form i zagadnień jest procesem złożonym — u dna sprowadza się do prostej alternatywy: albo z Ameryką, albo z Rosją. Ci, którzy głoszą, że polskie interesy są sprzeczne z sowieckimi a nie mają punktów stykowych z interesami amerykańskimi — propagują polityczny nihilizm, wyłączając bowiem Sprawę polską z układu realnej polityki. Polityka polska — wroga w stosunku do Sowietów a neutralna w stosunku do Zachodu i Ameryki w praktyce równałaby się stwierdzeniu, że na Sprawę polską nie ma miejsca na tej planecie.

Polityka jest istotnie sztuką przewidywania i dla tego naszą koncepcję opieramy na przekonaniu, że walkę o hegemonię nad światem narzuca Ameryce przez Sowietów — Ameryka podejmie i wygra, choć zarówno formy tej walki jak i dzień zwycięstwa trudne są do przewidzenia. Ci polscy politycy, którzy w to zwątpili marnują czas przebywając na Zachodzie.

REDAKTOR

Dobre samopoczucie jest podobno połową zdrowia nie tylko ludzi ale i wydawnictw. P. Juliusz Mieroszewski w swoim artykule „Budujemy dom” wykazał niewątpliwie pomyślnie samopoczucie, opierając je na różnych przesłankach uzasadniających nieprzerwaną ciągłość „Kultury”.

Wśród nich zwróciła moją uwagę zasada — jak to stwierdza autor — przestrzegana przez „Kulturę”, że „jeśli czytelnik ma być przekonany o słuszności tezy, musi brać udział w dyskusji i być aktywnym świadkiem krystalizowania się danego poglądu. Nie ma dyskusji tam, gdzie oponenti pozbawieni są głosu.

Należę do opozycjonistów niektórych teorii wypowiedzianych przez p. Mieroszewskiego i dlatego pragnę skorzystać z atmosfery „całkowitego liberalizmu” na łamach „Kultury”.

Mój opozycyjny stosunek do poglądów rozwijanych przez p. Mieroszewskiego, głównego publicystę „Kultury”, dotyczy stosunku, jaki wyznacza on pogładowi polskiemu na politykę amerykańską i rolę Stanów Zjednoczonych. Problem ten posiada zupełnie zasadniczy charakter, ponieważ od poglądów na to zagadnienie zależy właściwie wszystko, na co składa się wysiłek, teraźniejszość i przyszłość emigracji, a z nią również sprawy polskiej.

Jak dalece ta sprawa waży na tym wysiłku wskazuje generalna pomyłka polityki polskiej w czasie ostatniej drugiej wojny światowej, gdyśmy wszystko bez reszty postawili na Zachód i prawie wszystko przegraliśmy. Polityka jest wymienną sumą skutków działania ludzkiego, a nie ludzkich założeń, które mogą być trafne lub nie, ale liczą się tylko ich rezultaty. Polityka polska w czasie pierwszej wojny opierała się równocześnie na dwu założeniach, z których jedno było na pewno trafne, a drugie błędne. Natomiast — mimo to — prawidłowość obu tych założeń polegała na tym, że polityka

poliska postawiła wówczas na dwa konie, z których jeden musiał wygrać. W czasie drugiej wojny postawiliśmy na jednego konia, który wprawdzie wygrał, ale kasa toru zwycięstwa, w której wykupiliśmy karty naszego losu, nie wypłaciła nam wygranej. Można odpowiedzialnością za tę niesumienność obciążać dysponentów tej kasy, ale nie należy również pominąć okoliczności, żeśmy sami nie zabezpieczyli swojej wypłaty w taki sposób, aby nie paść ofiarą oszustwa.

Po takim doświadczeniu powtarzanie z naszej strony analogicznej procedury byłoby niewybaczalną lekkomyślnością.

Byłaby ona tym bardziej niewybaczalna, że — oprócz doświadczenia z drugiej wojny — mamy za sobą już dalsze elementy uzasadniające jak najbardziej ostrożność w stosunku do powtarzania tej samej metody.

Pierwszym z nich — to doświadczenie z ostatniego, już powojennego okresu dziesięciolecia, który obalił całkowicie nasze założenia sformułowane po Jalcie. Wedle niemal powszechnego przekonania Polaków nie tylko na emigracji, ale i w Kraju umowa jałtańska była tylko pomyłką ze strony Zachodu. Jej niemoralność, jak chcieli jedni, albo niewykonanie, względnie nadużycie jej ze strony Rosji, jak twierdzili inni, miało w krótkim czasie doprowadzić do gwałtownego spiecia między Moskwą i Zachodem, w wyniku czego powinna nastąpić trzecia wojna, klęska Rosji i wyzwolenie krajów przez nią opanowanych. Na tej teorii opierała się nie tylko polska nadzieja, ale niemal pewność, że wojna wybuchnie „z najbliższą wiosną”. Na tym w głównej mierze oparte było również przekonanie o przydatności legalizmu na emigracji, stąd także zrodziła się koncepcja „państwa na obczyźnie”, plany tworzenia armii polskiej na emigracji, postulat „przetwania” Kraju — i cała atmosfera tymczasowości naszego położenia i sytuacji.

Polityka jest sztuką przewidywania. Polityka, która przewiduje mylnie, jest złą polityką, albo nie jest nią w ogóle.

Gdyby zatem założyć, że trzeba przekonywać Amerykanów, aby objęli przywództwo, to należałoby przyjąć, że się ich prawdopodobnie przekona. Nie trzeba przy tej okazji odkrywać jednak Ameryki, bo przecież co najmniej od lat kilku — wolny świat nie robi nic innego, jak przekonuje Amerykę, aby przywództwo objęła. Taki jest tenor wszystkich, bezustannych apelów z całego świata, co najmniej jego większości nie podlegającej blokowi komunistycznemu. Do tego dolożyć trzeba głosy napływające stale zza żelaznej kurtyny, z których każdy rozpoczyna się od sakramentalnego już apelu, że ludzie oczekują tam na przywództwo Ameryki i na tym opierają całą swoją nadzieję i przyszłość. To wszystko jest w Stanach Zjednoczonych notowane i dokładnie znane.

Jakież są rezultaty tych nawoływań i tej „wojny psychologicznej”? Rezultatem tej kampanii były znane wydarzenia na Korei, które głęboko wstrząsnęły autorytetem Stanów Zjednoczonych co najmniej w Azji; potem była sprawa Indochin, do których nie wysłano armii amerykańskiej, aby przynajmniej uniemożliwić sukces komunistów; potem nastąpiła konferencja genewska, na której kapitulacja Francji odbyła się przy biernym stanowisku amerykańskim, potem była sprawa EDC i znanego obrotu rzeczy, który co najmniej zredukował rolę Stanów Zjednoczonych w Europie na rzecz Wielkiej Brytanii. A przedtem, blisko już dwa lata temu, była sprawa zarzucenia nawet hasła „liberation” w stosunku do krajów zabrzanych przez Rosję.

Nie można jednak ograniczyć się tylko do tego, co było, bo trzeba wiedzieć także to, co jest i co nadchodzi. Nadchodzi z nieubłaganą konsekwencją era koegzystencji, w której — wbrew wszystkim nadziejom pogodnych optymistów — Stany Zjednoczone wezmą udział na równi z Wielką Brytanią i innymi krajami Zachodu.

Trzeba się zatem umówić, czy polityka polska ma hołdować pobożnemu życzeniu, aby Stany Zjednoczone przyjęły przywództwo i — wbrew wszystkim faktom — opierać się na tej nadziei tak samo, jak opieraliśmy naszą politykę wojenną na nadziei, że Zachód i Stany Zjednoczone pozostaną wierne zasadom Karty Atlantycznej i innych wzniosłych idei — czy też mamy rozpoznać sytuację w jej realnej postaci i choćby była ona najbardziej dla nas nieprzyjemna, sformułować nasze dalsze stanowisko w oparciu o prawdziwą rzeczywistość?

Nie należy zaś ukrywać faktu, że czas pracuje stale i wytrwale na rzecz bloku komunistycznego, a nie Zachodu i że każdy rok zwłoki w jedynej możliwej decyzji, jaką może być wojna, sprawę przyszłości losów Zachodu złowrogo zaciemnia. A właśnie w tej jedynej i najważniejszej sprawie Stany Zjednoczone wyraźnie uchylają się od przywództwa, to znaczy nie chcą wziąć na siebie odpowiedzialności za wywołanie zbrojnego starcia z blokiem komunistycznym. Mogą mieć do tego słuszne przyczyny ze względu na swoje własne interesy, przyczyny te można uznać nawet za obiektywnie uzasadnione, ale w żadnym razie nie uzasadnia to niczyjej nadziei, aby swoją politykę budować na przekonaniu, że Stany Zjednoczone obejmą przywództwo świata, bo go objąć nie chcą i nie obejmą.

P. Mieroszewski może przytoczyć dość bogaty repertuar różnych argumentów, które będą mu służyły do podważenia tej tezy. Ale z tymi argumentami, szczególnie w dziedzinie politycznego przewidywania, jest na ogół tak, jak z sentencjami wielkich proroków wszystko można przy pomocy ich cytowania udowodnić.

Jesteśmy wszyscy pod wrażeniem, że dotychczasowe poglądy, metody, formułki i slogany nie wystarczają już na dalszy okres, którego dotychczasowy ciąg kończy się dla nas zupełnym niepowodzeniem. Wszystko w świecie odbywa się inaczej niż założyliśmy. Tym się tłumaczy podświadomy, niemal owczy pęd ku zjednoczeniu sił, bo to jest pierwszy odruch instynktu samozachowawczego każdego żywego środowiska ludzkiego w chwili jego zagrożenia. Kto inaczej rozumie tę reakcję, jest albo cynikiem, albo ignorantem, który nie rozumie niczego.

Celem ostatecznym dzisiejszej polityki polskiej jest wyzwolenie państwa polskiego. spod wpływu i przemocy Rosji. Polityka polska w ciągu ostatnich lat dziewięciu i na progu dziesięciolecia stanu wytworzonego po drugiej wojnie światowej okazuje się dlatego bezskuteczna, ponieważ nie ma obecnie warunków na wyzwolenie państwa polskiego z rejonu wpływów Rosji i każda polityka zdążająca bezpośrednio do realizacji tego celu musi w tym i w dalszym, na razie nieokreślonym okresie skończyć się niepowodzeniem. Jako emigracja nie możemy bowiem celu tego osiągnąć samodzielnie, a siły, które mogłyby w tym pomóc — nie zamierzają obecnie podejmować inicjatywy zdążającej do wykonania tego planu.

Dotychczasowy błąd polskiej polityki na emigracji polega więc na tym, że od roku 1945 do dnia dzisiejszego formułujemy nasz cel polityczny w sposób nie znajdujący żadnego praktycznego oddźwięku w reszcie świata.

ta. Polityka, która nie znajduje żadnego echa u nikogo — nie jest na pewno polityką ani celową ani odpowiedzialną. Może być mniej lub więcej skuteczną propagandą, ale czysta propaganda nie jest polityką.

Jeżeli zatem nie ma szans realizacji głównego i pełnego celu politycznego, trzeba inicjatywę polityczną podjąć w takim kierunku, który wprowadzi nie będzie zdążyć do bezpośredniej realizacji głównego celu, ale stworzy elementy zbliżające nas do niej, względnie przygotowujące nas do okresu, w którym realizacja celu okaże się możliwa. Krótko mówiąc — polityka polska musi określić sobie cele zwięzłe, choć utrzymane w ramach naczelnego celu.

Sformułowanie celu zwięzłego winno się oprzeć na szczegółowej i zupełnie bezstronnej analizie położenia sprawy polskiej w obecnym okresie.

Głównym jego elementem jest fakt istnienia państwa polskiego na ziemiach Polski, zajmowanych przez zwartą masę polskiego narodu, który żyjąc w granicach tego państwa, chociaż rządzonego przez czynniki narzucone mu siłą i utrzymywane przemocą — uznaje stan faktyczny, żyje w nim, pracuje, wykonuje w jego ramach swoje obowiązki narodowe i państwowe, korzysta ze swoich ograniczonych praw. Uznawanie tego stanu przez naród polski nie oznacza z jego strony aprobaty. Historia zna okresy, w których narody żyjąc w narzuconym im porządku — rozwijały w nim swój byt, chociaż nie aprobowaly formy narzuconego im ustroju. Taki stan rzeczy istnieje również dzisiaj w Polsce.

Istnieje on oczywiście w obecnej chwili. Gdyby sytuacja obecna trwała dłużej i przedłużała się na lat kilkadziesiąt — prawdopodobnie ówczesni Polacy aprobowaliby istniejący stan jako normalny i wtedy mielibyśmy do czynienia z nowym zjawiskiem, wobec którego należałoby zająć nowe stanowisko. Na razie jednak można bez obawy o pomyłkę stwierdzić, że co najmniej większość narodu polskiego, uznając istniejący stan rzeczy w Polsce, nie udziela mu aprobaty i byłaby gotowa go zmienić, gdyby powstały do tego odpowiednie warunki.

Drugim elementem położenia sprawy polskiej w obecnym okresie jest bezsporny fakt, że — niezależnie od panującego w Polsce porządku i ustroju — istnieją zagadnienia wspólne wszystkim bez wyjątku Polakom, które wymagają w obecnej sytuacji wspólnego ich poglądu i wysiłku.

Do takich zagadnień należy na przykład problem Ziemi Zachodnich Polski, sprawa odbudowy i wzmocnienia Polski pod względem biologicznym, gospodarczym, czy kulturalnym. Do tego rzędu zagadnień należy również utrzymanie państwa polskiego choćby w obecnych, ograniczonych formach odrębności, jak nie leży w interesie polskim włączenie Polski do Związku Sowieckiego. Rzeczą dyskusji pozostaje zagadnienie sił zbrojnych w Polsce. Osobiście sądzę, że wbrew niektórym opiniom, w interesie polskim leży, aby obecne siły zbrojne w kraju były jak największe i jak najlepiej wyposażone i aby Polska reprezentowała pod tym względem możliwie największy potencjał.

Już te przykłady, a nie są one jedyne, są dostatecznie szeroką platformą, na której realizować można politykę polską w zwięzłym zakresie, chociaż opartą na założeniach ostatecznego jej celu. Na ogół emigracja rozumie tę wspólną interesów polskich obowiązujących zarówno ją jak i Kraj, ale nie trzeba ukrywać, że — rozumiejąc to — nie wyciąga z tego właściwych i pełnych konsekwencji.

Trzecim elementem położenia sprawy polskiej, coraz bardziej widocznym i pęczniącym, jest sprzeczność polityki polskiej z polityką Zachodu nie tylko w dziedzinie polskiego celu naczelnego, jakim jest wyzwolenie Polski spod przewagi rosyjskiej, ale także w zakresie wielu celów zwężonych.

Ten element sprzeczności ciąży coraz bardziej na zagadnieniu polityki polskiej na emigracji, która — nie należy tego tać — wchodzi w coraz ciśniejszy potrzask. Tym się tłumaczy jej stale niepowodzenie na Zachodzie, powodujące wśród nas wszystkich uczucie zmęczenia i bezcelowości wysiłku.

Z potrzasku jednak można się wydobyć, jeżeli przestawimy nasze założenia i z pryncypializmu zasad zejdziemy do granicy realnych, osiągalnych celów, zgodnych z interesem Kraju.

Jedną z głównych tajemnic niepowodzenia polityki emigracji jest bodaj ta właśnie łatwość, z jaką ofiarujemy Zachodowi naszą współpracę, podkreślając z nim solidarność względnie unikając określenia odrębności naszego stanowiska, a nie uzyskując wzajemian za to żadej rekompensaty. Jesteśmy wskutek tego coraz bardziej w położeniu strony, z którą nie warto się liczyć, skoro i bez tego uzyska się od niej wszystko, co jest potrzebne kontrahentowi. Nie jesteśmy w stanie niczego ani wytargować, ani wymusić od Zachodu, ponieważ nie mamy w dyspozycji żadnych z naszej strony ustępstw potrzebnych w każdym przetargu. Emigracja polska, zapatrzona w pewne, tradycyjne slogany, jest wiernym strażnikiem łączności polskiej z Zachodem, ale to właśnie sprawia, że nikt już zabiegać o naszą wierność nie potrzebuje. Nasza solidarność z Zachodem jest tak duża i absolutna, że nie przedstawia dla nikogo żadnej ceny.

Ten stan rzeczy może nas wpędzić w poważny konflikt z Krajem, który jest jedynym realnym podmiotem sprawy polskiej i bez którego wszelka nasza działalność i inicjatywa na emigracji staje się fikcją.

Jeżeli świat zachodni zdąży do koegzystencji z Rosją, to bez względu na nasz stosunek do tego zagadnienia — nie możemy przybierać poży Don Kichotów i kontynuować polityki pryncypialnych zasad w stosunku do zagadnień, które dotyczą interesów Kraju. Odpowiedzią na koegzystencję Zachodu z Rosją, może być ze strony polskiej emigracji tylko wzmożona i wszechstronna współpraca z Krajem w tych dziedzinach, które stanowią wspólny interes polskiego na wszystkich odcinkach świata, gdziekolwiek znajdują się Polacy.

Krótko mówiąc — skoro nie ma na razie warunków zrealizowania naczelnego celu niezależnej polityki polskiej, należy z jej strony dołożyć wszystkich możliwych starań, aby potencjał polski w Kraju, bez względu na istniejący tam stan rzeczy, rozbudował się do rozmiarów stwarzających we właściwym momencie możliwość użycia karty polskiej jako czynnika rozporządzającego możliwie największą ilością atutów.

Ta postawa odbuduje zaufanie Kraju i jego społeczeństwa do roli i znaczenia emigracji. Zaufanie to, jak to powszechnie wiadomo, w ciągu ostatnich lat dziesięciu zostało w bardzo poważnym stopniu nadwężone, jeśli nie zburzone. Nie stało się to przypadkowo i muszą być tego jakieś przyczyny. Przyczyną główną jest sztywne stanowisko emigracji w stosunku do nieosiągalnego celu naczelnego i jej lekceważący, a co najmniej bierny, a często negatywny stosunek do wielkiego procesu odbudowy Kraju jego

własnym, potężnym wysiłkiem. Ten stosunek musi ulec radykalnej zmianie, jeżeli mamy się odnaleźć i nie zagubić. Często powtarzane wśród nas hasło prymatu Kraju nie może ograniczać się do sloganu, ale musi znaleźć realny wyraz w praktycznej działalności Polaków na obczyźnie.

W mocnym oparciu o Kraj, jego tętno i wysiłek, można będzie dopiero realizować plany polityczne na Zachodzie, obliczone w czasie i okolicznościach. Emigracja posiadająca żywą łączność z Krajem, rozumiejąca jego procesy wewnętrzne, wysiłki i tendencje, będzie ośrodkiem reprezentującym inną cenę polityczną aniżeli środowisko składające stałe, choć bez wzajemności przysięgi wierności dla ideałów Zachodu. W takiej postawie można zejść z tego świata wprawdzie z chwałą właściwą niezłomnym rycerzom, ale nie można wykonać roli przedstawicieli słusznej i celowej polityki narodowej w czasach tak trudnych, jak obecne.

Klaudiusz HRABYK

JOURNAL of CENTRAL EUROPEAN AFFAIRS

CONTENTS — JANUARY 1955

GERMAN EASTWARD EXPANSION, FACT AND FICTION: A STUDY IN GERMAN-OTTOMAN TRADE RELATIONS, 1890-1914 — M. L. Flaningam.

A PROPOSED COMPROMISE OVER DANZIG IN 1939? — Gerhard L. Weinberg.

SOVIET DOCTRINE OF MARE CLAUSUM AND POLICIES IN BLACK AND BALTIC SEAS —

Kazimierz Grzybowski.

EASTERN EUROPEAN FEDERATION, A STUDY IN THE CONFLICTING NATIONAL AIMS AND PLANS OF THE EXILE GROUPS —

Elizabeth Kridl Valkenier.

COMMUNIST LITERATURE IN RUMANIA —

Nicholas Timiras.

NOTES

BOOK REVIEWS

RECENT PERIODICAL LITERATURE

Published Quarterly at the University
of Colorado, Boulder, Colorado

S. HARRISON THOMSON, Editor

Yearly Subscription: \$ 5.00

Single Copies: \$ 1.50

Postage outside US: \$ 0.25

Przegląd gospodarczy

Handel Polski z Zachodem

Nie zamierzamy tu pisać o wartości i tonażu handlu Polski z poszczególnymi krajami Zachodu: na tych łamach byłyby to wywody zbyt specjalne. Chodzi nam raczej o ogólne zjawiska, które rozgrywają się na terenie, określonym przez tytuł tego artykułu. Obecne rządy w Polsce głęboko przeorały całą strukturę, i odwróciły kierunek, gospodarstwa polskiego. W związku z tym nasuwają się następujące pytania: Czy istnieje możliwość rozszerzenia handlu Polski z Zachodem? Jeżeli tak — to w jakim zakresie? Czy powiększenie handlu Polska-Zachód jest w obecnych warunkach wskazane z punktu widzenia ekonomicznych i politycznych interesów narodu polskiego? Jaki, z punktu widzenia tych interesów, powinien być nasz stosunek do problemu handlu Wschód-Zachód w ogólności?

PUNKT WYJŚCIA

Przedwojenna Polska należała — można powiedzieć: organicznie należała — do zachodnio-europejskiego obszaru gospodarczego. W roku 1938 eksport Polski na Zachód wynosił 91,9 procent całego naszego eksportu, import polski z Zachodu wynosił 92,2 % całego naszego importu. O ogromie przemian, które nastąpiły po wojnie, może świadczyć to, że w roku 1949 eksport polski na Zachód wynosił już tylko 57,2% całego eksportu, podczas gdy import polski z Zachodu wynosił tylko 51,5% całego importu. Ale dalsze lata jeszcze bardziej oddaliły gospodarstwo polskie od Zachodu. Miarą tego oddalenia może być fakt, że podczas gdy w roku 1937 tylko 7% polskiego handlu zagranicznego przypadało na blok sowiecki, to w roku 1952 cyfra ta podskoczyła aż do 67%.

Spojrzymy teraz na sprawę przesunięć w kierunku handlu zagranicznego Polski nie pod kątem stosunku do bloku sowieckiego, jako całości, ale pod kątem stosunku do samej Rosji.

Przez szereg lat powojennych udział Rosji w handlu zagranicznym Polski wynosił 33%. W lipcu br. Minc napisał w „Prawdzie”, że w tym roku udział ten wyniesie blisko 40%.

Przed wojną udział Rosji w handlu zagranicznym Polski wyrażał się po stronie eksportu mniej niż jednym procentem, zaś po stronie importu tylko nieco więcej niż jednym procentem. Jest przy tym rzeczą istotną, że zakres handlu polsko-rosyjskiego wykazuje obecnie tendencję stale na ogół wzrastającą. Jeżeli plan na rok 1954 zostanie wykonany handel ten dojdzie do poziomu 417% w stosunku do roku 1947. Dr A. Zauberman oblicza, że „w porównaniu z 1953 rokiem całość obrotów zagranicznych Polski wzrosła o jakieś tylko 5% a obrotów z ZSSR — o niemal 18%”. Warszawska „Trybuna Ludu” z 20 kwietnia 1954 podaje że „obroty polskiego handlu zagranicznego z krajami kapitalistycznymi wykazały w roku 1953 wzrost o 2% w stosunku do 1952”.

Tak więc Polska z państwa organicznie zachodniego w sensie ekonomicznym stała się częścią składową sowieckiego obszaru gospodarczego. Fakt ten ujawnia się coraz bardziej w całej polityce gospodarczej rządu warszawskiego i jest ze swej strony źródłem dalszych doniosłych skutków natury ekonomicznej i politycznej. Skutki te można najogólniej scharakteryzować w ten sposób, że w Warszawie realizowane są plany, wynikające z wielkich linii polityki gospodarczej obszaru sowieckiego, jako całości, przy czym motyw polski ustępuje miejsca ogólno-sowieckiemu w wypadkach, gdy z nim koliduje. Dzieje się to zwłaszcza w tych sprawach gospodarczych, które mają szczególnie wielkie znaczenie polityczne: z nich najjaskrawsze było bodaj odrzucenie przez rząd warszawski *Marshall Aid* dla Polski.

Mamy więc przed sobą proces konsekwentnego włączania Polski do sowieckiego obszaru gospodarczego, którego integracja jest wyrazem podstawowej polityki ZSSR w skali światowej. Nie znaczy to oczywiście, że polityka ta nie pozostawia żadnego pola do handlu z Zachodem dla nierosyjskich członków tego bloku. Choć bowiem sam ZSSR reprezentuje 30% handlu pomiędzy Europejskim Blokiem Sowieckim a Zachodem, to przecież reszta tego handlu wciąż jeszcze przypada na pozostałych członków. Ale z drugiej strony ta reszta rozłożona na szereg państw, daje niemal każdemu z nich mniejszy udział w handlu z Zachodem niż ten, który by przypadał w układzie stosunków, niedyktowanych centralnie z Moskwy. Te różnice, na niekorzyść poszczególnych państw podsowieckich, powiększają z reguły rosyjski udział w handlu z Zachodem. Tak też jest w wypadku polskim. Analiza powodów bierności polskiego bilansu handlowego w pewnych okresach prowadzi do potwierdzenia faktu, że zasadniczy kierunek polskiego handlu zagranicznego zależy w ostatniej linii od decyzji moskiewskich, pobieranych z punktu widzenia interesów bądź samego ZSSR, bądź też interesów bloku sowieckiego, jako całości.

CZY MOŻNA ROZSZERZYĆ HANDEL POLSKI Z ZACHODEM?

Pierwsza trudność, związana z jakimś znaczniejszym powiększeniem zakresu tego handlu, wynika z faktów, które przytoczyliśmy powyżej. Skoro Polska stanowi dziś część sowieckiego obszaru gospodarczego, skoro proces integracji bloku wschodniego postępuje wciąż naprzód, skoro np. w roku 1953 wzrost obrotów handlowych pomiędzy Polską a Zachodem nie przekroczył 2% mimo, że obie strony wyraźnie i stanowczo wysuwają dezyderat ożywienia stosunków handlowych — to trudno oprzeć się wrażeniu, że właściwie cała sprawa obraca się jakby w sztywnych niemal granicach, bez możliwości wyjścia poza nie. Czy wrażenie to jest słuszne?

Wyobraźmy sobie, że w danym roku miał miejsce w Polsce wielki urodzaj, że ilość zboża przekracza zapotrzebowanie wewnętrzne i że w tymże roku inne kraje bloku sowieckiego nie potrzebują polskiego zboża. Albo, że amerykańska nadprodukcja jakiegoś towaru, nieobjętego embargo, skłania USA do sprzedania nadwyżek tego towaru komukolwiek. W tych i temu podobnych wypadkach oczywiście dojdą do skutku dodatkowe transakcje Wschód-Zachód. Ale z punktu widzenia długofalowej polityki rozszerzania handlu nie jest to istotne. W tej polityce chodzi bowiem nie o dorywcze czy chwilowe możliwości, ale o podniesienie obrotów handlowych w jakimś dłuższym okresie czasu i do poziomu, który miałby poważne znaczenie gospodarcze dla obu stron. Chodzi o stworzenie, choćby w pewnym stopniu, poczucia stabilizacji rynków zbytu, możliwości liczenia na nie. To ze swej strony może powstać tylko w tym wypadku, jeżeli świadczenia handlowe oparte są na *strukturalnej* niejako możliwości wytwarzania, przez obie strony, odpowiednio wielkich nadwyżek eksportowych. Zachód potrzebuje polskich produktów rolniczych i polskiego węgla — przede wszystkim, jeżeli nawet nie w sensie absolutnie ciągłym, to jednak z reguły. Tu dochodzimy do istotnego pytania: czy Polska ma możliwość — ową strukturalnie rozumianą — dostarczania Zachodowi towarów, których on potrzebuje? Czy Polska ma dostateczne nadwyżki eksportowe żywności, węgla, budulca itd.?

Przed wojną twierdząca odpowiedź na to pytanie nie ulegała żadnej kwestii. Artykuły rolne stanowiły wielką pozycję naszego eksportu. W książce „Dorobek gospodarczy Polski 1918-1938” Roman Górecki podaje, że artykuły produkcji rolniczej stanowiły np. w okresie 1936-1937 44% całego naszego eksportu, a w okresie 1937-1938 — 39%. Dziś obraz jest zupełnie inny. I nie o to chodzi, że np. „Trybuna Ludu” z pogardą pisze o znacznym udziale produktów rolnictwa czy leśnictwa oraz surowców i paliwa w przedwojennym eksporcie polskim. Pogarda pod adresem przeszłości nie wyjaśnia faktów teraźniejszości. A faktem jest, że dziś, na ogół, Polska nie ma, a w każdym razie nie ma w ilo-

ści dostatecznej, dóbr eksportowych, które byłyby potrzebne dla zrównoważenia pożądanego przez rząd warszawski importu z Zachodu. Analiza przyczyn, dla których Polska nie ma tych nadwyżek, warunkujących poważniejsze powiększenie importu z Zachodu, przekracza ramy tego artykułu: tu chodzi tylko o fakt, że tak właśnie jest.

W latach bezpośrednio-powojennych, a nawet w roku 1948, gdy Polska miała deficyt zbożowy (skompensowany przez Rosję i kraje południowo-wschodniej Europy), można było tłumaczyć to okolicznościami okresu powojennego. Gdy jednak w pierwszym czy drugim kwartale 1954, a także w innych okresach czasu, Polska — podobnie jak Czechy i Niemcy Wschodnie — musi kupować duże ilości ziarna zbożowego zagranicą, ma to głęboką wymowę: musi nawiązywać do przyczyn strukturalno-gospodarczych. „Trybuna Ludu” pisała przed kilkoma miesiącami, że przeciętna produktywność spółdzielni rolniczych jest niższa od przeciętnej produktywności gospodarstw indywidualnych, i często skarży się, że obowiązek dostaw spółdzielni na rzecz państwa nie jest należycie wykonywany. Zresztą nawet na podstawie przemówień wysokich osobistości rządowych w Warszawie można stwierdzić, że Polska nie jest zbożowo samowystarczalna, a co najmniej, że nie wykazuje owego na ogół równego rytmu samowystarczalności, jaki cechuje kraje rolnicze czy półrolnicze w okresach choćby przeciętnych urodzajów. Skoro tak jest, to tym trudniej o rolnicze nadwyżki eksportowe, warunkujące powiększenie zakresu handlu Polska-Zachód. Jeszcze w lutym 1950 londyński *Economist*, z okazji omawiania traktatu handlowego polsko-angielskiego, stawiał pesymistyczny na dłuższą metę horoskop, że w ogóle kraje wschodniej Europy nie wrócą do swej przedwojennej roli żywiciela Zachodu, i polityka brytyjska powinna się liczyć z prawdopodobieństwem, że z roku na rok będą się stawały coraz słabszymi eksporterami produktów rolnych. Tak więc można powiedzieć, że losy handlu Polski z Zachodem rozgrywają się — w znacznej jeżeli nie głównej mierze — na terenie rolnictwa. Przedsnak tej prawdy o ważności rolnictwa dla harmonijnego rozwoju gospodarstwa polskiego miał, zdaje się, w roku 1948, Gomułka m. in. w swym sporze z Mincem o kierunek pewnych inwestycji: Gomułka chciał inwestować kapitały w fabrykach nawozów sztucznych, Minc natomiast za ważniejsze wtedy uważał inwestycje w łódzkim przemyśle włókienniczym.

Wydać nam się, że i w przyszłości nieprawdopodobna jest zmiana w powiązaniach funkcjonalnych rozwoju rolnictwa i handlu zagranicznego Polski. Według stwierdzenia Bieruta produkcja rolna wzrosła od roku 1949 tylko o 9% — dodajmy: przy wzroście w tym czasie ludności o podobny procent. Przy dalszej intensywniej rozbudowie ciężkiego przemysłu, która jest zamierzona, przy — z konieczności — stosunkowo małych inwestycjach w aparacie technicznym rolnictwa i wreszcie przy oporze chłopstwa, które dotkliwie odczuwa słabą zdolność nabywczą złotego

— trudno sobie wyobrazić czynnik, który by zdołał spowodować jakiś silniejszy wzrost ogólnej wydajności rolnictwa; zwłaszcza, że Polska nie ma ani możliwości rozszerzenia swej powierzchni uprawnej, ani — wobec biernego oporu chłopów — możliwości istotnego powiększenia wydajności z hektara. Przy gwałtownym procesie uprzemysławiania kraju, które jest podstawowym kanonem polityki gospodarczej komunizmu, działa „żelazne prawo niedostateczności rozwoju rolnictwa”. Odpowiednikiem skoku rocznej produkcji stali z 1,5 miliona ton przed wojną na dzisiejsze 4 miliony ton, odpowiednikiem wzrostu ogólnej produkcji przemysłowej ostatniego czterolecia o 115% — jest właśnie ów dwięcioprocentowy wzrost produkcji rolnictwa... przekreślony przez takżę wzrost ludności. Z punktu widzenia troski o harmonijny rozwój całości gospodarstwa nasuwa się pytanie: co będzie z rolnictwem polskim w roku np. 1960, o ile dzisiejsi planiści będą jeszcze rządzili, a planowana na ten czas produkcja stali istotnie dojdzie do 8 czy 10 milionów ton rocznie? Jest też rzeczą interesującą, jaka *wtedy* będzie „strukturalna” zdolność gospodarstwa polskiego do handlu z Zachodem.

Obraz ten byłby jednak jednostronny, gdybyśmy nie wspomnieli o czynniku, który w pewnym stopniu może być moderatorem tendencji powyżej opisanych. Tym czynnikiem jest godna uwagi elastyczność w taktyce kolektywizacji, przeprowadzanej przez Bieruta i Minca. Ich polityka gospodarcza, choć w pewnych okresach bezwzględna, liczy się jednak z wpływem kolektywizacji na ogólną wydajność rolnictwa: w każdym razie o tyle, o ile doktryna komunistyczna na to pozwala. Toteż widzimy, że na ogół tempo kolektywizacji w Polsce jest znacznie powolniejsze niż w innych krajach, należących do sowieckiego obszaru gospodarczego. Przejawem tej pewnej ostrożności w podchodzeniu do sprawy kolektywizacji jest fakt, że po jej pierwszym okresie 1949-1954 tylko 8,5% ziemi jest w kolektywach i tylko 12% w gospodarstwach państwowych. Nic, zdaje się, nie wskazuje na to, że w najbliższych latach kolektywizacja w Polsce nabierze np. „tempa bułgarskiego”. Przeciwnie — jak powiedział przedstawiciel reżymu, Zenon Nowak — proces kolektywizowania wsi polskiej będzie „aktualny przez cały przeżywany przez nas okres historyczny”. Przy tym założeniu uda się, być może, rządowi warszawskiemu uniknąć nadmiernych klęsk na terenie ogólnej wydajności rolnictwa, co — w związku z rozpatrywaną tu sprawą — oznacza, że strukturalna niezdolność obecnej Polski do handlu z Zachodem może w pewnym stopniu zostać pomniejszona.

Chciałbym podkreślić, że mówiąc o tej niezdolności mam na myśli w całym tym artykule brak zdolności do powiększenia obecnego małego handlu w jakimś stopniu *istotnym*, że nie przypuszczam, aby — przy danej, ogólnej polityce gospodarczej, w danej sytuacji rolnictwa polskiego — mógł się rozwinąć między Polską a Zachodem handel na *poważną skalę*, odpowiadającą natężeniu sloganów propagandowych. Ale pewne, niezbyt wielkie, czy do-

rywcze powiększenia handlu oczywiście i dziś mogą wchodzić w rachubę.



Należy tu jeszcze poruszyć sprawę węgla. Charakteryzując strukturę przedwojennego eksportu polskiego, prof. Zweig podaje w swej „Poland between two wars”, że łączna pozycja eksportowa węgla, budulca i produktów drzewnych wynosiła 1/3 całego polskiego eksportu, przy czym węgiel stanowił połowę tej pozycji. O ile zaś chodzi w szczególności o rok 1938, to według Romana Góreckiego „grupa węgiel, koks, oleje mineralne” była drugą z kolei pozycją w naszym eksporcie, przy czym w tej grupie węgiel i koks stanowiły 90,2% wartości a 97,1% tonażu. Węgiel był zatem bardzo poważnym artykułem eksportowym, który — szedł na Zachód.

W Polsce nie ma dużych ilości węgla, które można by eksportować do krajów zachodnio-europejskich. Polski eksport węglowy na Zachód wykazuje w pewnych okresach tendencję malejącą. Eksport ten (i koksu) do krajów zachodnich, który np. w roku 1948 wynosił 13,4 miliona ton, spadł w roku 1951 do 10,2 miliona, podczas gdy do krajów wschodnio-europejskich wzrósł w tymże czasie z 8,6 miliona ton do 11 milionów. Dziś polski węgiel eksportowany jest przeważnie do ZSSR. Do bloku sowieckiego idzie 20 milionów ton, na Zachód 7 milionów ton rocznie. Trudności eksportowe w stosunku do Zachodu polegają jednak nie tylko na braku dostatecznych nadwyżek węgla, ale także czasem na niekonkurencyjności cen polskich, który to czynnik w pewnym momencie skłonił Szwecję, starego odbiorcę węgla polskiego, a także Austrię, do zmniejszenia ich importów węglowych z Polski. Nie bez przyczyny żali się Bierut, że produkcja węglowa, choć uczyniła Polskę piątym co do wielkości producentem węgla w świecie, nie rozwija się dostatecznie nie tylko w stosunku do potrzeb Polski, ale także w stosunku do potrzeb innych „demokracji ludowych”, zależnych od polskiego paliwa.

Jak widać z tego wszystkiego, produkty rolne i węgiel — te filary przedwojennego eksportu polskiego — przestały być atutami eksportowymi Polski dzisiejszej w tym sensie, że nie stanowią odskoczni do dalszego istotnego rozwoju handlu Polski z Zachodem. Jest to jeden z najjaskrawszych wyrazów olbrzymich przemian, które w gospodarstwie polskim nastąpiły.

CZY NALEŻY POWIĘKSZAĆ HANDEL WSCHÓD-ZACHÓD?

Odpowiedź na to pytanie — z punktu widzenia interesów Zachodu, jako całości — daliśmy w poprzednich artykułach („Kultura” Nr 79 i 85.) Była to odpowiedź pozytywna, uwarunkowana całym szeregiem momentów. Dziś chodzi nam o odpowiedź

z punktu widzenia interesów polskich. Rozróżnijmy tu dwie sprawy: 1) nasz stosunek do ogólnego problemu, tj. handel Wschód-Zachód; 2) nasz stosunek do specjalnego problemu, tj. handel Polska-Zachód.

Powiedzieliśmy w poprzednich artykułach, że Zachód ze wzmożenia handlu ze Wschodem może mieć pewne, choć ograniczone, korzyści ekonomiczne i że przy odpowiedniej polityce może uniknąć związanych z tym niebezpieczeństw. Te korzyści ekonomiczne polegają m. in. na ułatwieniu utrzymania zdolności wytwórczej Zachodu na poziomie, którego inaczej może nie udało by się osiągnąć, zwłaszcza w krajach z deficytem dolarowym. Utrzymanie zdolności wytwórczej na pewnym poziomie jest dla Zachodu korzyścią nie tylko ekonomiczną, ale także polityczną. Prawda, że Wschód ze wzmożenia omawianego handlu też wywiera korzyści ekonomiczne i polityczne. Z tego dodatkowego handlu wyłania się dla każdej strony pewna szeroko rozumiana wypadkowa, którą można by nazwać „zyskiem netto”. Jeżeli wypadkowa dla Zachodu jest lepsza, a co najmniej niegorsza niż dla strony przeciwnej, to handel dla Zachodu jest wskazany. Ale co to ma wspólnego z interesami polskimi? Nasuwa się tu istotne pytanie: czy korzyść Zachodu jest naszą korzyścią?

Przy założeniu, że stosunek państw zachodnich do sprawy wolności Europy środkowo-wschodniej będzie trwał taki, jak dziś, odpowiedź musi być negatywna. Przy założeniu, że stosunek ten może w przyszłości zmienić się na naszą korzyść, odpowiedź musi być pozytywna. Jedyną praktyczną „tezą roboczą” polityka polskiego może być drugie założenie i przekonanie, że na wzmocnieniu świata zachodniego w obliczu dalszej czy bliższej, czy może bardzo nawet dalekiej rozgrywki ostatecznej — Polska może tylko zyskać. Dlatego trudno byłoby zrozumieć obojętność polityki polskiej wobec problemu, który musi nas pośrednio interesować. Dlatego uważamy za rzecz słuszną, że przedstawiciele Polski wzięli udział w pracach Komisji Wschodniej Ruchu Europejskiego i opracowali tezy w sprawie handlu Wschód-Zachód.

O ile chodzi o „zainteresowanie bezpośrednie” tj. o sprawę dążenia do wzmożenia obrotów handlowych pomiędzy Polską a Zachodem, widzimy tę sprawę w świetle uwag następujących, z których żadna, jak sądzimy, nie jest sprzeczna z tezami Ruchu Europejskiego, niektóre są wyraźnie z nimi zbieżne, a Nr 4 jest z nich wzięty.

1) Zasada embargo na eksport dóbr strategicznych do Polski winna oczywiście mieć zastosowanie w tym samym zakresie, co ma zastosowanie w ogóle.

2) Jest ważne, żeby eksport polski nie dotyczył artykułów pierwszej potrzeby w czasie gdy w kraju jest ich *nieodmiar*. Szkodliwe jest nie tylko powiększanie, ale nawet kontynuowanie na dotychczasowym poziomie eksportu tych dóbr. Węgiel jest tu głównym niebezpieczeństwem. Węgiel, jako podstawowe źródło walut dla bloku sowieckiego, był i jest w pewnych okre-

sach forsowany w eksporcie polskim na Zachód w stopniu, kolidującym z dobrem konsumenta krajowego: takim eksportem nadmiernym jest niewątpliwie wywóz 7 milionów ton rocznie na Zachód przy konsumpcji krajowej 62 miliony i wywozie 20 milionów do bloku sowieckiego(*). Polskim punktem widzenia musi być stanowcza opozycja przeciwko eksportowi żywności i węgla czy to na Wschód, czy na Zachód, jak długo nie ma tych dóbr dosyć na potrzeby ludności w kraju. Pośrednie wzmocnienie sprawy polskiej przez gospodarcze wzmocnienie Zachodu dobrami polskimi musi być w każdym czasie porównywane z ujemnymi stronami tego rodzaju eksportu polskiego na Zachód. Ocena wypadkowej jest rzeczą polityków, nie ekonomistów.

3) Eksport do Polski artykułów konsumpcyjnych w tym lekarstw oraz dóbr kapitałowych, wyraźnie przeznaczonych do rozwoju przemysłu lekkiego, jest jak najbardziej pożądany — nawet przy założeniu, że część tych dóbr może zostać reeksportowana przez Polskę do innych części bloku sowieckiego.

4) Należy unikać przyczyniania się do stwarzania w bilansie handlowym Polski nadwyżek ze względu na możliwość zużycia ich w sposób niepożądany.

5) Nie należy ludzić się, że powiększenie handlu Zachodu z Polską wzmocni idee demokratyczne w Polsce. Teza dyrektora US Foreign Administration Operations, Stassena, że handel z blokiem sowieckim służy idei demokracji, jest kompletnie błędna.

6) Również nie należy ludzić się, że gospodarcze — poprzez handel — wzmocnienie krajów sfery sowieckiej, uczyni ich rządy bardziej niezależnymi od polityki ZSSR i przyczyni się w ten sposób do poprawy doli ludności. Stopień zależności tych krajów od ZSSR jest determinowany momentami czysto politycznymi i nie ma nic wspólnego z handlem.

7) Nie jest wyłączone, że rozszerzenie handlu Zachód-Polska może ewentualnie mieć pewien wpływ zwalniający tempo kolektywizacji w Polsce albo łagodzący sposób jej przeprowadzania. Dotyczyć to może zwłaszcza wypadków, gdy przedmiotem kontraktów handlowych są produkty hodowli żywca. Te pozycje handlowe przede wszystkim bowiem padają ofiarą zatargów chłopów z władzami komunistycznymi, a więc władze są zainteresowane w zmniejszaniu płaszczyzny tarć w tym względzie.

W sumie stwierdzić należy, że z punktu widzenia interesów polskich nie ma powodu do zwalczania dzisiejszej tendencji do powiększania handlu Zachodu ze Wschodem w ogólności, a z Polską w szczególności, jeżeli rozwój tego handlu oparty zostanie na podstawie zasad-aksjomatów powyżej sformułowanych w punktach 1-4. Wielka trudność sprawy polega jednak nie na ustaleniu zasad, ale na tym, czy znaleziony zostanie sposób przyczynienia się do ich realizacji.

Stanisław ZARZEWSKI

(*) Cyfry wzięte z obliczenia A. Zaubermana.

Narody Związku Sowieckiego

Dla przeciętnego Polaka — jeszcze bardziej w Kraju niż na Zachodzie — Związek Sowiecki jest nienawistnym monolitem nie tylko politycznym ale i narodowym. Czas już sobie uświadomić, a z tego uświadomienia wyciągnąć praktyczne wnioski polityczne, że Sowiety są mozaiką uciśnionych, tak jak i my, narodów, które dotąd nie zrezygnowały z walki o wolność. W tej walce mogą być one dla nas najcenniejszym sojusznikiem.

Dla zorientowania więc naszych czytelników rozpoczynamy druk studium, dotyczącego kompleksów narodowościowych Rosji, opracowany przez p. Wł. Bączkowskiego, jednego z najwybitniejszych znawców tych zagadnień. Po Kaukazie będzie omówiona Ukraina, Białoruś, Turkiestan (5 republik związkowych), Obszar Wołgo-Uralski (5 republik autonomicznych) itd.

Uwagi o Kaukazie

Od najdawniejszych czasów Kaukaz był siedliskiem wielu ludów i miejscem styku kilku zwalczających się cywilizacji. W tym kłębowisku różnych składników występował jednak wspólny, łączący je, mianownik: przynależności do świata klasycznego Orientu oraz, pośrednio, do cywilizacji Morza Śródziemnego.

Mitologia grecka w opowieściach o Złotym Runie i Argonautach, o Medeji, Jazonie i Prometeuszu — odzwierciedla związki świata helleńskiego z gruzińską Kolchidą jeszcze w czasach przedhistorycznych. Mezopotamski epos o potopie każe arce Ziu-giddu-Noego lądować na zboczach Araratu. Państwo Urartu powstało w 10-ym wieku przed Chrystusem, graniczyło i toczyło zacięte boje z Assyrią, a z różnych jego elementów plemiennych wywodzą się dzisiejsi Ormianie i Gruzini.

(*) Dane liczbowe o republikach i narodach Kaukazu zostały podane w tabelkach na końcu artykułu.

Na wschód od Urartu, w klasycznej Antropatene a dzisiaj Azerbajdżanie urodził się około 1000 r. przed Chrystusem Zaratustra. Naukę o czterech żywiołach łączył on z kultem ognia, zrodzonym zapewne na wybrzeżach kaukaskich, gdzie gorące nieprzerwanie źródła ropy czy gazów sprawiały wstrząsające wrażenie nawet na współczesnych. Sir Percy Sykes, zwiedzając na początku bieżącego wieku okolice Baku, pisze w swej „History of Persia”: „I arrived at the place at sunset to find it covered with snow, and yet flames were springing out of the ground, the whole scene being impressive and weird beyond description.” Należy dodać, że jeszcze w końcu ubiegłego stulecia świątynia czcicieli ognia w miasteczku Surachany koło Baku, nawet z dalekich Indii przyciągała wyznawców tej starożytnej religii.

Od czasów Sassanidów utrwalają się na Kaukazie wpływy perskie. Imperium Sassanidów sięgało chwilami wybrzeży Morza Czarnego jak i wschodnich krańców Kaukazu. W Dagestanie, w okolicach Derbentu, zachowały się resztki potężnych murów sassanidzkich, zamykających najdogodniejsze przejścia wzdłuż wybrzeży kaspijskich. Aż do ostatnich czasów wpływy perskie występują w sztuce, literaturze, językach i składzie rasowym większości plemion Kaukazu.

Chrześcijaństwo dotarło na Kaukaz bardzo wcześniej, bo już w pierwszym i drugim stuleciu. W 301 roku w Armenii, a w 324 roku w Gruzji — stało się religią państwową. Od soboru w Chalcedonie w 451 roku kościół ormiański przyjąwszy zasadę monofizytyzmu odciął się od Konstantynopola i Zachodu, stając się kościołem narodowym. Gruzja, nie tracąc więzi z greckim chrześcijaństwem, od 493 roku wywalczyła autokefalię z własną narodową hierarchią kościelną.

Najazd Arabów, którzy w 640 roku po raz pierwszy wdarli się na wyżynę armeńską, zapoczątkował nowy okres w dziejach Kaukazu, a mianowicie jego islamizację. Język arabski opanował poezję i naukę a na północnych stokach Kaukazu stał się „lingua franca” elity. Ostatni wybitny pisarz, myśliciel i historyk dagestański, piszący w klasycznej arabszczyźnie, Hassan-al-Alkadari, umarł w Dagestanie w 1910 roku. Biblioteki w Tyflisie, Baku i w mniejszych nawet miastach na północnym Kaukazie zawierają sporo materiałów w języku arabskim, zaś spotykane tam nazwiska pisarzy, geografów i historyków, piszących po arabsku, nieznane są Brockelmanowi i innym badaczom zachodnim.

Z językiem arabskim współzawodniczył na Kaukazie język perski. W Azerbajdżanie wyparł on w znacznym stopniu wpływy arabszczyzny, stając się językiem poezji i warstwy oświeconej tego kraju. Z czasem, po upadku Bizancjum, przenikać począł na cały Kaukaz język turecki. Cała zaś persko-arabsko-turecka wielojęzyczność Zakaukazia, od chwili jego podboju przez Rosję w 18-19 wiekach, zaczęła się kurczyć na rzecz nowej „lingua franca” — języka rosyjskiego. Język rosyjski nie zdołał jednak wyprzeć poprzednich naleciałości lingwistycznych i za-

jąc ich miejsca, gdyż od początku 19-go wieku fala nowoczesnego nacjonalizmu wydzwignęła miejscowe języki — turecko-azerbajdżański, gruziński i ormiański — na szczyty najwyższych wartości kulturalnych.

Niezależnie od wymienionych — oddziaływały na cały Kaukaz wpływy nomadycznych szczepów mongolskich i tureckich. Od 5-go do 15-go wieku przewalały przez Kaukaz hordy ze środkowej i północnej Azji, a ostatnie wędrowki związane są z imieniem Czingiza i Tamerlana. Część plemion tureckich, zepełniona ze swych siedzib stepowych, osiedliła się w Azerbajdżanie i na niektórych obszarach północnego Kaukazu, zmieniając etnograficzny charakter zajętych terenów.

Dotychczas mówiliśmy prawie wyłącznie o Zakaukaziu, czyli o obszarach położonych na południe od głównego pasma gór Kaukazu. Przyjrzyjmy się obecnie części leżącej na północ. Jak poprzednio wspomniano, na Północnym Kaukazie, a zwłaszcza w przykaspjskim Dagestanie, oddziaływały silnie wpływy Persji. Islam zaczął się tu szerzyć już w 8-ym wieku, doprowadzając do żywego rozwoju życia umysłowego i ruchów społecznych w 16-ym wieku. Sztuka ludów Dagestanu wyrosła w cieniu perskiej i arabskiej i do ostatnich czasów utrzymywała się na wysokim poziomie.

Drugim ośrodkiem kulturalnym Północnego Kaukazu jest kraj Osetynów, wywodzących się z pnia indo-irańskiego. Osetyński epos bohaterski i wyjątkowo wysoki poziom sztuki ludowej świadczą o pradawnych związkach tego obszaru z wielkimi ośrodkami cywilizacji wschodnich.

Zachodni kraniec Północnego Kaukazu, zamieszkały przez drobne plemiona czerkieskie, jest bogaty w różne pokłady cywilizacyjne od prehistorycznych dolmenów począwszy. Na wybrzeżach czarnomorskich kwitły ongiś kolonie greckie. Chrześcijaństwo dotarło tu w 6-ym wieku, lecz wyparł je z czasem Islam, który umocnił się na tym terenie dopiero w 18-ym wieku, przenikając w tym czasie już do najbardziej zapadłych zakątków górskich. W tymże 18-ym wieku zrodził się na tym terenie dynamiczny muzułmański ruch *miuridyżmu*, który głosił konieczność oczyszczenia Islamu z naleciałości pogańskich, demokratyzację stosunków społecznych oraz — akcydentalnie — walkę z niewiernymi, w tym okresie z Rosjanami, podbijającymi Kaukaz.

W pierwszej połowie 19-go wieku ruch miuridyżmu opanował prawie cały Północny Kaukaz i doprowadził do zjednoczenia wszystkich jego plemion pod wodzą Imama Szamila (1798-1871).

Od najdawniejszych czasów Północny Kaukaz pozostawał w zasięgu kulturalnym Zakaukazia. Pasma Wielkiego Kaukazu nie stanowiło nieprzebytej zapory między obu krajami i łączyły je szlaki nadbrzeżne i żegluga wzdłuż wybrzeży, jak i kilka przecięczy górskich. Wiele szczepów osiedlało się na obu stokach głównego pasma.

Przytoczone dwa momenty: powszechnej islamizacji Północnego Kaukazu, oraz prastare związki z Zakaukaziem, zwłaszcza w prowincjach nadmorskich, posiadają zasadnicze znaczenie dla oceny kultury ludów Północnego Kaukazu. Mimo rozbicia na różnojęzyczne plemiona, niekiedy liczące zaledwie kilka tysięcy dusz, nie można porównać ich z prymitywnymi szczepami Euroazyskiej północy, gdyż od najdawniejszych czasów pozostawały w bezpośrednim zasięgu wysokich cywilizacji Wschodu, a z chwilą utrwalenia i pogłębienia wiary muzułmańskiej — stały się częścią składową społeczeństwa Islamu.



Najbardziej zmiennym zjawiskiem w życiu duchowym Kaukazu jest nieustanny, potęgujący się zwolna, proces homogenizacji cywilizacyjnej. Od mnogości kultur kraj ewoluuje ku jedności duchowej. Etapami tego rozwoju był kompletny ongiś rozkład mezopotamskich, hetyckich, staroperskich i innych składników i niepodzielne wybiecie się w pierwszych dziesięciu wiekach naszej ery, dwóch tylko form cywilizacyjnych: islamskiej i wschodnio-chrześcijańskiej. Wewnętrzne linie podziałów, wyrosłe z czasem w łonie tych dwóch cywilizacji, również nie były długotrwałe. Fanatyczne zatargi między sunnitami i szyitami w 19-ym wieku zaczęły stopniowo zanikać pod wpływem panturkizmu, panislamizmu oraz nacjonalizmu i oddziaływania zachodniego. Kościoły ormiański i gruziński przybrały charakter instytucji narodowych a dzielące je dogmatyczne różnice ustąpiły pierwszeństwa momentom rywalizacji politycznej obu narodów.

W tym samym czasie zanika również wzajemne zwalczanie się Chrześcijaństwa i Islamu pod wpływem załamania wschodniego Chrześcijaństwa, jak i skamienienia Islamu, ustępując miejsca potęgującym się z każdym pokoleniem wpływom sekularnej kultury zachodniej. Kształtująca się w tej atmosferze inteligencja kaukaska zaczyna odwracać się od związków kulturalnych z uciskającymi społeczeństwami perskim, osmańskim i z czasem rosyjskim, poddając się całkowicie urokowi republikańskiej Francji, parlamentarnej Anglii, wysoko uprzemysłowionych Niemiec. Głęboka podskórna europeizacja Kaukazu, zapoczątkowana w 19-ym stuleciu, ujawniła się w całej pełni w latach 1917-1921. Zrzucając krępujące więzy imperium rosyjskiego trzy główne narody Zakaukazia: Azerbajdżanie, Gruzini i Ormianie wprowadziły jednakowe ustroje republikańskie, według przyjętych na Zachodzie wzorów, a więc z powszechnym głosowaniem, równouprawnieniem kobiet, laicyzacją oświaty, powołaniem do życia uniwersytetów w Baku i Tyflisie, itd. I tak Kaukaz przy pierwszej okazji swobodnego wypowiedzenia się zdeklarował wolę przebudowy życia według zasad ustrojowych i kulturalnych, jakie cechują społeczeństwa Zachodu.

NARODY KAUKAZU

Homogenizacja i europeizacja Kaukazu odsłania (znamiennie również i w zachodniej Europie) zjawisko sprzeczności między wprowadzeniem uniwersalnych zasad zachodnich i równoległym rozwojem poczucia odrębności u poszczególnych narodów historycznych. Już od początków 19-go wieku przebiega na Kaukazie proces odrodzenia narodowego Azerbajdżanów, Gruzinów i Ormian rozwijającego się w dwóch kierunkach:

(a) Rozszerzenia i pogłębienia samej idei narodowej. Prastara tradycja plemienna, utrzymana przy życiu odrębnością języka i religii, przeistacza się w pojęcia historyczno-polityczne i gospodarcze. Nie tylko wolność wiary i zwyczajów, lecz i zasada niepodległości politycznej i wolnego rozwoju gospodarczego stały się wytycznymi nowoczesnego separatyzmu narodowego nawet w szerokich masach.

Ta nowa wiara narodowa propagowana była przez kaukaskie partie polityczne, powstałe na Kaukazie w drugiej połowie 19-go wieku. Należy zaznaczyć, że z biegiem czasu partie te przekształciły się nieomal w monopartie, ograniczone do ram etnicznych poszczególnych narodów. Były to, istniejące *zresztą dotychczas na emigracji*, azerbajdżańska partia *Musawat* (Równość), ormiańska *Dasnak-Ciutun* i gruzińska socjal-demokracja. Ich socjalistyczny internacjonalizm był (i pozostał) powierzchowny, zaś ich charakter narodowy, a nawet nacjonalistyczny, jest ich niezaprzeczalną cechą. Wynika to stąd, że socjalizm kaukaski, w przeciwieństwie do zachodnio-europejskiego, zrodził się z dążeń niepodległościowych a nie z przyczyn socjalnych. Pierwszymi promotorami socjalizmu była głównie patriotyczna elita i miejska inteligencja i półinteligencja, a nie słaba jeszcze i nieliczna warstwa robotnicza.

Nawet związane z rosyjskim podziemiem skrajne odłamy rewolucyjne na Kaukazie zdradzały głęboko ukryty kompleks narodowo-wyzwoleńczy. Ich dynamiczna rola w rewolucji rosyjskiej była wynikiem nie tylko poczucia konieczności socjalnej przebudowy imperium rosyjskiego, lecz wpływała również z głębszego jeszcze, organicznego poczucia konieczności zniszczenia reżymu, który podbił ich ojczyste strony. W tym świetle zasady tak zwanej leninowskiej polityki narodowościowej, według których Rosja przebudowana została w rodzaj federacji republik, nasuwają przypuszczenie, iż narzucone zostały dość wcześnie przez nierosyjskie odłamy podziemia rewolucyjnego w Rosji, a nie zostały podyktowane Moskwie przez ruchy odśrodkowe na kresach w latach 1917-1920.

Rola Kaukazczyków w tej przebudowie była decydująca. Faktem jest, iż przede wszystkim Stalin-Dżugaszwili, komisarz spraw narodowościowych w pierwszym rządzie leninowskim (1917-1923) stał się inicjatorem całego sowieckiego prawodaw-

stwa narodowościowego i głównym fundatorem sowieckich republik związkowych, autonomicznych oraz obszarów narodowych.

b) Drugim przejawem odrodzenia narodów jest integracja ich etnicznych obszarów, wyrażająca się w zanikaniu dawnych feudalnych i prowincjonalnych różnic. Proces ten ma duże znaczenie, jeśli się weźmie pod uwagę ogromne zróżniczkowanie dialektyczne, zwyczajowe i tradycyjne poszczególnych księstw i chanatów dawnej Gruzji, Azerbajdżanu i Armenii. Zjawisko to przebiegało stopniowo od chwili podboju Kaukazu przez Rosję w 18-ym i 19-ym wieku i zakończyło się po podboju komunistycznym. W tym ostatnim okresie potrzeby sowietyzacji i uprzedmiotowienia, jak również zasady tzw. leninowskiej polityki narodowościowej, podyktowały władzom sowieckim administracyjne scalenie obszarów Azerbajdżanu, Gruzji i Armenii w zwarte jednostki narodowo-administracyjne z centrami stołecznymi w Tyflisie (dla Gruzji), w Erywaniu (dla Armenii) i w Baku (dla Azerbajdżanu). W stolicach tych zaczęto masowo wydawać gazety, pisma i książki w jednolitym głównym dialekcie danego narodu, narzucając go w ten sposób obszarom etnicznym o odrębnym dialekcie. Języki narodowe w jednolitej, określonej formie dialektycznej wprowadzono do miejscowych szkół, uniwersytetów, teatrów, itd.

Ostatnim przejawem integracji jest zanikanie drobnych mniejszości ongiś gęsto rozsianych na etnicznych obszarach trzech głównych narodów Kaukazu. Proces ten toczy się od stuleci, lecz w ostatnich kilkudziesięciu latach przebiega w przyspieszonym tempie.

KONSOLIDACJA POLITYCZNO-NIEPODLEGŁOŚCIOWA

Ujednolicanie cywilizacyjne Kaukazu oraz scalanie etniczne jego ludów posiada odpowiednik w konsolidacji polityczno-niepodległościowej. Zjawisko to śledzić można w dwóch płaszczyznach: (a) w długiej i mozolnej ewolucji kaukaskiej myśli niepodległościowej, która doprowadziła do przyjęcia przez prawie wszystkie odłamy polityczne zasady niepodległości, oraz (b) w powszechnym uznaniu zasady konfederacji kaukaskiej, jako metody realizacji ideału niepodległości. Przyjrzyjmy się kolejno obu tym procesom.

Muzułmańska część Kaukazu (Azerbajdżan i Północny Kaukaz) nigdy nie pogodziła się z dominacją Rosji. Inaczej układały się stosunki w chrześcijańskiej części Kaukazu. Ormianie i Gruzini, mając żywo w pamięci rządy muzułmańskie, odnosili się i odnoszą najbardziej niechętnie do dominacji perskiej czy tureckiej. Ponadto liczyli się z faktem, iż zajęcie Kaukazu przez wielkie chrześcijańskie mocarstwo może przynieść korzyści dla ich krajów.

Rzeczywistość sprawiła zawód przewidywaniom obu narodów i z czasem tak Ormianie jak i Gruzini przyjęli zasadę nie-

podległości politycznej, stając w jednym szeregu z muzułmanami, a nawet przelicytowując ich w aktywizmie.

W świetle tych uwag jasne jest, iż silny opór naporowi Rosji pierwsze stawiały muzułmańskie plemiona Północnego Kaukazu, najbardziej wysunięte na północ i najsilniej zagrożone w swym bycie. Górski charakter kraju, ułatwiający obronę, i utalentowani przywódcy przysporzyli szereg sukcesów taktycznych góralom Północnego Kaukazu, zmuszając Rosję do dużego wysiłku na tym, pozornie trzeciorzędnym, obszarze operacyjnym. W pewnych okresach walk w połowie ubiegłego wieku straty rosyjskie wynosiły około 12.000 rocznie. Po 1840 roku Rosjanie zastosowali obciążenia całych obszarów górskich, skupiając na Kaukazie przewagę swych sił zbrojnych. W czasie kampanii krymskiej (1854-1856) armia rosyjska na Północnym Kaukazie liczyła 200.000 ludzi i 200 dział, zaś na samym Krymie tylko 150.000, podczas gdy połączone siły koalicji zachodniej dochodziły do 180.000. Wojna z Północnym Kaukazem pochłonięła główne rezerwy rosyjskiego dowództwa i w dużej mierze wpłynęła na niepowodzenia rosyjskie w wojnie wschodniej 1853-1854.

Walki plemion kaukaskich z Rosją w latach 1839-1859 skończyły się przegraną i w 1864 roku Rosja zajęła cały kraj, lecz opór górali nie został złamany i sporadyczne powstania oraz akty terroru trwały aż do wybuchu rewolucji w 1917 roku.

Pod koniec 19-go wieku wrogie ustosunkowanie do dominacji rosyjskiej zarysowuje się wśród prorosyjsko dotychczas nastrojonych Gruzinów. Zmiana ta wypłynęła ze świadomości, iż rosyjsko-gruzińska umowa z 1783 roku, na mocy której Rosja wzięła Gruzję pod swój protektorat gwarantując jej wewnętrzną samodzielność, została w 1801 r. arbitralnie złamana, zaś królestwo gruzińskie sprowadzone do roli zwykłych administracyjnych jednostek. Rządy rosyjskie między innymi skasowały starożytny patriarchat gruziński, mianując kierownikami Kościoła gruzińskiego rosyjskich egzarchów, wykonawców zarządzeń Synodu. Kilku biskupów gruzińskich, stawiających opór, wywieziono do Rosji. Stosowanie tego rodzaju polityki doprowadziło do konfliktu psychologicznego i politycznego i dawne sympatie do jedynowierczego mocarstwa straciły w Gruzji grunt pod nogami.

Nieco później i Ormianie przeszli podobną drogę doświadczeń. W 1897 roku, w okresie, gdy aktywiści ormiańscy prowadzili akcję na rzecz współdziałania z Rosją w wyzwoleniu prowincji ormiańskich Turcji, rząd rosyjski zarządził zamknięcie narodowych szkół ormiańskich, oraz — w 1903 roku — konfiskatę dóbr Kościoła ormiańskiego. Zarządzenia te stały się gromem z jasnego nieba i w większości społeczeństwa ormiańskiego obudziły nastroje antyrosyjskie, zaś partia Dasznak-Ciutun zareagowała aktami terrorystycznymi przeciwko przedstawicielom administracji rosyjskiej. Nieco późniejszy zwrot majątków kościelnych nie wpłynął wiele na poprawę nastrojów i jedynie obawa przed jeszcze większym (według oceny ormiańskiej) niebez-

pieczeństwem ze strony Turcji nie pozwoliła źle ukrywanej niechęci wylać się w otwarte i bezwzględne stanowisko wobec Rosji.

Rewolucje w Rosji w 1905 roku, w Persji w 1906 roku oraz w Turcji w 1908 roku, jeszcze bardziej podnieciły nastroje na Kaukazie i spotęgowały dążenia wolnościowe, przygotowując kraj do wydarzeń 1917 roku. Niemniej jednak horoskopy polityczne układały się niepomyślnie dla Kaukazu w związku z wieloletnimi przygotowaniami Rosji do ewentualnej wojny z Turcją. Rosjanie liczyli na współdziałanie Ormian i po części Gruzinów z armią rosyjską przy „wyzwalaniu” prowincji ormiańskich Turcji i, pociągając znaczne odłamy chrześcijan kaukaskich, hamowali dojrzewanie niezależnej myśli politycznej Zakaukazia. Względy te, jak również obawy Ormian i Gruzinów przed muzułmańską większością Kaukazu oraz popierającą panislamizm i pantiurkizm Turcją, spowodowały, iż oba narody nie przestawały liczyć na współdziałanie z demokracją rosyjską, wierząc nadal w przetworzenie Imperium w federację wolnych ludów. Lecz przewrót bolszewicki i rosnąca anarchia jak i konieczność odebrania Turkom wygodnego argumentu traktowania Kaukazu jako części terytorium wrogiego państwa — zmusiły wszystkie trzy narody Zakaukazia do ogłoszenia niepodległości. Pierwszy krok uczyniono w lutym 1918 roku. Powołana w tym czasie do życia Federacyjna Republika Zakaukazia (Azerbajdżan, Armenia i Gruzja) była tworem przejściowym, prowadzącym do indywidualnego ogłoszenia niepodległości przez te narody. Północny Kaukaz w myśl tradycji walk z Rosją w 19-ym wieku — 11 maja 1918 roku proklamował suwerenność zjednoczonych plemion; 26 maja 1918 roku ogłosiła niepodległość Gruzja, zaś 28 maja 1918 roku — Azerbajdżan i Armenia.

Niepodległość tych republik trwała krótko. Już 9 stycznia 1919 roku Denikin podbił Północny Kaukaz po to, by po kilku miesiącach ulec przeważającym siłom czerwonych. Oddziały bolszewickie okupowały Północny Kaukaz, zaś w kwietniu 1920 roku dotarły do Baku, zajmując wkrótce cały kraj. W maju 1920 roku Sowiety próbowały po raz pierwszy zaatakować Gruzję, lecz próby komunistycznego przewrotu zawiodły, ataki zbrojne odparto i 16 czerwca 1920 roku Sowiety podpisały umowę pokojową z Tyflisem. Mimo uznania niepodległości Gruzji w siedem miesięcy później lepiej przygotowane czerwone oddziały, rozpoczęły systematyczny podbój republiki i w okresie od 11 lutego do 18 marca 1921 roku okupowały cały kraj. W międzyczasie zjednoczonym wysiłkiem oddziałów tureckich i czerwono-rosyjskich złamany został opór niewielkiej armii ormiańskiej.

Po okupacji Kaukazu Sowiety zastosowały z początku metodę cukierka: powołały do życia republiki kaukaskie nadając im wszelkie pozory suwerennych członków sowieckiego związku ludów. Czerwony Kreml w pełni popierał apolityczne przejawy kulturalnego życia narodowego, lecz w dziedzinie gospodarczej i politycznej stosował bezwzględną, potęgującą się z latami, ak-

cję scalenia Kaukazu z całością sowieckiego mocarstwa. Również i koncesje kulturalne, datujące się z pierwszego okresu, z czasem sprowadzały się coraz bardziej do czczych form, do tolerowania przede wszystkim folkloru i miejscowych języków, wszystkie zaś głębsze narodowo-kulturalne przejawy życia spychane były na plan trzeci lub zwalczane. Opór ludności, której ambicje polityczne rozbuździły wypadki 1917-1921 roku, nie ustawał; wybuchały powstania, likwidowane przez rządy komunistyczne terrorem i represjami.

Oparciem władz sowieckich na Kaukazie stają się oddziały wojskowe, stacjonowane w punktach strategicznych oraz policja polityczna. Stosunkowo nieliczne kadry miejscowych komunistów składały się z oportunistów, większość zaś ideowych zdradzała niezwalczalne „odchylenia nacjonalistyczne” i tylko nieliczni fanatycy nowej wiary ulegli całkowicie dyrektywom Kremla. W ten sposób pod reżymem komunistycznym cała ludność Kaukazu zjednoczyła się w swej postawie wobec władzy i w swych ukrytych dążeniach do wyzwolenia.

Równoległe z konsolidacją nastrojów na Kaukazie — utrzymywało się zbliżenie między poszczególnymi grupami emigracyjnymi Kaukazczyków, w wolnym świecie. By zrozumieć wymowę tego faktu należy uzmysłowić sobie skłócenie i zadawnione nienawiści plemienne, które raz po raz wyładowywały się we wzajemnych walkach. Na większą skalę rozruchy rasowe i rzezie ormiańsko-azerbajdżańskie wybuchły po rewolucji 1905 roku, oraz powtórzyły się w 1918 roku na terenie Baku. Konflikty te czasami przybierały charakter otwartych wojen. I tak już po ogłoszeniu niepodległości w 1918 roku, oddziały ormiańskie zaatakowały Gruzję, pragnąc przyłączyć do swej republiki niektóre obszary przygraniczne, posiadające znaczny odsetek ludności ormiańskiej (październik-grudzień 1918). Dopiero interwencja angielsko-francuska załagodziła ten konflikt.

Czołowi działacze kaukaski zwalczali ostro przejawy nienawiści rasowo-plemiennej; musawatysty, dasznacy i gruzińscy socjal-demokraci głosili hasło bratniego współżycia ludów jednej wspólnej ojczyzny i tłumaczyli rozruchy działaniem wrogiej inspiracji. Te tendencje znalazły wyraz w konstytucjach, które gwarantowały prawa polityczne mniejszościom. Tak np. w Azerbajdżanie, parlament obrany w wyborach powszechnych i zwołany w Baku w grudniu 1918 roku — obok przedstawicieli większości rządzącej — musawatystów, posiadał 21 posłów Ormian, 10 Rosjan, a nawet przedstawiciela kolonii polskiej oraz europejskich Żydów. Udział w tych wyborach — po raz pierwszy w dziejach świata Islamu — wzięły również kobiety.

Wróćmy jednak do zagadnienia pracy zjednoczeniowej wśród grup emigracyjnych w wolnym świecie. W czerwcu 1921 i w październiku 1924 roku politycy kaukaski na emigracji oraz kierownicy delegacji zagranicznych Armenii, Azerbajdżanu i gruziński minister pełnomocny w Paryżu (rząd niepodległej Gruzji uznany został przez Francję) podpisali dwie deklaracje, przyjmując

zasadę geograficznej i politycznej jedności czterech republik (Gruzji, Armenii, Azerbajdżanu i Północnego Kaukazu) i zobowiązując się drogą arbitrażu rozstrzygać spory. W deklaracji z 1924 roku dodano, iż prowadząc walkę o wyzwolenie — Kaukaz dąży do zgodnego współżycia z narodem rosyjskim, którego interesy gospodarcze na Kaukazie będą odpowiednio zabezpieczone. Równocześnie stworzona Rada Czerwch Republik miała powierzona sobie obronę wspólnych interesów i prowadzenie propagandy niepodległości Kaukazu.

W lipcu 1934 roku podpisany został w Brukseli Pakt Konfederacji Kaukaskiej, będący dalszym krokiem w kierunku zjednoczenia polityczno-niepodległościowego.

W strukturze tej umowy powstała jednak rysa w postaci odmowy Ormian przystąpienia do Paktu. Historia ustosunkowania się polityków ormiańskich do zjednoczenia Kaukazu łączy się z dużym rozprzestrzenieniem ludności ormiańskiej na Kaukazie i w Turcji i trudnościami uzgodnienia granic republiki ormiańskiej z innymi narodami. Jeszcze w 1925 roku Ormianie wycofali się z udziału w Radzie Czerwch republik na tle sporu w określeniu przyszłej granicy konfederacji kaukaskiej z Turcją. Ormianie domagali się włączenia w granice przyszłej Konfederacji części Armenii, odstąpionej Turcji przez Sowiety w umowie karskiej z października 1921. Ze stanowiskiem Ormian nie mogli pogodzić się Azerbajdżanie, Gruzini i Górale Północnego Kaukazu, obawiając się konfliktu z Turcją.

Wycofanie się Ormian podyktowane było w pewnej mierze względami taktycznymi: partia Dasznaków mogła utrzymać pod swymi wpływami uchodźców z Turcji jedynie przez stosowanie ostrego kursu wobec Turcji.

Z czasem postawa Ormian uległa rewizji. W związku z narastaniem koniunktury wojennej, Ormianie postanowili we wrześniu 1939 roku przystąpić do Paktu Konfederacji. Przy tej okazji ustalono granice państwowe przyszłej Konfederacji Kaukaskiej, przyjmując na południu istniejące granice sowiecko-turecką i sowiecko-perską i na północy — wzdłuż biegu rzek Kubań i Kuma. Ogólna powierzchnia tego obszaru wynosi około 355.000 km. kwadr. Po innych mniej istotnych poprawkach podpisano w Paryżu 28 maja 1940 ostateczny tekst Paktu.

Pakt ten przewiduje prowadzenie wspólnej i jednolitej polityki zagranicznej oraz zniesienie wszelkich wewnętrznych barier celnych i komunikacyjnych. Obrona powierzona jest armii konfederacyjnej, złożonej z oddziałów narodowych, pod wspólnym dowództwem. Mniejszości narodowe na obszarach państw konfederacji mają pełne prawa wolnego rozwoju kulturalnego.

W dniu podpisania Paktu Rada Konfederacji wydała deklarację, w której streszczono zasadnicze cele polityki zagranicznej a więc: walkę o wyzwolenie Kaukazu spod dominacji Sowieców, oraz utrzymanie przyjaznych stosunków z Turcją i Persją.

Sformułowanie i podpisanie Paktu w 1940 roku podyktowane zostało przewidywaniem zasadniczych zmian na terytorium

Sowietów w wyniku drugiej wojny światowej. Hitlerowskie Niemcy zawiodły jednak politycznie, gdyż potraktowały zagadnienie narodów Rosji (nie wyłączając rosyjskiego) wbrew wszelkim zasadom rozumu politycznego, w ślepy egoizm dążąc do zamiany podbitych obszarów we własne kolonie.

Niemniej jednak sygnatariusze Paktu w 1940 roku mieli pierwotnie na myśli wybuch wojny między blokiem niemiecko-sowieckim a mocarstwami demokratycznymi. Żywiąc w zasadzie niechęć do bloku faszystowskiego, liczyli oni przede wszystkim na pomoc demokratycznego Zachodu. Tym bardziej zrozumieli staje się rozczarowanie i zawód, jakie politykom kaukaskim sprawiły demokracje zachodnie, które po skończonej wojnie poszły na liczne ustępstwa wobec Kremla.

Pewna liczba nowych emigrantów z Kaukazu zasilila szeregi dawnych, z okresu po pierwszej wojnie światowej i okupacji Kaukazu w 1920-1921. Nowi emigranci z jednej strony zdynamizowali myśl polityczną, z drugiej zaś wnieśli wiele anarchii w stosunki, gdyż na ich mentalności zaciążyły ślady wpływów sowieckich oraz współpracy z czynnikami hitlerowskimi. Cechy te jednak powoli zanikają i następuje zbliżenie między emigracją starą i nową.

Obecny ciężar pracy politycznej emigracji kaukaskiej streszcza się do znalezienia wspólnej platformy z innymi emigracjami z Rosji. Porozumienie to nie następcza trudności na odcinku nierosyjskich emigracji. Współpraca z rosyjską emigracją antykomunistyczną idzie opornie ze względów zasadniczych. Emigracja kaukaska, niezależnie od kierunków i radykalizmu niepodległościowego, stoi w zasadzie na stanowisku suwerenności swych krajów, zaś wszystkie główne ugrupowania rosyjskie — dążą do utrzymania imperium w tej czy innej postaci ustrojowej. Pewne grupy emigracji kaukaskiej i rosyjskiej znalazły przejściowo wspólną platformę w postaci „niepredreszenstwa”, to jest niewypowiadania się na temat przyszłego ustroju Rosji i charakteru stosunków między Rosją a Kaukazem aż do chwili pokonania wspólnego nieprzyjaciela — komunistycznego reżymu. Organizowane na tej zasadzie rosyjsko-kaukaskie organizacje porozumiewawcze były mało atrakcyjne zarówno dla Rosjan jak i Kaukazyjczyków, oraz nie mogły znaleźć trwałych form programowych.

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

REPUBLIKI KAUKASKIE

Republiki (SSR), Autonom. Rep. (ASSR) Okręgi Autonom. (OA)	Ludność w tys. wg spisu z 1939 r.	Powierzchnia w kłm. kw. w tysiącach	Stolice i główne miasta
(Zakaukazie)			
Azerbajdżańska SSR.	3.209,7	85,7	Baku
Nachiczewaska ASSR. Górno-Karabachski OA			Nachiczewan Stepanakert
Gruzińska SSR.	3.542,3	69,5	Tyflis (Tbilisi)
Abchazska ASSR. Adżarska ASSR. Południowo-Osetyński OA.			Suchumi Batumi Staliniri
Ormiańska SSR.	1.281,6	29,8	Erewan
(Północny Kaukaz po II. wojnie światowej)			
Dagestańska ASSR.	930,5	34,7	Machaczkała
Północno-Osetyńska ASSR.	328,9	6,2	Dzaużikau
Kabardyńska ASSR.	?	?	Nalczyk
Czerkieski OA.	92,5	3,3	Czerkiesk
Adygejski OA.	241,8	3,9	Majkop

NARODY KAUKASKIE

1. W Sowietach znajdowało się według spisu ludności z 1939 roku:

(Główne narody):	Azerbajdżańczycy	2.274.805
	Gruzini	2.248.566
	Ormianie	2.151.884
(Szczepy):	Dagestańskie plemiona	857.371
	Czeczeni	407.690*
	Osetyni	354.547
	Kabardynowie	164.106
	Ingusze	92.074*
	Plemiona czerkieskie	87.973
	Karaczaje	75.737*
	Abchazowie	58.969
	Balkarczycy	42.666*

2. Kaukazyjczy poza granicami Sowietów (**):

Azerbajdżańczycy w Persji, około ..	3.000.000
Ormianie w świecie, około	1.000.000
Północno-Kaukazyjczy, około	700.000
Gruzini w Turcji, około	500.000

(*) Ludy zaznaczone gwiazdką oskarżono o masowe sympatie do Niemców i deportowano do Syberii, Kazachstanu i obozów pracy przymusowej pod koniec i po zakończeniu drugiej wojny światowej.

(**) Wielu przedstawicieli plemion kaukaskich zamieszkuje na obszarach Sowietów poza obrębem ich narodowych republik sowieckich.

Najnowsza historia Polski

W ciągu stycznia reżym warszawski organizuje uroczystości z okazji „dziesięciolecia uwolnienia Warszawy przez bratnie wojska radzieckie”. Trzeba było aż dziesięciu długich lat terroru i gleichszaltowania społeczeństwa, by podobna uroczystość mogła być obchodzona tak jawnie.

Pragnąc ze swej strony przyczynić się do „uczczenia” tej rocznicy drukujemy wiersz Zb. Jasińskiego, napisany w dzień kapitulacji Warszawy, i dotąd nigdzie w całości nie drukowany. Wiersz ten, z pożytkiem zresztą, powinien być przeczytany i przez sfery polityczne emigracyjne. Przypominamy, że Zb. Jasiński, pseudonim „Rudy” był redaktorem dziennika radiostacji AK. „Błyskawica” w czasie Powstania i jest autorem wiersza — „My chcemy amunicji”, który stał się symbolem walczącej Warszawy.

Pieśń o Powstaniu

To wam, żołnierze Krajowej Armii,
dla was ta pieśń wypruta z trzew.
Niech mocą ją wasz gniew nakarmi
i świst! — i błysk! — i huk! — i krew —

Huraganowym
zrywem
szarpnęło
i poderwało
i ogarnęło
i uskrzydliło
całą
Warszawę:

— Chłopcy:
Treblinka!
Majdanek!
Wawer! —

Patrzcie:

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Jak nawet, drobni i słabi,
szczeniaki, których przerasta karabin,
już się zza rogu składają w niemca
za powieszono dzieci od Siemca,
za wszystkie zbrodnie z Alei Szucha,
za dno zwyrodnień, Pawiak, Oświęcim —

patrzcie:
tajona zaciekłość głucha
runęła śpiewem jak zawierucha
i pomstę święci! — wolność święci! —

patrzcie:
truchleją bladzi żandarmi
i — trup za trupem, czaszką w bruk!
A my, żołnierze Krajowej Armii,
naprzód! — i świst! — i błysk! — i huk —

Patrzcie:

Z balkonów, z okien kamienic
ludzie zdumieni, ludzie wzruszeni
rzucają kwiaty! — i kule tańczą,
gwizdzą, ćwierkają, śpiewkę powstańczą,
i szyby dzwonią, drżą kamienice,

patrzcie:
umyka esesmanów banda,
w Palacu Bruhla wścieka się hycel,
w głośniki rzezi, łże propaganda,
a na ulicach, a nad Stolicą
biało-czerwony wykwiła sztandar! —

Naprzód, żołnierze Krajowej Armii!

Już nas nie będą łowić bezkarnie,
osaczać, wieszać, katować, deptać:
kulą splacamy każdy policzek,
konspiracyjnych dosyć nam szeptów:
możemy śpiewać! — możemy krzyczeć! —

Naprzód, żołnierze Krajowej Armii!

— Zadudnił bruk tysiącem nóg
i szczęście wolny okrzyk barwi
i świst! — i błysk! — i trzask! — i huk —

Patrzcie:

Tak walczą nasi żołnierze:
słońcem sierpniowym lśnią pistolety,
matki po bramach szepcą pacierze,
kwiaty rzucają z okien kobiety,
kule śpiewają, kule świergocą,

strzaskane szyby w słońcu się zlocą,
i zadyszane biegną łączniczki,
rozpromienione mają policzki,
uradowane pędzą z meldunkiem
że już — na Poczcie padł pierwszy bunkier !
A tu — wciąż bliżej trzepią granaty,
rozterkotały się rozpylacze,
kobiety z okien rzucają kwiaty :
będzie swobodniej ! — będzie inaczej ! —

patrzcie :

W Palacu wścieka się junkier,
czołgi w ulicę strzelają z armat,
śliczne pańienki biegną z meldunkiem,
każdy ich uśmiech wolności żar ma,

patrzcie :

tak walczą nasi żołnierze :
pamięć zaginie o Arbeitsamt'cie,
piersiom swobodniej będzie i szerzej :
jutro nas pomoc przysła alianci ! —

Wami, żołnierze Krajowej Armii,
zdumiał się świat, gdy wrogom wbrew
rozkaz poderwał was w alarmie
i świst — i błysk ! — i krzyk ! — i śpiew ! —
i duma ! — szczęście ! — bo „sumieniem świata”
was okrzyknęły głosy bratnich nacji
i świat się nagle z Warszawą pobratał
w komunikatach wolnych radiostacji :

— Hallo, hallo, hallo :
Tu mówi do was Lublin :
Proletariackie pozdrowienia
ślemy niezawisłym !
Męstwa, ludu Stolicy :
nim wróg was uszczupli,
armia sowiecka ruszy
w odsiecz zza Wisły !

— Hallo, hallo, hallo :
Tu mówi do was Londyn :
Amunicja w drodze,
pomoc wam niesiemy !
Poruszyliśmy wszystkie
sprężyny i rzędy.
Z nieba — jak srebrne orły
na wroga runiemy !

— Hallo, tu Krym.
— Hallo, tu Rzym.
— Tu Pernambuco.
— Tu New York.
— Tu robotnicy.
— Tu lotnicy.
— Tu kler.
— Tu rząd.
— Tu hrabstwo Cork.
— Hallo, wytrwajcie.
— Jeszcze tydzień.
— Pomoc nadejdzie.
— Pomoc idzie.

Roztańczyła się Warszawa :
jak zabawa — to zabawa !
Świszczą kule promieniście,
ryją ziemię, tną po liściach,
trzepią w tynk i sypią gruz.
Wpoprzek ulic lecą cegły,
złomy, domy wpoprzek legły,
w niebo męstwa pomnik wrósł,
w niebo rośnie wał poległych,
świst ! — i błysk ! — i tryska bruk !
świszczą zgłiszczą, gruz opada,
rośnie, rośnie barykada,
świst ! — i błysk ! — i jęk ! — i huk !
bomba w złom za bombą pada,
i grom w dom — i lecą piętra,
chylą się kościelne wieże,
gromów tłum ! — i w gruzach Centrum,
ale będzie jaśniej ! — szerzej ! —

Naprzód, lwy Krajowej Armii !
Twierdzą naszą każdy próg !
Wir historii nas ogarnia,
świst ! — i błysk ! — i dym ! — i huk ! —

Tu nas w kawały rwa granaty,
w bryzgi rozsadza grad kątaczy !
Na grobach tu zakwitną kwiaty,
będzie swobodniej nam, inaczej !

Tu zęby wilcze, kły lamparcie,
miasto szalone — wspaniałe miasto !
Tu za natarciem przeciwnatarcie :
Aleje, Poczta, atak pod Pastą !

Piekłem rzygają ognia miotacze,
pali się Chłodna, dogasa Wolska,
ale już jutro będzie inaczej:
niech spłonie miasto — urośnie Polska!



Atak za szturmem, szturm za natarciem!

— Ach, gdyby tylko przysłano pomoc,
ach, gdyby tylko było wiadomo
że nam alianci nadesłają wsparcie
nim wystrzelimy pocisk ostatni:

Głód bohaterom kieszki skręca,
sennieją oczy, słabną ręce,
słania się, ściele żer armatni,
las krzyży rośnie wokół strzelnic,
wróg nasze matki pędzi na czołgi,
za Wisłą milczy swolocz znad Wolgi,
przywarły działa czerwonych sotni,
i coraz więcej spalonych dzielnic,
i coraz czarniej, coraz śmiertelniej,
coraz samotniej...



Wtem:

Wieść gruchnęła w płonącym mieście:
— Sę! — Amunicja! — Zrzuty! — Nareszcie! —
Nie zapomnieli o nas alianci
Już nam nie groźne salwy armatnie,
Warszawo, zęby drapieżne zatnij!

Ranni, do broni! — Polegli, wstańcie! —
Naprzód, żołnierze upiornej Armii!
Na barykady! — Krew za krew!
Szaleni, straszni i cmentarni,
naprzód! — i świst! — i huk! — i śpiew!

Nad nimi — skrzydła:

Szlakiem podniebnym
sto ptaków leci, sto ptaków srebrnych:
sto zenitówek ogniem je wita,
sto pióropuszy w niebo zakwila,
sto spadochronów jak białe dzwony,
jak lilie płyną w dół spadochrony,
huragan męstwa nimi kółysze,
orkan wybuchów po niebie płąsa,

spadochronami miota, potrząsa,
powietrze pęka, morderstwem dyszy,
narasta wściekły szrapneli poryk,
warczą motory, huczą motory,
i płyną, płyną w dół spadochrony
do stóp Warszawy bojem szalonej,
śmiercią pijanej, uszczęśliwionej,
bo już wiadomo! — już wiadomo:
jest amunicja! — nadeszła pomoc!



Dosyć! —

Dosyć grzecznej pieśni!

Niechaj zawyje świstem chłosty!
Niech posłuchają radcy niewcześni
słów nieporadnych, rozpaczą prostych:

Nasza, żołnierze okłamanej Armii,
nasza to pieśń, wypruta z trzew.
Wściekłością ją nasz ból nakarmił.
Ofiarna śmierć. Daremna krew.

Niech słyszą pieśń kłakierzy owi,
deklamatorzy, zapewniacze.
Niech cały świat się wreszcie dowie,
że trzeba śpiewać ją inaczej:



Rzucone hasło. Poszli żołnierze...

Sierpniowym słońcem lśnią pistolety,
matki żarliwie szepcą pocierze:
...może zza Wisły ruszą Sowiety?...

Poszli żołnierze dzielni i młodzi
bez karabinów, bez karabinów,
a przeciw czołgom — tylko benzyna.

— Żywiej, kłakierzy! Klaskać na podziw!
W oczach im ponie zapal bezmierny,
bo karabiny sami zdobędą.

Przeciw dywizjom poszli pancernym
i to w historii liczyć im będą :
warci, by łakwy przesłać im podziw
i obietnicę : „Pomoc nadchodzi”...

Pogodne było niebo sierpniowe,
gdy wyglądano przylotu ptaków.
Żołnierz młody, ranny w głowę,
bez amunicji szedł do ataku,
a wróg nas raził z wylotów strzelnic
i huk moździerzy po mieście dudnił,
i coraz więcej spalonych dzielnic,
i coraz ciężiej, i coraz trudniej...

— Patrzcie, kląkierzy :
Już czwarty tydzień,
zwyciężyliśmy wroga pod Pastą !

— Kląkierzy, oto :

Cztery tygodnie,
wróg atakuje już Stare Miasto...
Rwą nas w kawały bomby i czołgi,
słońce przez dymy świeci pogodnie,
milczą zdradzieckie działa znad Wolgi,
a wasza pomoc idzie, wciąż idzie,
i zgodnie radzą, radzą alianci :
czyśmy bandyci, czy kombatanci...?
A w nasze piersi — salwy armatnie.
W gruzach Starówka, płonie Śródmieście,
świszcze po zgłiszczach piekło granatów.
Czy amunicję nadeślą wreszcie ?...

I jeszcze jeden upływa tydzień,
już nikt nam z okien nie rzuca kwiatów,
i tylko pomoc — idzie, wciąż idzie,
i tylko rosną mogiły bratnie,
tylko te krzyże, krwi hekatombi,
te ponad nami bomby ! — te bomby !
bomby i bomby !...

Płonie Powiśle,
jutro z kolei padnie Czerniaków,
kto nam i kiedy tę pomoc przyśle ?...

Próżno skazańcom wyglądać znaków :
wrzesień już wrzesień spłynął pogodnie,
dogasa miasto, huczą moździerze,
pokółem giną bezbronni, głodni,
brudni, zawszeni, ranni żołnierze...

— Dmijcie, kląkierzy, w pochwalne trąby,
gdy ponad nami bomby i bomby,
bomby i bomby, bomby i bomby !...
nic, tylko bomby, bomby, bomby !...

Twarze kochane, twarze wybladłe
pod barykadą czyjeś się kładły,
główki dziecięce, oczy zdziwione,
usta kochane, nieporuszone,
słowa ostatnie, mogiły bratnie,
samolot, bomby, salwy armatnie,
słowa zamarłe, gwiazdy dalekie,
serca zacichłe, trzewia wyprute,
domy spalone, drzewa kałkie,
krzyże sterczące w niebo kikutek,
a w cieniu krzyży pod barykadą
twarz nowa ziemi kłoni się blade,
tłą się ulice, gaśnie Stolica,
samolot, bomby, huk, błyskawica,
ruiny wyżej i coraz wyżej
krzyże drewniane, dymiące krzyże,
a w pogorzeli pod barykadą
trupy się nowe kładą i kładą...

Ostatnie strzały obrońców głuchną,
szczury tłuszciją na polskim ścierwie.

— Kląkierzy, dosyć ! Dłonie was spuchną !
Pobożny podziw płuca wam zerwie !

Wiemy :

Słów naszych czarną wściekłość
dostojne zmilczą znów regiony.
A nami targa wżgarda, piekło
na śmierć skazanych, opuszczonych :

Przywarł za Wisłą mur swoloczy,
zęby sowiecka hiena szczerzy.
A nam — nam tylko piachem w oczy,
nam tylko czekać, w pakty wierzyć.

Na skandal — jedno słowo : Skandal !
Słów nie dobierać — elokwentnej bandzie.
Długo trąbiła nam ich propaganda,
dziś odśpiewamy wiernej propa-grandzie :

Niech słyszą pieśń klakierzy owi,
gwarantcy własni i alianci
dyplomatyczni, traktatowi,
kart atlantyckich kant na kancie.

Nie ! —

To zbyt grzecznie ! za słabo ! za mało !
Bomby tu jeszcze nie wszystkich wytłukły !
Kto żyw, niech piersią huknie całą,
by usłyszały nas niemrawe kukły,
rządy nierządne, ministrowie,
premierzy, durnie i kryłacze,
ojciec ludzkości zawodowi,
działacze ważni i partacze,
szuje, kramarze i wyglupki,
deklamatorzy, naciągacze,
cezary i żółędne bubki
udrapowane w cnoty sztandar :
— nim się wyleje do cna bitwa,
niechaj się dowie zacna sitwa,
jak śpiewa nasza propaganda :

Tu krwią rzygamy ! tu konamy w boju !
tu się historię targnęło za rogi !

— A tam w barchanach ciepłych olabogi
fotele grzeją, kłocą świczki z loju,
i radzi, kądzi zbieranina wszawa,
przysięga, zwleka i przesyła brawa...

Tu — amunicji ! Broni ! Broni trzeba !
Giniemy ! Chryste ! Broń nam rzućcie z nieba !
Tu śmierć zatłukła sto tysięcy
w kanałach, bunkrach, kazamatach !
Wytłucze więcej ! jeszcze więcej !
i pójdą straszne niedobitki
w kacety, piece i kibitki !

— A tam się szczwane wychytrzają panki,
ślinią, seplenią o „sumieniu świata”,
dyplomatyczne rozkładają ręce...
A jakieś inne odjaone mydłki
cedzą cacanki słodkie, obiecanki,
leżki, westchnienia, rzewne ptysie z pianki...

Nie nas pomadą. Nie nas wazeliną.
Tu umieramy w glorii, nie w cykorii.
Bracia ! Niech ryknie ta pieśń skurwysynom,
by razem z nami weszli do historii !

Niech ich po nocach kószmarami dławi,
niech wzdargą wolnych smaga ich jak biczem,
niech się do szczytu rozpaczą wykrwawi,
niech poza groby sięga i skowycze :

Pieśń o Powstaniu w samotnej Warszawie.

Warszawa, w ostatniej siedzibie radiostacji A.K. „Błyskawica”,
wrzesień 1944 r.

Zbigniew JASIŃSKI

Po cenach najniższych

Nasz dział apteczny oferuje Klientom
najważniejsze lekarstwa.

STREPTOMYCINA 10 gr.	26/—
użyteczność do listopada 1957	
PENICYLINA olej. 3 milj.	10/—
użyteczność do grudnia 1956	
WITAMINA b-12 25 amp.	14/—
RIMIFON, 500 tabletek	26/—

CŁO? Co wysłać by rodzina zapłaciła najmniejszą stawkę
p o r a d z ą

NASZE KATALOGI TOWAROWE

zawierające przy każdym towarze odnośną stawkę celną.
MASZYNY DO SZYCIA SINGERA za które cło w Polsce
wynosi tylko 600 złotych. — ZEGARKI CYMA. — Naj-
lepsze angielskie KAMGARNY. — PLASTYKI. — OBU-
WIE. — SKÓRY. — CHUSTKI tzw. „NYLONÓWKI”.
SPECJALNY DZIAŁ PACZEK „ZA LINIĘ CURZONA”

T A Z A B LTD.

22, ROLAND GARDENS, LONDON. S.W.7.

Największy Polski Dom Towarowy w Anglii.

Przegląd niemiecki

Polska w bibliografii powojennych Niemiec (1945-1953)

2

4. POSZCZEGÓLNE ZIEMIE „NIEMIECKIEGO WSCHODU”.

W zakresie regionalnym opracowań ziem wschodniego pogranicza bibliografia niemiecka szybko nawiązała do przedwojennych tradycji. W latach 1949 do 1953 opublikowano bibliografie wszystkich niemiecko-polskich terenów spornych czy granicznych, a więc Sudetów, Śląska, „Prus Zachodnich”, Prus Wschodnich i krajów bałtyckich.

Podobnie jak przed rokiem 1939, specjalną uwagę poświęcono Śląskowi. Podstawową bibliografię tego regionu opracował z polecenia Instytutu Herdera, *Herbert Rister* (29), opierając się na zbiorach silesiadców, będących w posiadaniu zachodnio-niemieckich instytucji naukowych, głównie wykorzystując materiał zorganizowanej przez siebie biblioteki Instytutu Herdera w Marburgu. Pracę wydano sumptem Rady Naukowej tejże instytucji, jako piąte kolejne wydawnictwo nowoorganizowanej Historycznej Komisji dla Śląska. Książka zawiera 3.196 pozycji wybranych spośród 5.500 tytułów literatury czasopiśmienniczej i książkowej, ogłoszonej na temat Śląska w językach niemieckim, polskim, czeskim a także angielskim, francuskim i in., w latach 1941-1952. Rister uwzględnił literaturę z zakresu fizjografii, socjologii, historii, polityki, ekonomii, z zakresu prawa, językoznawstwa i krytyki literackiej, jak również tematykę z życia

29 RISTER, Herbert: *Schlesische Bibliographie 1942-1951*. Im Auftrage der Historischen Kommission für Schlesien bearbeitet von Herbert Rister. Johann Gottfried Herder-Institut, Marburg/Lahn, 1953. Str. 216. 4^o -J.G. Herder-Institut, Marburg/L. Wissenschaftliche Beiträge zur Geschichte und Landeskunde Ost-Mitteleuropas, Nr. 5. Einzelschriften der Historischen Kommission für Schlesien, I.

religijnego, kulturalnego i sztuki. Nacisk położono jednak na tło polityczne i dzieje Śląska (przeszło 1/3 ogólnej liczby); szczególnie drobiazgowo opracowano najnowsze dzieje Wrocławia, Brzeża, Kłodzka, Gliwic, Opawy, a także Katowic, Cieszyna, Bielska i Jabłonkowa, i innych miast śląskich.

Specyfikacja terenowa, przeprowadzona w tej bibliografii według pojęć politycznych z okresu Pokoju Cieszyńskiego uwzględnia cztery zasadnicze działy: A) Śląsk w ogólności (2.413 poz.), B) Śląsk Dolny (227 poz.), C) Górny Śląsk (183 poz.), wreszcie D) Śląsk Austriacki (370 poz.).

Okolo 50% zbioru stanowi piśmiennictwo polsko-języczne. *Prof. H. Schlenger*, inicjator i wydawca bibliografii, tłumaczy ten stan rzeczy następująco: „...diese Bibliographie ist eine wissenschaftliche. Deshalb wurde Wert darauf gelegt, nicht nur das in deutscher Sprache veröffentlichte Schrifttum über Schlesien zu erfassen, das im Zeitraum von 1942-1951 erschienen ist, sondern — vor allem von 1945 an — auch das fremdsprachige. Dass Schlesien seit 1945 unter polnischer Verwaltung steht und dass die polnische Wissenschaft und Publizistik sich die von Polen verwalteten deutschen Ostgebiete mit fieberhaftem Eifer anzueignen sucht, erklärt die verhältnismässig grosse Anzahl nichtdeutscher Veröffentlichungen über unsere Heimatprovinz. Aber auch diese müssen ja von der deutschen Landesforschung gekannt werden, will sie den Anschluss an die wissenschaftliche Arbeit über ein Gebiet nicht verlieren, aus dem sie durch zahlreiche Massnahmen der derzeitigen Verwaltungsmacht verdrängt werden soll”.

„Ortsregister” zamieszczony na końcu książki, objaśnia co do tego, jak *prof. Schlenger* pojmuje „unsere Heimatprovinz”. W jej skład wchodzi Oświęcimskie, Wadowickie, Żywiecczyna, Cieszyńskie, Zaolzie, Morawy i Sudecczyna.

Drugą z rzędu publikacją bibliograficzną dotyczącą Śląska jest „Schlesisches Schrifttum seit 1946” *Joachima Herrmanna* i *Dietera Wurmsa* (30). Podjęta z myślą dostarczenia przewodnika do pracy polityczno-kulturalnej wśród śląskich towarzystw wysiedleńczych, chce być zarazem pierwszą próbą przeglądu mającego „wykazać w jakim stopniu niemiecki krajobraz Śląska, śląska świadomość i śląska nadzieja wyrażają się we współczesnym piśmiennictwie” niemieckim. Wbrew tym zapowiedziom, autorzy, skompletowali jedynie pozycje dotyczące literatury pięknej, ubocznie tylko zwracając uwagę na folklor, historię, oraz śląską prasę wysiedleńczą. *Polonica* znajdują się tu głównie w pierwszych pięciu rozdziałach, są jednak lepiej bibliograficznie opracowane już w innych źródłach.

30 HERRMANN, Joachim Dr. und Dieter WURMS: *Schlesisches Schrifttum seit 1946*. Bibliographie einer deutschen Landschaft. 1. Folge 1953. Mit Unterstützung des Kulturwerks Schlesien Neumarkt/Opf. Hrsg. vom Schlesier-Verband Bayern, München. Kommissionverlag Bergstadt-Verlag, W.G. Korn, München (1953). Str. 67.

Stosunki społeczne i historyczno-gospodarcze są tematem chronologicznie pierwszej bibliografii silesiadców, broszury znanego nam już H. Ristera, pt. „Bibliographie zur Sozial- und Wirtschaftsgeschichte des gesamtoberschlesischen Industriegebietes 1935-1951” (31). Rister nawiązuje w tej pracy do „Oberschlesische Bibliographie” H. i L. Bellée, spisując za lata wojenne jedynie wydawnictwa samodzielne oraz artykuły z czasopiśm, po roku 1945 natomiast, uwzględniając również ważniejsze przyczynki z prasy codziennej. Jego selektywny i rektrospektywny indeks obejmuje międzynarodowe piśmiennictwo społecznych i ekonomicznych zagadnień związanych ze Śląskiem niemieckim, polskim i czeskim, w znanym nam już historycznym zróżnicowaniu ziemi śląskiej na Śląsk Górny, Wschodni Górny i Śląsk austriacki. Jeśli chodzi o druki polskojęzyczne w tej pracy, to porównanie ich ze „Śląską biografią” Brożka, jedynie za okres lat 1945-1946, wykazuje w pracy Ristera luki.

Wartość źródłową posiada śląska bieżąca bibliografia, redagowana przez R. Maia, począwszy od roku 1950, w czasopiśmie wysiedleńczym „Die Schlesierwarte” (32).

Z regionalnych powojennych opracowań dotyczących „niemieckiego wschodu” najpoważniejszym wydaje się „Bibliographie der Geschichte von Ost- und Westpreussen”, Ernsta Wermkego (33). Autor nawiązując do własnych prac przedwojennych, zgromadził w niej 4.538 tytułów przeważnie niemiecko-polskiego piśmiennictwa z lat 1939-1951, klasyfikując je bardzo szczegółowo, a zarazem czytelnie.

Jak już z tytułu wynika, Wermke nie liczy się z istnieniem niepodległej Polski i państw bałtyckich międzywojennego okresu, i w specyfikacji nawiązuje świadomie do podziału politycznego oraz nomenklatury z czasów rozbiorów Polski. Pod tymże kątem widzenia rozplanowano również podrozdziały, np. „Westpreussen unter der Fremdherrschaft”, albo w „Geschichte der Landschaften”: „Dobrin Land, Ermland, Kaschubei, Koscheneiderei, Kulmerland, Lauenburg und Bütow, Litauen, Masuren, Memelland”, a nico dalej, „Weichselland, die Weichsel, Grenzmark-Posen-Westpreussen, Bialystok”, itp.

31 RISTER, Herbert: *Bibliographie zur Sozial- und Wirtschaftsgeschichte des gesamtoberschlesischen Industriegebiets 1935-1951*. Hrsg.: „Oberschlesische Studienhilfe” Walleshausen Kreis Landsberg am Lech. Neumarkt Opf., Verlag des Kulturwerks Schlesien e.V. (1952) Str. 32.

32 (MAI, Richard): *Schlesische Bibliographie*. Neuerscheinungen von Schlesien über Schlesier. -Schlesierwarte, 1950-1953.

33 WERMKE, Ernst Dr.: *Bibliographie der Geschichte von Ost- und Westpreussen für die Jahre 1939-1951 nebst Nachträgen aus den früheren Jahren*. Bearbeitet im Auftrage der Historischen Kommission für ost- und westpreussische Landesforschung von Dr. Ernst Wermke. Johann Gottfried Herder-Institut, Marburg/Lahn, 1953. Str. 294. 4^o -J.G. Herder-Institut, Marburg/L. Wissenschaftliche Beiträge zur Geschichte und Landeskunde Ost-Mitteleuropas, Nr. 11.

Słabo opracowano rozdziały z zakresu demografii historycznej, szczególnie podrozdział trzeci, pt. „Deutsch-polnischer Nationalitätenkampf”, któremu autor poświęcił zaledwie 25 pozycji, w tym pięć polskich.

Z dalszych opracowań rejonu wschodnio-prusko-bałtyckiego należy wymienić Ernsta Thomsona „Baltische Bibliographie 1945-1953” (34). Zebrano w niej prace bałtycko-niemieckich autorów, oraz piśmiennictwo dotyczące regionu bałtyckiego. Z obszernym opracowaniem literatury książkowej i czasopiśmienniczej, dotyczącej historii kościelnej Pomorza wystąpił Helmuth Heyden (35). Piśmiennictwo dotyczące Gdańska opracowuje Hoffmann (36), jak to wynika z danych Ristera. Najslabiej opracowaną jest, o ile nam wiadomo, Sudeccyzna. Jedyna, jak dotychczas, monograficzna próba bibliografii rektrospektywnej, poświęcona Sudeccyznie, podjęta przez Preidela i Schreiber, opublikowana w „Stifter-Jahrbuch 1949” (37), obejmuje czasowo zaledwie okres 1945-1948, natomiast terytorialnie, także rdzenne Czechy. Przypadłej Polsce części Sudeccyzny bibliografia nie uwzględnia, choć w Polsce na ten temat niejedno napisano, podaje natomiast literacko-historyczne prace prof. Mariana Szyrkowskiego, dotyczące polskiego udziału w życiu duchowym narodu czeskiego, przy równoczesnym pominięciu szkicu tegoż autora pt. „Polacy w Karlowych Warach”. Bieżący rejestr piśmiennictwa sudeckiego, i o Sudetach, prowadzi R. Mai w miesięczniku „Christ Unterwegs”.

5. RUCHY UCHODŹCZO-PRZESIEDLEŃCZE.

Pozbawienie w związku z ostatnią wojną światową kilkudziesięciu milionów ludzi ich ojcowizny, wywołało obszerną między-

34 THOMSON, Erik: *Baltische Bibliographie, 1945-1953*. Verzeichnis der in Jahren 1945-1953 erschienenen selbständigen Veröffentlichungen deutschbaltischer Autoren und der im gleichen Zeitraum veröffentlichten Schriften über Balten und das Baltikum. Lüneburg, Selbstverlag, 1953. Str. 40. 4^o.

35 HEYDEN, Helmuth: *Verzeichnis von Büchern und Aufsätzen zur Kirchengeschichte Pommerns mit einem Anhang: Literatur zur Kultur-, Landes- und Stadtgeschichte*. Hrsg. Archivamt der Evangelischen Kirche Deutschlands. Blomberg/Lippe, 1952. Str. 112.

36 HOFFMANN, F.: *Polen (und Freie Stadt Danzig) -Naturforschung und Medizin in Deutschland 1939-46*. Bd 47. Geogr. T. 4. Str. 91-150. (według danych Ristera w „Schrifttum über Polen”).

37 PREIDEL, H(elmuth) und R(udolf) SCHREIBER: *Bibliographie der Sudetenländer 1945-1948*. -Stifter-Jahrbuch, 1949. Hrsg. von Helmut Preidel. Gräfelfing b. München, E. Gans Verlag, 1949. Str. 130-163. Jahrbücher der wissenschaftl. Abteilung des Adalbert-Stifter-Vereins e.V., München.

narodową literaturę. Udział Niemców w rozwoju tego piśmiennictwa dotyczy w głównej mierze dziejów i losu ich własnych „Flüchtlinge” i „Heimatvertriebene”. Zrazu jest to piśmiennictwo samych wysiedleńców, a więc opisy przeżyć wojennych, relacje z wysiedlenia czy ucieczki, apologetyczno-wspominkarska literatura o utraconej ojczyźnie, i reminiscencje na temat ducha i misji „niemieckiego wschodu”. W miarę wzrastania zainteresowania wysiedleńcami ze strony społeczeństwa, oraz ingerencji władz poszczególnych krajów związkowych, a wreszcie i rządu centralnego w Bonn, powstaje także piśmiennictwo o wysiedleńcach. Są to w pierwszym rzędzie prawnopolityczne oraz społeczno-gospodarcze dyskusje co do sposobu rozładowania problemu wysiedleńczego w ramach możliwości Republiki Związkowej, oraz literatura urzędowa: memoriały, deklaracje, ustawodawstwo, i dane statystyczne.

Jeśli chodzi o ośmiomilionową rzeszę nie-niemieckich displaced persons i refugees, to piśmiennictwo niemieckie na ich temat jest ubogie, i za wyjątkiem kilku pozycji książkowych (Jahn, Möhring, Frings etc.) przez bibliografie niemieckie pomijane. Przytacza się natomiast pozycje obcojęzyczne, szczególnie zachodnio-europejskie. Polsko-języczna literatura wysiedleńcza, krajowa, jak i emigracyjna, w tym liczne publikacje wydane w samych Niemczech (1945-1949), nie są uwzględnione w żadnej z niemieckich bibliografii.

Znaczna część literatury „flüchtlingowskiej” dotyczy pośrednio lub bezpośrednio Polski: stwierdza jej współudział w wysiedleniach, zajmuje się historią, geografiami i folklorem jej ziem, zarówno tych w granicach przedwrześniowych, jak i jałtańsko-poczdamskich, przynosi wierne na ogół, aktualne reportaże z życia poza tzw. żelazną kurtyną, i projektuje przyszłe pozycje sąsiedzkie z Polską. Nie na tym koniec: zasadniczą tendencją tego piśmiennictwa jest umiędzynarodowienie problemu niemieckich wysiedleńców, oraz organizowanie powrotu tych ludzi, przez utrzymywanie ich w stanie pogotowia moralnego, przy czym zwraca się szczególną uwagę na młodzież, jako podlegającą już procesowi asymilacji.

Zbieraniem piśmiennictwa wysiedleńczego zajął się zaraz po wojnie *Göttinger Arbeitskreis* (Herbert Marzian: *Ostdeutsche Bibliographie*, Dział C), oraz *Richard Mai*, który od wiosny 1948 roku kontynuuje w piśmie „Christ Unterwegs” rejestr piśmiennictwa wysiedleńczego i o wysiedleńcach. Także w ogólnych bibliografiach znajdujemy rozdziały poświęcone temu zagadnieniu.

Jeśli chodzi o piśmiennictwo specjalne, to pozycje wchodzące w zakres nauk społeczno-gospodarczych notowane są w „Bibliographie der Sozialwissenschaften” (38), wydawanej przez

88 *Bibliographie der Sozialwissenschaften* (Bibliographie der Staats- und Wirtschaftswissenschaften). Internationale Dokumentation der Buch-

Schaedera i *Curtha*, oraz w „Bibliographischer Index und Literaturbericht des Institutes für Raumforschung” redagowanym przez *Beyera* i *Irmgard Koppe* (39). Oba wydawnictwa uwzględniają piśmiennictwo międzynarodowe, z tym, że to ostatnie grupuje je także według państw. To co znajdujemy w rubryce „Pole” jest jednak znikome. Wspomniany już „Institut für Raumforschung” wydał w roku 1950 specjalny numer swojego pisma, poświęcony problemowi wysiedleńczemu, w którym znajdują się trzy wartościowe przyczynki bibliograficzne: „Beschlüsse und Protokolle über Verhandlungen zum Flüchtlingsproblem” (40), „Die Heimatvertriebenen in der Statistik, insbesondere in der Bundesstatistik” (41), i „Die Flüchtlingsfrage in den deutschen Zeitschriften” (42).

W formie monograficznej opracowano bibliografię wychodzącą po raz pierwszy w roku 1949 w związku z kongresem frankfurckim „Institut für Förderung öffentlicher Angelegenheiten” (43). Na spisie tym oparta jest praca *W. Möhringa* ogłoszona w książce „Millionen ohne Heimat” (44). Materiał tam zebrany dotyczy wyłącznie wysiedleńców niemieckich (około 580 pozycji), i ujęty jest w trzynaście rozdziałów, z których najszczegółowiej opracowany jest rozdział o „włączeniu wysiedleńców w organizm społeczeństwa niemieckiego”. W wydawnictwie zbiorowym „Europa und die deutschen Flüchtlinge”, wydanym w roku 1952 we Frankfurcie, *Werner Möhring*, opublikował jeszcze

und Zeitschriftenliteratur des Gesamtgebietes der Sozialwissenschaften. Hrg. von Prof. Dr. K. Schaefer in Verbindung mit Dr. H. Curth. Göttingen. Vandenhoeck u. Ruprecht, 1951. -Jahrbuch für Sozialwissenschaft.

39 BEYER, Eduard Dr. und Irmgard KÖPPE: *Bibliographischer Index und Literaturbericht des Instituts für Raumforschung*, Juli 1951. Heft 1. Institut für Raumforschung Bonn, Bad. Godesberg, 1951. Str. 151. 4^o

40 GRANICKY, Günter und Georg MÜLLER: *Beschlüsse und Protokolle über Verhandlungen zum Flüchtlingsproblem*. Dokumentarisches Material zu dem Aufsatz „Die Flüchtlinge in Westdeutschland”. -Das deutsche Flüchtlingsproblem, Sonderheft der Zeitschrift für Raumforschung. Str. 14-25.

41 REICHLING, Gerhard: *Die Heimatvertriebenen in der Statistik insbesondere in der Bundesstatistik*. -Das deutsche Flüchtlingsproblem. Sonderheft der Zeitschrift für Raumforschung. Str. 41-45.

42 BEYER, Eduard: *Die Flüchtlingsfrage in den deutschen Zeitschriften. Das Problem der Heimatvertriebenen und die Sozialwissenschaft*. -Das deutsche Flüchtlingsproblem, Sonderheft der Zeitschrift für Raumforschung. Str. 134-140.

43 FRANKFURT am Main. Bibliothek des Instituts zur Förderung öffentlicher Angelegenheiten: *Bibliographie zur Flüchtlingsfrage. Stand vom 1. 6. 1949. Nachtrag: Stand 15.7.1949*. Frankfurt/Main (1949).

44 MÖHRING, Werner Dr.: *Schriften und Stimmen zur Vertriebenenfrage*. Eine bibliographische Zusammenstellung (Stand 15.11.1949). -Millionen ohne Heimat. Eine Studie zur Vertriebenenfrage. Frankfurt/Main. Wolfgang Metzner Verlag (1950). Str. 53-110.

jedną „Bibliographie der Flüchtlingsliteratur” (45), obejmującą tym razem także piśmiennictwo dotyczące uchodźców nie-niemieckich. Zbiór około 470 tytułów podzielono na dwie odrębne części: A. „Die Flüchtlinge der Welt” (około 170 pozycji), i B. „Das Flüchtlingsproblem in Deutschland” (około 300 pozycji).

W części A zebrano sprawozdania i dokumenty U.N., I.R.O., U.N.R.R.A., publikacje dotyczące uchodźców z Bliskiego Wschodu, Palestyny, Indii, Pakistanu, Korei (Chiny pominięto), a także Displaced Persons, wreszcie piśmiennictwo dotyczące specjalnych zagadnień, jak: sytuacji prawnej uchodźców, ruchów migracyjnych, i przyczynków do rozwiązania światowego problemu wysiedleńczego.

Część B zawiera piśmiennictwo m. in. do historii uchodźstwa, problematyki włączenia uchodźców w organizm społeczno-gospodarczy Zachodnich Niemiec (93 poz.), prawodawstwa dla wysiedleńców (30 poz.), oraz rozdział najobszerniejszy: sprawozdania i opisy dotyczące sytuacji wysiedleńców (117 pozycji).

Piśmiennictwo zebrane przez Möhringa w dziale A pochodzi z lat 1945-1951, i obejmuje większość zasadniczych publikacji angielskich, francuskich i niemieckich. Wyjątek stanowią rozdziały dotyczące „displaced persons” oraz „U.N.R.R.A.”, które potraktowano bardzo powierzchownie.

W bibliografii Möhringa brak piśmiennictwa o polskich displaced persons. Trzy i pół milion Polaków, wysiedlonych w czasie wojny z Polski do Niemiec, poświęcono jedną pozycję. Jest to artykuł szwajcarskiego autora Frumesa: „Probleme der Rück- und Weiterwanderung der Polen”. Pożytecznym przyczynkiem do międzynarodowej bibliografii o displaced persons w Niemczech, opracowanym z punktu widzenia prawnopolitycznego, jest bibliografia Eberharda Jahna w książce „Das D.P.-Problem” (46), wydanej w roku 1949 w Tübingen przez „Institut für Besatzungsfragen”. Na zakończenie wymienić można także pracę Essen i Pfeilowej, pt. „Zusammenstellung der grundlegenden Flüchtlingsliteratur”.

Najświeższą datą jest broszura Herberta Marziana „Ostliteratur” (47), wydana przez Göttinger Arbeitskreis, będąca rodzajem popularnego przewodnika po literaturze wysiedleńców

45 MÖHRING, Werner Dr.: *Bibliographie der Flüchtlingsliteratur* (Stand vom 15. Mai 1951). A. Die Flüchtlinge der Welt B. Das Flüchtlingsproblem in Deutschland. -Europa und die deutschen Flüchtlinge. Frankfurt/Main, Institut zur Förderung öffentlicher Angelegenheiten e. V., 1952 Str. 109-135.

46 (JAHN, Eberhard): *Bibliographie (zum DP-Problem)* -Das DP-Problem. Eine Studie über die ausländischen Flüchtlinge in Deutschland. Institut für Besatzungsfragen Tübingen, Tübingen, Verlag J.C.B. Mohr (Paul Siebeck), 1950. Str. 106-111.

47 (MARZIAN, Herbert): *Ostliteratur*. Schicksal, Probleme und Beitrag der deutschen Heimatvertriebenen. Ein literarischer Wegweiser überreicht vom Göttinger Arbeitskreis, Göttingen, Der Göttinger Arbeitskreis (1951). Str. 16.

niemieckich. Polski dotyczą szczególnie rozdziały „Granica Odry-Nysy”, „Ojczyzna i sąsiedzi”, oraz „Prawo do ojczyzny”.

Wzorową bibliografię specjalną opracowali wysiedleni dziennikarze niemieccy w postaci „Handbuch der Presse der Heimatvertriebenen” (48), zredagowanej przez prof. Kurtha. Książka ta zawiera nie tylko szczegółowo opracowane listy prasy poszczególnych grup wysiedleńczych, wydawanej w Niemczech i zagranicą po roku 1945, ale naświetla w zwięzłych rozprawach przedwojenne dzieje niemiecko-języcznej prasy w Polsce i krajach sąsiednich. Szczegółowe opisy bibliograficzne każdej pozycji, dotyczące składu wydawców i redakcji, wysokości nakładów, pokrycia terenu, dodatków oraz wydawnictw ubocznych, jak również tendencji i kierunku pisma pozwalają na zorientowanie się w organizacji i znaczeniu politycznym tej nadspodziewanie rozbudowanej prasy.

Aczkolwiek większość podanych w bibliografii tytułów to efemerydy, powstałe podobnie jak powielaczowa prasa dipisowska na tle specjalnych warunków powojennych, niemniej cyfra przeszło 320 tytułów ma swoją wymowę; najwięcej czasopism wykazują Sudeccyzna (87 poz.) i Śląsk (70 poz.), poczem w pewnej odległości idą: Pomorze Wschodnie (24 poz.) oraz Prusy Wschodnie i „Zachodnie” (21 pozycji).

Polskie badacza dziwią nakłady niektórych z tych pism: frankfurcki dwutygodnik „Wegweiser für Heimatvertriebene” drukuje 180.000 egzemplarzy, „Ostpreussenblatt” 100.000 egz., a miesięcznik Referatu Duszpasterskiego księży-wysiedleńców, „Königsteiner Rufe”, 85.000 egzemplarzy. Uwagę zwracają też wysokie nakłady bojowych organów (Kampfblätter) prasy wysiedleńczej, uprawiających rewizjonizm w stosunku do Polski: „Die Stimme-Ostdeutsche Zeitung” (75.000 egz.), i „Ost-West-Kurier” (86.000 egz.). Ciekawym psychologicznie zjawiskiem jest partykularyzm tej prasy. Okazuje się, że własne organy prasowe posiadają nawet tak drobne grupy regionalne, jak: Pszczyniacy, Bytomiaci, Katowiczanie, Bielszczanie, mieszkańcy Kłodzka, Jeleniej Góry czy Olawy; sami tylko gdańscy wysiedleńcy i uchodźcy posiadają na terenie Niemiec Zachodnich siedem różnych pism, a Niemcy „nadwiślańscy” i małopolscy, cztery.

6. NIEMIECKO-POLSKIE STOSUNKI.

Ważny temat stosunków niemiecko-polskich doczekał się w powojennej bibliografii niemieckiej dwu opracowań „150 Jahre deutsch-polnische Freundschaft und Nachbarschaft”, opublikowanego we wschodnich Niemczech staraniem Towarzystwa

48 KURTH, Karl O., Prof. Dr.: *Handbuch der Presse der Heimatvertriebenen* (nach dem Stand vom Dezember 1952). Kitzingen/Main, Verlag Holzner, 1953. Str. 300.

Pokoju i Dobrosąsiedzkich Stosunków Niemiecko-Polskich, w formie dodatku naukowego do czasopisma uniwersyteckiego „Forum” (49), oraz fragmentu większej całości, pt.: „Geschichte der deutsch-polnischen Beziehungen”, ogłoszonego przez Ristera w „Zeitschrift für Ostforschung” (50). Pierwsza z tych bibliografii oparta jest na zbiorach poloników uniwersytetu w Jenie, i pomyślana jako przewodnik dla studentów. Wyboru materiału dokonał kierownik poradni naukowej tej biblioteki, Othmar Feyl, a uczynił to, jak w przedmowie zaznacza, z partyjno-politycznego punktu widzenia; to samo dotyczy komentarzy, którymi opatrzył broszurę. Materiał bibliograficzny usystematyzowano według poniższego podziału rzeczowego: 1. Dzieła o charakterze ogólnym i podręcznym. 2. Dzieła dotyczące zagadnień gospodarczych i społecznych z zakresu historii Polski i niemiecko-polskich stosunków. 3. 1830/31 - 1848/49: Rozkwit postępowej, ale niekonsekwentnej burżuazyjnej przyjaźni względem Polski w Niemczech — a) dzieła naukowo-polityczne; b) kulturalno-literackie. 4. Wykaz rozpraw doktorskich odnoszących się do Polski i Polaków. 5. Informacje o ważniejszych publikacjach dotyczących dawniejszej niemiecko-polskiej przyjaźni, znajdujących się poza Biblioteką Uniwersytecką w Jenie. 6. Konsekwentne pogłębianie postępowej niemiecko-polskiej przyjaźni oraz ugruntowanie jej przez klasyków marksizmu-leninizmu. 7. Gospodarcze i polityczne podstawy niemiecko-polskiego pokoju i umocnienie oraz pogłębienie niemiecko-polskiej przyjaźni od 1945 roku. — Uzupełnienia.

Polska krytyka krajowa (Wł. Chojnacki, Przegląd Zachodni, nr 4/5, 1953, str. 661-664), jak również niemiecka (Kaufmann: „150 Jahre deutsch-polnische Freundschaftsbeziehungen”, Neues Deutschland z dn. 28. 8. 1951) przyjęły pracę Feyla przychylnie, zapewne z uwagi na jej linię partyjną, i dla jej niewątpliwych walorów pionierskich. W gruncie rzeczy jest to bibliografia zestawiona przypadkowo, a z uwagi na wyjście poza materiał biblioteczny uniwersytetu w Jenie, wykazująca poważne braki. Dotyczą one w pierwszym rzędzie powojennej literatury na temat polsko-niemieckich stosunków, opublikowanej tak w Polsce, jak i w Niemczech Zachodnich, nie mówiąc już o innych krajach europejskich. To samo da się powiedzieć o końcowych „Uzupełnieniach redakcji”, które nie wytrzymują porównania z materiałem rejestrowanym przez lipską bibliografię bieżącą. Zaslugą autora jest zestawienie obszernej, choć wbrew temu co twierdzi Chojnacki, dalekiej od skompletowania listy dysertacji, oraz podanie pełnej listy poloników marksistowskich.

49 (FEYL, Othmar Dr.): 150 Jahre deutsch-polnische Freundschaft und Nachbarschaft. Wissenschaftliche Beilage des „Forum” (Berlin) 1952. Str. 23. - Gesellschaftswissenschaftliche Spezial-Bibliographien der Universitätsbibliothek Jena, Nr. 1.

50 RISTER, Herbert: Schrifttumsverzeichnis der deutschen Ostgebiete 1945-1951. - Zeitschrift für Ostforschung, 1952, 4. Str. 625-640.

Bibliografia Ristera „Die deutsch-polnischen Beziehungen” przynosi ilościowo mniej materiału jest natomiast gruntownie opracowana, i obejmuje większość zasadniczego piśmiennictwa ogłoszonego na temat polsko-niemieckich stosunków w latach 1945-1951. Gros materiału stanowią polskie krajowe tytuły, sporo jest pozycji niemieckich, uwzględniono również piśmiennictwo w innych europejskich językach.

Zastrzeżenia budzi sposób ugrupowania materiału, w połowie chronologiczny (rozdz. I-VI) a w połowie tematyczny (rozdz. VII-XI). Niektóre z tych ostatnich rozdziałów, obejmujące zaledwie kilka tytułów, nie zasługiwały w ogóle na wyodrębnienie, natomiast rozdziały „niemiecko-polska granica” i „polska mniejszość narodowa w Niemczech” opracowane zostały bardzo powierzchownie. Uderza również słabe wykorzystanie polskiej literatury emigracyjnej, szczególnie czasopiśmienniczej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jan KOWALIK

Czyniąc zadość życzeniu licznych P. T. Klientów, śpieszmy donieść, że już posiadamy do Ich dyspozycji płytę

MAZOWSZE

microsillon 33 obroty
wiązaną najpiękniejszych piosenek ludowych w wykonaniu słynnego chóru pod dyr. Tadeusza Segietyńskiego.

MAZOWSZE —

TO KAWALEK ŻYWEJ POLSKI W DOMU

Cena płyty wraz z przesyłką poleconą i ubezpieczoną:
We Francji — frs 1.100.

Zagranicą — dolarów 3.50, lub równowartość.

Do Belgii, Holandii, Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Luksemburga oraz na terenie Francji, płytę wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatną przy odbiorze. Do innych państw po uprzednim otrzymaniu należności, za pośrednictwem poczty „international money order” lub czekiem na jakikolwiek bank, wystawionym na „LIBELLA”.

Zamówienia wykonujemy odwrotną pocztą.

“ LIBELLA ”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4*

Telefon: DANton 51-09.

Metro: Sully Morland albo Pont Marie. Autobusy Nr 86 oraz 67.

Żądajcie naszych kompletnych katalogów
płyt oraz książek.

Książki

Filozofia gwałtu

Zagadnienie deformacji charakteru człowieka, występujące wskutek działania systemu społecznego opartego na ucisku i terrorze nie należy do najnowszych odkryć socjologii. Pewne postacie tego zagadnienia, występujące np. w przypadkach walk kastowych, klasowych, negrofobii czy antysemityzmu, od dawna już pojawiały się jako temat rozważań socjologów i psychologów. Dopiero jednak ubiegła wojna i bezpośrednio poprzedzające ją lata doprowadziły zjawisko ucisku społecznego do takiego natężenia i objęły nim takie masy grup społecznych, że zagadnienie to wysunęło się na jedno z czołowych miejsc tematyki socjologicznej, stając się zagadnieniem „palącym” zarówno z teoretycznego, jak i praktycznego punktu widzenia pedagogów, kryminologów, socjologów itp.

Do szeregu naukowych opracowań, które usiłują atakować różne aspekty tego, niestety wciąż jeszcze niedostatecznie zdefiniowanego zagadnienia przybywa obecnie obszerna i źródłowa praca Tadeusza Grygiera (*).

Książka dra Grygiera musi wzbudzać najwyższe zainteresowanie i stanie się dziełem, bez którego nie potrafi obyc się nikt, kto w przyszłości zechce zajmować się naukowo zjawiskiem ucisku społecznego. Jest ona oparta na materiale zebranym w czasie dwumiesięcznych studiów psychometrycznych, przeprowadzonych w roku 1946 na terenie południowej części amerykańskiego obszaru okupacyjnego w Niemczech nad liczną grupą uratowanych właśnie byłych więźniów hitlerowskich obozów eksterminacyjnych, byłych jeńców wojennych i wysiedleńców uwolnionych z niemieckich obozów pracy przymusowej, znajdu-

jących się pod opieką szeregu alianckich instytucji społecznych jako tzw. „displaced persons”.

Do szczególnych kwalifikacji autora należy nie tylko to, że mając za sobą studia prawnicze i kryminologiczne w Polsce, podjął studia socjologiczne na uniwersytecie w Anglii i badania o których mowa, przeprowadzał w ramach swej pracy doktorskiej, ale także i to, że badane zagadnienie poznał również i od innej strony, przeszedłszy sam poprzez obozy pracy przymusowej w Rosji Sowieckiej.

Planowana i wykonana jako rozprawa doktorska, praca dra Grygiera została w wydaniu książkowym znacznie rozszerzona, przez uzupełnienie materiału ściśle obserwacyjnego teoretycznymi spekulacjami psychologicznymi. Fakt, że autor wydaje się posiadać nieco przesadną ufność do teoretycznych koncepcji pomocniczej dla dyscypliny naukowej, jaką jest psychologia, nie umniejsza w niczym wartości jego źródłowego materiału obserwacyjnego. W zebranie tego materiału włożył on rzetelną i sumienną pracę, gruntowne opanowanie wybranej przez siebie metody i techniki badań socjologicznych, głęboką erudycję, wielki talent i prawdziwą pasję uczonego.

W wyniku swych starań ujawnienia mechanizmu przemian psychicznych wywołanych przez wpływ ucisku, autor dochodzi do wniosku, że metody społecznego terroru prowadzą do nieuchronnego wzrostu przestępczości, wywołując w indywidualnych psychikach tendencje agresji i oporu przeciwko jakimkolwiek postaciom kontroli społecznej. Równocześnie rozwija się poczucie osamotnienia, bezradności i winy. Wynikający stąd konflikt emocjonalny prawie uniemożliwia osiągnięcie jakiegokolwiek równowagi psychicznej.

Stąd, zdaniem autora, w społeczeństwach których system kontroli oparty jest na ucisku i terrorze rozwija się kultura niestabilizowana, kaleka i stale szarpana przez wewnętrzne kryzysy.

Książkę dra Grygiera angielska krytyka fachowa przyjmuje z dużym uznaniem, jako wybitny wkład do współczesnej wiedzy socjologicznej, a szczególnie kryminologicznej. Autor zdaje się traktować ją również, jeśli nie przede wszystkim, jako przyczynek do psychologii wychowawczej i polityki społecznej.

Praca ta pozostawia czytelnika pod wrażeniem wielkiej sprawności nowoczesnych metod badawczych w zakresie psychologii społecznej, oraz imponuje lotnością intelektualną autora. Nie jest to jednak lektura łatwa i właściwie dość trudno jest sobie wyobrazić dla jakich sfer czytelniczych ma być ona przeznaczona. Dla zawodowego psychologa lub socjologa książka dra Grygiera jest zbyt technicznie przeładowana materiałem nieistotnym, jak długie opisy stosowanych testów, ogólnie i dobrze znanych, jak dygresje natury opisowej, nie mające bezpośredniego związku z istotą prowadzonych badań itp. fragmenty, interesujące może dla szerszej warstwy czytelników, ale w rozprawie naukowej zbyt liczne i nadające jej objętość nieproporcjo-

(*) OPPRESSION. A study in social and criminal psychology. By Tadeusz Grygier. (Str. 362). Cena 28 sh. Routledge and Kegan Paul Ltd. London 1954. The International Library of Sociology and Social Reconstruction. Founded by Karl Mannheim. Editor W.J.H. Spratt.

nalnie wielką do zawartości. Z drugiej zaś strony, całe rozdziały podane są w terminologii ściśle fachowej, której treść jest oczywiście poza zasięgiem intelektualnym zwykłego czytelnika, nawet jeśli jest dobrze obznajmiony z popularyzacyjną literaturą psychologiczną. Na przykład podawanie zestawień statystyki psychometrycznej z zastosowaniem sprawdzianu „chi-kwadrat” (χ^2) stanowić musi nierozwiązalną zagadkę dla czytelników, wśród których trudno spodziewać się wielu, którzy by wiedzieli co znaczy „chi-dystrybucja” i jakie ma znaczenie „chi-sprawdzian”. To też jeżeli ma to być próbą napisania książki, która byłaby równocześnie rozprawą naukową, przeznaczoną dla specjalistów, oraz lekturą dostępną dla ogółu inteligentnych czytelników, interesujących się zagadnieniami socjologii, to trzeba wynik uznać za rozwiązanie niewłaściwe.

Konkluzje pracy, do których całe to olśniewające bogactwo naukowego aparatu socjologicznego prowadzi, sprawiają nie spodziankę swą nikłością. Nie tylko dlatego, że wydobyte przy pomocy skomplikowanej techniki badawczej wnioski mogą być i niejednokrotnie byłyby formułowane, nieomal identycznie, na podstawie zwykłych laickich obserwacji, ale że nawet stopień pewności tych wniosków fachowych nie przewyższa *de facto* pewności wrażeń i spekulacji bystrego laika. Ta oczywista dysproporcja pomiędzy potencjalnymi możliwościami naukowej techniki badań socjologicznych i nikłością pozytywnych konkluzji jest uderzająca. Warto by się może zastanowić, czy nie da się wykryć jej przyczyn.

Przede wszystkim jednak parę uwag, które się narzucają na temat testów psychometrycznych, stosowanych przez dra Grygiera. Dobór tych testów, aczkolwiek są one opisywane dość szeroko, nie jest w książce dostatecznie uzasadniony, a nie wydaje się całkiem szczęśliwy. Najpierw test „Otisa”. M. A. Otis opracował swe testy dla badania sprawności umysłowej dzieci amerykańskich. Argumentacje, uzasadniające stosowanie testów „dziecięcych” do osób dorosłych nie są dostatecznie przekonujące. Poza tym, dr Grygier, mimo opisu testu nie podaje który z trzech różnych testów Otisa stosuje. Można się tylko domyślać, że prawdopodobnie chodzi tu o tzw. „self-administering” test, lub jakąś jego odmiankę. Sprawa nie jest bynajmniej obojętna, gdyż stopień wiarygodności tych testów jest różny. Pomiając wszelkie teoretyczne zastrzeżenia jakie bardzo poważny odłam psychologów stawia przeciwko traktowaniu wyników podobnych testów jako miary „inteligencji”, sam wybór testu można by kwestionować. Dr Grygier zupełnie słusznie podkreśla, że nie mógł stosować testów wyrazowych, gdyż niejednolity poziom znajomości języka wśród badanej grupy odebrałby wynikom testu cechę porównalności. Niemniej, test Otisa operuje wizerunkami przedmiotów, z których wiele, acz powszednie dla dzieci amerykańskich, są bądź niezwykle, bądź po prostu nieznanne w użytku dla osób dorosłych z Europy środkowo-wschodniej. Test znormalizowany dla osób, mających pewien określony

stosunek do przedstawionych przedmiotów może być nie znormalizowany, lub wręcz niewłaściwy dla osób z innego środowiska cywilizacyjnego. To sprawia zresztą, że testy Otisa, dość popularne w Ameryce, nie są na ogół stosowane w Europie, a nawet w Wielkiej Brytanii. Prawdopodobnie odpowiedniejszy mógłby być np. test „mozaikowy” bardzo szeroko stosowany przed paru laty w armii i służbach pomocniczych Wielkiej Brytanii. Korelacja tego testu z czynnikiem inteligencji ogólnej („g”) oraz jego „wiarygodność” (reliability) przewyższają testy Otisa.

Dwa pozostałe testy stosowane przez dra Grygiera, mianowicie obrazkowy test Rosenzweig’a i test Murray’a, jak zresztą sam autor przyznaje, nie należą do zakresu testów diagnostycznych, ani też nie dają się łatwo dostosować do techniki psychometrycznej, wymagającej skomplikowanych interpretacji psychoanalitycznych. Interpretacje zaś takie są, niestety, zawsze bardziej pomysłowe niż ścisłe.

W rezultacie, badania dra Grygiera mogły dać wyniki odpowiednio do oceny, mniej lub więcej dokładnej, dwóch podstawowych czynników osobowości (charakteru), mianowicie B i E (według klasyfikacji Cattell’a. W dawniejszym systemie Spearmana czynnik B jest zwany „g”). Ponieważ zaś wszystkich rozpoznanych czynników podstawowych jest dwanaście (od A do L) przeto zebrane dane trudno jest uznać za dostateczne do pełnej oceny charakteru badanych osób. (Tym bardziej, że nie został określony żaden z czynników, których zależność od wpływu środowiska jest notoryczna, jak czynniki C, G, I, J lub K).

Uzupełnienie tych brakujących danych autor zastępuje skomplikowaną analizą psychoanalityczną, opartą głównie na wynikach testu Murray’a, a częściowo Rosenzweig’a i własnych wrażeń. Nie wchodząc w bliższe rozważania, czy takie dane mogą być dostateczną podstawą do rzetelnej analizy psychicznej, należy podkreślić że dr Grygier posługuje się wyłącznie analizą według systemu freudowskiego. W tym punkcie można zgłosić zdziwienie, jeżeli nie zastrzeżenie natury zasadniczej. Nie tylko dlatego, że koncepcja mechanizmu osobowości postulowana przez freudystów jest kwestionowana jako błędna zarówno przez myślicieli katolickich jak i przez marksistów, ale przede wszystkim dlatego, że z punktu widzenia psychologii naukowej jest to koncepcja i niewystarczająca i nieuzasadniona i nie jedyna. Jest to system postulatów i spekulacji jeden z wielu możliwych i bynajmniej nie wyróżniający się spośród innych cechą naukowej ścisłości. Wystarczy przypomnieć istnienie wcale żywotnych koncepcji psychoanalitycznych opartych na teoretycznych założeniach Junga, Adlera, Perlsa czy Pawłowa (refleksologiczna) aby wymienić tylko najważniejsze. Mogłoby być nawet interesującą rozrywką intelektualną przeanalizowanie danych zgromadzonych przez dra Grygiera w systemach koncepcji innych niż freudowska. Wnioski, jakie by z tych analiz wynikły muszą być odmiennie, niekiedy jak na przykład przy użyciu koncepcji refleksjo-

logicznych bardzo odmienne od tych, do jakich dr Grygier stara się czytelnika swej pracy przekonać.

Toteż trzeba uznać za usterkę części spekulacyjnej książki to, że autor nigdzie wyraźnie nie stwierdza, że posługuje się wyłącznie koncepcjami freudystów, że istnieją koncepcje inne i że wybór jego jest poparty jakąś przekonującą argumentacją.

Drugim punktem o bardziej jeszcze zasadniczym charakterze, który musi nasuwać wątpliwości jest traktowanie kulturalnego podłoża zjawisk społecznych. Tego punktu albo nie należało wcale poruszać, albo trzeba go było opracować gruntowniej. Wszystkie zjawiska stanowiące teren badań socjologicznych, łącznie, oczywiście, z tymi, których analizie poświęcona jest praca dra Grygiera, poza ich uzależnieniem od procesów psychicznych, są funkcjonalnie związane z tym, co nazywamy kulturą i cywilizacją.

Prawdą jest, jak dr Grygier stwierdza, że różni myśliciele rozmaicie, i nie zawsze zadowalająco, definiowali kulturę i cywilizację, nie jest to jednak dostatecznym powodem aby przyjmować oba te terminy za równoznaczne i używać je synonimicznie. Czy cywilizacja będzie pojmowana jako pewien aspekt kultury, jak chce Malinowski (między innymi), czy też odwrotnie, kultura jako pewien aspekt cywilizacji, jak wywodzi Weber, czy też jeszcze jakoś inaczej, to pojęcia te mogą i powinny być rozróżniane, gdyż bez takiego rozróżnienia liczne koncepcje socjologiczne ulegają beznadziejnemu zaciemnieniu.

Jasne jest, że kultura i cywilizacja to nie są zjawiska, czy procesy lub stany wyznaczalne empirycznie, lub postulowane konwencjonalnie, lecz są to koncepcje teoretyczne.

Koncepcje teoretyczne są w każdej nauce niezbędne aby nasze doznania rzeczywistości uporządkować w system, a przez to udostępnić dla ścisłego rozumowania. Fakt, że koncepcja kultury, czy cywilizacji może być definiowana rozmaicie nie zmienia teoretycznej wagi koncepcji. Podobnie koncepcją teoretyczną jest pojęcie atomu materii, czy grawitacji, nikt jednak nie zechce utrzymywać, że bez tych koncepcji można skutecznie badać rzeczywistość materialną. Koncepcje atomu, czy grawitacji mogą być i są również definiowane rozmaicie: atom, na przykład może być pojmowany jako grupa cząsteczek w pewnym układzie wzajemnych ruchów, albo też jako wiązka fal w pewnym systemie względnych częstotliwości; grawitacja jest definiowana jako przyczyna ruchów ciał materialnych, albo też jako charakterystyka (krzywizna) continuum przestrzenno-czasowego. Każda z tych definicji jakkolwiek są one różne, prowadzi do równie uporządkowanego i konsekwentnego systemu opisu rzeczywistości.

Podobnie koncepcje kultury i cywilizacji są niezbędne dla stworzenia konsekwentnego systemu socjologii, mimo że możliwe są różne tych koncepcji definicje. Mimo rozmaitości istniejących definicji nie ulega wątpliwości, że są to koncepcje różne, choć pozostające w jakimś stosunku zależności wzajemnej.

Unikanie zdefiniowania tych koncepcji, czy też konsekwentnego stosowania któregoś z istniejących systemów definicji niejako zawiesza całe rozumowanie w próżni. Zjawiska społeczne, występujące w badaniach dra Grygiera, jak opresja, terror, wolność, osamotnienie itd. mogą przybrać konkretną postać (nie psychologiczną, lecz właśnie socjologiczną) jedynie w formie funkcjonalnego związku z podstawowymi koncepcjami teoretycznymi kultury, lub cywilizacji, lub może obu razem. Jeżeli te nie zostały określone definicją, to i wnioski z badań muszą pozostać jedynie w formie zupełnych ogólników. Tu zatem leży przyczyna dysproporcji pomiędzy technicznym aparatem badań socjologicznych, a nikłością osiągniętych wyników, o której wspominaliśmy uprzednio. Dysproporcja ta może, choć nie powinna zamaskować znacznych wartości jakie praca dra Grygiera posiada, przede wszystkim w zakresie zgromadzenia danych obserwacyjnych o pierwszorzędym znaczeniu. Jej słabości w części spekulacyjnej są udziałem całej prawie współczesnej naukowej literatury socjologicznej. Można spodziewać się, że będzie to słabość przemijająca i że uczeni o tak szerokim przygotowaniu fachowym i tak wybitnym talencie jak dr Grygier zwrócą swą uwagę na teoretyczne podstawy socjologii, które od dawna już czekają na gruntowną rewizję.

J. HORZELSKI

Przewodnik amerykański

Napisana po francusku przez Johna Browna książka o literaturze amerykańskiej (*) cieszy się powodzeniem we Francji i otrzymała nagrodę Krytyki. Dobrze przyjęcie tłumaczy się zarówno tym, że książka odpowiada potrzebom jak i zaletami autora. Powieść amerykańska zdobyła rynek zachodnio-europejski, ale brak jest przejrzystych wprowadzeń w to, co można nazwać hierarchią znaczenia pisarzy. Co do poezji amerykańskiej, to znajomość jej w Europie pozostaje nikła, chociaż, jak słusznie zauważa Brown, jest ona dzisiaj być może bardziej interesująca niż powieść.

Zaletą Browna jest umiejętność jasnego określenia celu do jakiego dąży. Nie stara się pisać historii literatury, układa po prostu przewodnik, notuje pozycję poszczególnych pisarzy w obecnej chwili, świadomy, że każdy okres wysuwa na pierwszy plan inne wartości i inne nazwiska, że inaczej porządkuje również przeszłość. Swoją wiedzę przedstawia w skrócie, stąd lapidarność jego stylu. Wobec wielu uznanych nazwisk bezlito-

(*) John Brown. *Panorama de la littérature contemporaine aux Etats-Unis*. Gallimard. 1954.

sny, mówi co myśli, powstrzymując się od zbyt ogólnych sądów o „kryzysie cywilizacji”, który w amerykańskiej literaturze znajduje wyraz bardziej jaskrawy niż w jakiegokolwiek innej, co dobrze widzi. Czyli jego przewodnik daje pojęcie o tym jak na literaturę swego kraju patrzy inteligentny Amerykanin w roku 1954.

Z 648 stron książki, 334 przypada na „Wprowadzenie”, reszta na „Ilustracje”, czyli wybór tekstów poezji i prozy. Zaczynając od tła, Brown nie zapomina podkreślić znaczenia purytanizmu, bez którego klimat tej literatury byłby niezrozumiały. „Świat purytański — mówi — był to świat grozy, gdzie człowiek był sam w obliczu straszliwego Boga. Wraz z upadkiem wiary religijnej w XIX wieku, ów Bóg zniknął, ale groza człowieka, postawionego sam na sam ze swoim przeznaczeniem, jest większa niż kiedykolwiek. Pozostałości purytańskie wyjaśniają częściowo wagę jaką przywiązuje się do problemu zła, co jest tematem obsesjonalnym literatury amerykańskiej, i to u pisarzy tak różnych jak Herman Melville, Henry James czy William Faulkner”.

Wielcy poprzednicy w dziedzinie prozy to dzisiaj Mark Twain, do renesansu którego przyczynił się Hemingway (Twain jest dziś uważany za pisarza tragicznego, nie tylko za humorystę); Nathaniel Hawthorne; Herman Melville, wielbiony przez całe młodsze pokolenie (i obficie tłumaczony na języki europejskie; z zadowoleniem należy odnotować że jego „Moby Dick” ukazał się wreszcie w Polsce); Henry James, nazywany przez niektórych (może nieco przesadnie) Szekspirem powieści. Rozkład tendencji wspierających się na materializmie i scientyzmie XIX wieku a także zwiększenie wymagań artystycznych doprowadziły do znacznego obniżenia notowań takich pisarzy jak Frank Norris czy Teodor Dreiser, również ich następców, jak Upton Sinclair i Sinclair Lewis. Brown może niedostatecznie oświeśla sens tych dwóch faz w Ameryce — pierwszej od 1929 roku do lat drugiej wojny, kiedy to w wychowaniu wszechwładnie panował John Dewey a w literaturze niebezpiecznie było przyznawać się że nie jest się marksistą — i drugiej, obecnej — pod kątem komplikacji psychologicznych, wpływów Kafki i ucieczki do klasztorów to jest uniwersytetów. Obserwator z zewnątrz skłonny jest w licznych bzdurach, rzekomo głębokich, jakimi wielu młodych autorów amerykańskich spłaca dziś dług modzie, dopatrywać się skutku tamtej poprzedniej fazy: analiza społeczna była wtedy pojmowana za płytko, kto nie był naiwnie materialistyczny i postępowy bywał wyklęty przez krytyków, stąd dziś przerzucenie się w drugą skrajność. Impas twórczy w jakim znaleźli się dzisiaj pisarze tamtej fazy — Dos Passos, Steinbeck, Caldwell — co Brown słusznie odnotowuje — przypisać trzeba ich małej samodzielności myślowej — płynęli z falą a tej fali dzisiaj zabrakło.

Trzy dominujące postacie dzisiaj: Faulkner, Hemingway, Henry Miller. Wszyscy trzej pesymistyczni: n a d a — nicosć

Hemingwaya przezwyciężana przez wojnę, polowanie, twórczość; fatalizm Faulknera; „wizja w stylu Tertuliana” Stanów Zjednoczonych u Millera. Że ci właśnie autorzy zdołali zachować swoją witalność (Hemingway po słabej powieści „Across the river and among the trees” dał „The old man and the sea”) jest wymowne. Jest w nich bądź co bądź pochwała życia, element dionizyjski. Realizm socjologiczny zdaje się być bardziej podminowany nihilizmem (np. u Nelsona Algreny w jego powieściach o Polakach w Chicago czy u Normana Mailera). Powieść „problemowa” też przybiera na sile w Ameryce („The Outsider” Richarda Wrighta jest tu raczej ambitną porażką. Ta historia Murzyna który zmienia swoją tożsamość dzięki katastrofie kolejki podziemnej i wplątując się przez to w tryby fatalności morduje pięć osób — w tym jednego faszystę i jednego komunistę, dla symetrii, jako protest przeciwko tym co chcą panować nad człowiekiem — mogłaby być równa napięciem „Winie i karze” Dostojewskiego, ale jest przerysowana). W każdym razie chyba tylko stawiając czoło problemom współczesnym można wydostać się z zakłętą koła. Mówiąc to, należy wystrzegać się rozpowszechnianego błędu: przyglądania się powieści amerykańskiej jako „odbiciu społeczeństwa”. To nie jest powieść rosyjska ubiegłego stulecia, miejsce pisarza jest całkiem inne. Ton gorczy u pisarzy występuje stale od chwili rozpadu patriarchalnej Ameryki i początku rewolucji przemysłowej, ale równocześnie rośnie ślepy optymizm codziennego życia, towarzyszący potędze technicznej. Jak zawsze kiedy rozprawia się o Ameryce, grozi tu pułapka analogii które są zwodne i zdradliwe.

Brownowi da się zarzucić pewne pominięcia, które wiernie ilustrują obecną skalę wartości. Wspomina o Uptonie Sinclairze ale go nie omawia usuwając go pomiędzy autorów drugorzędnych. Za mało miejsca poświęca samemu z j a w i s k u Jacka Londona — choć surowy osąd jego dzieła jest trafny. Wreszcie, dostosowując się do europejskich czytelników, za mało uwzględnia humorystów. Czy np. O’Henry był całkowicie bez wartości?

Ogromne polepszenie się sytuacji poety (dyplom uniwersytecki za tom wierszy, instytucja „poetów rezydentów” na uniwersytetach które grają rolę dawnych dworów książęcych; stypendia) zbiega się z odwrotem od poezji „rdzenie-amerykańskiej” wywodzącej się z Whitmana i nigdy zresztą nie dorównującej Whitmanowi. Spomiedzy tych „rdzennych” ceni się dziś właściwie tylko Roberta Frosta. Wieloletnie burze i walki, awangarda „zbiegów do Europy” (T.S. Eliot, Ezra Pound) owocuują dzisiaj w intelektualnej, „trudnej” sztuce związków słownych, w której niewybaczalnym grzechem jest jakiegokolwiek pociąg do retoryki. Dwaj poeci szczególnie cenieni: Wallace Stevens i William Carlos Williams (tom prozy tego ostatniego, „In the American grain”, jest jednym z najlepszych utworów o przeszłości Ameryki i szkoda że nie znajdujemy próbki w antologii Browna). Z młodszych: Lowell, Shapiro, Roethke, Viereck.

Europejczyk ma skłonność do nieco innej oceny i tego momentu i przeszłości poezji w Stanach. Doceniając to, co się dzisiaj robi dla uściślenia środków wyrazu, szukałby wierszy bardziej krwistych i bezpośrednich. Nie zgodziłby się też może z odsunięciem w niepamięć pełną respektu takich autorów jak Edgar Lee Masters.

Dla teatru, a raczej jego żalosnej sytuacji (właściwie tylko New York) Brown ma ostre słowa. Tak samo dla dekadencji Hollywoodu. Nie zapomina również o kryzysie powieści (na listach best-sellerów ostatnio figuruje głównie non-fiction). Być może szczególną zasługą amerykańskich autorów jest rzeczowy styl dobrych reporterów zastosowany do wszelkich dziedzin doświadczenia, który sprawia że amerykańskie książki popularyzacji naukowej są najlepsze. I może zainteresowania raczej naukowe niż literackie czytelników (w tej formie Ameryka dojrzewa) świadczą, że nadziei szukają oni na pograniczu nauki i filozofii. „Odczuwa się wyraźnie, i w Stanach Zjednoczonych jeszcze bardziej niż w Europie, że świat nowoczesny wypracowuje *nowy model człowieka*, a tego modelu nie dałoby się określić wychodząc z założeń humanizmu pochodzenia grecko-lacińskiego, choć ten kształtował myśl zachodnią od Renesansu aż po koniec dziewiętnastego wieku. Konieczność *humanizmu naukowego* pojawia się wyraźnie w Stanach Zjednoczonych gdzie tacy uczeni jak Robert Oppenheimer, Norbert Wiener czy James Conant kładą podziękowania” — powiada Brown. Wiener — to twórca cybernetyki, a więc nowej nauki której nie dałoby się zamknąć w żadnej ze znanych dyscyplin.

Szkoda że książka Browna nie dotrze do czytelników w Polsce. Dałaby im ona sporo użytecznego materiału znacznie mniej apokaliptycznego niż książki do których są przyzwyczajeni.

L.

Kontrola polityczna

Teza doktorska młodego socjologa I. Gadourka (uniwersytet w Leydzie) „The political control of Czechoslovakia”, ukazał się jako pierwszy tom Library of the Czechoslovak Foreign Institute in Exile(*). Jesteśmy tutaj daleko od emocjonalności emigrantów i daleko od ich marzeń o powrocie do tego co było. Co prawda trudno pod chłodnymi zdaniami naukowca, budującego z mozołem swój aparat (samych przypisów źródłowych 40 stron) i rozpatrującego dzisiejszą Czechosłowację jakby chodziło o społeczeństwo Azteków, nie dostrzec uczuciowego ładunku. Ów ładunek nie ma jednak cech syntymentalno-wspomnieniowych. Przedmio-

tem jest dziś, a pióro wyrывa się w jutro, powstrzymuje się, hamowane wolą konkretnego. Ta właśnie walka jest ciekawa dla czytelnika i niektóre zdania w socjologicznym narzeczu (można co do niego mieć zastrzeżenia, na ogół jest tu pożyteczne jako kryształ załamujący promień) zawierają bogactwo spostrzeżeń wręcz zdumiewające. Najcenniejszą chyba częścią książki są rozdziały zajmujące się diagnozą chorób właściwych typowi omawianego społeczeństwa i ta diagnoza jest celna, a równocześnie wykazuje że instrumenty badań, tam, to jest w krajach wschodniego bloku dozwolone, są całkowicie niewystarczające.

Podstawę kontroli Gadourek widzi w małej grupie u samego dołu piramidy („face-to-face group”), a więc w komórce Partii, w Komitecie akcji, oddziale czy sekcji Związku etc. Członkowie tej małej grupy, poddani ścisłej obserwacji swoich kolegów w każdym szczególe ich osobistego życia, są rozszczepieni wewnątrz (poczucie wagi swojej osoby gdyż udział w dyskusji reżyserowanej i kierowanej daje złudzenie własnego wkładu; poczucie nicości swojej osoby przy zabieraniu głosu tylko w granicach z góry przepisanych). W tej grupie trzeba szukać przyczyn jednej z najgroźniejszych chorób systemu: apatii, jak też zjawiska samotności, które przybiera postać zamknięcia się w sobie, w drugim „ja”, aż do różnych typów mistycyzmu włącznie, albo rzutu się w praktycyzm. („To wszystko bzdury. Mnie obchodzi forsa, mieszkanie, kariera”). Gadourek, bardzo krytycznie odnoszący się do ekonomiczno-politycznego systemu krajów zachodnich, zestawia ten rodzaj samotności z izolacją jednostki na Zachodzie, w ogóle pozbawionej grupy, najczęściej nawet nie rozumiejącej procesów produkcyjnych w których uczestniczy. Grupa w Czechosłowacji decyduje o tym, że mamy tu do czynienia z czymś innym niż państwo policyjne: właśnie najmniejsza grupa (ci którzy są w niej i którzy ją nadzorują) dostarcza informacji przekazywanych w górę piramidy, w ten sposób aparat rozporządza bez porównania większą liczbą danych niż tam gdzie nadzór pozostaje wyłącznie w rękach policji. Racjonalizacja kontroli pozwala na określenie momentu, w którym należy uciekać się do pewnych słów i pojęć zaopatrzonych przez tradycję znakiem plus, a kiedy można je odrzucić (niszczenie legendy niektórych osobistości też może być poprzedzone stosowaną naukowo prowokacją, ta pozwala stwierdzać klimat psychiczny, np. według Gadourka tak postępowano zanim Benes został nazwany urzędowo reakcjonistą). Gadourek zdaje się być zafascynowany materiałem który bada, jest w nim pasja uczonego dla aparatu pod mikroskopem. Na pytanie o metody działania, odpowiada: „najpierw poznać i zrozumieć”. Z jego niedopowiedzeń wyłuskać można następujące przekonanie: jeżeli w Czechosłowacji odbywa się walka „nowego” ze „starym”, to „nowe” poddane jest ruchowi unoszącemu wszystkie ludzkie rzeczy i pełne zrozumienie mechanizmu (gdymy stało się udziałem większej liczby ludzi w nim zamkniętych) oznaczałoby że „nowe” przekształciło się z kolei w „stare”. Załączki z których może wyło-

(*) H.E. Stenfort Kroese N. V., 1953, Leiden.

nić się roślina rozsadzająca ciasną budowlę zawarte są w samym systemie (wprawa w organizowaniu pracy, oswojenie ludzi z książką, contra nieokreślony, celowo mglisty sens terminów „socjalizm”, „komunizm”).

Na dnie tych rozważań odkryje się inne zagadnienie: dotychczasowe środki kontroli jednostki, nawarstwiające się w ciągu wieków (religia, moralność, prawo) są niszczone, na ich miejsce przychodzi kontrola-aparat i używa podniet czy zakazów wciąż innych, dla realizacji celów które wymykają się wszelkiej kontroli. Pozostałoby zbadać bardziej wszechstronnie (Gadourek to tylko sugeruje) w jakim stopniu aparat, manewrując starymi wzorcami etycznymi jak marionetkami, przyczynia się do ich przetrwania, tak więc np. przejmujące opisy cierpień w obozach hitlerowskich mogą gruntować wstręt do wszelkich obozów, choćby te służyły rządzącym, obrona godności człowieka na papierze, zwrócona tylko przeciwko diabłu zachodniemu, może wzmacniać stare rozróżnienia dobra i zła. Tak samo wydawane w wielkich nakładach dzieła klasyków literatury odwołują się do sympatii jaką budzi szlachetność, przyzwoitość osobista i w kolizji z nimi pozostaje urzędowa gloryfikacja sędziów śledczych czy denuncjatorów. Nawet w malowaniu „wrogów” (Slanski, Clementis) na potworów dałoby się dopatrzeć trudności na jakie natrafia każdy kto wzorce etyczne traktuje tylko jako środek: musi się do nich odwołać żeby zabójstwo usprawiedliwić. Swojego czasu ktoś zwrócił uwagę na zbawienne skutki faryzeizmu: biali w krajach kolonialnych głosząc jedno, a robiąc drugie, byli jednak nieraz powściągnięci przez uznawane głośno normy. Podobnie użyte z wyrachowaniem hasła braterstwa, pokoju, szczęścia ludzi, podporządkowane maszyni która działa samoczynnie, wyłącznie według prawa potęgi i walki o potęgę, mogą obrócić się przeciwko niej w umyśle mas. Istotne niebezpieczeństwo groziłoby systemowi w takim wypadku ze strony tych którzy przeżywają hasła głęboko i szczerze. Analiza słowa drukowanego Czechosłowacji (czy Polski) z tego punktu widzenia byłaby przedsięwzięciem bardzo pouczającym.

I.

Slavistica

Niedawno sygnalizowaliśmy ukazanie się pierwszego tomu *Harvard Slavic Studies*, a już wyszedł drugi tom (I), poświęcony sześćdziesięcioleciu

(I) *Harvard Slavic Studies*, Managing Editor Horace G. Lunt, Associate Editors: Michael Karovich, Jacob B. Hoptner, Albert B. Lord, Wiktor Weintraub, Hugh McLean. Volume II. Harvard University Press, Cambridge, Mass. 1954. Stron VI + 390.

urodzin ks. F. Dvornika, wybitnego czeskiego historyka, znajdującego się obecnie w Ameryce, autora kilku podstawowych dla historii środkowowschodniej Europy książek, z których ostatnia *The Making of Central Europe* ukazała się w roku 1949. Większość prac w tomie poświęcona jest więc bądź problemom bizantyjsko-słowiańskim, bądź czeskim. Z polskich rzeczy warto zanotować, obok artykułu o Żeromskim Jana Lechonia, studium W. Weintrauba o „Spartakusie” Norwida i zwrotce onieginowskiej. Prof. Weintraub odkrył, że „Spartakus” napisany jest tym samym rytmem i zwrotką, co „Oniegin” Puszkina. Gdyby ograniczył się tylko do podania tego faktu, mielibyśmy jeszcze jeden przyczynkę wpływowolizmy. Wychodząc jednak z tego odkrycia, szkicuje on zdarzenia literackie, które do niego doprowadziły i nadaje temu drobniarzowi właściwe znaczenie. Oto w 1857 Lenartowicz został zaatakowany przez Klaczkę za napisanie słowianofilskiego poematu „Gładiatorzy”. Norwid miał dawne porachunki z Klaczką, ale — choć żył w przyjaźni z Lenartowiczem — uważał poemat za słaby. Klaczkę zaatakował również rytm Lenartowicza. Odpowiedzią Norwida było przejęcie tego rytmu w „Spartakusie” i ujęcie go w ramy zwrotki onieginowskiej. Norwid nie był słowianofilem, choć nie był też „zoologicznym rusofilerem”, toteż przejmując zwrotkę onieginowską zaznaczył w ten sposób swe uznanie dla Puszkina i dla tego co wartościowe w literaturze rosyjskiej, ale było to jedyne ustępstwo na jakie się zgodził, toteż w tekście poematu nie ma żadnych aluzji słowianofilskich.

Praca uczonego szperającego nad starymi tekstami miewa i chwile wytchnienia. Na kartach ksiąg spotyka się nie tylko traktaty filozoficzne, ale też notatki o charakterze lżejszym, jak choćby ta propozycja na rękopisie z XV wieku: *czaluje ty rogowsky w ryzc*, podpisana przez baccalaureata czyli bałakarza, stopień uniwersytecki odpowiadający dzisiejszemu magistrowi (2). Przeglądając rękopisy zajął się między innymi prof. Kot wynajdywaniem opinii, żartobliwych lub pogardliwych, które jedne narody Europy miały o drugich. Owocem tego jest studium „Old international Insults and Praises”, z którego wynotujemy kilka obelg i pochwał dotyczących Polski. Tak więc ów bałakarz podpisujący się tak nieprzyzwoicie na pięknym gotyckim rękopisie, przepisał też wielki poemat o wszystkich niemal narodach Europy, który tak mówi o Polakach:

*Quantum in Polonia copia de plumbo ac sale
Pulcra gens sed ebria in hoc facit male*

*(Ile jest w Polsce ołowiu i soli
Przystojny naród lecz pijacki, w tym źle czyni)*

Inny autor późniejszy chwali piękne Ślązaczki

*Silesitae amatores
His formosae sunt uxores*

ale twierdzi, że Polacy są *ad furandum valde proni* — wielce skłonni do kradzieży.

(2) Tak przynajmniej odczytał to prof. Kot: *czaluje ty rogowsky w ryzc baccala...* Ale myli się on sądząc, że rękopis ów nigdy nie był drukowany. Odkrył go już bowiem Brückner i ogłosił w roku 1895 w swym studium „Średniowieczna poezja łacińska w Polsce” (Rozprawy Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności, XXII, str. 56-62). Otóż Brückner odczytał ostatnie słowo *biccaka* czyli „byczaka”, co jest bardziej prawdopodobne, zwłaszcza że poprzedni wiersz brzmi *Explicit satira comica*, a więc mamy tu rodzaj rymu czy raczej asonansu (podobnie jak i wyżej: *Ludunt: retradunt*).

Zabawniejsze są formułki dające wzór piękności kobiecej: głowa z Czech, piersi z Francji, rączki z Brabantu, pieśń trubadurów (*minnen-sancn*, bo wierszyk jest po niemiecku) ze Szwabii, serce z Siedmiogrodu i... *ein ars von Polan*.

Inny, późniejszy tekst wynosi ironicznie Włochów za czystość obyczajów, Francuzów za stałość, Niemców za trzeźwość, Polaków za porządek (*propter bonum ordinem*).

Inny rodzaj wierszyków wyśmiewających rzekome cechy narodowe został przyjęty w Polsce i dostosowany do warunków lokalnych. Pisano więc:

*Castitas in Bavaria
Veritas in Silesia
Ruthenorum consilia
Pruthenorum homagia
Pons in Polonia
Formosa mulier in Ethiopia
Nihil valent omnia.*

*(Czystość obyczajów w Bawarii
Prawda na Śląsku
Radę Rusinów
Hołdy Prusaków
Most w Polsce
Piękna kobieta w Abisynii
Nic nie są warte).*

Pewien manuskrypt niemiecki wyraził to nieco drastyczniej:

*Ieiunia italica
Glosa iudaica
Merda valent omnia.*

*(Post włoski
język żydowski
g.... są warte).*

Ale nie-Niemcy przypisywali ogólnie lekceważenie postów właśnie Niemcom:

*Jako Polskie mosty
Tak Niemieckie posty...
Wszystko to blażeństwo.*

Albo też:

*Polski most, z Rakus żołnierz, Pruskie nabożeństwo,
Mnich czeski, Mniszka szwabska, Wszystko to blażeństwo.*

Obok mostu wyrzeka się jeszcze w Polsce na polski rząd:

Złe są rządy i złe drogi w Polsce, złe i mosty.

O sąsiadach też opinie były różne. Tak więc już w początku XVII wieku pisał:

*Moskiewskie słowo
Tureckie małżeństwo
Włoska wierność*

(Włosi byli w pewnym sensie spadkobiercami Bizancjum i odziedziczyli widać tradycyjną w średniowieczu opinię o „fides graeca”).

A Lubieniecki pisze nieco inaczej (zachowując „moskiewskie słowo” i „tureckie małżeństwo”):

*Włoskie Państwo
Kozackie Hetmaństwo
Węgierska służba
Żydowski Posag
Litewski Most
Niemiecki Post
Mazurska Biesiada
Podolskie Gospodarstwo
Nie stoją szeląga dobrego.*

Gdzie indziej znów mamy

*Cygańskie pomieszkąnie
Żydowskie swatanie
Moskiewskie słowo
Litewska panna
Ruski most
Niemiecki post...*

Prof. Kot zauważa, że złe mosty przesunęły się bardziej na wschód, zgodnie być może ze stanem faktycznym. O moskiewskim słowie mówiono też na pewno na podstawie autopsji. Czy również i obyczaje zmieniły się na Litwie pod wpływem Zachodu (przedtem oskarżano o rozpustę tylko Francuzów lub Włochów), nie odważam się sądzić.

W tomie IV Oxford Slavonic Papers ukazało się studium prof. Kota poświęcone opozycji przeciw papieżowi w latach 1557-1560. Opierając się na trzech odkrytych przez siebie drukach polskich z XVI wieku (jeden w Bodleian Library, drugi w Bibliothèque Nationale, trzeci w Bibliotece Narodowej w Warszawie) prof. Kot rekonstruuje wydarzenia związane z krytyką, jakiej podlegali polscy biskupi ze strony sympatyków Reformacji, głównie spowodowaną przysięgą na wierność papieżowi.

Na sejmie w 1559 roku H. Ossoliński zaatakował w imieniu szlachty biskupów jako zdrajców i agentów obcego mocarstwa. Dyskusja trwała dwa tygodnie, niewielka część biskupów skapitulowała reszta i złożyła przysięgę na wierność królowi, ale sam król nie stanął po stronie oskarżycieli, choć z drugiej strony zamianował biskupem kujawskim J. Uchańskiego (który uważany był za zwolennika reformy), mimo że papież odmówił mu zatwierdzenia. Uchańskiego wezwano do Rzymu przed Trybunał Inkwizycyjny oskarżając o herezję i grożąc, że o ile się nie zjawi, zostanie ekskomunikowany jako zatwardziały heretyk. Uchański odpowiedział w druku, występując dość ostro przeciw papieżowi i apelując do synodu. Poparł go wybitny publicysta (czy pamphletista) Orzechowski, który nie wahał się w swym pamphlecie nazwać papieża Diabłem rzymskim i wilkiem w owczej skórze. Wszystko to rozbudziło wielkie nadzieje wśród protestantów całej Europy. Uchański otrzymał nawet list od Kalwina i od teologów z Zurychu i kto wie jakby się skończyło, gdyby Rzym był w dalszym ciągu bezkompromisowy.

Na szczęście, papież Paweł IV zmarł, a nowy papież Pius IV wybrał drogę tolerancji, zwołując m. in. Sobór Trydencki. Zmieniono też i nuncjusza w Polsce, a nowy nuncjusz szybko doszedł do porozumienia z Uchańskim.

Za jego radą Rzym uznał w 1561 Uchańskiego biskupem kujawskim i choć ten nie zerwał osobistych stosunków z protestantami (jak np. Frycz), to jednak nie stawał już otwarcie po stronie reformy. Nowy nuncjusz „kupił” też Orzechowskiego. Na synodzie w 1561 Orzechowski wygłosił przemówienie broniące praw papieża a nazywając dla odmiany wilkami protestantów. Prof. Kot widzi jedną z przyczyn niepowodzenia Reformacji w Polsce w braku polskiego Cranmera, to jest biskupa o silnej indywidualności, który by otwarcie przeszedł na protestantyzm.

Prof. Kot drukuje, w dodatku na str. 56-70, trzy teksty, które odkrył i na których oparł swe studium. Niestety, transkrypcja tekstów polskich wywołuje duże zastrzeżenie. Prof. Kot opiera się na zasadach przyjętych przed przeszło 50-ciu laty przez PAU dla publikacji tekstów literackich. Ale o ile publikacja literacka może być dowolna, to publikacja naukowa tekstu z połowy XVI wieku powinna być możliwie dokładną kopią oryginału (o ile oczywiście nie zamieszcza się obok fotografii tekstu). Otóż prof. Kot tekst modernizuje, i to w sposób dowolny i, co gorsza, niekonsekwentny. Tak więc — sądząc po podobieństwie okładki, którą zamieszcza prof. Kot — tekst nie zna o kreskowanego. Mimo to prof. Kot modernizuje *kthory* na *kóry* (zapewne też *wilków* na *wilków*), ale zostawia słowa *prożnowanie*, *obrocieć*, *kościół*. Poprawia *tudziesz* na *tudzież*, ale zostawia *prętko*, choć i jedna i druga pisownia są dowodem, że autor (lub zecer) w pewnych warunkach wymawiał dzwignące spółgłoski bezdźwięcznie (tak jak wymawiamy dziś). Przykłady można by mnożyć. Wszystkie te niekonsekwencje sprawiają, że tekst jest nie do wykorzystania dla językoznawcy. Jest to więc sui generis egoizm historyka, zresztą nieraz szkodliwy i dla niego, bo na przykład przestudiowanie ortografii może nieraz dopomóc w zidentyfikowaniu jeśli nie autora to drukarni (każdy drukarz miał w tym czasie swoją ortografię). A właśnie broszurka przeciw Orzechowskiemu, którą przedrukowuje prof. Kot, spłonęła wraz z Biblioteką Narodową w 1944 i — jak pisze sam — notatki nie pozwalają na identyfikację drukarza. Ostatecznie można by machnąć ręką, gdyby chodziło tylko o te 10 stron druku, ale niestety zwyczaj modernizowania tekstów staropolskich jest rozpowszechniony wśród naszych historyków, prawników i nawet historyków literatury i każda okazja, aby z tym walczyć, jest dobra. Wiele tomów wydanych w ten sposób przed wojną jest straconych dla historii języka polskiego, bo nikt nie wyda przecież po raz drugi jakichś rozpraw sądowych czy rachunków z XV wieku.

(AV)

„Żydostwo Polskie”

Nakładem Centralnego Związku Żydów Polskich w Argentynie ukazuje się doskonała seria książek pn. „Dos Poiliszte Judentum” — „Żydostwo Polskie”. Wydawnictwo to, największe dziś bodaj na świecie w języku żydowskim, powstało w roku 1946. We wstępie do pierwszego tomu pt. „Malka Owsiani opowiada...”, czytamy:

„Zadaniem tej serii książek będzie zbliżenie szerokich mas czytelników żydowskich rozsianych po całym świecie do tych wszystkich problemów, które miały jakikolwiek związek z rozgromionym życiem żydowskim w Polsce.

Świadomy swej wielkiej odpowiedzialności za przeprowadzenie tego zadania, Centralny Związek Żydów Polskich w Argentynie dążyć będzie

do tego, aby wydawnictwo dało wszechstronny, ściśle obiektywny obraz Żydostwa polskiego we wszystkich jego poczynaniach w jakiegokolwiek dziedzinie społecznej, politycznej czy kulturalnej”.

Przyrzeczenia dotrzymano. Przed kilkoma tygodniami ukazał się setny tom tej serii (*) pióra Marka Turkowa, który był dziennikarzem i działaczem społecznym w Warszawie, w latach 30-tych sekretarzem generalnym Centralnego Komitetu Anty-hitlerowskiego, a obecnie jest niezmordowanym współpracownikiem i redaktorem tego wydawnictwa. W niełatwych warunkach materialnych Turkow potrafił dokonać wydawniczego cudu — zachować ciągłość, poziom i charakter tego zbioru. Warto podkreślić że przy tak absorbującej pracy Turkow potrafił jeszcze znaleźć czas na działalność pisarską, dziennikarską i społeczną we wszystkich ośrodkach żydowskich Ameryki Południowej. Obecnie jest kierownikiem biura Żydowskiego Kongresu Światowego w Buenos Aires. Dyrektorem administracyjnym wydawnictwa jest Abraham Mittelberg, który poświęcił się tej pracy bez reszty.

Seria „Dos Poiliszte Judentum” nie ogranicza się do rzetelnych wspomnień i opisów życia w „starym domu”. Obok monografii o Warszawie, Lwowie, Wilnie, Lublinie, miastach, miasteczkach, domach, znajdujemy tam tomy poezji oraz powieści zarówno nowe jak i przedruki starych, cennych, dawno już wyczerpanych utworów. Wspomnienia pisarzy, działaczy społecznych, aktorów, rewolucjonistów dają fascynujący wgląd w życie które minęło już na zawsze. Studia poświęcone pisarzom żydowskim (np. J.L. Perec), polskim (Dr Janusz Korczak), zbiory pieśni ludowych, opracowania socjologiczne. Znaczna część serii poświęcona jest okresowi wojennemu, martyrologii żydowskiej w okresie drugiej wojny światowej. A więc zbiory dokumentów zbrodni i męczeństwa („Martyrologia Dzieci”), sprawozdania, pamiętniki z obozów śmierci, z ghet, jak np. Jonasa Turkowa, znanego polskiego i żydowskiego aktora, który przeżył wojnę w ghetcie warszawskim: „Było to tak...”, Dr Hillela Seidmana „Dziennik z Ghetta warszawskiego”, Dr Filipa Frydmana „Oświęcim”, wojna partyzancka, np. Kaganowicza „Partyzanci idą”...

Ostatni tom Turkowa stanowi zbiór szkiców biograficznych. W szeregu rozdziałów, na szerokiej kanwie historycznej, przeplatanej wspomnieniami osobistymi, kreśli autor dzieje wybitnych rodzin żydowskich w Warszawie. Oto Eigerowie, wielka, bogata rodzina wywodząca się od rabina poznańskiego Akiby Eigera (1761-1837), znakomitego talmudysty i duchowego przywódcy żydostwa środkowo-europejskiego. Drugie, trzecie pokolenie zupełnie już spolonizowane, zasymilowane, w większości katolickie, chociaż tu i ówdzie przebija jeszcze ślad żydowskości, czy to w działalności charytatywnej, czy polityczno-społecznej. Konsulowa Diana Eiger, czynna i ofiarą działacza społecznego, zmarła w nędzy i zapomnieniu, ukrążyła po „aryjskiej stronie” w czasie okupacji w Warszawie. Inż. Antoni Eiger, czynny w akcji bojkotowej w latach 30-tych skierowanej przeciwko reżymowi hitlerowskiemu, który jako oficer W.P. znalazł się w Kozielsku i został zamordowany w Katyniu. Kuzyn jego, Stefan Eiger-Napierski, pisarz, poeta, tłumacz, redaktor „Ateneum” zabity w roku 1940 w Warszawie. Ostatni przedstawiciel tej rodziny, Karol, znajduje przystań i schronienie

(*) Mark Turkow: „Di lecte fun a grojsn Dor” — „Ostatni z Wielkiego Pokolenia”, nakładem Centralnego Związku Żydów Polskich w Argentynie. Buenos-Aires, 1954.

w Szkole Jezuickiej w Bogocie. Od talmudysty poznańskiego do jezuickiego nauczyciela...

Oto rodzina Wawelbergów. Od bogatego kupca warszawskiego, Hersza poprzez synów Hipolita i Samuela, milionerów petersburskich, patriotów polskich, działaczy pozytywistycznych, szczerych fundatorów społecznych, aż do wnuka, Wacława, cichego, ofiarnego społecznika, kontynuującego tradycję rodzinną. Żyjący wspomnieniami wielkiej przeszłości, sterany poniewierką sowiecką, zmarł w kwietniu tego roku w Sao Paulo. W szkicu o Wawelbergach wspomniana jest bolesna sprawa „ghetta ławkowego” na Wyższej Szkole Technicznej im. Wawelberga i Rotwanda, która odbiła się głośnym echem w latach poprzedzających drugą wojnę światową.

Rodzina Toeplitzów. Założyciel Teweł Toeplitz, który przybył do Warszawy w pierwszej połowie XIX wieku i uzyskał monopol na handel...koszernym mięsem, wzbogacając się na tym niepomniernie. Syn jego, wychowany w Instytucie marymonckim, był jednym z założycieli polskiego przemysłu cukrowego, pierwszego bodaj założonego na zasadach wielkokapitalistycznych. Drugie i trzecie pokolenie kompletnie już zasymilowane, katolickie. Dziwną koleją losów w rodzinie Toeplitzów ścierały się równomiernie dwa prądy: wielkokapitalistyczny i... socjalistyczny. Turków przypomina wydarzenia z lat 20-tych o zabarwieniu naprawdę komediowym. Teodor Toeplitz, znany działacz P.P.S. i Związków Zawodowych, współpracownik „Robotnika”, ławnik warszawski miał syna, Leona, studenta Uniwersytetu warszawskiego, komunistę. Osadzony w więzieniu za działalność wywrotową, Leon odmawia repatriacji do Z.S.S.R., tłumacząc się że jest komunistą polskim, ideowym i bezpartyjnym, a nie rosyjskim. Po kilku miesiącach zostaje zwolniony z więzienia dzięki interwencji swego wuja, brata Teodora, wielkiego bankiera włoskiego, który osiedlił się w Mediolanie, był poplecznikiem faszyzmu i negocjował cały szereg pożyczek międzynarodowych dla Polski.

Bergmanowie. Sebastian-Szabatai Bergman, przybyły do Warszawy z jakiegoś małego miasteczka litewskiego, był jednym z założycieli Wielkiej Synagogi na Tłomackim, spalonej przez Niemców w przededniu wybuchu powstania w getcie w kwietniu 1943 roku. Zarówno Sebastian, jak i żona jego, pochodząca z Pińska, mówili po polsku ze wstrętnym „litwackim” akcentem, ale mimo to byli gorącymi patriotami i szermierzami polonizacji życia żydowskiego w Polsce. Mała dygresja. Dzienniki antysemickie wytykały Żydom zawsze „litwaków”, tj. Żydów przybyłych do Polski z terenów rosyjskich, którzy w pierwszych latach swego pobytu używali jeszcze języka rosyjskiego (obok oczywiście żydowskiego) w mowie i potocznej. Spośród nich jednak rekrutowali się w następnym już pokoleniu, a często i w pierwszym, najgorętsi patrioci mowy polskiej. Dość powiedzieć, że Julian Tuwim należał do drugiego pokolenia rodziny litwackiej, osiadłej w Łodzi. Synowie Bergmanów należeli do czynnych działaczy asymilatorskich, zwłaszcza Leon, legionista i pilsudczyk, który jeszcze w latach 30-tych próbował wskrziesić zupełnie już zamarły polityczny ruch asymilatorski w wyborach do gminy wyznaniowej w Warszawie.

A oto Szereszewscy, Dawidsonowie, Zeitlinowie — nie wymienię tu wszystkich ciekawych osobistości, wypadków wesołych i smutnych, tragicznych i rzewnych, burzliwych, jak burzliwą była historia Żydów polskich. Cóż pozostało?

Historyk polski, który zajmie się kiedyś w sposób poważny i obiektywny historią Żydów polskich znajdzie w serii „Żydostwo Polskie” wiele materiału o dużej wartości historycznej.

P. GLIKSON

“Polonia Restituta”

Pod tym patetycznym tytułem ukazał się artykuł pióra Graeme Shanklanda w kwietniowym wydaniu *The Architectural Review*, jednego z najstarszych i najbardziej reprezentacyjnego angielskiego pisma architektonicznego. Artykuł ten, będący reportażem z podróży autora do Polski, zawiera sporo ciekawych wiadomości na temat odbudowy kraju, jest przy tym na łamach tego pisma zjawiskiem niezwykle, gdyż *Architectural Review* nie jest wolna od tak powszechnej u Anglików cechy snobizmu i reprodukuje tylko prace „architektów uznanych” i krajów, które mają ustaloną reputację w świecie architektonicznym zachodnim. Polska — szczególnie dzisiejsza — do takich krajów nie należy, to też w tym wypadku głównym motywem zainteresowania wydaje się swoisty egzotyzm przedmiotu, co też wynika z wstępnych słów autora: „Miasta Polski podobnie jak innych zacofanych krajów Europy środkowej i wschodniej pozostających tak długo pod panowaniem Romanowych i Habsburgów leżą poza utartymi szlakami wielkiej turystyki — wzgardzone przez Baedekera i Bannistera Fletchera. Nic też dziwnego, że piękno ich bajecznej architektury mało jest znane za granicą”. Dalej autor wspomina o zniszczeniach, jakim Polska i Warszawa ulegały w swojej historii, szczególnie najnowszej, po czym przechodzi do opisu obecnych prac rekonstrukcyjnych: „Co roku z okazji święta narodowego (mowa o obowiązującym obecnie święcie 22-go Lipca) nowa część zrekonstruowanej stolicy formalnie ofiarowywana jest narodowi. Może nią być nowe zupełnie założenie jak Plac Konstytucji wykończony w 1952 roku, albo wspaniałe zrekonstruowany fragment architektury historycznej, jakim był oddany do użytku w 1953 roku rynek staromiejski”. Fasady kamieniczek, które otaczają ten plac odbudowano ściśle według pierwotnych wzorów. Posiadają one jednak unowocześnione plany, a w swych malowniczych poddasznych facjatkach mieszczą pracownice artystów. Wiele kamieniczek ozdobiono popularną tu techniką sgraffito.

Następnie autor mówi z uznaniem o odbudowie historycznych ulic Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata, gdzie zachowano wiernie pierwotną ich architekturę 18-go i 17-go wieku i o sposobie w jaki rozwiązano zagadnienie skrzyżowania tej arterii ze szlakiem WZ drogą podziemnego tunelu.

Warszawa — kontynuuje — posiada również swoje wielkie budowle neoklasyczne. Jednym z najwybitniejszych spomiędzy nich to Teatr Wielki, zabudowany wedle projektu Corazziego. Obecnie odbudowa jest w pełnym toku i odbywa się wedle planów prof. Pniewskiego. Rysunki te autor artykułu oglądał w pracowni profesora i na ich podstawie ocenia przyszły Teatr Wielki jako „budowlę imponującą i oryginalną”. Z artykułu dowiadujemy się również, że na warsztacie Pniewskiego znajdują się plany nowego gmachu sejmowego — rzecz mnie osobiście dotychczas nieznana. Szkoda, że autor nie podaje żadnych szczegółów położenia i architektury tego gmachu.

„Falszywy byłby jednak wszelki opis odbudowy Polski, który sprawiałby wrażenie, że prace na wielką skalę wykonywane są jedynie w Warszawie. Poza nowymi zupełnie miastami jak Nowa Huta i Nowe Tychy (?) duże prace prowadzone są przy odbudowie wielu najwybitniejszych budynków historycznych Polski, jak średniowieczny ratusz we Wrocławiu, renesansowy ratusz i zabytkowe domy w Stargardzie na Pomorzu, odbudowa ulicy Długiej oraz piętnastowiecznego ratusza w Gdańsku, z jego smukłą wieżą wyjętą jakby z bajki i ukoronowaną statua króla Zygmunta założyciela polskiej floty handlowej”.

Dalej autor mówi o niezliczonych kościołach, które uległy zniszczeniu w czasie ostatniej wojny na obszarze całej Polski. Spomiędzy tych 500 całkowicie odbudowało, względnie orestaurowało Państwo. Wszystkie oddano do użytku kościoła katolickiego „gdyż w oczach Ministerstwa Kultury i Sztuki nie zmniejsza to ich wartości jako cennych przykładów kultury narodowej”.

Shankland kończy refleksją, że „Dla wielu musi wydać się paradoksalne, iż Państwo, które tak radykalnie zerwało ze swoją bezpośrednią przeszłością, poświęca tyle starania i środków dla utwierdzenia swej historycznej kultury, odzwierciadlonej w starych kościołach, pałacach, pomnikach i domach miejskich. W Polsce dzisiejszej nie akceptuje się teorii, że nowe potrzeby i idee wymagają całkowitego zerwania z tradycyjnymi środkami ekspresji... Czy oznacza to, że nowa Warszawa zamienia się w martwe muzeum historycznych rekonstrukcji i nowych naśladownictw przeszłości?” Na to pytanie autor nie daje żadnej odpowiedzi — przypuszczalnie z tej przyczyny, że mimo optymizmu z jakim odnosi się do współczesnej Polski nie wypadłaby ona całkiem zadawalająco. Faktem jest bowiem, że dzisiejsze Państwo nie tylko stara się odtworzyć pomniki przeszłości, co w pełni zasługuje na uznanie, lecz współczesną architekturę wtłacza w wąskie ramy historycyzmu narzucone z zewnątrz. Przykładem oddziaływania tych wpływów mogą być losy tzw. „Powszechnego Domu Towarowego” w Warszawie. Projekt na tę budowę wybrany został w wyniku konkursu powszechnego w roku 1948, a więc w okresie kiedy istniała jeszcze względna swoboda w tej dziedzinie. Był to projekt o koncepcji śmiałej i zdecydowanie zachodniej, choć mogący budzić pewne zastrzeżenia z punktu widzenia polskich warunków klimatycznych. W czasie kongresu architektonicznego w Warszawie spotkał się on z bardzo ostrym potępieniem ze strony rosyjskiego delegata Własowa, który wyraził się o tym budynku jako o „bezdusznym szklanym pudle”. Odtąd był on wielokrotnie krytykowany w polskiej prasie zawodowej, a niektórzy gorliwcy zaczęli się nawet zastanawiać nad tym „co robić z budynkiem P.S.T.”. Pewnego dnia możemy więc dowiedzieć się, że „ozdobiono” go korynckimi kolumnami lub przebudowano w stylu tak popularnej dziś w Polsce architektury 18-go wieku.

Tych cieniów współczesnej architektury polskiej autor zdaje się nie widzieć. Przeciwnie mówi o nowych gmachach Warszawy, że „są oryginalne i posiadają duże walory architektoniczne” i zastanawia się nad tym, dlaczego tak mało dotychczas wzbudziły zainteresowania na Zachodzie.

Graeme Shankland nie po raz pierwszy zajmuje się architekturą i sztuką z żelaznej kurtyny. Sprawy te stanowią od dawna przedmiot jego zainteresowań w tej dziedzinie może uchodzić za eksperta wśród architektów

angielskich — dodajmy eksperta, którego stosunek do tych zagadnień podobny jest do tego jaki p. Attlee zajmują w sprawach politycznych. Brał on między innymi pośredni udział w kontrowersji jaka wynikła w latach 1947-1948 między redakcją *Architectural Review*, a trzema architektami sowieckimi, którzy w piśmie tym ogłosili artykuły na temat prac rekonstrukcyjnych w Związku Sowieckim. Epilogiem tej polemiki był obszerny artykuł Shanklanda w którym jako „strona trzecia” starał się wyjaśnić sowieckie poglądy na sprawy sztuki i architektury, cytując gęsto rosyjskich teoretyków i przewodców politycznych.

Reportaż Shanklanda z Polski ilustrowany jest rysunkami P. Hogartha i nielicznymi fotografiami. Hogarth jest rysownikiem o dużym wyczuciu historycznych form architektury i wyrobionej technice. Posługuje się on głównie piórkiem i tuszem i za pomocą tych prostych środków daje interesujące impresje gotyckiej architektury kościoła Mariackiego w Krakowie, warszawskiego rynku staromiejskiego, ulicy Długiej w Gdańsku z rusztowaniami kamieniczek w odbudowie na pierwszym planie i wieżą ratuszową w tle, sylwetki Warszawy z wybrzeża praskiego itd. Swoje uliczki, place i zaułki zaludnia typowymi postaciami ludności miejskiej, co bardzo dodaje im atmosfery lokalnej. Szkoda, że obraz jest jednostronny i ogranicza się wyłącznie do architektury zabytkowej i historycznej. Ilustracje nie ukazują ani jednego z nowoczesnych budynków, o których Shankland wyraża się z takim uznaniem.

Stanisław PIOTROWSKI

“Ślad bosej nogi”

Trzecia z kolei książka Tadeusza Zajączkowskiego (*) zasługuje na życzliwą uwagę przede wszystkim dlatego, że stanowi pierwszą na emigracji próbę epickiego ujęcia polskich przeżyć wojennych z lat 1939-1945 i to na wielkiej przestrzeni od Wilna poprzez Rosję, Persję, Irak i Palestynę aż do Włoch. W swych reportażach i wspomnieniach *Od Ostrej Bramy do Ósmej Armii* zanotował Zajączkowski ważniejsze wydarzenia na tym szlaku, obecnie spróbował ująć je powieściowo. Pod względem zakresu czasowo-przestrzennego niezwykle ambitny zamiar artystyczny autora porównać można tylko ze słabymi skąd inąd *Najeźdźcami* Jana Dobraczyńskiego. Z pisarzy emigracyjnych nikt dotąd nie odważył się na coś podobnego, choć powstało poza krajem przynajmniej kilka autentycznych powieści wojennych, by wymienić

(*) Tadeusz Zajączkowski. *Ślad bosej nogi*, powieść. Biblioteka Polska, Veritas, Londyn, 1954, str. 256.

tylko *Zmowę nieobecnych* M. Kuncewiczowej, *Tyfus, teraz słowiki* Mariana Czuchnowskiego, czy *Sprawę Józefa Mosta* H. Naglerowej.

Drugi powód, uzasadniający jak najzyczliwsze zajęcie się książką Zajączkowskiego, to rzadka uczciwość autora w poszukiwaniu przyczyn naszych klęsk i upadków, to czysta atmosfera utworu i jego znaczne tendencje, w treści swej z pewnością bliskie każdemu myślącemu i czującemu chrześcijaninowi. Cokolwiek by się powiedziało o artystycznym poziomie książki Zajączkowskiego, każdy przyzna, że lektura pozostawia wrażenie obcowania z człowiekiem szlachetnym, bezinteresownym i szukającym swej prawdy w gmatwaniu twardego — czasem silnego i wielkiego, częściej podłego życia.

Pierwszy ślad „bosa noga polskiego żołnierza” (o której pisał Żeromski) w książce Zajączkowskiego zostawia w kawiarni Rudnickiego w Wilnie w roku 1940. Utwór zaczyna się ciekawie i w atmosferze powieściowej. W opisach pierwszych rozdziałów autor tu i ówdzie błyska trafnymi metaforami — czytelnik zdaje się wchodzić w aurę fikcji powieściowej i w tok rzetelnej prozy, wykazującej wprawdzie wpływy Żeromskiego (ciągnące zresztą nad większością polskich prozaików), ale żywy i obiecujący.

Niestety, dalsze partie utworu przynoszą rozczarowania, a w połowie książki staje się jasne, że mamy do czynienia nie z powieścią, lecz ze zbeletryzowanym reportażem, tak bujnie rozrosłym w całej powojennej literaturze polskiej. Także faktura dzieła psuje się wyraźnie w drugiej połowie. Nie jest chyba przypadkiem, że pierwsze potknięcia i błędy językowe pojawiają się dopiero na stronie 164 („gdybyż to tak mogliśmy strzelać”), by potem zagęścić się trochę niepokojąco („przysłuchuję się DO terkotu szmajsera” — str. 176, albo „Szałajda sapał *astmicznie* — zamiast *astmatycznie* — str. 215).

Ślad bosej nogi nie posiada integralności wizji będącej bodajże główną *diferentio specifica* powieści. Nie jest to świat sam w sobie, świat fikcji, zorganizowanej przez autora według jakiejś uchwytnej zasady. Kompozycja utworu jest luźna, wymyka się spod oceny — obawiam się, że wymknęła się samemu autorowi. Nie wiadomo dlaczego pewnym etapom swej akcji (jak np. okresowi rosyjskiemu — z najlepszym bodaj w książce opisem śmierci starego Pauszy) poświęcił bardzo mało miejsca, inne zaś nieproporcjonalnie rozbudował. Technika rzutowania wstecz — przeważnie zręczna, miejscami pomysłowa — zdaje się lubować w samej sobie. Tak np. charakteryzując swego radcę Wykrętka autor wsadza obszerny *passus* o jakichś profesorach w Kołomyi — zupełnie niepotrzebny w toku utworu. Poszczególne wątki i osoby pojawiają się i giną bez spięć, czy jakichś zakończeń pozostawiając tzw. frendzle (Oszkallo, Wykrętek, Galwasiński). Brak celowych a w każdym razie w pełni przekonujących odształceń i kondensacji — bez czego nie ma prozy artystycznej ani sztuki powieści.

Nie mając kręgosłupa powieściowej konstrukcji, utwór Za-

jączkowskiego wykazuje wszystkie cechy tzw. pseudopowieści: nadmiar publicystyki i komentarza odautorskiego (często niezręcznie wkładanego w usta bohaterów), reportażowość polegająca na dosłownym wyzyskiwaniu wszelkiego materiału faktycznego, jaki autorowi wydaje się ciekawy, szkicowość, ogólnikowość i płaskość postaci i sytuacji. By nie być gołosłownym przytoczę tylko dwa przykłady sięgania żywcem po materiał własnych przeżyć. Opisując wspomnienia Zbyszka Pauszy autor każe mu pamiętać w Warszawie (w sklepie na Świętokrzyskiej) jakiś rosyjski hełm wojskowy (zresztą nikomu tu niepotrzebny), którego bohater, urodzony w roku 1920-1923 nigdy nie mógł tam widzieć — choć widział go na pewno autor, pamietając zapewne czasy rosyjskie. Na str. 215 — w utworze, w którym każdy bohater ma określone nazwisko — pojawia się nagle oficer oświatowy „porucznik-profesor M.” — z pewnością wierna kopia niesympatycznego autorowi (i recenzentowi) osobnika. Ale dlaczego nie dano mu nazwiska — choćby „Makowski”, czy „Matkowski”?

Nieraz zastanawiałem się nad przyczynami powstawania pseudopowieści. Czy winien tu brak dystansu? Czy nieumiejętność wyjścia z siebie i spojrzenia na rzeczywistość oczami innych ludzi? Czy nadmierna chęć pouczenia — tam, za kurtyną, propagandy, tu — pedagogiki? Czy lęk przed odkształceniem, kondensacją, tasowaniem i tworzeniem nowych faktów, nowych — prawdziwszych, bo syntetycznych — ludzi? Czy fałszywy wstyd pisania prostych i szczerých pamiętników i chowanie się za pseudoboherów? Czy wreszcie z gruntu fałszywe mniemanie o tak wielkiej ekspresji samego życia, że nie warto, czy nie podobna zagęścić go fikcyjnym przedstawieniem? (Celowo abstrahuję tu od siły talentu, bo pseudopowieści pisali i piszą także ludzie utalentowani — jak sam autor *Bosej nogi*, jak Gustaw Morcinek, czy nawet Ksawery Pruszyński, albo Żukrowski.)

Myślę, że działają tu po troszę wszystkie wymienione przyczyny, ale najgorszy jest rak dziennikarstwa i publicystyki. Gdyby ktoś chciał spisać księgę zbrodni dziennikarskich przeciw literaturze — byłaby to praca olbrzymia i przerażająca. Pisarze zapominają, że ich zadaniem jest *pokazanie* ludzi i zdarzeń, a nie ich komentowanie. Gdyby Zajączkowski zamiast rozwlekle narzekać na zachowanie się Polaków w więzieniach sowieckich, albo wkładać w usta szofera Buły najśluszniesze zresztą, ale dość jałowe tyrady o demoralizacji tyłów wojskowych we Włoszech — po prostu pokazał jedną celę więzienną albo jedną pijaną „Pestkę”, czy jednego ohvdnego kombinatora, wtedy spełniłby poprawnie zadanie powieściopisarza.

Nie znaczy to, by autor nie pokazywał tego i owego lub nie usiłował pokazać. Owszem, próbuje to czynić, ale zwykle zadawała się jednym czy paroma krótkimi nie zawsze elastycznymi obrazkami, a najważniejsze sprawy i problemy załatwia w rozmowach bohaterów. Jest to lepsze od bezpośrednich komentarzy odautorskich, bardziej „literackie”, ale jeszcze nie powieściowe.

Gdy mowa o „literackości” i wpływach literackich — to trzeba powiedzieć, że u Zajęczkowskiego jest ich aż za wiele. Nie wydaje mi się, aby wystarczyło powołać się na Leona Bloy, albo przytoczyć słowa Wyspiańskiego, Wierzyńskiego, czy Berenta, by osiągnąć oryginalność i zbliżyć się do artystycznej i myślowej prawdy.

Prawda, o którą chodzi Zajęczkowskiemu, jest mi sympatyczna i bliska, lecz autor wypowiedział ją nieśmiało, jakby wstydlawie, z niedomówieniami i nadmierną dyskrecją dziewiętnastowiecznego liberała, czy indyferenta religijnego, który już doszedł do przekonania, że tylko chrześcijaństwo daje treść i sens życiu, ale jeszcze nie umie, czy boi się stanowczo to powiedzieć. Tej postawie autora odpowiada oleodrukowa, grzeczna i gładka, ale nieżywa postać świątobliwego księdza Lelka. Tej niepewności, czy „wypada” mówić o sprawach religijnych (co nie uchybia głębokości przekonań autora, której nie kwestionuję) odpowiada też mgliste zakończenie powieści.

Wszystkie te uwagi nie zmieniają faktu, że Zajęczkowski pierwszy na emigracji podjął odważną próbę szerokiej epiki wojennej, że nie cofnął się przed surową i miejscami udatną krytyką ciemnych stron życia wojska na obczyźnie, a nawet przed — już bardziej nieśmiały — postawieniem pytań w rodzaju: „czy potrzebne było Monte Cassino?” Etapami w rozwoju literatury mogą być nie tylko osiągnięcia, ale i próby, choćby nieudane. Za podjęcie takiej rzetelnej próby należy się Zajęczkowskiemu szacunek i wdzięczność.

Pod względem technicznym *Ślad bosej nogi* nie stanowi najlepszej pozycji Veritasu. Doskonała i wyrazista jest natomiast barwna obwoluta Zygmunta Turkiewicza. Oby więcej takich okładek na polskich książkach!

J. JASIEŃCZYK

Notatki wydawnicze

Grudzień, miesiąc paryskich nagród. „Prix Goncourt” przypadł Simone de Beauvoir za „Les Mandarins”, które omawiałem w zeszłym numerze. Jakikolwiek by się miało zastrzeżenie co do stylu p. de Beauvoir, co do ściśle „literackich” zalet jej powieści, nie ulega wątpliwości że jest to najbardziej ważką książką wydaną w roku 1954. Tylko że Edmond de Goncourt żądał w testamencie aby nagrodę przyznawano „młodości, oryginalności talentu, nowym i odważnym doświadczeniom myśli i formy”. „Les Mandarins”, ciekawa i inteligentna książka, pierwszorzędnego swia-

dektwo, nie spełnia ani jednego z tych warunków... Za jednym zamachem Akademia Goncourt wybrała następcę Colette: jest nim Jean Giono, niewątpliwie jeden z najlepszych powieściopisarzy francuskich. Giono po wojnie odnowił się zadziwiająco. Jego dawne powieści, to pean na cześć śródziemnomorskiej ziemi, Knut Hamsun wśród oliwnych drzew i winorośli. Idealny bohater przedwojennych powieści Giono — to stary Gustave Dominici, „patriarcha” z Grande Terre. Po wojnie, w „Le Hussard sur le Toit”, Giono podjął tradycję Stendhala. Już przez dwie powieści prowadzi on swego Angela, potomka Fabrizia del Dongo. Tym razem sceptycyzm, elegancja, siła, poezja sceny, wyczelowany styl — rzadko się zdarza aby jeden pisarz dał tak odmienne i tak udane dwa „dzieła”.

„Prix Renaudot” przyznano Jean Reverzy za *Le Passage* (Juillard, 1954). Książka lekarza, o lekarzach, ale bynajmniej nie „świadektwo”. Reverzy jest literatem, interesuje go słowo i to co można słowem przekazać. „Prix Goncourt” przypadł książce w której „literatura” służy myśli i etyce. „Prix Renaudot” przywraca równowagę w kierunku literatury „czystej”.

Prawie nic się nie dzieje w tej powieści. Umierający człowiek powraca z wysp Pacyfiku. Mówi o nich swemu lekarzowi. Gorycz agonii, uciekającego życia i obrazy „wysp szczęśliwych”, pięknych i łagodnych kobiet, zatrutego czaru. Jakby marzenie Baudelaire’a: *Là, tout n'est qu'ordre et beauté, luxe, calme et volupté...* widziane przez odwrotną, oddalającą stronę lunety. Mit podróży, egzotyki, „raju ziemskiego”, przerzucony w przeszłość i przez to samo unicestwiony, rozbity na ten szereg nic nie znaczących chwil z których składało się życie. A teraz i życie się kończy...

Nigdy przyznanie wielkiej nagrody literackiej nie wywołało takiej burzy we Francji jak tegoroczny „Prix Femina”. Egerie konkurentki Goncourtów wybrały książkę Gabriel Veraldi, *La Machine Humaine* (Gallimard, 1954). Często zdarza się we Francji, że młody pisarz debiutuje ciekawą książką. Nagrodzić ją? Za młody, poczekajmy. Ale pozostaje jakby wyrzut sumienia. Pisarz dostaje nagrodę w roku następnym, za znacznie gorszą powieść, dlatego że jury żałuje trochę swej poprzedniej decyzji. Pierwsza powieść Veraldi, „A la Mémoire d'un Ange” była, jak pisałem rok temu w „Kulturze”, ciekawym zestawieniem ezoterycznej i naukowej erudycji. Wydała mi się powierzchowna. *La Machine Humaine* potwierdza tę obawę. Veraldi żongluje mistycyzmem, biologią, cybernetyką, jak modnymi „articles de Paris”. Dorzuca międzynarodowe szpiegostwo i narkotyki. Inteligencja jest niezaprzeczalna. Ale tym razem ma się wrażenie, że fenomenalnie zdolny młody student robi zręczny „pastiche” Huxleya, Orwella i... Dekobry. Szkoda, także dlatego że wśród młodych pisarzy francuskich Veraldi jest jednym z nielicznych, którzy namiętnie i celnie atakują socjalski totalitaryzm.

Tegoroczna nagroda „Femina” jest pięćdziesiątą z kolei. W roku 1904 Akademia Goncourt nie przyznała nagrody pięknej Myriam Harry... z powodu jej płci. Literackie feministki ufundowały wówczas „swoją” nagrodę. Album pięćdziesięciolecia („Le Prix Femina, 1904-1954”, Le Nouveau Femina, 1954) zawiera biografie wszystkich przeszłych i obecnych uczestniczek jury. Jedną z założycielek nagrody była Marguerite Poradowska żona Polaka, zapomniana dziś, ale sławna na początku wieku autorka szeregu powieści na tle polskiego życia („Yaga”, „Maryla” itd.). Trzeba przyznać że panie z „Femina” często trafiały celnie. Wśród ich laureatów jest Romain Rolland, Edmond Jaloux, Bermanos, Chadourne, St. Exupery...

Nie smutniejszego od purytańskich kultów „wielkich ludzi”, którzy byli swobodni, sceptyczni, ironiczni. Taki właśnie los przypadł pamięci Moliera. W krytykach i profesorach poświęcających poważne i pedantyczne rozprawy człowiekowi który tak kpił z wszelkiej pedanterii rozpoznajemy często Pana Jourdain, Pana de Pourceaugnac, w najlepszym razie Alcesta, nieraz śmieszne „Précieuses”. A w Polsce do krytyki Moliera zabiera się jego najsłynniejszy bohater: przecież te tyrady o „postępowości”, te nadęte polityczne bzdury wypowiada nie kto inny jak współczesny Tartuffe.

Dlatego nowy Molière Jacques Audiberti (L'Arche, 1954) jest nie tylko fajerwerkami stylu, poetyckiej krytyki, ale także odeganiem legendy mozolnie faszerowanej w klasach, na katedrach, czy ad usum masowego Delfina w demokracjach ludowych. I niech nie myślą redaktorzy „Nowej Kultury” (jeśli czytają te słowa), że chodzi o krytykę „reakcyjną”. Kolekcja w której Audiberti wydaje swego Moliera jest patronowana przez Théâtre National Populaire. Tyle że Molier przestał być na chwilę pretekstem a stał się celem. Że Audiberti rozumie prostą, zdawałoby się, prawdę: Molier nie jest filozofem, który swoje „idee”, czy „plany reform” dziwacznie rozbija na dialogi. Molier — to teatr. Audiberti nakreśla rodowód, ustawia Molier na pół drogi między Komedią „Dell'Arte” i Chaplinem (inną ofiarą wszechpolitycznego banału). Molier, widziany przez Audiberti?

— „Wdrożony we wszystkie doświadczenia, o bijącym sercu, stałym oddechu, ma jeden tylko własny pomysł. Nawet nie pomysł, tendencję. Linie. Przyzwyczajenie. Jakże?”

Prawa niedowiarstwa są równe prawom wiary.
Oto jego doktryna. Sceptycyzm bezwarunkowy.”

Londyński ośrodek PEN Clubu pisarzy na uchodźstwie wydał antologię emigracyjnej prozy i poezji w tłumaczeniu angielskim (*The Pen in Exile*, an anthology edited by Paul Tabori, published by the International P.E.N. Club Centre for Writers in Exile, 67, Hatton Garden, London E.C.1). Antologia wydana dla czytelnika obcego. Należałoby zapomnieć znajome twarze autorów, echo ich rodowitej sławy, dźwięk stylu w oryginalnym aby móc ocenić tę książkę z punktu widzenia celowości. Trudne zadanie. Chodzi właściwie o to czy angielski, amerykański, francuski wydaw-

ca biorąc do ręki *Then Pen in Exile* powie sobie: „To ciekawe. Może by poprosić tego pisarza o rękopis?” Albo, bardziej bezinteresownie, czy obcy czytelnik pomyśli: „A jednak ta część Europy oddana w obce jarzmo wydaje talenty tej miary.” Niestety wątpię by ta antologia mogła wzbudzić prawdziwe zainteresowanie. Są w niej teksty pisarzy znanych zagranicą, ale należących do kategorii „popularnych wielkości”. Aldanow, Goetel, Kossak-Szczuka — to kaliber Duhamela, Mazo de La Roche, Pearl Buck: wytrawni technokraci piśmiennictwa. Spośród opowiadań pisarzy nowszych dla obcej publiczności, dwa wydały mi się ciekawe: „Murder on the Waka” Józefa Mackiewicza, którego poetyckie wycucie ziemi i dramatyczne napięcie zawsze zachwyca, nawet jeśli tłumaczenie nie kształca magię jego stylu. I „The Commissar of Trash”, drapieżna satyra polityczna Węgry Zoltana Szabo — orwellowska wizja zaprawiona humorem Zoszczenki. Nowelka Mircea Eliade ciekawa dla kogoś kto zna i podziwia jego wspaniałe dzieło naukowe. Ale to tak jakby w antologii angielskiej Bertrand Russell figurował jako autor jednego ze swych opowiadań. Reszta, to poprawne nostalgiczne do brzozy i jeziora i — przyczynę do asymilacji pisarzy — parę ultra angielskich nowel które wydają się wyjęte z jakiegoś „Omnibus Book of Short Stories”.

Gorzej z wierszami. Dla angielskiego czytelnika, przyzwyczajonego od trzydziestu lat do poezji będącej magią słowa i kondensacją myśli czy intuicji, te wiersze muszą pachnąć wyblakłym sztambuchem. Wydawać by się mogło, że za „żelazną kurtyną” nie wyszło się poza Konopnicką. Wyjątkiem jest oczywiście „Psalm” Józefa Wittlina i kilka wierszy tradycyjnego, ale rzetelnego poety estońskiego Bernarda Kangro. A przecież nie brak na emigracji właśnie prawdziwych poetów. Choćby z Polaków, najszerzej i alfabetycznie: Baliński, Brzękowski, Czuchnowski, Iwaniuk, Lechoń, Miłosz, Pankowski, Wierzyński...

Wśród esejistów, jak zawsze bystry i efektowny Salvador de Madañaga. Na marginesie: wielką zaletą tak uchodźczego P.E.N. Clubu jak antologii jest uczestnictwo Hiszpanów republikańskich. Wychodzi to książce na dobre: teksty hiszpańskie — Barea, Ramon Sender — należą do najlepszych. Pozostałe szkice mierne.

W przedmowie do książki Tabori wyraża zamiar P.E.N. Clubu wydania podobnego zbioru corocznie. Byłaby to doskonała inicjatywa — i łatwiej by było wybaczyć niedociągnięcia pierwszego numeru literackiego rocznika niż jednorazowej i definitywnej „antologii uchodźczej”. Miejmy nadzieję, że na przyszły rok *The Pen in Exile* przyniesie teksty pisarzy, którzy mogą najbardziej zainteresować obcego czytelnika, jak choćby Matila Ghyka i Aleksander Marai, Cioran i Miłosz, Eugène Ionesco i Gombrowicz Jan Cep i Straszewicz — i essay Mircea Eliada, nowelę Kuncewiczowej.

Po likwidacji I.R.O. pozostaje jeszcze w obozach w Niemczech, Austrii, Włoszech, Grecji, Turcji, Syrii, Iranie, Chinach i Kaszmirze blisko pół miliona uchodźców. Wysoki Komisarz od spraw uchodźców, który przejął ten problem, nie dysponuje już żadnym kapitałem międzynarodowym na utrzymanie obozów i emigrację. Rola jego ograniczona jest do prawnej opieki: jest on adwokatem bezbronnej grupy ludzkiej i musi

kołatać do rządów zachodnich, zabiegając o pracę dla ludzi w pełni sił, o przysiółek dla tragicznego „hard-core”. Książka węgierskiego pisarza Arpad Szelpal *Les Sans-Patrie* (Collection „Le Poids du Jour”, Editions du Centurion, 1954), stanowi obiektywną i wyczerpującą analizę problemu. Jest napisana z pasją. Szelpal próbuje też nakreślić właściwą misję uchodźcy we współczesnym świecie. Ciekawa jest duchowa ewolucja pisarza, który z humanitarnego socjalisty staje się czynnym chrześcijaninem. Szelpal omawia szeroko Konwencję Genewską o uchodźcach politycznych, ratyfikowaną przez rząd francuski i która weszła prawnie w życie we Francji 22 września 1954.

(j)

Przegląd miesięczników

Charles-Albert Cingria, zmarły w lipcu 1954, był jednym z największych pisarzy francuskich. Francuskich? Cingria był Europejczykiem piszącym po francusku. Urodzony w Konstantynopolu, Lewantyńczyk po mieczu (krew włoska i grecka), z matki Polki (z domu Stryjeńska: Cingria mówił mi często o swoich polskich kuzynach, malarce Zofii, jej synach), nikt tak jak on nie potrafił zespolic w swym dziele organicznym odczuciem różnych, a jednak pokrewnych prądów cywilizacyjnych. Proza Charles-Albert Cingria jest trudna, misterna, barokowa, kapryśna. Niestety przeważnie roztrzęsiona w ciągu pięćdziesięciu lat — po różnych literackich miesięcznikach: „Nouvelle Revue Française”, „Mercure de France”, ostatnio „Parisienne”. Co za wspaniała postać clocharda, włóczędzy i zarazem „wielkiego pana”. Życie tak go cieszyło i bawiło (przejeżdżając na rowerze całą Europę, rozmawiając, jak nikt inny, nad butelką starego wina, jedząc soczyste brzoskwinie nad rękopisami w bibliotekach całego świata), że był on twórcą „mimowoli”. Nie dbał o sławę, wydania, krytyków. Ale wizja jego była tak błyskawiczna, był on tak wolny od jakichkolwiek przesądów, od myślowego lenistwa, że każda jego uwaga (jakże drobna ich część) zapisał na skrawku gazety, pudełku od papierosów) odkrywała nową prawdę, prześwieślała rzeczywistość jak promień Roentgena. Zmarł w kilka dni po Colette. „Oficjalny” świat nie złożył mu hołdu (może to i lepiej: mało było ludzi i pisarzy równie „prywatnych”). Ale w prasie francuskiej i szwajcarskiej ukazują się teraz wspomnienia dowodzące ilu znanych i nieznanych przyjaciół miał Cingria: François Sentein w *La Parisienne*, Jean Paulhan w *N.R.F.* (która zapowiada specjalny numer poświęcony jego pamięci), Edmond Humeau w *Preuves*. Chciałbym aby o Cingria ukazało się polskie studium (lubił on Polskę i jakże trafnie wyczuwał jej atmosferę, przez pryzmat turecczyzny). Ale któż mógłby je napisać? Chyba jeden Jerzy Stempowski...

W *Express* (4. 12. 1954), jeden z czytelników zapytał Jean Vilara (członka stałego „forum” tygodnika) czy w ciągu swej ostatniej podróży

do Polski w charakterze kierownika Théâtre National Populaire nie był zmuszony do zajęcia stanowiska w sprawie „realizmu socjalistycznego”, obowiązującego w krajach komunistycznych. „Chciałbym wiedzieć — pisze ten francuski czytelnik — czy mógł Pan swobodnie dyskutować i co Pan myśli o tej dążności do upaństwowienia sztuki, która wydaje mi się zaprzeczeniem wszelkiej twórczości artystycznej?”

Odpowiedź Vilara dowodzi jego sympatii dla Polski, całkowitej nieznamomości podstaw „socrealizmu”, zupełnego braku zainteresowania zagadnieniem twórczości artystycznej w kraju totalitarnym. I wystawia on mimowoli na sztych swoich polskich kolegów, rzekomo całkowicie sceptycznych wobec marksistowskich teorii:

„Nie wydaje mi się, drogi Panie — odpowiada Vilar — żeby „realizm socjalistyczny” był z entuzjazmem stosowany w Polsce („fasse fureur en Pologne”). Na przykład: odbudowuje się Warszawę na podstawie sztychów Canaletta (XVIII wiek). Skądinąd, w czasie mego krótkiego pobytu, nie miałem okazji „zajęcia stanowiska” w tej dziedzinie: nasi gospodarze byli nader uprzejmi. Ale przedyskutowaliśmy obszernie to zagadnienie w czasie spotkania polskich reżyserów teatralnych i filmowych z T.N.P. Tak oni, jak my, zdaliśmy sobie sprawę z próżności słów stosowanych przez teoretyków zachodnich i marksistowskich. Nie ma się doprawdy o co brać za łby. I niech mi Pan wierzy, że nikt tam nikogo z tego powodu za łeb nie bierze.

1) Z polskiej strony przyznano nam:

„Wy z T.N.P., mamy do was pretensje (śmiechy): wasze przedstawienia są podporządkowane prawom realizmu, a jednak pociągają nas przez swoją poezję”.

2) Co do mnie, przyznałem im:

„Wszystko to co nie ma związku z rzeczywistością, jest fałszywe. I wy, artyści socjalistyczni, macie całkowitą słuszność, przynajmniej w dziedzinie teatru, wymagając jak najwięcej prawdy, realizmu w... realizacji”.

Wreszcie, aby odpowiedzieć na Pana ostatnie pytanie: z pewnością niebezpiecznie jest upaństwowić sztukę. Ale czy państwo może tego dokonać? Każdy minister dość szybko zrozumie że to nie jego sprawa („que ce ne sont pas là ses oignons”). Ważne jest żeby artysta nie zdychał z głodu, żeby go nie naciągano ze wszystkich stron. Wydało mi się że artysta w Polsce cieszy się w swej sytuacji materialnej braterską pomocą swoich rodaków, a wie Pan, przypuszczam, że smak artystyczny jest równie powszechny w Polsce jak we Francji.”

Vilar kończy odsyłając swego korespondenta do sceptycznego „Stella” Alfreda de Vigny: „Każde państwo, w jakiegokolwiek formie, popelnia zawsze szereg błędów...”

Omawiając, w grudniowej *Nouvelle N.R.F.*, francuski tom wierszy Mariana Pankowskiego, „Poignée du Présent”, Jean Grosjean z upodobaniem cytuje te same wiersze które wybrał Czesław Miłosz w swej recenzji w „Kulturze”. Pankowski, zdaniem francuskiego krytyka, jest jednym z tych młodych poetów których najlepsze osiągnięcia wypływają z odczucia przyrody.

(j)

W dwóch słowach

FRANCJA :

Paul Rivet. *Cité Maya* (Albert Guillot, 1954).

Najpełniejsza książka dotycząca cywilizacji Majów. Obraz codziennego życia, religii, sztuki, nauki, Bogate ilustracje.

Antoine Goléa. *Esthétique de la Musique Contemporaine* (Presses Universitaires de France, 1954).

Nietyle „estetyka”, co panorama szkół muzycznej „awangardy”. Po tym dytyrambie na cześć awangardy (zresztą ciekawym), rozumie się jeszcze lepiej artykuł Regameya o Panufniku.

Gabriel Germain. *Génèse de l'Odyssée* (Presses Universitaires de France, 1954).

Zastosowanie systemu mitów indoeuropejskich do Odysei. Proteusz — to rodzaj „guru”; Cyrc — odmiana Isztar.

Emile Mireaux. *La Vie Quotidienne au Temps d'Homère* (Hachette, 1954).

Nowość w słynnej serii „codziennego życia”, w której Carcopino dał znakomitą książkę o Rzymie.

WIELKA BRYTANIA :

Julian Huxley. *From an Antique Land* (Parrish, London 1954).

Wielki biolog opisuje swe podróże na Środkowy Wschód, które odbył jako dyrektor UNESCO. Książka bogata w ciekawe informacje historyczne, archeologiczne, naukowe.

D. W. Brogan : *An Introduction to American Politics* (Hamish Hamilton, 1954).

Brogan jest najlepszym znawcą współczesnych instytucji politycznych. Opisuje on amerykańską scenę polityczną — i wpływy poza sceną.

P. G. Wodehouse. *Performing Flea* (Herbert Jenkins, 1954).

Autoportret seniora angielskich humorystów.

U.S.A. :

Gardner Murphy. *In the Minds of Men* (Basic Books Inc., New York, 1954).

Wyczerpujące studium wszystkich wewnętrznych konfliktów we współczesnych Indiach.

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

JAMES (Henry). *Les dépouilles de Poynton*. Traduit de l'anglais par Simone David. Pp. 241. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954, frs. 320).

STEPHANE (Roger). *Fin d'une jeunesse*. Pp. 261. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1954).

WIECHERT (Ernst). *La grande permission*. Roman. Traduit de l'allemand par Henri Thies. Pp. 227. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954).

BROWN (John). *Panorama de la littérature contemporaine aux Etats-Unis*. Pp. 653 avec introduction, illustrations, documents. (Ed. Gallimard, Col. Le point du jour. Paris, 1954, frs 1.350).

COOLEN (Antoon). *Un village au bord de l'eau*. Traduit de néerlandais par G.S. Solpray. Pp. 283. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954).

WEIDLÉ (Wladimir). *Les abeilles d'Aristée*. Essai sur le destin actuel des lettres et des arts. Pp. 343. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 990).

SAVIN (Maurice). *Le verseau*. Roman. Pp. 492. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 990).

ZAJACZKOWSKI (Tadeusz). *Ślad bosej stopy*. Str. 255. (Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas”, Londyn, 1954. Cena 15 sh.).

KUNCEWICZOWA (Maria). *Dwa księżycy*. Stron 237. Okładka i rysunki wyk. przez Tadeusza Terleckiego. (Wyd. Księgarnia Polska „Orbis”, Londyn, 1954 jako Tom I. Biblioteki autorów polskich).

WAŃKOWICZ (Melchior). *Two-rzywo*. Str. 434. (Wyd. Roy Publishers, New York, 1954, cena dol. 4 (w opr.), dol. 3 (w brosz.)).

MOURGUES (Odette de). *Le jugement avant-dernier*. Roman. Pp. 239. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954).

WITTLIN (Józef). *Sól ziemi*. Powieść o cierpliwym piechurze. Wydanie piąte. Str. 284. (Wyd. Roy Publishers, New York, 1954, cena dol. 3,50 (w oprawie), dol. 2,80 (w broszurze)).

DOKUMENTY CHWILI

Zbiór dokumentów w sprawie Bergu. Str. 23. (Wyd. Ministerstwa Sprawiedliwości R.P., Londyn, październik 1954).

BARTON (Paul). *Prague à l'heure de Moscou*. Analyse d'une démocratie populaire. Pp. 355. (Ed. Pierre Horay, Paris, 1954, frs 900).

TYCHOTA (K.). *Ostatni Raport*. Str. 57. Powielacz. (Nakł. autora, Weissenburg-Bawaria, cena DM 0,50).

STROGOFF (Stéphan). *Le journal d'un jeune homme soviétique*. Pp. 311. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 650).

POEZJE

CZUCHNOWSKI (Marian). *Dama w jedwabnym płaszczu deszczowym*. Poezje. Str. 47. Okładka : J. Faczyński. (Wyd. Londyn 1954)

BUINOWSKI (J.). *Lipowy witraż*. Poezje. Str. 39 (Nakł. Caucasus Press, Londyn, 1954).

BOHDANOWICZOWA (Zofia). *Ziemia miłości*. Wiersze wybrane. Str. 183. (Nakł. Społeczności Akademickiej Uniw. Stefana Batorego na Obczyźnie, Londyn, 1954, cena 12 sh. 6 d.).

BEDNARCZYK (Czesław). *Ziemia trudna*. Poezje. Str. 20. (Okładka i ozdobił: Krystyna Sadowska. (Nakł. Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1954).

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1954

Spis autorów

(a. n.), ANDRZEJEWSKI Bogumił, (AV). — BERNANOS Georges, BIENKOWSKA Danuta, BOURGES Raymonde, BREGMAN Aleksander, BRONCEL Zdzisław, BRZEŃSKI O. W., BRZEKOWSKI Jan. — CHIGER W., CHROMIŃSKI St., CRETZIANU Alexandre, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZERNIAWSKI A. — DE GAULLE Général. — DIAMAND Władysław, DRZEWIENIECKI W. M., DUTKOWSKI J. S. — FEJTŐ François, FELDHUZEN Maciej, FURATYK Leon. — GAŁCZYŃSKI Konstanty Ildefons, GAŚ A., GAWLINA Józef F. Arcybiskup, GEMBSKA I., GIERYMSKI Tadeusz, GNIATCZYŃSKI W., GOMBROWICZ Witold, GORKIN Julian, GORTAT W., GÓRCZEWSKI M., GRABOWSKI Z., GRUCEL J., GUENTHER W. — HAUPTMAN Jerzy, HOLIŃSKI Alfred, HOSTOWIEC Paweł, HRABYK Klaudiusz. — (j), JANTA Aleksander, JASIEŃCZYK Janusz, JASIŃSKI Zbigniew, JELEŃSKI K. A., JENNE J., J. J., JORDAN Zbigniew, JUL. MIER., — K., KAJ., KARSKI J., KAWECKI B., KIERSNOWSKI Z., KLEINERT H., KŁONOWICZ Jan, KONASZEWICZ Bogdan, KORBONSKI Stefan, KORKIEWICZ W., KOROWICZ Marek St., KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław, KOWALEWSKI Janusz, KRYTYK, KRZECZUNOWICZ J., KRZYCZKOWSKI Roman, KUKIEL Marian. — L., LAERTES, LEGEŻYŃSKI Stefan, LONDYŃCZYK. — ŁAWRYNOWICZ Zygmunt, ŁOBODOWSKI Józef. — MACKIEWICZ Józef, MACKIEWICZ Stanisław, MAZURKIEWICZ Roman, MAZURKIEWICZ Władysław, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, MORAWSKI Kajetan D., MUHLSTEIN Anatol. — NAGÓRSKI Zygmunt, jr., NOWOTARSKA Róża. — OLECHOWSKI Jan, OSTROWSKI Wiktor. — (p), PANKOWSKI

Marian, PARNICKI Teodor, PAWLIKOWSKI Michał K., PELENYI John, PIOTROWSKI Stanisław, POLAKIEWICZ A., POŁOWIEC H., PUŁASKI W. — RACZYŃSKI Edward, RADZYMIŃSKA J., REGAMEY Konstanty, REL., RENCKI Jerzy, RODITI Edouard, ROJEK M. E., RÓŻYCKI Zbigniew, RUDNYČKYJ Jarosław B. — SAMBOR Michał, SCOTT A., SHARP Samuel L., SIRKO B., SKOWRONEK A. dr, SKÓRZEWSKA Teresa, S.N., SOKOLNICKI Michał, SPERBER Manès, STASZEWSKI J., STRASZEWICZ Czesław, SZABŁOWSKI S. W., SZYMUSIAK J. M. ks., SZYSZKOWSKI Wacław, SZYSZMAN Szymon. — ŚMIEJA Florian. — TERLECKI Tymon, TOKARSKI Jan, (TOR), TOROSIEWICZ Jan, TOURET Fernand. — ULATOWSKI Jan. — VINCENZ Andrzej. — WANKOWICZ Melchior, WANKOWICZOWA Zofia, WASUNG Aleksander, WEINTRAUB Wiktor, WESTFAL Stanisław, WIEDENČZYK, WINIARSKI Łukasz, WITTLIN Józef, W. K., WŁODARKIEWICZ Józef, W. Z., W. ZAL. — X. — ZAŁESKI Wojciech, ZARZEWSKI Stanisław, ZBYSZEWSKI Karol, ZBYSZEWSKI W. A., ZEMBRZUSKI Stanisław, ZIELICKI A. J., ZIELIŃSKA L., ZIEMIŃSKI K., ZUBRZYCKI Jerzy, ZWEIG Ferdynand. — ŻAGIELL E., ŻEROMSKA Olga, ŻOCHOWSKI S.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

Ankieta „Kultury” (12/86).
Dokumenty chwili (11/85).
FEJTŐ François: *Horoskopy wschodnio-europejskie na rok 1954* (5/79), przeł. Zofia Hertz.
HERTZ Zofia (tłumacz) ob. Fejtő (5/79).
HOSTOWIEC Paweł: *Obrazy z czasów kryzysu rolnego* (1/75-2/76).
JELEŃSKI K. A.: *Makiawel i Jalta* (1/75-2/76).
KONASZEWICZ Bogdan: *20 lipiec — Dr John — Rapallo — Przegląd Niemiecki* (9/83).
LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (3/77, 4/78, 5/79, 7/81-8/82, 9/83, 10/84, 12/86).
— *Niemcy — Przegląd Niemiecki* (7/81-8/82).
— *Niemiecki Sztab Generalny — Przegląd Niemiecki* (11/85).
— *Przegląd niemiecki* (9/83).
MACKIEWICZ Stanisław: *Kraj i Berg* (7/81-8/82).
MIEROSZEWSKI Juliusz: *Intelektualiści a Ameryka* (11/85).
— *Niemcy* (3/77).
— *Niemieckie zbrojenia a polskie interesy* (12/86).
— *Polacy i... poganie* (9/83).
— *Polityka nie-dialektycznego materializmu* (3/77).
— „Polonizacja” sytuacji europejskiej — *List z Wyspy* (1/75-2/76).
— *Spóźniona wolność dla Azji* (7/81-8/82).

- MUHLSTEIN Anatol: *Wspomnienia Generała de Gaulle'a* (12/86).
 NAGÓRSKI Zygmunt, pr.: *Polityka wyzwolenia* (3/77).
 REDAKCJA: *Przegląd niemiecki* (6/80).
 REL.: *Zakończona próba* (5/79).
 SHARP S.L.: *USA a Europa Wschodnia* (6/80).
 ZARZEWSKI Stanisław: *Czy koniec Azji Europejczyków?* — *Przegląd Gospodarczy* (7/81-8/82).
 — *Czy Stanom grozi kryzys?* — *Przegląd Gospodarczy* (4/78).
 — *Drugi N.E.P. w Z.S.S.R.* (3/77).
 — *Europeizacja Saary* — *Przegląd Gospodarczy* (12/86).
 — *Handlować czy nie handlować?* — *Przegląd Gospodarczy* (5/79).
 — *Koegzystencja i handel* — *Przegląd Gospodarczy* (11/85).
 — *Po Dunkierce politycznej* — *Przegląd Gospodarczy* (9/83).
 — *Perska ropa znówu popularna* — *Przegląd Gospodarczy* (10/84).
 — *Zjednoczenie bez treści* (6/80).
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Rządy Pana Premiera* (11/85).
 ZESPÓŁ „KULTURY”: *Oświadczenie* (11/85).

Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki i inne

- BERNANOS Georges: *Brat Marcin* (4/78), przeł. Maria Czapska.
 BRONCEL Zdzisław: *Sabotaż Prometeusza* (6/80).
 CZAPSKA Maria: (tłumacz) ob. Bernanos (4/78).
 GOMBROWICZ Witold: *Fragmenty z dziennika* (1/75-2/76, 5/79, 6/80, 7/81-8/82, 11/85, 12/86).
 HOSTOWIEC Paweł: „Forum” europejskie w Alpbach (10/84).
 — *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* (4/78, 5/79, 6/80, 9/83, 11/85).
 JASINSKI Zbigniew: *Na obcej planecie* (7/81-8/82).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Scylle i Charybdy ukraińskiej poezji* (5/79, 6/80).
 MIŁOŚZ Czesław: *Notatki z lektury* (12/86).
 — (tłumacz) ob. Sperber (12/86).
 PANKOWSKI Marian: *O wierszu nowoczesnym* (7/81-8/82).
 REGAMEY Konstanty: *Andrzej Panufnik* (11/85).
 ROMANOWICZ Zofia (tłumacz) ob. Tourret (12/86).
 SPERBER Manès: *Wieczysty dialog z przeszłością* (12/86), przełożył Czesław Miłosz.
 TERLECKI Tymon: „Hamlet” polski i angielski (1/75-2/76).
 TOKARSKI Jan: *Powrót świętych* (10/84, 11/85).
 TOURET Fernand: *Epoka atomowa* (12/86), przeł. Zofia Romanowicz.
 ULATOWSKI Jan: *Jeden samotny człowiek* (4/78).
 WEINTRAUB Wiktor: *Kazimierz Nitsch* (10/84).
 WESTFAL Stanisław: *Na średniowiecznym progu* (5/79, 6/80, 7/81-8/82, 9/83).

- WINIARSKI Łukasz: *List z Jugosławii* (1/75-2/76, 3/77, 4/78).
 WITTLIN Józef: *Pro domo mea* (4/78).
 ZBYSZEWSKI Karol: *Pisarze polscy są bez szans* (4/78).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- DE GAULLE Général: *Fragmenty pamiętników* (12/86), przeł. K. A. Jeleński.
 JELEŃSKI K. A. (tłumacz) ob. De Gaulle (12/86).
 MACKIEWICZ Józef: *Fotograf* (1/75-2/76).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Week-end na farmie Springhill* (5/79).
 MIŁOŚZ Czesław: *Józef Czechowicz* (7/81-8/82).
 — *Niedziela w Brunnen* (3/77).
 — *Teodor Bujnicki* (9/83).
 PARNICKI Teodor: *Na progu wielkiej przygody* (7/81-8/82).

Utwory poetyckie

- ANDRZEJEWSKI Bogumił: *Trzy po trzy* (5/79).
 BIENKOWSKA Danuta: *Chciałam* (7/81-8/82).
 — *Cztery mile za piec* (1/75-2/76).
 — *Dziękuję Ci* (10/84).
 — *Fantazja* (10/84).
 — *Już od lat...* (10/84).
 — *Nie pytaj mnie* (7/81-8/82).
 — *Wszystko było* (10/84).
 BRZEKOWSKI Jan: *Far West* (7/81-8/82).
 — *Odległe wspomnienia* (7/81-8/82).
 — *Twarze przyjaciół* (7/81-8/82).
 GAŁCZYŃSKI K. I.: *Do mowy polskiej* (1/75-2/76).
 — *Nocny testament* (1/75-2/76).
 LEGEŻYŃSKI Stefan: *Lato opada czerwienią* (11/85).
 ŁAWRYNOWICZ Zygmunt: *Dziwne miasto* (1/75-2/76).
 MIŁOŚZ Czesław: *W Sabaudii* (3/77).
 PANKOWSKI Marian: *Elegia na cześć Tuwima* (3/77).
 — *Zielony żrebiec* (12/86).
 SMIEJA Florian: *Czarne strofy* (1/75-2/76).
 — *Dum spiro* (11/85).
 WITTLIN Józef: *Odysei pieśń pierwsza* (4/78).
 — *Odysei pieśń piąta* (4/78).
 ZEMBRZUSKI Stanisław: *Sylwetka* (7/81-8/82).

Najnowsza historia Polski

- CRETZIANU Alexandre: *Rumunia a wrzesień 1939* (3/77) przeł. Zofia Hertz.

- GORKIN Julian: *Przyczynę do biografii Rokossowskiego* (3/77), przeł. K. A. Jeleński.
 HERTZ Zofia (tłumacz) ob. Cretzianu (3/77).
 JELEŃSKI K. A. (tłumacz) ob. Gorkin (3/77).
 KOROWICZ Marek St.: „Wybrałem wolność” (7/81-8/82).
 MACKIEWICZ Józef: *O pewnej, ostatniej próbie i zastrzelonym Bujnickim* (11/82).
 SZYSZKOWSKI Wacław: *Palestra warszawska* (1/75-2/76).
 WAŃKOWICZOWA Zofia: *Kombatantki* (10/84).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- (A. N.): (tłumacz) ob. Roditi (6/80).
 (AV): *Białoruska „Veda”* (3/77).
 — *Chodasiewicz a Polska* (3/77).
 — *Reformacja jako narzędzie polonizacji* (3/77).
 BRZĘKOWSKI Jan: *Echo minionej epoki* (7/81-8/82).
 CZAPSKA Maria: *Jak nie należy pisać o świętych* (3/77).
 — *Jeszcze biografia świętych* (12/86).
 CZAPSKI Józef: „*Piórem umaczanem w niebie...*” (9/83).
 FURATYK Leon: *Przeglądając Słownik Sowiecki* (3/77).
 (j): *Notatki wydawnicze* (1/75-2/76, 3/77, 4/78, 5/79, 6/80, 7/81-8/82, 9/83, 10/84, 11/85, 12/86).
 — *Przegląd miesięczników* (1/75-2/76, 3/77, 4/78, 5/79, 6/80, 7/81-8/82, 9/83, 10/84, 11/85, 12/86).
 JASIENCZYK Janusz: *Agenda polskiej diaspory* (7/81-8/82).
 — *Bieg do Fragała* (1/75-2/76).
 — *Krok w tył* (4/78).
 JASIENCZYK J. i ŻEROMSKA O.: *Laureaci trzeciej klasy* (5/79).
 JELEŃSKI K. A.: *Horyzonty na niby* (6/80).
 — *Poeta i historia* (1/75-2/76).
 — *Półświatek don Camilla* (3/77).
 — (tłumacz) ob. Sperber (3/77).
 JUL. MIER.: *Chleb i kamień* (1/75-2/76).
 KAJ: *Claudiel odmienny* (9/83).
 — *Pod pretekstem „best-sellera”* (11/85).
 — *Pogrom cieni* (10/84).
 — *Spacer niespiesznego przechodnia* (10/84).
 — *W poszukiwaniu utraconej wolności* (6/80).
 KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław: *Francuz odkrywa Stanisława Augusta* (1/75-2/76).
 L.: *Dzieje wielkiego błędu* (3/77).
 LONDYŃCZYK: *Federacja ośmiu* (4/78).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Zaproszenie do inspiracji* (6/80).
 MIŁOŚZ Czesław: *Dwight Macdonald* (4/78).
 — *Młodzi poeci* (1/75-2/76).
 Nadesłane nowości wydawnicze (1/75-2/76, 3/77, 4/78, 5/79, 6/80, 7/81-8/82, 9/83, 11/85, 12/86)).

- OLECHOWSKI Jan: *Sto książek i jedna wielka powieść* (11/85).
 PANKOWSKI Marian: *Mowa bez ziemi* (9/83, 10/84).
 — *Nowości poetyckie* (11/85).
 PAWLIKOWSKI Michał K.: *Duchy na strychu* (4/78).
 RACZYŃSKI Edward: *Europeizm czy regionalizm* (5/79).
 RODITI Edouard: *Powrót Saracenów* (6/80), przeł. (a. n.).
 SOKOLNICKI Michał: *Niemcy po wielkiej przegranej* (1/75-2/76, 3/77).
 — *Polonica w archiwach niemieckich* (5/79).
 — *Spowiedź St.-Aulaire'a* (7/81-8/82).
 — *Zbiory dokumentów* (10/84).
 SPERBER Manès: *La prise du pouvoir* (3/77), przeł. K. A. Jeleński.
 TERLECKI Tymon: „*Vade-mecum*” (5/79).
 (TOR): *Polskie wydawnictwa artystyczne* (4/78).
 VINCENZ Andrzej: *O antologiach i antologii* (12/86).
 — *Onomastyka i nacjonalizm* (3/77).
 — *Słowiański folklor* (11/85).
W dwóch słowach (9/83, 10/84, 11/85).
 W. Z.: *U źródeł ewolucji prawa międzynarodowego* (7/81-8/82).
 W. ZAL.: *Próby oceny polskiej gospodarki* (4/78).
 ZALESKI Wojciech: „*Kombinat*” śląski (10/84).
 — *Niepokojąca książka* (6/80).
 ŻAGIELL E.: *Ciągle „Mniszkówna”* (7/81-8/82).

Kronika kulturalna

- BOURGES Raymonde: *Wystawy paryskie* (5/79).
 BRZĘKOWSKI Jan: *O roli awangardy* (9/83).
 CZAPSKI Józef: *Dokoła dwóch wystaw* (5/79).
 — „*Jajecznicza*” (3/77).
 — *Wystawa ukraińska* (7/81-8/82).
 HOLIŃSKI Alfred: *Samuel Tyśkiewicz* (10/84).
 JELEŃSKI K. A.: *Biennale 1954* (9/83).
 — *Bluzka z błękitnych perł* (1/75-2/76).
 — *Gombrowicz a robaczek Kozłowski* (6/80).
 — *Ostatnie lata* (3/77).
 — *Samokrytyka krytyka* (5/79).
 J.J.: *Wystawy rękopisów i druków* (1/75-2/76).
 K.: *Kongres poetów* (3/77).
 KAJ: *Szaraczek na szaro* (9/83).
 KRYTYK: *Rzymianie nie zdobywali Ewerestu* (1/75-2/76).
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/75-2/76, 6/80, 11/85).
 MIŁOŚZ Czesław: *Międzynarodowe spotkania* (10/84).
 (P): *26-ty Kongres PEN-Clubów* (9/83).
 PANKOWSKI Marian: *Biennale poetyckie* (11/85).
 SAMBOR Michał: „*Chlastanie*” (5/79).
 SKORZEWSKA Terena: *W pracowni Turkiewicza* (11/85).
 SZYSZMAN Szymon: *Nowe odkrycia* (5/79).

- TOROSIEWICZ Jan: *Wystawy paryskie* (1/75-2/76, 5/79, 7/81-8/82).
 ULATOWSKI Jan: *Nonsens treści i formy* (1/75-2/76).
 — *Picasso* (7/81-8/82).
 VINCENZ Andrzej: *Jubileusz T-wa im. Szweczenki* (6/80).
 WITTLIN Józef: *Śmierć Tuwima* (3/77).

Sprawy krajowe

- (A. N.): *Od Aragona do Orwella* (10/84).
 (J): *Sprawy emigracyjne w prasie warszawskiej* (10/84).
 JELEŃSKI K. A.: „*Tant pis, ou ha, ha!*” (11/85).
 JORDAN Zbigniew: *Plan sześćoletni a rolnictwo* (10/84).
 KRZYCZKOWSKI Roman: *Metro w Warszawie* (1/75-2/76).
 LAERTES: *List z Polski* (12/86).
 PIOTROWSKI Stanisław: *Architektura wczoraj i dziś* (11/85).
 WIEDENCZYK: *Po Kongresie Partii* (6/80).

Sprawy i troski

- KŁONOWICZ Jan: *Przestroga dla innych* (12/86).
 KOWALEWSKI Janusz: *Niestety Ameryka* (7/81-8/82).
 PELENYI John: *Jeszcze o Kolegium Wolnej Europy* (6/80).
 RÓŻYCKI Zbigniew: *Jeszcze o Kolegium Wolnej Europy* (6/80).
 S.N.: *Ludzie z kraju o F.E.* (1/75-2/76).
 X.: *Polacy w Legii Cudzoziemskiej* (12/86).
 ZALESKI Wojciech: *Jeszcze o Kolegium Wolnej Europy* (6/80).
 — *Uwagi i wnioski w sprawie Kolegium Wolnej Europy* (1/75-2/76).
 ZIELICKI A. J.: *Czyżby likwidacja polskiego szkolnictwa?* (6/80).
 ZUBRZYCKI Jerzy: *Socjologia polskiej emigracji* (7/81-8/82, 9/83).
 ZWEIG Ferdynand: *Robotnik polski w Anglii* (3/77).
 ŻAGIELL E.: *Kronika australijska* (11/85).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego:

- RODITI Edouard: *Powrót Saracenów* (6/80), przeł. K. A. Jeleński.
 SPERBER Manès: *Wieczysty dialog z przeszłością* (12/86), przełożył Czesław Miłosz.

Z języka francuskiego:

- BERNANOS Georges: *Brat Marcin* (4/78), przeł. M. Czapska.
 CRETZIANU Alexandre: *Rumunia a wrzesień 1939* (3/77), przeł. Zofia Hertz.
 DE GAULLE Général: *Fragmenty pamiętników* (12/86), przeł. K. A. Jeleński.
 FEJTŐ François: *Horoskopy wschodnio-europejskie na rok 1954* (5/79), przeł. Zofia Hertz.
 GORKIN Julian: *Przyczynek do biografii Rokossowskiego* (3/77), przeł. K. A. Jeleński.
 SPERBER Manès: „*La prise du pouvoir*” (3/77), przeł. K. A. Jeleński.
 TOURET Fernand: *Epoka atomowa* (12/86), przeł. Zofia Romanowicz.

Listy do Redakcji

- BREGMAN Aleksander (12/86). BRZESKI O. W. (11/85).
 BRZEKOWSKI Jan (12/86). CHIGER Włodzimierz (10/84).
 CHROMIŃSKI Stanisław (11/85). CZAPSKA Maria (5/79).
 CZERNIAWSKI Adam (7/81-8/82). DIAMAND Władysław (9/83). DRZEWIENIECKI W. M. (4/78). DUTKOWSKI Jan S. (1/75-2/76). FELDPUZEN Maciej (3/77). FURATYK Leon (11/85). GĄS A. (11/85). GAWLINA Józef F. Arcybiskup (1/75-2/76, 4/78). GEMBSKA Irena (10/84). GNIATCZYŃSKI Wojciech (1/75-2/76, 3/77). GORTAT Wincenty (9/83). GÓRCZEWSKI M. (11/85). GRABOWSKI Zbigniew (6/80). GRUCIEL Jerzy (9/83). GUENTHER Władysław (7/81-2/82). HAUPTMANN Jerzy (9/83, 10/84). HOSTOWIEC Paweł (3/77). HRABYK Klaudiusz (11/85). JANTA Aleksander (9/83). JASIEN-CZYK Janusz (7/81-8/82). JELEŃSKI K. A. (11/85). JENNE Józef (1/75-2/76). KARSKI Jan (9/83). KAWECKI Bohdan (12/86). KIERSNOWSKI Z. (1/75-2/76). KLEINERT H. (12/86). KORBOŃSKI Stefan (9/83). KORESPONDENCJA Z „DZIENNIKIEM POLSKIM” (11/85). KORKIEWICZ Witold (6/80). KRZECZUNOWICZ Jerzy (6/80, 9/83, 11/85). KUKIEL Marian (4/78). ŁOBODOWSKI Józef (10/84). MAZURKIEWICZ Roman (3/77). MAZURKIEWICZ Władysław (12/86). MORAWSKI K. D. (7/81-8/82, 12/86). NOWOTARSKA Róża (10/84). ODPOWIEDŹ Amb. Morawskiemu (12/86). OSTROWSKI Wiktor (7/81-8/82). POLAKIEWICZ Adam (1/75-2/76). POŁOWIEC Henryk (7/81-8/82). PUŁASKI Wojciech (7/81-8/82). RADZYMIŃSKA Józefa (7/81-8/82). ROJEK M. E. (7/81-8/82). RUDNYCKI Jarosław B. (4/78). SAMBOR Michał (4/78, 12/86). SCOTT Alastair (10/84). SIRKO Bolesław (9/83). SKOWRONEK A. dr. (6/80). SOKOLNICKI Michał (4/78). STASZEWSKI Józef (3/77). STRASZEWICZ Czesław (7/81-8/82). SZABŁOWSKI S. W. (4/78). SZYMUSIAK

Jan M. ks. (12/86). ULATOWSKI Jan (11/85). VINCENZ Andrzej (7/81-8/82). WANKOWICZ Melchior (7/81-8/82). WANKOWICZOWA Zofia (12/86). WASUNG Aleksander (12/86). WESTFAL Stanisław (6/80). W. K. (1/75-2/76). WŁODAR-KIEWICZ Józef (10/84). ZARZEWSKI Stanisław (1/75-2/76, 5/79, 9/83). ZIELIŃSKA Ludmiła (5/79). ZIEMINSKI K. (9/83). ŻOCHOWSKI S. (4/78, 12/86).

Różne

CZAPSKI Józef: ** (9/83, 10/84).
Dalsze wpłaty na dom „Kultury” (11/85, 12/86).
English Synopsis (10/84, 11/85, 12/86).
 GIERYMSKI Tadeusz: *Ze Polacy nie gęsi* (1/75-2/76).
Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1953 (1/75-2/76).
 KOWALIK Jan: *Polska w bibliografii powojennych Niemiec* (12/86).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Budujemy dom* (10/84).
 RENCKI Jerzy: *ABC organizacji międzynarodowych* (6/80, 7/81-8/82, 9/83, 10/84).
Résumé en langue française (1/75-2/76, 3/77, 4/78, 5/79, 6/80, 7/81-8/82, 9/83, 10/84, 11/85, 12/86).
 WESTFAL Stanisław: *„Pielę ziele”* (1/75-2/76).

Noty biograficzne autorów

BIENKOWSKA Danuta (1/75-2/76). BRZEKOWSKI Jan (7/81-8/82). CRETZIANU Alexandre (3/77). FEJTŐ François (5/79). FELDHUZEN Maciej (3/77). GORKIN Julian (3/77). JASIŃSKI Zbigniew (7/81-8/82). JORDAN Zbigniew (10/84). KOROWICZ Marek Stanisław (7/81-8/82). KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław (1/75-2/76). KRZYCZKOWSKI Roman (1/75-2/76). ŁAWRYNOWICZ Zygmunt (1/75-2/76). RACZYŃSKI Edward (5/79). RENCKI Jerzy (6/80). RÓŻYCKI Zbigniew (1/75-2/76). SZYSZKOWSKI Wacław (1/75-2/76). ŚMIEJA Florian (1/75-2/76). TOURET Fernand (12/86). WANKOWICZOWA Zofia (10/84). WESTFAL Stanisław (1/75-2/76). WIŃIARSKI Łukasz Roman (4/78). ZIELICKI Antoni Józef (6/80). ZUBRZYCKI Jerzy (9/83). ZWEIG Ferdinand (3/77).

Wydawnictwa książkowe

T. VII. Stefan Korboński: *W imieniu Rzeczypospolitej...* ((Stron 492).
 T. VIII. Józef Łobodowski: *Złota Hramotã* (Str. 192).
 Michał Sokolnicki: *Niemcy po wielkiej przegranej* (Str. 64).

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do twierdzenia p. Zofii Wańkowiczowej (Nr 10/84 artykuł „Kombatantki”) jakoby „autorytety moralne milczały” wówczas gdy kombatantki we wrześniu 1944 roku radiowały do Ojca św. o swym groźnym położeniu podczas powstania warszawskiego, pragnę wyjaśnić, że Ojciec św. w telegramie do niżej podpisanego, opublikowanym w „Osservatore Romano” zwrócił uwagę całego świata na ciężki los Warszawy i nawoływał „wszystkich ludzi dobrej woli do modlitwy za walczącą Polskę”.

Również podczas audiencji do żołnierzy polskich, na której wówczas obecni byli p. Ambasador R.P. Papée i niżej podpisany, zwrócił Ojciec św. w dłuższym przemówieniu uwagę na ciężki los krwawiącej się w powstaniu Polsce, zapewniał o Swoich modlitwach i nawoływał narody do sprawiedliwości, „która by respektowała prawo Polaków”. Przemówienie opublikowane w „Osservatore Romano”.

Obszerniejszymi cytatami mogę służyć w każdej chwili, lecz sądzę, że te manifestacje Ojca św. są znane Emigracji polskiej, gdyż kilkakrotnie podawała je prasa.

Łączę wyrazy czci.

Józef GAWLINA,
 Arcybiskup.

Szanowny Panie Redaktorze !

Do artykułu mojego o Nitschu („Kultura” nr 84) wkraśl się błąd druku, wypaczający sens jednego ustępu. Zdanie na stronie 25: „Od czasu do czasu omawiał w krótkich notatkach krytycznych technikę przekładów w zorganizowanym swego czasu przez Borowego dziale krytycznym „Przeglądu Współczesnego” notatki te są najcenniejszą w naszej literaturze krytycznej dyskusją (...)”, powinno w rzeczywistości brzmieć: „Od czasu do czasu omawiał w krótkich notatkach krytycznych technikę przekładów. Obok omówień przekładów różnych piór w zorganizowanym swego czasu przez Borowego dziale krytycznym „Przeglądu Współczesnego” notatki te są najcenniejszą w naszej literaturze krytycznej dyskusją (...)”. Nitsch nie był współpracownikiem „Przeglądu Współczesnego”. Jego notatki o przekładach drukowane były w „Języku Polskim”.

Witold WEINTRAUB

Szanowny Panie Redaktorze,

Niedawno przypadło mi w udziale korygować informacje p. Karola Zbyszewskiego zawarte w artykule jaki pojawił się na łamach Pańskiego doskonałego miesięcznika; dzisiaj muszę poprawić Jego starszego brata, W.A. Zbyszewskiego, który w artykule „Rządy Pana Premiera” (zeszyt listopadowy „Kultury”) czyni zastanawiające odkrycia geograficzne. Pisze on mianowicie o swojej znajomej, która nazajutrz po przyjeździe na Majorce „pędzi do Vallombrozy oglądać pamiątki po Chopinie”. Na pewno by tam ich nie znalazła, albowiem Vallombrosa, jak wiadomo dobrze miłośnikom Włoch, leży w Toskanii — natomiast miejscowość na Majorce, gdzie znajdują się pamiątki po Chopinie, zwie się Valldemosa, jak to wiadomo jest tym, co zwiedzali to miejsce i opisywali je nawet w swoim i obcym języku.

W cyklu swoich prowokujących powiedzeń, którymi W.A. Zbyszewski pobudza nas do myślenia, znalazłem w wspomnianym właśnie artykule stwierdzenie, że gentleman (chyba tak właśnie, a nie „gentlemen” jak figuruje w artykule?), nie zmienia m. in. nazwiska. (Dodajmy, że autor mówi z dumą o swoim „nansenowskim paszporcie” co jest nieścisłe, albowiem paszporty te wydawane przez Ligę Narodów i wiodące swe miano od wielkiego Nansena nie są identyczne z travel documents wydawanymi przez zespół państw po drugiej wojnie.) Jest to sąd pochopny. Joseph Conrad, który był gentlemanem w każdym calu zmieniał swoje nazwisko; ale wszystkim jest dobrze wiadomo, że był z pochodzenia Polakiem, jego herb, Nałęcz, widnieje na grzbietach jego książek, a na liście jego wartości moralnych pojęcie honoru, i to o zabarwieniu bardziej polskim niż angielskim, znajduje się bardzo wysoko — chyba najwyżej. Inny emigrant polski osiadły we Francji zachował swój przydomek de Wyzewa jako łatwiejszy do wymówienia i oswojenia się wzrokowego aniżeli jego pełne szlacheckie nazwisko.

Ale skoro już jesteśmy przy Zbyszewskich — dziwi mnie nieco, że Witold Gombrowicz tak bardzo się przejął artykułem Karola Zbyszewskiego w „Kulturze”, jak się przyznaje do tego w swoich „Fragmentach z dziennika” (zeszyt listopadowy). Karol Zbyszewski w swoich uwagach o szansach literatury polskiej na rynku światowym „chlapał”, jak to jest w jego zwyczaju, rozmaite trzeźwe prawdy pomieszane z powierchownością. Niedawno słuchałem polskiej dyskusji radiowej z Zachodu, poświęconej temu tematowi (i z udziałem m. in. Karola Zbyszewskiego), dyskusji ciekawej, ale nie rozprawiającej się zasadniczo z tezami K. Zbyszewskiego. To co było istotnego w artykule K. Zbyszewskiego, celowo chyba prowokującym i przejawającym, to stwierdzenie, że istnienie związek między potęgą państwa i języka a sukcesami literatury danego kraju. Warto jest tę tezę przedyskutować, odrzucając jaskrawości i cały żargon dziennikarski, w który Karol Zbyszewski przybrał swoje rozważania. Byłoby to ciekawsze aniżeli utyskiwania na brutalność jego stylu, czy dyskusje idące obok właściwego tematu.

Zbigniew GRABOWSKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Podpisuję się oburacz pod słowami p. Mieroszewskiego w ostatnim numerze „Kultury”. Nic co niemieckie nie powinno nam być obojętne. Chwali się tym bardziej „Kulturze”, że nie poprzestała na słowach i że wprowadza to hasło od razu w czyn, umieszczając w tymże numerze artykuł

o Saarze i bibliografię p. Kowalika. Ważniejsze jednak w piśmie noszącym szczytne miano „Kultura” są chyba sprawy ściśle kulturalne, zwłaszcza w stosunku do kultury niemieckiej, z którą łączą nas związki tysiącletnie, bliższe i bardziej nieprzerwane niż z jakąkolwiek inną kulturą Zachodu.

Tymczasem w tym samym numerze Czesław Miłosz drukuje ciekawe zresztą notatki o przekładach, w których omawia obszernie przekłady na język polski i rosyjski, wzmiankuje przekłady na francuski i angielski, a przekłady z niemieckiego na polski zbywa jednym zdaniem, w dodatku niesłusznym („Goethe po polsku jakby nie istniał — „Faust” Zegadłowicza to chyba próba a nie żaden wynik”). Co do przekładów na inne języki, to Miłosz twierdzi z wielką pewnością siebie, że „w żadnym chyba kraju nie ma tak wielu i tak dobrych tłumaczeń w literatur obcych” jak w Rosji. Przypuszczam, że p. Miłosz mówiąc o „żadnym kraju” ma na myśli wyłącznie kraje naszej malutkiej Europy, gdyż nie zna zapewne ani japońskiego, ani chińskiego, choć wie niewątpliwie, że chińska tradycja przekładowa ma nie sto czy dwieście lat, ale bodaj dwa tysiące lat i że na japoński przekładani są również współcześni pisarze europejscy. Ale nawet w owych prowincjonalnych granicach europejskich Miłosz nie dostrzegł właśnie naszego najbliższego sąsiada.

Niemiecka tradycja przekładowa sięga co najmniej Średniowiecza (Pieśń o Rolandzie), a ilość tłumaczeń z języków obcych w języku niemieckim jest prawdopodobnie większa niż we wszystkich innych językach na kontynencie europejskim razem wziętych. Wystarczy wspomnieć, że istnieją co najmniej dwa przekłady „Pana Tadeusza” (w tym jeden, znakomity, Lipinera), że są przekłady „Chłopów” Reymonta (dzięki czemu Reymont otrzymał nagrodę Nobla), Żeromskiego, Wyspiańskiego, Kochanowskiego czy nawet „Dworzanina” Górnickiego (sic!). Niemiecki jest jedynym zapewne niemieckim językiem Europy, w którym istnieją doskonałe przekłady z rosyjskiego. Dostojewski i Tolstoj dzięki nim stali się znani światu. A wreszcie, jeżeli rzeczywiście Pasternak postawił sobie za cel zrobienie z Szekspira autora rosyjskiego, to poszedł niewątpliwie za przykładem Schlegla) pisarzem równie narodowym jak Goethe. Niejeden przeciętny obywatel myśli całkiem serio, że Szekspir był Niemcem. Na koniec to wielki Niemiec i wielki Europejczyk Goethe stworzył samo pojęcie literatury światowej „Weltliteratur”, które stanowi niejako podstawę filozoficzną i usprawiedliwienie dla wszelkich poczyną na polu tłumaczeń.

Warto dodać, że w przeciwieństwie na przykład do Francji i Polski przekłady w Niemczech i są i były robione zawsze przez ludzi znających zarówno język oryginału jak i swój język ojczysty, toteż są one na ogół bardzo dobre.

Nie wątpię, że poeta i znawca tego kalibru co Czesław Miłosz, który ponadto już od roku 1947 przebywa na Zachodzie, jest równie dobrze obeznany z literaturą niemiecką, jak z angielską czy francuską. Toteż to zlekceważenie Niemiec przypisać należy zapewne nie ignoracji, która jest zawsze wybaczalna, lecz wspomnieniom cierpień wojennych, a może odbłaskom zażyłości narodowej, którą jednak potrafił w godny pochwały sposób przezwyciężyć w stosunku do Rosji.

Nadmienię, skoro już o tym mowa, że chyba tylko wrodzonej skromności Czesława Miłosza należy przypisać, iż analizując rosyjski przekład „Otella” nie wspominał nawet, że sam jest autorem (doskonałego zresztą) przekładu „Otella”, który był drukowany przed kilku laty w „Twórczości”.

Zechce Pan przyjąć, wielce Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Andrzej VINCENZ

Monsieur le Rédacteur en Chef,

La presse polonaise en exil fait périodiquement appel à notre émigration pour l'aide en faveur des écoles, collèges ou universités polonaises à l'étranger. J'ignore les échos que rencontrent ces appels, bien que je ne doute pas qu'ils procèdent d'un noble sentiment.

Or, je tiens à vous signaler qu'en février 1947, alors que j'appartenais à l'armée Anders, ou exactement au P.K.P.R., j'avais été admis, après examen écrit, au „Kurs Handlowy” — Cours de Commerce à High Barnet, dans la banlieue de Londres.

Le jour de l'ouverture du cours, j'étais avisé par le „wydział oświatowy” d'avoir à quitter le Collège, mon diplôme français de bachelier — 1^{re} partie — n'ayant pas été reconnu valable. Par contre, des élèves évadés de Pologne après 1945, étaient admis à ce même cours, en l'absence de tout diplôme. Le colonel Ruchalski — je n'ai pas à cacher le nom — à l'époque directeur du wydział oświatowy, auprès de qui j'avais vigoureusement protesté, me répondit textuellement que j'étais inutile en Angleterre et que je pouvais retourner „là d'où je venais”, c'est-à-dire en France.

Je vous livre ce fait sans autre commentaire. J'ajouterai toutefois que le Directeur du Cours, un célèbre juriste — magister praw — avait épousé ma cause et était intervenu en vain auprès de ce colonel. Je ne me souviens malheureusement plus de son nom. Qu'il en soit remercié ici !

Déjà en Italie, j'avais rencontré les mêmes difficultés et après être sorti de la „Szkoła Podchorążych”, je n'avais pas été reconnu dans mon nouveau grade. Cette situation fut régularisée par la suite. Mais je persiste à croire, et je ne suis pas le seul, que les volontaires polonais de France, ont été particulièrement brimés au sein de l'armée polonaise en Occident.

Dans ces conditions, il nous est difficile parfois d'appuyer les projets ou réalisations du Gouvernement polonais en exil, et nous préférons nous cantonner dans un strict neutralisme, ou alors nous fondre avec la masse de la nation qui nous a accordé son hospitalité. Il n'est pas agréable de ne rencontrer que déboires chez nos compatriotes, hélas !

Je vous prie de croire, Monsieur le Rédacteur en Chef, à l'assurance de ma distinguée considération.

Château-Renault.

Mieczysław RUDZ

P. Józef Mackiewicz pisze : „przeciętna opinia polska tonęła w kompletnej ignorancji pomawiając Litwę o fantastyczne aspiracje do Grodna, do Białegostoku, do Brześcia, czyli podsuwając jej dążenia, przed którymi ta właśnie najbardziej się wzdragała i broniła” (str. 88, „Kultura” z listopada 1954 r.).

Każda przedwojenna mapa litewska podawała te granice Litwy, które ustalił na papierze traktat litewsko-sowiecki z lipca 1920 roku, z tym, że m. in. tereny Grodna, Lidy, Oszmiany, Święciany i Wilna na tych mapach nazywały się „Litwa okupowana przez Polaków”.

W numerze 4/5 z roku 1954 wydawanego w Londynie czasopisma litewskiego „Santarvė” ukazał się artykuł redaktora, p. Fabiana Neveraviciusa, pt. „Wilno”, w którym autor pisze m. in.: „Nasza koncepcja może być tylko jedna : granice Litwy ustalone przez pokojową umowę moskiewską z lipca 1920 roku” (str. 119).

Zarzut, który p. Mackiewicz wysuwa pod adresem opinii polskiej, obraca się przeciw niemu samemu. To, że „granice” owego papierowego traktatu nie obejmowały ani Białegostoku, ani Brześcia, nie zmienia istoty rzeczy w sposób zasadniczy.

Nb. mimo że ze sprawami litewskimi miałem w ten czy inny sposób do czynienia od roku 1930 do 1945, nigdy nie spotkałem Polaka, który by sądził, że Litwa chciałaby panować nad Białymstokiem i Brześciem.

Stanisław WESTFAL

Dublin.

Szanowny Panie Redaktorze !

Warunki obiektywne składają się na to, że nie mam stałego i regularnego dostępu do Pańskiego pożytecznego pisma. Z tegoż źródła technicznych niedociągnięć płynie też opóźnienie moich reakcji.

Otóż one :

Począwszy od pewnego czasu „Kultura” wzbogaciła się o nowy, a wielce pożyteczny dział („ABC instytucji międzynarodowych”).

Godzi się więc równolegle do czulego przytaknięcia inicjatywie Redakcji, wytknąć też pewne braki i sprostować niejasne sformułowania.

1. Pan Jerzy Rencki w 6/80 numerze „Kultury” pozwolił sobie na dowolne przetłumaczenie angielskiego pojęcia : Trusteeship Council na Radę Mandatową. Czytelnik polski, wprowadzony w błąd mylną nomenklaturą nie pojmie zasadniczej różnicy istniejącej między Komisją Mandatową będącą instytucją doradczą byłej Rady Ligi Narodów, a Radą Powiernictwa (lub Powierniczą) będącą jednym z sześciu stałych organów O.N.Z. Różnica nie jest jedynie formalna, ponadto prawo narodów jak i każda inna dyscyplina prawnicza rości sobie słuszne pretensje do przestrzegania słownictwa zawodowego, tym bardziej, że w danym wypadku pojęcia są powszechnie znane i autor bez potrzeby trudził się tłumaczeniem.

2. W imię złe zrozumianej zwięzłości autor nie wspominał o Sekretariacie przy wyliczaniu organów O.N.Z. ; a szkoda, bo przeciętny czytelnik nie zorientuje się, że Sekretariat jest również stałym organem.

Niedawny wybór nowego Sekretarza Generalnego, jak również jego szerokie kompetencje w myśl paragrafu 99 godne były przynajmniej tego by zaznaczyć przynależność Sekretariatu do O.N.Z.

3. Dobrze by było to małe abecadło poszerzyć i dać czytelnikowi obraz instytucji międzynarodowych na ich historycznym czy też współczesnym — politycznym tle.

Zycząc pomyślności Pańskiemu piśmie łączę wyrazy poważania.

Jerzy HALECKI

Jerozolima.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 11/85 „Kultury” w liście do Redakcji pan Stanisław Chromiński z Australii żalił się na „niestosowną” treść listu otwartego skierowanego przez pana Janusza Kowalewskiego po Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Pan Chromiński pisze : „Zdaniem moim, zarówno poziom artykułu jak i jego ton stanowią przeciwieństwo tego co czytelnicy „Kultury” przyzwyczaili się w niej znajdować, a w związku z tym również od niej oczekiwać”.

Lubię polemikę i każdemu wolno w niej mieć swoje zdanie, ale tego rodzaju chwytów nie lubię !

Właśnie wprost przeciwnie, w „Kulturze” przyzwyczailiśmy się znajdować prawdziwie męską polemikę i listy wolne od prowincjonalnej fałszywej grzeczności i wszelkich pozorów kultury.

„Kultura” różni się od innych pism tym, że służy istotnej kulturze i prawdzie. Gdyby w tym sensie „Kultura” miała się zmieniać, natychmiast przestałbym być jej czytelnikiem.

Artykuł p. Kowalewskiego nie „roi się” od „niewybrednych powiedzonek i wątpliwego smaku dowcipów”, ale zawiera przemysłane i dobrane epitety, których pan Chroński nie ma potrzeby się wstydić.

Była to jedyna forma pełna gorzkiej ironii, w której p. Janusz Kowalewski mógł się wypowiedzieć. Ale nie tylko on został tak potraktowany, tak potraktowano i — wszystko inne.

Gdyby „Kultura” stosowała się do recepty zalecanej przez p. Chrońskiego zesłałaby niewątpliwie do rządu pospolitych prowincjonalnych pism i niewątpliwie straciłaby czytelników.

Ale abstrahując od osoby Prezydenta, o którą p. Chrońskiemu głównie chodzi, chcę stwierdzić, że o powadze ludzi decydują nie urzędy i piastowane godności, a po prostu czyny osób piastujących urzędy. Odwracanie tych rzeczy daje zawsze rezultaty jak najgorsze.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Józef JENNE

Szwecja.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Marian Pankowski w październikowym numerze „Kultury” (10/84) w artykule „Mowa bez ziemi”, dotyczącym poezji emigracyjnej, omawiając tomiki poezji Józefy Radzyńskiej, jedyną piękną ich stronę odkrył... w „prześlicznych linorytach Krystyny Herling-Grudzińskiej”. Cała twórczość tej młodej poetki w mniemaniu pana Pankowskiego zamyka się słowami: „bez artystycznego przetrwania”, „formalnie blade”, „humorystyczny anachronizm”, „niepotrzebnie zaplute”. Ciepłsze zwroty na jakie zdobył się recenzent dotyczą jedynie „Dzikiej Perły”.

Wolno panu Pankowskiemu oceniać czyjaś twórczość pisarską według swojego „widzi-mi-się”, ale winą redakcji jest publikowanie recenzji, utrzymanych w tonie, nie odpowiadającym poziomowi, na jakim „Kultura” chce stać. Sądzę, że budowanie autorytetu recenzenta drogą odbierania walorów literackich takim czy innym osobom czy utworom jest metodą prymitywną, zwłaszcza jeśli recenzent sam potyka się co krok, wrywając z utworów cytaty, świadczące o tym, że chyba nie czytał tego, o czym z takim znanstwem wyrokuje, używając słów nie literackich i nie „kulturalnych” w rodzaju „zaplute” (sic), wreszcie — wyliczając ilości „i” w wierszu, czy stosując tak niemile chwyt, jakimi jest wytykanie błędów ortograficznych (jak to ma miejsce przy omawianiu *poeci* Iwaniuka).

Dziwną drogą kroczy „Kultura”. Linią przewodnią jest propagowanie anarchii pojęć, dyskredytowanie wszelkich autorytetów i ustalonych wierzeń, przekreślanie lub lekceważący stosunek do twórczości i pracy innych. Ta „obrazoburcza” akcja, jeśli nie jest podpartą wizją pozytywnych wartości — nie jest służbą dla „kultury”, nie jest postępem, jest akcją rozkładową, anarchizującą nasze życie emigracyjne.

Nie wiem czy Pan Redaktor zechce opublikować mój list, zawierający może zbyt ostre słowa i krytykę. Jest on jednak wyrazem uczuć jednego ze stałych czytelników i sympatyków miesięcznika.

Buenos Aires.

Zbigniew ŻARNOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

W wrześniowym numerze „Kultury” p. Mieroszewski poruszył sprawę pierwszorzędną wagi, to jest sprawę sytuacji wewnętrznej emigracji politycznej Drugiej Wojny Światowej, która wynika z opanowania poprzez komunistów Polski w oparciu o sowieckie bagnety. Będąc bowiem w obozie zwycięzców zostaliśmy pokonani, gdyż nie pozwolono nam urządzić swego państwa według naszych zasad a narzucono nam, wrogie, obce zasady państwa bolszewickiego. W tej paradoksalnej sytuacji pół miliona obywateli polskich szuka nowej siedziby poza granicami Państwa Polskiego i dołącza się do dawnej emigracji w przeważnej części zarobkowej. Emigrację polityczną Drugiej Wojny Światowej można socjologicznie ugrupować w trzy pokolenia, a nie w dwa jak to czyni p. Mieroszewski. Pierwsze pokolenie, to to pokolenie, które walczyło o niepodległość lub też brało w czasie niepodległości czynny udział w życiu politycznym, gospodarczym, społecznym i kulturalnym. Temu pokoleniu jest niezmiernie trudno dostosować się do nowej rzeczywistości i żyje ono do pewnego stopnia w odosobnieniu w morzu amerykańskim, angielskim, afrykańskim itd.

Drugie pokolenie, to pokolenie urodzone w niepodległej Polsce, a wychowane w swej masie poza granicami Polski, do którego się sam zaliczam. Charakterystycznym objawem wśród tego pokolenia jest silne przwiązanie do polskości z jednej strony, lecz z drugiej strony jest silne wchłanianie w społeczność, wśród których żyje, kształci się, pracuje i wśród których stara się zdobyć pewną pozycję społeczną.

Wreszcie trzecie pokolenie, to pokolenie zrodzone już poza granicami Polski, wychowane zagranicą, które bez reszty żyje w otaczającej go społeczności.

Zarówno z dawna osiadła Polonia jak i te trzy pokolenia emigracji politycznej mogą wspólnie pracować, i to pracować pozytywnie dla Polski, gdyby po temu istniały odpowiednie warunki. Ale tych warunków dla pomysłnej pracy nie ma, bo:

Po pierwsze — hasłem i celem ogólnym jest koncepcja państwa na emigracji, państwa zamkniętego w sobie w pewnego rodzaju obozie przejściowym, które w chwili nastania odpowiednich warunków może być bez reszty przeniesione do Polski, państwa emigracyjnego utrzymywanego w nadziei powrotu. Lecz od „Zagwiecego Września” 1939 upłynęło już lat piętnaście, a od zawieszenia broni w Drugiej Wojnie Światowej już lat dziewięć. Pokolenie pierwsze się kruszy i wymiera, pokolenie drugie coraz silniej usadawia się wśród społeczeństw obcych, skąd trudno byłoby je wyrwać; zaś dla pokolenia trzeciego pojęcie państwa na emigracji jest mym zdaniem fikcją. Sumując, koncepcja ta nie wytrzymuje próby czasu. Dochodzi do tego jeszcze rozbieżność na trzy ośrodki polityczne, z których żaden nie ma patentu na reprezentowanie Narodu Polskiego, ani też żaden z ośrodków nie ma w tej chwili zupełnego i bezspornego prawa reprezentowania zorganizowanej emigracji politycznej, nie mówiąc już o masie emigracyjnej, którą te sprawy mało obchodzą. Po drugie — nie ma opracowanych metod działania politycznego. Nie można bowiem akcji składania wizyt różnym urzędnikom federalnym w Waszyngtonie, czy też akcji składania protestów i memoriałów w ministerstwach państw zachodnich, nazwać metodą działalności politycznej emigracji politycznej. Nie można rozgrywek politycznych wśród samej emigracji nazwać metodą akcji politycznej. Można jednak na terenie Stanów Zjednoczonych A.P. prowadzić pewną dość ograniczoną rozgrywkę parlamentarną na rzecz Polski, poprzez posłów polskiego pochodzenia do Izby Reprezentantów w parlamencie amerykańskim. Można też prowadzić nieograniczoną działalność polityczną wśród społeczeństwa amerykańskiego, korzystając ze swobód politycznych gwarantowanych w konstytucji amerykańskiej. Jedna-

kowoż akcja ta nie może być i nie może mieć charakteru tymczasowości, lecz musi mieć charakter trwały, długofalowy, który zapewni jej powodzenie. Do takiej pracy politycznej można wprząc całą Polonię, nawet w dziesiąte pokolenie bez reszty. Bo trzeba mieć na uwadze, że w obecnej chwili interes Polski pokrywa się w przeważającej części z interesami Stanów Zjednoczonych A.P. Po trzecie — musimy sobie zdać sprawę, że istnieją dziś dwa ośrodki polityki światowej, a mianowicie Moskwa i Waszyngton. Sprzeciwiając się Bolszewizmowi kierowanemu z Moskwy musimy starać się uzyskać wpływy w Waszyngtonie, by naszego wkładu do walki z międzynarodowym komunizmem nie pominięto i by nie decydowano wciąż o Polsce wbrew jej interesom państwowym. A cóż my robimy. Zamykamy reprezentację polityczną emigracji Drugiej Wojny Światowej w londyńskim ghetcie, przyjeżdżając do Waszyngtonu na wywczas, a nie do rzetelnej pracy. Wielu reprezentantów emigracji politycznej zapomina zupełnie, że na całej emigracji spoczywają zadania oraz obowiązki występowania w obronie interesów Państwa Polskiego na Zachodzie, w obronie narodu polskiego, tak niesłusznie nazywanego satelitą Moskwy. Cała emigracja polityczna musi sobie wreszcie uprzytomnić, że jej zadaniem jest:

1. Działanie na rzecz Państwa Polskiego, wciągając w to całą Polonię;
2. Stworzenie reprezentacji politycznej opartej o zasady demokratyczne, która by była zdolna do działania na rzecz Polski;
3. Zapewnienie reprezentacji politycznej odpowiednich środków materialnych w postaci Skarbu Narodowego, by mogła wypełnić spoczywające na niej obowiązki;
4. Opracowanie metod działania politycznego, które by wytrzymały próbę czasu;
5. Przeniesienie centrów działania politycznego do Stanów Zjednoczonych, które są jednym z dwu ośrodków polityki światowej.

Emigracja polityczna musi sobie, moim zdaniem, uświadomić, że polityka nie jest dziedziną rozwichrzonych sentymentów, ale dziedziną rachunkowości i wszystko gojącego czasu. Chcąc więc politykę prowadzić w myśl tej tezy, a zarazem chcąc naszą rachunkowość zamknąć saldą dodatnią w bilansie historii, musimy mieć trzy elementy teje polityki zawsze na widoku, o których uprzednio wspominałem, mianowicie:

1. Konkretnie cele i na czasie,
2. Odpowiednio opracowane metody działania,
3. Właściwe miejsce do działania.

Niech mi będzie wolno Zespołowi „Kultury” pogratulować odwagi w wydrukowaniu artykułu p. Mieroszewskiego, a p. Mieroszewskiemu pogratulować śmiałości i trafności oceny niektórych procesów zachodzących wśród emigracji, o których tak wstydliwie się nic nie pisze i nie mówi.

Serdecznie pozdrawiam.

Bronisław S. WOJTUN

Philadelphia (USA).

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z „oświadczeniem” Zespołu Kultury (Nr 11, 1954) wydaje mi się nie od rzeczy określić stanowisko zwykłego współpracownika tego pisma: sądzę mianowicie, że nie może go obciążać w żadnej mierze odpowiedzialność za takie zbiorowe enuncjacje i że zachowuje on pełną swobodę swego odmiennego zdania.

Nie zamierzam wszczynać polemiki o treść odnośnego oświadczenia. Chcę jedynie zaznaczyć, że wyrażona w nim teza — „nie posiadamy na emigracji warunków, by nadal kontynuować ustrój państwowy w oparciu

o Konstytucję z 1935 roku” — jest co najmniej kontrowersyjna. A dalej: zdanie, że „jest obowiązkiem (sic) każdego logicznie myślącego emigranta wstrzymać się z płaceniem jakichkolwiek opłat na Skarb Narodowy” stanowi wezwanie do określonej politycznej akcji.

Będąc w obu przytoczonych wypadkach wprost przeciwnego zdania, czuję się zmuszony, jako zwykły współpracownik „Kultury”, do stwierdzenia mego niezależnego i niezwiązanego żadnymi „oświadczeniami” stanowiska.

Michał SOKOLNICKI

Stambuł w listopadzie 1954.

Drogi Redaktorze,

Szkoda, że nie spełnił Pan prośby O. Szymusiaka i nie sprostował Pan „przeoczeń czy omyłek”, jakie zaszły w zeszycie listopadowym. Pozwoli Pan więc, że Pana wyręcę.

W istocie, mój list nie był „artykułem”, ale zaczynał się i kończył jak list niniejszy. Opuszczając wstęp i zakończenie, stworzył Pan pozór, że chciałem Panu okazać lekceważenie przez pominięcie zwykłych formułek grzecznościowych. Tej machinacji domyślił się O. Szymusiak i słusznie ją Panu wytyka. Czego jednak nie mógł się domyślić, to że nie poprzestał Pan na tym.

Bo oto jedno ze zdań tego listu zmienił Pan w taki sposób, by nie mogło powstać podejrzenie, że i innych czytelników „Kultury” interesują przesłanki pesymizmu pp. Hostowca i Mieroszewskiego. Intencja tej zmiany wydaje mi się ważniejsza od samego faktu, dosyć zresztą niepokojącego (coż to bowiem za zwyczaj, by zmieniać list do redakcji bez wiedzy autora?)

Dziwiłoby mnie bardzo, gdyby przesłanki pesymizmu pp. H. i M. nie interesowały innych czytelników „Kultury”, świadczyłoby to bowiem o tym, że są oni wszyscy zgodni z Panem co do konieczności przemilczania tych przesłanek. Wątpię, czy ma Pan prawo imputować czytelnikom „Kultury” tego rodzaju solidarność z Panem. Dziś o tych przesłankach — które pragnąłem wydobyć na światło dzienne — mówią już jawnie i nie krępując się pp. Eisenhower i Dulles.

Ale gdy oni przechodzą jak najoficjalniej na koegzystencjalizm „Kultura” każe nam rozpatrywać zagadnienia międzynarodowe „pod kątem widzenia polityki wyzwolenia”, a więc polityki ostatecznie porzuconej przez Stany Zjednoczone, a równocześnie pociesza nas, że „kolos sowiecki” sam się „rozłoży” na skutek buntu rosyjskiej inteligencji.

Ja to nazywam rozniewaniem zasłony dymnej. Dla czego zależy Panu na tym, by inteligencja polska nie widziała, co się na prawdę dzieje? Czyżby jej Pan nie ufał?

Po grudniowym zeszycie „Kultury” rozumiem, dla czego nie ogłosił Pan odpowiedzi pp. Hostowca i Mieroszewskiego. Być może, oni sami uznali, że lepiej nie odpowiadać. Czyż jednak w odezwie do czytelników, która otwierała składkę na dom „Kultury” p. Mieroszewski nie pisał: „Gotowe rozwiązanie można narzucić albo zadekretować. Ale narzucić i przekonać, to nie jest jedno i to samo. Jeżeli czytelnik ma być przekonany o słuszności tezy, musi brać udział w dyskusji i być aktywnym świadkiem krystalizowania się danego poglądu”.

O nic innego mi nie chodziło. Ale dopraszam się o to daremnie. Zamiast dyskusji widzę nielojalność.

Racz przyjąć, Drogi Redaktorze etc.

Jan ULATOWSKI

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Andrzej PANUFNIK, l'excellent compositeur polonais qui a choisi l'exil en juillet 1954, décrit le système adopté par le régime communiste en Pologne pour asservir la vie artistique à des fins politiques, pour rendre impossible toute création libre et pour isoler les artistes polonais de l'Occident.

Marian PANKOWSKI nous donne une analyse de la poésie écrite en Pologne entre 1944 et 1954. Après une période initiale de liberté (1944-1946), la poésie devient enrégimentée dans l'étape du « chemin vers le socialisme » (1947-1950), et elle finit par être réduite, depuis 1950, à un mode d'expression du communisme bureaucratique.

Pawel HOSTOWIEC a tenu un journal pendant son récent voyage en Westphalie. Il commente la prospérité de l'Allemagne occidentale, l'évolution de l'attitude des Allemands envers le réarmement, l'étonnant libéralisme économique, les conditions de vie des étrangers et des réfugiés.

Kultura publiait récemment une analyse des troubles politiques au Guatemala. Andrzej Bobkowski, qui habite le Guatemala depuis plusieurs années, s'élève maintenant contre l'interprétation que cet article donnait aux événements. Bobkowski maintient que Costello Armas était l'artisan d'une « libération » authentique.

Stanislaw Zarzewski, l'auteur de l'article discuté, admet que M. Bobkowski peut avoir raison quant aux faits, mais il ne place pas le problème dans son contexte international.

Nous inaugurons une série de pastiches de la presse polonaise de l'émigration. Le premier est naturellement consacré à notre confrère *Wiadomosci*, l'hebdomadaire littéraire publié à Londres.

Kultura commence la publication du nouveau roman de Czeslaw MILOSZ, *La Vallée de l'Issa*. Un coin perdu de la Lithuanie vers 1914. Autour de l'enfant Thomas, les adultes vaquent à leurs occupations quotidiennes et participent de loin à la vie de l'histoire. Mais ils sont aussi liés — et Thomas le ressent d'une façon puissante, quoique imprécise — à une autre vie située hors de l'histoire qui est celle de l'être profond et de la nature dans ce terroir où le mythe païen est encore vivant sous ses accommodements avec la chrétienté.

Juliusz MIEROSZEWSKI reprend le thème de « l'émigration A » (les politiciens âgés qui se perdent dans leurs jeux anachroniques) et « l'émigration B » (la masse des exilés polonais qui s'intègre activement à la vie sociale et économique des pays de l'Occident). Tant qu'on ne trouvera pas le moyen d'intéresser « l'émigration B » à une politique polonaise en exil, il n'y a pas d'espoir de sortir de l'impasse présente des crises futiles.

Klaudiusz HRABYK polémique avec un article récent de Juliusz Mieroszewski qui liait les buts de l'émigration polonaise à la politique américaine. Il maintient que si les Etats-Unis épousent la thèse de la « coexistence », il ne reste aux exilés polonais que de resserrer leurs liens avec la Pologne, de façon à ce que leur appui reprenne quelque valeur aux yeux des occidentaux.

Le Rédacteur de *Kultura* répond à M. Hrabyk en disant qu'entre une résignation à un monde communiste et une solidarité avec le monde occidental, même si l'on désapprouve sa politique, il n'y a pas d'autre choix réaliste.

Le commerce entre la Pologne et l'Occident est-il désirable du point de vue polonais ? demande Stanislaw ZARZEWSKI. Il répond affirmativement à cette question, pourvu que certaines conditions soient observées.

Kultura continue l'étude de bibliographies allemandes consacrées à la Pologne entre 1944 et 1953.

Le régime communiste organise en janvier 1955 une célébration du dixième anniversaire de la « libération » de Varsovie par l'armée soviétique. C'est la première fois qu'on ose célébrer cet anniversaire — tel est le ressentiment des Polonais envers cet épisode de l'histoire qui rappelle que les Russes ont attendu la fin de l'insurrection et la destruction de la capitale avant d'y entrer. *Kultura* publie dans la section de « la plus récente histoire de Pologne » un long poème inédit de Zbigniew Jasinski : « Le Chant de l'Insurrection » qui fut diffusé par la radio des insurgés le dernier jour de leur lutte.

Il est temps de se rendre compte que l'U.R.S.S. n'est pas un monolithe et qu'elle comprend des nations asservies qui sont nos alliés naturels. *Kultura* entreprend la publication d'un cycle d'études sur « Les Nations de l'Union soviétique » par Wladzimierz BACZKOWSKI, un des meilleurs spécialistes dans ce domaine. Dans le présent numéro : « Le Caucase ».

Des revues de livres polonais et étrangers complètent le numéro.

ENGLISH SYNOPSIS

Andrzej PANUFNIK, the excellent young Polish composer who chose exile in July 1954 describes the means adopted by the communist regime in Poland in order to make all free artistic creation impossible, and to isolate Polish artists from the West.

Marian PANKOWSKI gives an analysis of the poetry written in Poland between 1944 and 1954. After an initial period of freedom (1944-1946), poetry becomes a tool in the intermediary stage of the «road to socialism» (1947-1950), and it is finally reduced — since 1950 — to a mode of expression of bureaucratic communism.

Pawel HOSTOWIEC kept a diary during his recent journey to Westphalia. He comments the prosperity of Western Germany, the evolution of German opinion towards the problem of rearmament, the astonishing economic liberalism, living conditions of refugees.

Kultura published recently an analysis of the political troubles in Guatemala, Andrzej BOBKOWSKI who lives there since several years is now protesting against the interpretation given to events by this article. He maintains that Costello Armas is an authentic «liberator».

Stanislaw ZARZEWSKI, the author of the controversial article, points out that Mr. Bobkowski may well be right in his factual statements, but wades the issue of the international context of these events.

Kultura begins the publication of a new novel by Czesław MIŁOSZ: «The Valley of the Issa». A small country house, a village in Lithuania about 1914. Around Thomas, a small boy, the grown-ups go around their daily work and participate at a distance in the life of history. But they are also bound — and Thomas feels it very strongly — to another life, situated outside history, which is the life of man's deep being and of nature in this valley where pagan myth is still alive under its accommodations with Christianity.

Juliusz MIEROSZEWSKI deplors the division of Polish emigration into two categories: «A», consists of elderly politicians who untiringly play the game of cabinet crises; «B» — are those young Polish technicians, specialists, professional people who become socially and economically integrated in their countries of resettlement. Camp «B» has by no means lost interest in Poland and in Polish affairs. But it has no use for camp «A». And there cannot be any Polish policy in exile without the full participation of «B» Poles.

Klaudiusz HRABYK has sent us a polemical article in which he criticises a recent article of Mieroszewski's, who was roughly saying that any Polish policy in exile must be closely tied to the U.S.A. Mr. Hrabek maintains that if American policy embarks on a period of «coexistence», there is no use for Poles in exile to offer their unwanted services. Mr. Hrabek suggests that Polish exiles should in this case strengthen their ties with Poles in Poland, and become the «interpreters» of their country in the West. The Editor of *Kultura* answers Mr. Hrabek's article by saying that there are only two possible choices for us: either to become resigned to a communist world, or to remain part of the Western world, whether we agree or not with its immediate policy. Any other solution is merely a version of either of these.

Stanisław ZARZEWSKI studies the question of Polish trade with the West.

We continue the publication of Polish bibliographies in Germany after the last war.

The communist regime in Poland is organising in January 1955 celebrations of the tenth anniversary of the «liberation» of Warsaw by the Red Army. It is the first time that the regime dares to celebrate this anniversary — so strong was the resentment of the Poles after the Soviet forces let the Warsaw rising be defeated. *Kultura* publishes in its section of the «Recent Polish History» a poem of Zbigniew JASINSKI which was broadcast from Warsaw on the last day of the Rising.

Kultura inaugurates a series of studies of the peoples of the Soviet Union, by Włodzimierz BACZKOWSKI, one of the best specialists of these questions. In this issue — Caucasus.

Korespondent londyński „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-(IV°).

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal: 1^{er} Trimestre 1955

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vanderkindere, Bruxelles- Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Leksycka, rua Guará 139, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tangany- ka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 ^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Ja- nique Trading Co., 835 Queen St. W. Toronto 3, Ont.; St. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Win- nipeg/Man.; H. R. Radomski, 107, Rose Park Dri- ve, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybała, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 700 Queen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarme- rie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (136) München 13, Ingolstaedterstr. 115, Haus 9/1 Iks.	2,50 DM 3 sh. 9 d.	13,50 DM 20 sh.	25 DM 40 sh.
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2. SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thal- berg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsga- tan 3/IV, Stockholm		15 kor.	28 kor.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 615 Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 1818 No Sierra Bonita Ave., Holly- wood 46, Calif.; S. Dziarczykowski, 3216 W.— 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewa- nowski, 27, Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; T. Konopacki, 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robin- wood Ave., Toledo 2, Ohio; A. Pleszczynski, 2025 Monterey St., Santa Barbara, Calif.; M. Szy- rowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169- 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. WŁOCHY: Ewa WIEBUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130, J. Roma, tel. 859632.	75 cent. 3 sh. 9 d. 300 lir	4 dol. 20 sh. 1.750 lir	6 dol. 40 sh. 3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka + 50%)

NAGRODA ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH NA OBCYZŹNIE NA ROK 1954

Tom VII Biblioteki „Kultury”

STEFAN KORBOŃSKI

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ...

Jak powstało Polskie Państwo Podziemne? — Jakie były wewnętrzne konflikty pomiędzy Politycznym Komitetem Porozumiewawczym, Dowództwem Armii Krajowej i Delegaturą Rządu? — Jakie były formy łączności pomiędzy Krajem i Rządem w Londynie? — Czy były formy współpracy polsko-niemieckiej w Kraju pod okupacją? — Czym była „Walka Cywilna”? — Skąd czerpała swe informacje radiostacja „Świt”? — Jaka jest prawda o podziemnym wymiarze sprawiedliwości? — Jaka była rola armii ludowej Żymierskiego? — Dlaczego Berling popadł w niełaskę? — Jaki był stosunek polskich władz podziemnych do komunistów? — Jakie były losy tajnej misji Retingera? — Dlaczego Kierownik Walki Cywilnej dowiedział się o wybuchu Powstania przypadkiem? — Jakie były pierwsze kroki Mikołajczyka po powrocie do Polski? — Jak wyglądały stosunki w U.B.?

Na te pytania odpowiada książka Korbońskiego.

Cena egzemplarza wynosi : 1,250 frs (dol. 3,50; sh. 25)



NAGRODA ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH NA OBCYZŹNIE NA ROK 1953

Tom VI Biblioteki „Kultury”

CZESŁAW STRASZEWICZ

TURYŚCI Z BOCIANICH GNIAZD

Cena egzemplarza: 650 frs (13 sh., 2 dol.)

Zamówienia można nadsyłać do Redakcji „Kultury”

91, avenue de Poissy, MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.), France.
oraz do Przedstawicielstw.